

DAMIAN JACKOWIAK

# PLUSZOWY MIŚ





**DAMIAN JACKOWIAK**

# **PLUSZOWY MIŚ**

**OŚWIĘCIM 2020**

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

# Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Prolog

Rozdział 1. Demony przeszłości

Rozdział 2. Miejsce zbrodni

Rozdział 3. Porozmawiajmy

Rozdział 4. Feliks

Rozdział 5. Akta

Rozdział 6. Winny niewinny

Rozdział 7. Zaginiona

Rozdział 8. 1993

Rozdział 9. Sprawa zamknięta

Rozdział 10. Podejrzany?

Rozdział 11. Trodalowie

Rozdział 12. Bliźniaki

Rozdział 13. Morderca

Rozdział 14. Cena do zapłaty

Copyright © 2020  
Damian Jackowiak  
Wydawnictwo NieZwykłe  
Wszelkie Prawa Zastrzeżone  
All rights reserved

Redakcja:  
Anna Wasińska  
Korekta:  
Justyna Nowak  
Agnieszka Sajdyk  
Redakcja techniczna:  
Mateusz Bartel  
Projekt okładki:  
Paulina Klimek

ISBN 978-83-8178-325-5

[www.wydawnictwoniezwykle.pl](http://www.wydawnictwoniezwykle.pl)

Konwersja  
[eLitera s.c.](#)

*Obok zbrodni to bezczynność jest  
najgorszym z ludzkich grzechów.*



## Prolog

Każdy policjant ma taką sprawę. Tę jedną, która nie daje spać po nocach i ciągle woła z zakamarków umysłu. Tę jedną porażkę, przez którą nie da się odejść spokojnie na emeryturę. I właśnie taka sprawa zepsuła mi całe prywatne życie, wszystkie związki, relacje z dziećmi i byłymi żonami. To właśnie przez nią obgryzam paznokcie, patrząc po raz setny na te same zdjęcia, te same artykuły, szukając jakiegoś szczegółu, który by wszystko rozjaśnił. To przez nią leży na podłodze kolejna pusta już flaszka, a obok porozrzucane napoczęte paczki fajek. To właśnie to dochodzenie, to niedokończone śledztwo sprawia, że zamiast zwinąć dilerą, którego numer zapisałem w telefonie, dzwoniłem do niego po następną plastikową torebkę z białym proszkiem.

Każdy policjant ma taką sprawę, przez którą boi się zasnąć – tak bardzo, jak brzydzi się swojego odbicia w lustrze.

Ja również mam taką. Sprzed niemalże dwudziestu pięciu lat. *Zabawkarz*, to on prześladowa mnie przez cały ten okres. Nie byłem żółtodziobem, nie. Miałem już za sobą kilka sukcesów. Arogancja młodzika, parcie na szkło, kariera. Czas pokazał, że to gównieście. Wtedy było inaczej, ale czy to jest usprawiedliwienie? Wszyscy tak robili, przecież wszyscy tak robili! Liczyły się statystyki, a nie sprawiedliwość. Niezbyt to heroiczne, prawda? Lecz takie były realia. Wystarczyła poszlaka, by wsadzić kogoś do więzienia. Prokuratura, sądy, policja – działaliśmy w jednym kręgu zaufania. Nie liczyło się, kto jest winny, a kto nie. Bo czy kiedykolwiek tak naprawdę ma to znaczenie? Ręka rękę myje. Ja kryję ciebie, ty kryjesz mnie. Proste.



Autentycznie proste. Znaleźliśmy schemat: dwie ofiary zamordowane w identyczny sposób, a tylko jeden nad wyraz oczywisty sprawca. Po co czekać? Po co zbierać inne dowody, szukać poszlak? Społeczeństwo domagało się głowy, więc my ją dostarczyliśmy. Czy to naprawdę takie złe? Wprowadzić spokój do społeczności za cenę zaledwie jednego życia? Prosty rachunek, czyż nie? Większy obrazek. Życie jednostki jest niczym w porównaniu z życiem wielu. Prawda?

Dlaczego zatem nadal nie mogę spać – po tylu latach? Dlaczego, gdy kazano odwrócić wzrok, zrobiłem to i nie czułem się z tym źle? Powinienem zgłosić, że pojawiły się kolejne zwłoki, kolejna zamordowana w taki sam sposób ofiara. Wykonaliśmy rozkaz. Naśladowca. Jedynie my wiedzieliśmy, że to kit. Jedynie my, no i ten człowiek w celi. Zginęło troje dzieci. W dodatku rzuciliśmy na pożarcie niewinnego człowieka – ukradliśmy Temidzie wagę i zdarliśmy opaskę z jej oczu, by wskazać winnego. Spójrz, bogini sprawiedliwości: to on, to on.

Więzienie jest przedziwnym miejscem. Pełnym szumowin, gangsterów, złodziei i drobnych rzezimieszków, ale zgadnijcie, jaki kodeks kieruje każdym z nich. „Nigdy nie krzywdzimy dzieci, dzieci są nietykalne”. Co może więc stać się z człowiekiem zesłanym między drapieżne bestie, człowiekiem, który został skazany za zbrodnię tak ohydną, że nawet najgorsi z najgorszych takich nie tolerują? Piekło, czeka go piekło. Jeśli przeżyje. Dwadzieścia pięć lat piekła wyłącznie dlatego, że policja i prokurator wymusili przyznanie się do winy. Oto co mogą zdziałać pięści i dwie noce w areszcie z ambitnymi policjantami. Właśnie to. Człowiek jest tak wyczerpany psychicznie i fizycznie, że przyznałby się do wszystkiego, czego byśmy tylko chcieli.

Przesłuchania. Nigdy ich nie lubiłem. Gra w dobrego i złego glinę nie była dla mnie, ale nie musiała być. Mogłem spokojnie patrzeć na wyręczających mnie policjantów, specjalistów od rozmów, gdyż to po drugiej stronie trzeba być twardym, to tam nie można pęknąć. Tyle że on pękł. Przyznał się, a wystarczyło wytrzymać do procesu. Wiedzieliśmy, że zeznania są nieprawdziwe. Lecz kogo to obchodziło? Zadanie wykonane.

Piekło dla niego, kariera dla nas. Zapewne te dwie noce w areszcie, w porównaniu z latami w pierdlu, wydają się dla niego niczym. Cóż, sam się przyznał, jego wina. Wystarczyło wytrzymać do procesu.

Sprawiedliwość nie jest najważniejsza, nigdy nie była.

A gdzie jest prawdziwy Zabawkarz? Gdzie jest ten popieprzony skurwiel?

Kogo to obchodzi, skoro po trzeciej ofierze nastąpiła cisza? Nie było więcej zwłok, nie było zgłoszeń o zaginionych dzieciach, a media wreszcie dały sobie spokój. Może więźniowie też, może...

Wampir z Bytomia, Skorpion z Pomorza – w Drugiej Rzeczypospolitej pojawiło się ich zbyt wielu. Nigdy nie sądziłem, że transformacja ustroju przyniesie nam Zabawkarza z Pobiedzisk. I kto wymyśla te pseudonimy? Czasem dochodzę do wniosku, że przydałby się ktoś, kto oczyściłby ten kraj z ludzkich śmieci, nawet jeśli miałby to być człowiek w kostiumie z elastanu. Ulice wciąż wypluwają podejrzany element, a nigdy – by wyrównać szanse – bohatera. To przykre, ale taka jest rzeczywistość. Zostaliśmy sami.

Dwadzieścia pięć lat byłem nękany demonami przeszłości. Aż w końcu mnie dopadły. Wezwanie do stawienia się na przesłuchanie. Jeden skrawek papieru może wywołać lawinę, którą nie sposób zatrzymać. Nagle prokurator generalny nakazał sprawdzanie kontrowersyjnie rozstrzygniętych spraw. Tych, które wzbudzały emocje i protesty. I stąd ten papier. Mają przesłuchać wszystkich związanych z tamtą sprawą, z Zabawkarzem. Dlaczego? Z powodu niewystarczająco twardych dowodów. Kurwa, serio? A były w ogóle jakieś? To jasne i dla mnie, i dla reszty ludzi powiązanych z tym śledztwem, że oskarżony opuści więzienie. Nawet jeśli wrobiliśmy niewinnego człowieka, nawet jeśli nie był Zabawkarzem, to, do kurwy nędzy, osoba, która przeżyła tam tyle czasu... zdążyła stać się zbrodniarzem. To jednak nie jest najgorsze. Oddanie zwykłego zjadacza chleba w ręce największych mend oraz jego przemiana w ludzki wrak może nie być tym, co najgorsze. Uwierzcie mi, nie jest. Wiem coś o tym. Kiedy niewinny człowiek siedzi za kratami, musi walczyć

o swoje wyjście. Niestety łatwo jest wsadzić kogoś do więzienia, lecz trudno go z niego wyciągnąć, nawet gdy prawda próbuje wypełznąć na jaw. Miną miesiące, zanim wyjdzie na wolność, zanim znów będę mógł go oskarżyć. Najgorsze jest to, co zobaczyłem dzień po otrzymaniu wezwania na przesłuchanie.

On wrócił. Zabawkarz wrócił do Pobiedzisk. Człowiek, którego złamało więzienie, maltretowany, bity, gwałcony, w końcu pękł i stał się tym, za kogo go uważano. Zaakceptował potwora, którego mu wmówiliśmy.

I gdyby tylko żył na wolności, byłby oczywistym tropem, ale on siedział, on jeszcze siedział. A to oznaczało wyłącznie jedno: prawdziwy Zabawkarz postanowił wrócić. Po dwudziestu pięciu latach...

*Dlaczego teraz?*



## Rozdział 1

# Demony przeszłości

– Kurwa...

Otworzył oczy, trzęsąc się z zimna. Kołdra była cienka, a ostatnie noce chłodne – wreszcie zawitała do Polski ta złota jesień, o której wszyscy tyle mówili. Na dworze panowała jeszcze ciemność. Mógłby to być równie dobrze poranek, jak i noc, słońce bowiem nie wstawało zbyt szybko.

Skulił się pod kołdrą, chcąc na siłę przedłużyć sen, lecz ten nie powrócił. W końcu wymacał leżący na parapecie, przy którym miał ustawione łóżko, telefon. Palce poczuły chłód przedzierającego się z zewnątrz powietrza.

– Kurwa mać! – krzyknął do poduszki, kiedy pomimo kilkakrotnego wciskania przycisku ekran telefonu się nie zaświecił. Komórka była rozładowana.

Nie miał wyboru. Owinął się kołdrą i wstał. Na nogi włożył znoszone już kapcie z podeszwą cienką niczym kartka papieru. Brakowało mu siły, by iść, więc szurał nogami, przemierzając pomieszczenie aż do drzwi, gdzie zostawił ładowarkę. Tam również znajdowało się jedyne wolne gniazdko, tak w pokoju, jak i w całym mieszkaniu. Umiejscowione zostało w kącie przy futrynie, co uważał za najwyższy szczyt głupoty. Gdyby tylko wiedział, kto jest za to odpowiedzialny, wsadziłby go do aresztu.

Nosił imię Feliks. Przez większość życia go nie cierpiał, ale teraz, kiedy czas zaczął go doganiać, przestało mu przeszkadzać. Człowiek z wiekiem

potrafi przyzwyczać się do wszystkiego – to powszechna umiejętność – od błahych spraw po najtragiczniejsze wydarzenia na świecie. Ze starością przychodzi zmęczenie, z nim natomiast obojętność. To, co kiedyś denerwowało, dziś nie ma znaczenia.

Był policjantem. Miał za sobą trzydziestopięcioletnią służbę, a jako jeden ze starych wyjadaczy nie chciał przejść na emeryturę. Urodził się gliniarzem i chciał nim umrzeć. Najbardziej związany czuł się właśnie z tą częścią swojego życia. Choć w zasadzie innej nie było. Do służby wstąpił w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, mając dwadzieścia osiem lat, po studiach i trzyletniej pracy w budowlance. Potem dwa lata pracował w Łodzi. Tam szybko zdobył zaufanie i uznanie przełożonych. Nie musiał długo czekać, aby znaleźć się w Warszawie, gdzie został przeniesiony na prośbę jednego z ówczesnych komendantów. Dzięki wykształceniu, a przy tym ponadprzeciętnej inteligencji i – co najważniejsze – umiejętności czytania ludzkiego charakteru, szybko piął się po szczeblach kariery. Jego moralność w obliczu wielkiej ambicji wydawała się niepotrzebna, dlatego nie zwracał na nią zbyt wielkiej uwagi. Chociaż nie był fanem metod, które stosował aparat bezpieczeństwa PRL-u, nie przeszkadzało mu to aż tak bardzo, by nie stać się częścią systemu.

Nie do końca był pewien, jak udało mu się przebrnąć przez te wszystkie lata, na nikogo nie donosząc, w dodatku awansując przy każdej możliwej okazji. Nie, dobrze to wiedział. Miał jeden talent, dar. Bardzo cenny. Dzięki niemu otrzymał nawet ksywkę – Kozioł. Pomimo że był świetnym milicjantem z wydziału kryminalno-śledczego, od razu, gdy otrzymywał polecenie znalezienia kogoś pasującego na sprawcę, bez trudu go znajdował. Był tym, który dostarczał idealnego kozła ofiarnego, to był jego dar. Często łapał prawdziwych zbrodniarzy, lecz czasem mieli pozostać na wolności. Takie były rozkazy, a w tamtych czasach każdy je skwapliwie wypełniał, zwłaszcza kiedy pochodziły z samej góry, i to nie tej w komendzie głównej.

Nie było ich wielu, zaledwie piątka poszła siedzieć za czyny, których nie popełniła. Piątka ludzi wystarczyła, by stał się ważną figurą jeszcze przed

transformacją ustrojową w kraju. Gdy tylko udało mu się przejść lustrację, znalazł się w pociągu do Poznania. Jechał do miasta, w którym miał zacząć pracę na rzecz świeżo powołanej służby – policji.

Niełatwo odnaleźć się w nowej rzeczywistości, ale jemu nie sprawiło to trudności. Czytał ludzi, dzięki czemu bez problemu mógł wpasować się w nieznaną otoczenie. Nie zmieniono mu wydziału, nadal miał zajmować się sprawami kryminalnymi, których wówczas nie brakowało. Jedyne, co nie potoczyło się po jego myśli, to przydzielony partner. Choć ściślej mówiąc – on był przydzielonym partnerem, natomiast jego bezpośrednim przełożonym została kobieta.

Macając ścianę, doszedł do zamkniętych drzwi. Przyklął, by odszukać leżącą gdzieś w pobliżu ładowarkę. Nie zapalał światła, bo nie chciał ryzykować, że się rozbudzi; w końcu nie był nawet pewien, która była godzina. Złapał cienki kabel, którego końcówkę wcisnął do telefonu. Jeszcze tylko gniazdko. Badał ścianę nad listwą i znalazł. Podłączył komórkę do prądu. Ekran zaświecił jasnym kolorem. Czekał, aż pokaże się na nim godzina, oparł się o ścianę i swobodnie opadł na podłogę.

Jego oczy powoli przyzwyczajały się do ciemności. Dopiero teraz zaczął dostrzegać delikatne smugi światła ulicznych latarni, wpadające pomiędzy listwami niezaciągniętej do końca żaluzji. Nagle do niego dotarło, że widzi wszystko tak szczegółowo, jakby za oknem panował już dzień, a przecież nadal było ciemno. Żółtobłade światło wdzierało się do pokoju, odkrywając jego skromne wyposażenie. Mężczyzna rozejrzał się po małym pomieszczeniu. Za każdym razem, gdy to robił, na pocieszenie myślał: „Ciasne, ale własne”.

Znajdowało się tutaj jednoosobowe łóżko, idealnie wpasowane – po obu stronach zostało niecałe pięć centymetrów do ściany. Stało przy oknie, pod którym wisiał także wąski kaloryfer, ten stary, żeliwny. Od drzwi do łóżka było pięć niewielkich kroków; niezbyt to duża przestrzeń dla wystroju wnętrza. Chcąc nie chcąc, Feliks stał się minimalistą. W pokoju zmieścił jeszcze małe biurko, ustawił je tuż przy łóżku, obok którego leżały porzucane książki. Nie znalazło się tu miejsce na nawet niewielką szafę.

Na ścianach było prawie pusto, gliniarz nie należał bowiem do fanów wieszania obrazów, zdjęć czy choćby krzyżyka. Jedyne nad biurkiem wbił gwóźdź, by wieszać swoją odznakę.

Na biurku panował porządek. To jedyne uprzątnięte miejsce, ponieważ tu trzymał akta spraw, nad którymi aktualnie pracował. Zazwyczaj chodziło o jedno śledztwo w danej chwili, ale czasami zdarzało się więcej, zwłaszcza gdy niektóre były ze sobą powiązane. Dziś biurko świeciło pustką, bo dzień wcześniej Feliks rozwiązał sprawę zaginięcia kobiety. Okazało się, że wcale nie zaginęła. Jej ciało spoczywało w przydomowym ogródku. W dziewięciu na dziesięć przypadkach morderstw sprawcą okazywał się ktoś z najbliższego otoczenia ofiary. I tak też było w tym przypadku: mąż zamordował żonę. „To takie banalne. Idioty nie powinni sięgać po nóż” – tymi słowami stary glina zakończył dochodzenie.

Puste biurko nie pozwalało mu spać spokojnie. Kiedy znikwały z niego teczki, nie potrafił przespać całej nocy. Spokojny sen pojawiał się wyłącznie w obliczu kolejnej zbrodni, co uważał za chore, lecz jedyne to pozwalało mu jakoś funkcjonować. Dlatego nie odszedł na emeryturę, pomimo przekroczenia sześćdziesięciu wiosen został na służbie. Wiedział, co go czeka zamiast odpoczynku – żal i lęk.

Za każdym razem, gdy biurko robiło się puste, nawiedzała go sprawa sprzed lat, więc dbał o to, by zawsze trzymać na nim jakieś teczki. Nie miał jednak wpływu na to, co zrobi komendant, mówiący to samo po każdym śledztwie: „Odpocznij, przyda ci się”; „Nikt nie powinien spędzać tyle czasu z morderstwami”. Nie wiedział, co się dzieje w dni wolne od śledztw: Feliks budził się wtedy w nocy, wystraszony i zlany potem. To w takie noce sen był jego największym wrogiem.

Telefon zawibrował i wreszcie się włączył. Na ekranie widniała godzina 2:33. Odłożył komórkę i oparł głowę o ścianę. Przez krótką chwilę patrzył w sufit, na którym – mimo panującej za oknem ciemności – dostrzegł delikatne pęknięcia. Wyciągnął dłoń, by dosięgnąć włącznika. Żółte światło zwisającej bezwładnie na kablu żarówki rozświetliło szare ściany pokoju, który w jej nikłym blasku zdawał się mniejszy niż w rzeczywistości.

Dopiero teraz, gdy z pomieszczenia została wygnana ciemność, stary policjant zdobył się na spojrzenie ku stosowi książek. Znajdowało się tam coś, czego próżno można by szukać w mieszkaniu dorosłego mężczyzny. Był to prezent, który otrzymał dawno temu – jako przypomnienie o jego porażce i zatraconej duszy. Pluszowy miś, taka niewinna i pełna ciepła zabawka. W styczniu dziewięćdziesiątego czwartego roku znalazł go przed drzwiami swojego mieszkania. Mieszkania, gdzie żył szczęśliwie z pierwszą żoną i córką. Dobrze wiedział, kto go tam zostawił, i właśnie dlatego zachował upominek.

Pluszak miał niecałe pół metra wysokości, był brązowy z różowymi uszkami i żółtym brzuszkiem. Spośród wszystkich innych tego typu miśków wyróżniał się jednym szczegółem: ktoś go ręcznie przerobił. Na mordce zamiast uśmiechu widniał ogromny smutek, a czarne oczka zastąpiono czerwonymi ślepiami. Pod łapką, z prawej strony, pozostał także ślad czarnej nitki, która nijak nie pasowała do reszty. Chociaż Feliks czuł, że powinien rozpruć zabawkę, nigdy tego nie zrobił. Przez prawie dwadzieścia pięć lat trzymał ją blisko siebie i nie pozwalał się nią bawić żadnemu ze swoich dzieci.

Misia ustawił tak, by witał go za każdym razem, kiedy gliniarz pojawiał się w drzwiach pokoju. To tutaj mężczyzna siedział w tę bezseną noc. Otulony kołdrą, nie ruszając nawet jednym mięśniem, przyglądał się maskotce i czekał, aż wstanie słońce i przerwie jego mękę. Patrzył w te plastikowe ślepie, jakby chciał znaleźć w nich żywą istotę.

„Odpocznij sobie”, pomyślał i zaśmiał się cicho, gdy na zegarku zobaczył równo trzecią. Słowa komendanta wydały mu się głupim żartem, pozbawionym sensu i humoru.

*Musisz wstać* – usłyszał głos w swojej głowie.

Nie był to jego głos, brzmiał inaczej, mechanicznie, jakby nie należał do człowieka. Spojrzał na misia, lecz ten, wpatrzony w niego, tkwił nieruchomo w tym samym miejscu.

– Wiem, już się podnoszę – powiedział głośno Feliks, chwytając się za głowę. Podrapał się po niej mocno i energicznie, licząc, że to go rozbudzi



i sprawi, że głos więcej nie przemówi.

Wstał, po czym rzucił kołdrę na łóżko. Piżama w paski bardziej przypominała więzienny uniform niż koszulę nocną. Była długa i bawełniana, spełniała swoje zadanie, choć w bezsenne noce nawet ona nie ogrzewała zbyt dobrze. Otworzył drzwi, a wówczas blade światło wylało się na pokój, który można by uznać za salon, tyle że nie posiadał okna i był niewiele większy od tej tak zwanej sypialni. Trzymał w nim pudła z rzeczami, dokupił niewielką kanapę i mały telewizor, stojący teraz na podłodze. Po lewej stronie miał kuchnię z lodówką, kuchenką gazową i oknem nad stołem wielkości dwóch taboretów. Nie było tu drzwi, więc światło z zewnątrz mogło wpadać także do salonu. Po prawej stronie wychodził z pomieszczenia dwumetrowy korytarz, który raczej można było uznać za część pokoju gościnnego. Na lewo znajdowało się wejście do łazienki. Umywalka często była wypełniona brudnymi naczyniami. W szafce nad nią trzymał szczoteczkę, maszynkę do golenia i inne podstawowe rzeczy do higieny. Dzięki temu, że administrator budynku zamontował – zamiast wanny – prysznic, znalazło się miejsce, by zmieścić tu pralkę, co nie było wcale takie łatwe, a z czasem obecność urządzenia stała się uciążliwa. Wciśnięte między klozet i prysznic sprawiało, że niełatwo było usiąść na sedesie. Z jednej strony ściana, a z drugiej pralka. Za każdym razem czuł się, jakby miał być zaraz zmiażdżony – niczym Han Solo w zgniatarce śmieci w *Nowej nadziei*.

3:05. Nie opłacało się wracać do łóżka. Budzik miał przecież zadzwonić za niecałą godzinę. Miał dzień wolny, lecz ponad trzydziestoletniej rutyny nie da się wypłenić tak łatwo. Nie zamierzał odsypiać nieprzespanych lat, nawet jeśli bycie przytomnym nie przynosiło mu zbyt dużo opcji na ciekawe spędzenie dnia. Odnosił wrażenie, jakby poza pracą w ogóle nie istniał.

Na kuchence postawił do połowy pełny czajnik, a po chwili zabłysnął pod nim niebieskawy płomień. Puszka z kawą była prawie pusta, przesypał więc resztę bezpośrednio do kubka. Odpalił ostatniego papierosa, który tkwił samotnie w leżącej na linoleum obok lodówki paczce. Nie zaciągał

się. Odłożył go do popielniczki, by delikatnie się tlił i zadymiał pomieszczenie. Przez prawie dziesięć lat nie spalił całego papierosa, jednak nie potrafił pożegnać się z zapachem. Lubił go. Dym, dla wielu ohydny i odrzucający, jemu przynosił wręcz ukojenie. I miał jeszcze jedno, odkryte przez Feliksa dawno temu, zastosowanie: tępił zmysł węchu. Po tylu latach pracy z trupami i wonią krwi, którą później glina czuł już wszędzie – w domu, na dworze czy w galeriach handlowych – po prostu wszędzie, nawet na posterunku, potrzebował czegoś, co go zniweluje. Dopiero po jakimś czasie do niego dotarło, że to on jest przesiąknięty smrodem zwłok, choć nikt inny go na nim nie wyczuwał. Papierosowy dym zdawał się maskować ten odór dosyć dobrze.

W kuchni dało się słyszeć delikatny gwizd, który powoli zaczął przybierać na sile, aż w końcu rozbrzmiał w całym mieszkaniu. Mężczyzna wpatrywał się w wylatującą z czajnika parę, jakby nie wiedział, że woda się zagotowała. Hałas, jaki powodował imbryk, był dla niego ledwo słyszalny, nawet świst wiatru byłby głośniejszy. Po krótkiej chwili wpatrywania się w parę uszy Feliksa wreszcie zarejestrowały irytujący dźwięk. Policjant zsunął się z taboretu i wyłączył gaz. Rączkę czajnika przewinął ręcznikiem kuchennym i wlał wrzątek do kubka.

Lubił ten moment, ale nie bardzo wiedział dlaczego. Moment zalewania ciepłą wodą czarnej kawy, gdy jej zapach uwalnia się i wypełnia całą kuchnię. Może to właśnie przez ten aromat? Intensywny i pobudzający. Może to właśnie on sprawiał, że poranna kawa była czymś więcej niż tylko zwykłym rytuałem przed pracą? A nie, dziś miał wolne, znów o tym zapomniał. Delikatnie przemieszał napój i odstawił kubek na bok, żeby fusy powoli opadły na dno, a kawa była gotowa do wypicia.

W kuchennym oknie nie miał zaluzji. Spoglądanie na ulice koło nerwy, zwłaszcza po takich nocach jak ta. Nieprzespanych, tych, w które wkradał się koszmar sprzed lat. Puste ulice miały w sobie coś poetyckiego, może i nawet romantycznego. Czyż nie każda historia miłosna prędzej czy później ląduje na pustej ulicy, pod niebem pełnym gwiazd, w blasku księżyca lub świateł ulicznych latarni? Czuł ten romantyzm, lecz poznał też

drugą stronę medalu. To, co zdarza się poza światłami latarni, tam, gdzie panuje bezwzględny mrok, a pusta ulica zostaje jedynym świadkiem. To w sumie nawet smutne: jedno spojrzenie za okno, a tyle emocji. Najbardziej spośród nich przebijała się samotność.

Feliks zaśmiał się cicho nad swoim losem.

„To zabawne, że w zależności od sytuacji różnie postrzegamy tę samą sprawę lub że widzimy wyłącznie to, co chcemy zobaczyć”, pomyślał, odwracając wzrok od ciemnej ulicy. Chwycił kubek i wziął łyk gorącej kawy. Nie smakowała tak dobrze, jak pachniała.

Otworzył lodówkę. Może i nie był głodny, ale w myśl starej zasady – śniadanie to najważniejszy posiłek dnia – postanowił coś w siebie wmusić. Półki były niemal puste. Jakieś warzywa, trochę wędliny, ser i karton mleka – nie najlepszy przykład piramidy żywieniowej. Może policjant nie wyglądał na rozgarniętego, ale taki był, i jedyne, czego nienawidził tak jak zbrodni, to marnowania żywności. Dlatego za każdym razem w sklepie spożywczym kupował absolutne minimum, tylko to, do czego był przekonany, że trafi na jego talerz. Śniadania często jadał w drodze do pracy lub w komisariacie, a więc w taki dzień jak ten, dzień wolny, natrafiał na pustkę. Całe szczęście, że na to też był przygotowany. Wyciągnął mleko, a z szafki nad kuchenką wydobyl miskę i płatki śniadaniowe. Wsypał niewielką ilość do miski i zalał zimnym mlekiem. Podgrzewanie go uważał za głupotę, bo płatki traciły naturalną kruchość i zamieniały się w papkę, a ta nadawała się co najwyżej do muszli klozetowej.

Kawę dopił dopiero wtedy, gdy zniknął ostatni płatek z miski i nie została w niej nawet kropelka mleka. W międzyczasie papieros zgasł, pozostawiając po sobie tylko popiół i unoszący się w kuchni zapach. Mężczyzna chwycił popielniczkę i poszedł z nią na kanapę do salonu. Postawił ją obok, po czym wziął do ręki laptop, który leżał przed nim na taborecie, służącym mu za stół do posiłków podczas oglądania telewizji.

Po włączeniu przeglądarki internetowej od razu pojawił się profil na Facebooku. Nie strona startowa, a konkretny profil. Na głównym zdjęciu

była kobieta o długich czarnych włosach, a na jej barkach siedział mały chłopiec. Mógł mieć cztery, może pięć lat. Feliks mimowolnie się uśmiechnął. „Wyrosłaś na piękną kobietę, córeczko”, stwierdził w myślach i szybko posmutniał, kiedy dojrzał obok imienia nazwisko. To nazwisko panińskie jej matki, z którą nie rozmawiał od lat. Małgorzata Szytma. A pod tym komunikat, że policjant oczekuje na przyjęcie zaproszenia. Już od kilku tygodni. Najechał kursorem na galerię zdjęć. Znów zobaczył to, co widział wczoraj wieczorem: brak fotografii w albumie. Mógł jedynie oglądać małą miniaturkę zdjęcia profilowego... Robił to każdego dnia.

Zatrzasnął laptop.

Opadł na oparcie kanapy. Wciąż była noc. Co mógł robić o tej godzinie? Otworzył znowu komputer i wolno wpisywał kolejne litery. Szytma. Wyłoniło się kilka podpowiedzi, wybrał drugą, zaraz pod profilem córki. Jego pierwsza żona i – jak to zawsze zwykł mówić – prawdziwa miłość. Justyna Szytma nosiła kiedyś jego nazwisko, lecz to było dawno temu. Galeria z fotkami nie była zablokowana. Oglądał każde zdjęcie. Widział kobietę, która wyglądała znacznie lepiej, niż pamiętał. Dzielił ją zaledwie rok od sześćdziesiątki, a zdawało się, jakby co najmniej dziesięć.

Zatrzymał się na fotografii z wesela córki, na które nie został zaproszony. Była żona wyglądała naprawdę pięknie. Już od dawna przestał sobie wyrzucać, że chciałby móc ją tulić, całować... Postawił laptopa na taborecie z włączonym zdjęciem Justyny w pięknej kreacji wieczorowej. Pragnął jej, a skoro pozbył się wyrzutów sumienia, nie poczuł się źle, wkładając rękę do spodni. Przez chwilę patrzył na fotografię, by się pobudzić, a gdy poczuł rosnącego penisa, odchylił głowę i zamknął oczy. Wyobraził sobie czasy, kiedy byli razem... Jednak mimo że ruszał dłonią coraz szybciej, czuł, jak podniecenie mija. Uniósł powieki i spojrzał na sufit.

– Super, ten też – powiedział cicho, widząc popękaną i odchodzącą farbę.

Ponownie przymknął oczy, ale zanim zdążył odpłynąć myślami, w mieszkaniu rozbrzmiał dźwięk dzwonka. Zasłonił z niedowierzaniem

twarz.

– Ja pierdolę! – krzyknął.

Wstał z niechęcią, ale jednocześnie odczuwał ulgę. Przeszedł do sypialni i usiadł przy ładującym się telefonie. Na wyświetlaczu zobaczył to, czego się spodziewał: komendant. Na twarz wypłynął mu lekki uśmiech.

3:37. Odebrał. Nagle poczuł w ustach coś dziwnego: jakby przez cały tydzień szedł przez pustynię, nie mając przy sobie butelki wody. Jeszcze nigdy nie zaschło mu tak w gardle, ledwo mógł coś powiedzieć.

– Halo? – odezwał się zachrypniętym głosem, co sprawiło mu nieprzyjemny ból.

– Nie śpisz?

Głos w słuchawce wydawał się podenerwowany i mocno pobudzony. Feliks pokręcił jedynie z zażenowaniem głową, zniesmaczony absurdalnością pytania. Po kilkusekundowej ciszy rozmówca przemówił ponownie:

– Oczywiście, że nie śpisz, przecież odebrałeś. Kurwa... Okej, słuchaj, wiem, że masz wolne i kazałem ci odpocząć, ale jesteś nam potrzebny.

– Dobra – odpowiedział bez zastanowienia policjant, choć w myślach wyrzucił z siebie wiązaną epitetów pod adresem komendanta. Gdyby nie zmusił go do wolnego, dziś miałby wyspanego oficera, a tak... dostanie pracoholika pozbawionego wewnętrznego spokoju i maski zrównoważonego gliny.

– Nie ma czasu do stracenia, musisz jechać prosto na miejsce... – Na moment zgubił się zasięg. – Rozumiesz?

– Co? Czekaj! Coś przerwało. Gdzie mam jechać? – zapytał coraz bardziej rozbudzony Feliks, już bez suchości w ustach.

– Na rynek w Pobiedziskach. Jak tylko się tutaj ze wszystkim uporam, przyślę ci kogoś do pomocy. Wiem, że wolisz pracować w pojedynkę, ale jeśli jest tak źle, jak mi powiedziano, to wierz mi, kurwa, potrzebujesz pomocy. – W głosie komendanta przez krótki moment można było wyczuć nutkę strachu, co było prawdziwą nowością.

– Pobiedziska? Nie byłem tam od...

– Wiem, ale nie mamy wyjścia, to musisz być ty – odparł. – Prześlę ci resztę informacji – dodał i rozłączył się.

„To musisz być ty”. Słowa zaczęły wwiercać się w jego umysł i przez cały czas, gdy się ubierał, nie mógł ich wyrzucić z głowy. *To musisz być ty, to musisz być ty, to musisz być ty...* W końcu nie był to już głos przełożonego, lecz znów ten dziwny, mechaniczny.

Szybki zimny prysznic przerwał wywołaną przez komendanta karuzelę myśli. Raptem nastąpiła cisza, zupełna pustka, ale było w niej coś pocieszającego, bo dawała znak, że jeszcze nie zwariował i jest w stanie wejść w kolejną sprawę.

Czarne włosy, na których pojawiły się już białe pasma, zaczesał do tyłu. Było zimno, przynajmniej o tej porze, więc włożył jeansy, które sprawdzały się o poranku, i pogniecioną koszulkę, a na nią wiśniowy sweter. Zarzucił jeszcze skórzaną kurtkę. Był gotowy.

Wiążąc buty, przypomniał sobie o najważniejszym. Ze ściany w sypialni ściągnął powieszoną na gwoździu odznakę. Wisiała nad pustym biurkiem. Spojrzał na nie i uśmiechnął się szyderczo – jak wtedy, gdy rzuca się tekstem, który wygrywa potyczkę słowną. „Dzisiaj się zapełni” – ta myśl go uspokajała, choć w głębi duszy wiedział, jak bardzo to jest popieprzone. Dobry sen zapewniało mu czyjeś nieszczęście, ale nie potrafił się nie ucieszyć. Po prostu chciał mieć zajęcie.

Wychodząc, rzucił jeszcze spojrzenie na pluszowego misia, który znów wbijał w niego swoje plastikowe oczka.

*To musisz być ty* – usłyszał w głowie po raz kolejny.

– Co to, do cholery, ma znaczyć? – rzekł do siebie, lecz ciągle patrzył na pluszową zabawkę. A gdy ta nie odpowiedziała – trochę na nią liczył, co było niedorzeczne – wyszedł, zgasiwszy światło.

Telefon, portfel, kluczyki, odznaka, broń, wszystko miał. Poklepał się jeszcze po piersi i biodrach dla pewności, czy faktycznie niczego nie zapomniał, po czym – nim wybiła czwarta – opuścił mieszkanie. I to był

chyba najlepszy czas, jaki do tej pory osiągnął, biorąc pod uwagę tempo ogarniania się do pracy.

Mieszkał na drugim piętrze w kamienicy, która już dawno powinna zostać zburzona, bo nie pomógłby jej nawet remont. Reprywatyzacja – kolejne piękne hasło demokracji Trzeciej Rzeczypospolitej. Jak każde dobro niosła ze sobą także chore wypaczenie, nazwane przez media dziką reprywatyzacją. Odnajdujący się magicznymi sposobami spadkobiercy, sądy uznające ponad stuletnich akcjonariuszy, remonty kamienic, które doprowadzały je do jeszcze większej ruiny, niczego nie zmieniając na lepsze, podnoszone czynsze... I do tego czyściciele kamienic. On był policjantem, miał broń, spokój, był częścią systemu i prawem. Lecz to wszystko mogłoby ulec zmianie, gdyby tylko... No właśnie, gdyby tylko system nie był zepsuty. A on, gdyby tylko jego zastraszeni sąsiedzi wiedzieli, czym się zajmował, słyszałby o wszystkich kłopotach dużo częściej. Na szczęście nie wiedzieli. Za to wiedział administrator budynku i dzięki temu jego status wraz z czynszem pozostawały bez zmian. Remonty mu nie wadziły, bo sam bywał rzadko w mieszkaniu, a do pracy wstawał, zanim robotnicy zaczęli destrukcję budynku. Jedynym minusem był brak ciepłej wody, ale po tygodniu się przyzwyczajał. Uznał to nawet za całkiem dobrą metodę rozbudzenia, zwłaszcza kiedy puszka od kawy była pusta. Mieszkał tam od niedawna – może od miesiąca – nie starał się liczyć dni. Nie zamierzał zostać tu na dłużej – i właśnie dlatego wolał nie angażować się w spory, których nie rozumie i z którymi nic nie robi. Odwracał więc wzrok. Nauczyły go tego lata służby.

Los rzucił go w tę dzielnicę z powodu klasycznego sporu między kobietą a mężczyzną. Sporu niełatwego do rozwiązania. Ona uważała, że zerwali, a on, że robią sobie krótką przerwę. W jego życiu miał trzy tego typu sytuacje – na dość wielką skalę – stąd dwa rozwody i aktualna separacja. Niezbyt to katolicka postawa, ale przecież z kościołem także miewał podobne rozstania. To trwało już drugi rok. Ponad siedemset dni bez rozmów z siłą wyższą – i nie czuł się z tym źle.

Po drugiej stronie ulicy czekało na niego zaparkowane auto. Jeździł Oplem Vectrą w sedanie z generacji C, choć nie produkowano ich od lat. Części były tanie, a samochód niezawodny, przynajmniej przez większość czasu. Nie palił zbyt dużo, w dodatku pomimo starego rocznika nadal prezentował się całkiem nieźle. Był raczej przeciętny, nie dawał powodu do wstydu ani nie wyróżniał się na drodze, co pozwalało na anonimowość i nieprzyciąganie zbyt dużej uwagi, a przy jego zawodzie to ogromny plus. Matowy szary kolor dobrze maskował brud. Gdyby Feliks zgodził się ze swoją drugą żoną i kupił białe auto, pozbawiłby pojazd tej niewątpliwej zalety. Po rozstaniu przestał dbać o jego wygląd – i ten zewnętrzny, i ten w środku.

Usiadł na miejscu kierowcy. W powietrzu uniosła się chmura kurzu. Przekręcił kluczyk w stacyjce i silnik od razu odpowiedział równą melodią. Tym była dla niego praca silnika: melodią. Mimo że gówno wiedział o motoryzacji czy o tym, jak działają samochody, ten dźwięk był czymś pięknym. I to główny powód nieposiadania w aucie radia – chociaż gliniarz wiedział, że powinien od czasu do czasu słuchać wiadomości. Włączył światła, a te ukazały mokry asfalt. Jednak dopiero gdy uruchomił wycieraczki, dotarło do niego, że kropi. Zdał sobie sprawę, że siedząc przy oknie w kuchni albo przechodząc przez ulicę, nie zauważył, jak bardzo niespokojne było tej nocy niebo. Zupełnie jak on. Szyby prędko przysłoniła para z jego ust. Zanim zdążył sobie z nią poradzić maksymalnie podkręcony nawiew, wrzucił bieg i ruszył.

4:05. Zostały jeszcze dwie godziny do czasu korków na głównych ulicach Poznania. Na razie miasto dopiero budziło się do życia – przynajmniej jego część. Światła pojawiające się w oknach bloków czy kamienic, pojedyncze osoby w drodze na przystanek, przy tym mocno ziewające i spoglądające nerwowo na zegarek, i on, stróż prawa jadący poza granice stolicy Wielkopolski do miejsca, gdzie nigdy nie chciał wrócić. Tak budził się Poznań.

Minął tabliczkę z przekreśloną nazwą miasta, co dla niego oznaczało tylko jedno: nie było odwrotu. Nowa sprawa właśnie stała się realna, mimo



że jeszcze nic o niej nie wiedział. „To musisz być ty”. Słowa te już wcześniej odebrały mu możliwość wyboru. Chociaż nie, zrobił to przerwany sen.

Około dwudziestu kilometrów przed Pobiedziskami zgasł prawy reflektor, a pobocze ogarnęła wylewająca się z pól i łąk ciemność. Droga była pusta, ani jednej żywej duszy.

Mężczyzna przechylił się, by otworzyć schowek. Nie miał pewności co do zawartości skrytki, więc postanowił sprawdzić, czy pośród wszystkich śmieci znajdzie się zapasowa żarówka. Grzebał tam ręką, aż paragony, papierki i skrawki gazet zaczęły wysypywać się na podłogę. Pośród nich wymacał nieotwarte pudełko prezerwatyw, jeszcze w folii, przypominające o trwającej ponad miesiąc posusze. Zatrzasnął ze złością schowek i spojrzał na drogę. Wtem po prawej stronie, jakby znikąd, pojawiła się sarna. Przez krótki moment – zanim zdążył zareagować, a ona stała niewzruszona, jakby czuła, że samochód nie zrobi jej krzywdy – myślał, że ma zwidy. Odbił w lewo, omijając zwierzę. Wtedy auto obróciło się i stanęło na skraju sąsiedniego pasa. Silnik zgasł, ale światło działającego reflektora pozwoliło mu ponownie zobaczyć to dziwne stworzenie. Mógłby przysiąc, że spojrzało na niego i dopiero wówczas uciekło w mrok nocy.

– Kurwa... – powiedział do siebie, głośno oddychając.

Upłynęło kilka sekund, nim dotarły do niego wszystkie emocje. Spojrzał na ręce. Trzęsły się na kierownicy, choć palce mocno ją ścisnęły. Wreszcie odpalił auto i wrócił na drogę.

– Tylko tego mi brakowało. Ogarnij się – bąknął, otwierając okno i zmniejszając temperaturę nawiewu. Zrobiło mu się dostatecznie ciepło, wystarczyło jedno zwierzę na poboczu.

Minął już Biskupice Wielkopolskie, gdy dostał SMS od komendanta. Jeszcze tak dziwacznej wiadomości od niego nie otrzymał – a tych nie brakowało. Przełożony bowiem miał problem z wyrażaniem się w piśmie jasno i zwięźle, często urywał zdania, pozbawiając je sensu. Przez lata służby udało się Feliksowi złamać jego „szyfr”, więc najczęściej wiedział, o co chodziło w wiadomościach. Tym razem kompletnie jej nie zrozumiał, nieważne, ile razy by ją czytał. SMS sprawił, że mocniej wcisnął pedał gazu.

Jeźdźnia była mokra i koła delikatnie poślizgnęły się na asfalcie, ale przynajmniej krople deszczu przestały roztrzaskiwać się o szybę sedana.

I w końcu – po kolejnych minutach jazdy – pojawiła się ona, tablica z nazwą miasta. Pobiedziska. Dziesięcioletnie miasteczko, centrum gminy rozciągającej się od Tuczna aż po Jezierce, a w niej liczne jeziora, pola i lasy. To miejsce pełne tajemnic, uroku oraz zakamarków, czekających na to, by ktoś je odkrył. Zapierające dech w piersiach magiczne krajobrazy... Aż dziw, że jeszcze nie pojawił się malarz, który uwieczniłby to wszystko na płótnie. Idealna przystań na założenie rodziny, a wszechobecny spokój przyciągnąłby nawet najbardziej zadeklarowanych miastowych, kochających metropole i nieustający hałas. Dla kogoś o mniej kłopotliwej przeszłości, bez dzielonych z tym miasteczkiem toksycznych wspomnień byłby to dobry kąt do oderwania się od wielkomiejskiego życia.

Ogarnęło go dziwne nostalgiczne uczucie. Nagle sobie przypomniał, jak przyjechał tutaj w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Nie widział siebie, żadne obrazki nie pojawiły mu się przed oczami – to było po prostu odczucie, choć może bardziej świadomość. Z tą różnicą, że dziś mijają dworzec, jadąc wygodnie główną trasą, a wtedy musiał wysiąść na peronie. Partnerka, z którą w tamtym okresie pracował, mieszkała właśnie w Pobiedziskach, a skoro była wyższa stopniem, to jej przypadło auto służbowe. Zgarnęła Feliksa ze stacji i razem pojechali prosto do komendy. Dziś te wydarzenia były ledwie wspomnieniem, w dodatku mocno zamazanym. Tylko jedno z tamtych czasów zdawało się bardzo wyraźne. Ofiary.

W tej pracy widok zwłok to coś normalnego, wielu twierdzi, że można do nich przywyknąć. I mają rację... przynajmniej w większości przypadków.

To prawda, że służba w policji z czasem wyprała go z empatii i współczucia. Część zwłok – ich znaczna część – to zaledwie numerki w raporcie. Nie miały dla niego ani twarzy, ani imion. Jedynie tak mógł zachować trzeźwość umysłu i nie dać się zwariować. Każdego dnia spoglądał w mroczne oczy ludzkiej natury i gdyby dopuszczał do siebie

emocje, wystarczyłoby, żeby mrugnął, a pochłonęłaby go ciemność. Na to nie mógł sobie pozwolić. W młodości mówiono mu, że pierwsze ciało – zbrodnię – zawsze się pamięta, że każde następne będzie mu do złudzenia przypominać tamto, lecz tak się nie stało. Wyrzucił je z pamięci tuż po zamknięciu śledztwa. Tak samo było z następnym i następnym. Zapomniał nawet twarzy mężczyzny, tego jedyne go faceta, którego śmiertelnie postrzelił, jak też kobiety, której nie zdołał uratować. Rabunek – potoczył się niezgodnie z planem przestępcy. Osiedlowy spożywcza, ekspedientka, zamaskowany złodziej i on, wracający ze służby stróż prawa. Jedyne wyszedł z tego sklepu bez szwanku – resztę zapakowano do plastikowych worków.

Nie była to spektakularna wymiana ognia niczym kadr z zachodnich filmów akcji.

Jak każdy policjant nie zawsze mógł wrócić do domu na czas, by utulić córkę przed snem i położyć się obok żony. Po trzecim dniu z rzędu na służbie myślał już wyłącznie o jednym: żeby kupić ulubione płatki swojej córeczki i zjeść z nią przed szkołą śniadanie. Zmęczenie i roztargnienie, spokój i ulga, że skończył wreszcie służbę – to towarzyszyło mu w sklepie. Wybierał płatki w alejce, gdy do środka wszedł zamaskowany mężczyzna. Feliks nawet o nim nie wiedział, był po prostu klientem wybierającym rodzaj płatków śniadaniowych. Może i słyszał jakieś przekleństwa, a może i groźby, lecz jego zmęczony umysł nie przetwarzał tych informacji. Obudził się w momencie, w którym z półki zleciało jedno opakowanie. Złodziej musiał być płochliwy albo niedoświadczony, bo od razu pociągnął za spust. Gdy huk rozniósł się po sklepie, Feliks natychmiast zareagował, nie zawahał się ani chwili. Wystrzelił za ledwie raz w pozycji klęczącej zza półki z płatkami. Kula trafiła napastnika w głowę. Ten celny strzał zaskoczył nawet starego glinę – na strzelnicy nigdy nie był prymusem. Następne pół godziny spędził na tamowaniu krwi u ekspedientki. Oberwała w szyję. Choć rana wyglądała na powierzchowną, krew nie chciała przestać płynąć. Życie ulatywało z kobiety z każdą chwilą, a kiedy pomoc dojechała na miejsce, już nie żyła. Mogła mieć jakieś czterdzieści

lat, a zamaskowany złodziej niecałe osiemnaście. Jak się później dowiedział, chłopak był synem ekspedientki – stąd kłótnia. Musiała poznać, kto kryje się za czarną kominiarką, więc próbowała ustawić syna do pionu.

Przez kilka dni nie potrafił wyzbyć się myśli, że może gdyby nie zrzucił tej paczki na ziemię, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej... Lecz ten szczegół zachował dla siebie, wyrzucił go z pamięci po miesiącu. Poczucie winy to największy wróg policjanta, a on nie chciał się wtedy z nim mierzyć. Trudna młodzież, samotna matka, zła okolica – to niektóre z wyrażeń, które pojawiły się w raporcie. „Przynajmniej nikogo nie zostawiła”; „Nie musimy nikogo zawiadamiać”; „Byli sami, nie mieli nikogo”. Nikogo, nikogo, nikogo... – oto najczęściej powtarzane przez kolegów w komendzie słowa. Mieli rację. Ot tak zniknęło z powierzchni ziemi dwoje ludzi, a nikogo to nie obeszło, więc i Feliks przestał się przejmować.

Niejeden gliniarz by się załamał, zmywając krew ze swoich rąk ze świadomością, że broń, która miała ratować ludzi, zawiodła. On nie miał czasu na załamanie, już po miesiącu został wysłany ze swoją partnerką do rozwikłania zagadki zaginięcia w małym miasteczku dwójki dzieci. Pobiedziska. Jego szef uznał, że to pozwoli mu się podnieść i odkupić winę w swoich oczach. Ale czy uratowanie jednego życia mogło wymazać grzech odebrania innego? Tego pytania nikt nie chciał sobie zadać, a raczej nikt nie chciał poznać na nie odpowiedzi.

– Jezu, naprawdę? – burknął poirytowany, gdy na sygnalizacji paliło się czerwone światło.

Zatrzymał się. Jako obrońca prawa sam też powinien go przestrzegać. Ustawił się na pasie do skrętu w prawo. Widział stąd otwarty przejazd kolejowy, a za nim gładki asfalt i odnowione budynki. Zupełnie inaczej niż w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

Miasto monitorowane – taką tabliczkę można aktualnie spotkać w większości polskich miast. Kamery są przydatne. Wielu niezbyt rozgarniętych złoczyńców łapie się na pierwszych lepszych, rozstawionych

w najbardziej widocznych miejscach, ale są i tacy, którzy unikają obserwowanych miejsc, nawet tych najmniej oczywistych. Technologia czy sieć informatyczna nie zawsze rozwiążą problemy. I choć faktycznie to czasy, gdzie zbrodnie wyniesiono na nowy, wyższy poziom, bywa, że trzeba wrócić do podstaw. Do brudnej, wręcz surowej, pełnej agresji policyjnej roboty. Na ulicy nikt nie bawi się w dobrego i złego glinę, tu wszyscy są źli.

Na zamyśloną twarz Feliksa padła smuga zielonego światła. Nareszcie mógł ruszyć. Minął stację rowerów miejskich, co było niemałym zaskoczeniem. „A więc przed modą nie uchronią się nawet małe miasteczka”, pomyślał. Zwolnił – nie ze względu na tory, do których się zbliżał, ale na rozciągający się po lewej stronie las. Dawniej był trochę bardziej zarośnięty, lecz nawet dziś w tej zadbanej wersji wzbudzał w nim niepokój. Niemal nieruchome liście na gałęziach drzew i prowadząca w ciemność ścieżka. A wokół cisza. Cisza, która zdawała się przytłaczać bardziej niż jakikolwiek najgroźniejszy hałas. Aż się prosiło, by coś wyskoczyło z cienia. Jednak nic takiego się nie zdarzyło, natura pozostała spokojna.

Serce mu przyspieszyło, kiedy minął rogatki, a zostawił za sobą zdobywające popularność rowery miejskie i upiorny las. W końcu znalazł się w objęciach tego miasteczka, ostatniego miejsca na ziemi, gdzie chciałby prowadzić dochodzenie. Nic nie wyglądało znajomo, ale z drugiej strony... dlaczego miałyby tak wyglądać? Przecież to nie budynki czy ulice zostawiły po sobie piętno, ani nawet nie ludzie, którzy mu wtedy pomagali, a którzy byli już tylko szarym wspomnieniem, dodatkiem do sprawy sprzed lat. Taki był los drugoplanowych postaci, nie liczyli się w jego historii.

4:35. O tej porze w małych miasteczkach bywa na chodnikach już sporo ludzi. W przeciwieństwie do Poznania czy innych metropolii mieszkańcy Pobiedzisk musieli poświęcać swój cenny czas na podróż do pracy, a cierpiał na tym sen. Zaspane twarze, przez które przemawiała złość,

a w myślach nieprzyjemna perspektywa zatłoczonego pociągu. Miny mówiące, aby trzymać się z dala, że to nieodpowiedni czas na rozmowę.

„O tej porze nic nie powinno się dziać, kropka. To pora, kiedy cały świat powinien spać. Bóg za cholerę jeszcze nie wstał” – przemknęło przez głowę Feliksa. Był coraz bliżej centrum. Wiedział o tym – nie dlatego, że pamiętał, lecz dlatego, że zaspane oblicza zastąpiły ożywione rozmowy. Im dalej jechał, tym więcej ludzi szło od strony rynku, z przejściem oglądając się za siebie. Zniknęły wkurzone na świat pojedyncze osoby, teraz zbierały się w grupki dyskutantów.

Zwolnił. Ludzie przechodzili przez ulicę, nie zważając na jego auto. Widocznie nowa sprawa już wzbudzała wielkie emocje u mieszkańców, a to był zły znak. Niełatwo prowadzić śledztwo w świetle kamer, dlatego zawsze trzymali wszystko z dala od prasy, jak najdłużej się dało. W erze mediów społecznościowych każda informacja mogła obejść świat w kilka godzin, a przy takiej liczbie gapiów mogło to potrwać ledwie kilka minut. Ożywienie społeczne uprzedzało, że już jakiś reporter był w drodze. Kiepski początek. Nikt nie lubi, gdy patrzy mu się na rękę.

Otwarte okno pozwoliło usłyszeć kilku głośniejszych mieszkańców. Jeden wspomniał o gwałcie, drugi o morderstwie, inny o samobójstwie... Jedno było pewne, żaden z nich nie wiedział, co się stało. Spekulacje, dziesięć różnych wersji wydarzeń. Miejscowa policja dobrze wykonała swoją robotę, nie dopuszczając ludzi w pobliże miejsca zbrodni. Pojawiła się nadzieja, że może jednak uda się zachować informacje z dala od blasku fleszy.

Nad budynkami unosiły się niebieskie i czerwone światła. Koledzy z poznańskiej prewencji musieli dotrzeć przed nim. Niemożliwe było, żeby tutejsza policja mogła stworzyć pokaz światel na taką skalę, co znaczyło, że dotarła pomoc – to dobra wiadomość. Miejsce zostało już pewnie zabezpieczone, a ulice odcięte. I tak też było. Dwóch funkcjonariuszy zablokowało radiowozem wyjazd z rynku. Stali niewzruszeni przy aucie i nie pozwalali przejść gapiom.

Pobiedziski rynek otaczała jednokierunkowa jezdnia, dlatego musiał skręcić w prawo do urzędu gminy, a za nim w lewo, gdzie spotkał kolejnych dwóch policjantów. Przepuścili go po pokazaniu odznaki.

– Nie chciałbym mu zająć za skórę – skomentował jeden z nich.

– To dobrze, takiego nam tu potrzeba – odparł drugi.

Mówili coś jeszcze, ale nie słuchał. Dla niego to był nic nieznaczący bełkot.

Poza drogą, którą tu przyjechał, do rynku prowadziły również trzy inne. Każda z nich została zablokowana. Już wcześniej to przeczuwał, ale widząc tak zmotywowane służby, stał się pewny, że to, co zobaczy, będzie bardzo brutalne. Morderstwo wiele mówi o sprawcy – łatwo można odgadnąć jego motyw, jeśli tylko uważnie spojrzeć na ciało. A on świetnie czytał ludzi, także tych nieżywych.

Zaparkował przed sklepem, który mieścił się w kamieniczce. Dojrzał na drzwiach kartkę, a na niej godziny otwarcia. Poniedziałek – sobota: 6:00-23:00, niedziela: 8:00-21:30. Wywołało to uśmiech na jego twarzy, trochę szyderczy. „Dzisiaj targu nie będzie”, pomyślał, odwracając wzrok. Chwycił telefon i znów otworzył wiadomość od komendanta. Tym razem na spokojnie czytał każde słowo i nagle się okazało, że SMS był całkowicie czytelny, jakby napisany przez kogoś innego. Każde zdanie zakończone, pozbawione błędów ortograficznych i w dodatku z kropkami. Wydało mu się to naprawdę dziwne.

*Patrol odkrył miejsce zbrodni, nie wiemy, ile jest ofiar. Nie dostaliśmy informacji o płci, wieku ani czy w ogóle są jakieś zwłoki. Policjanci, którzy byli pierwsi na miejscu, nie bardzo potrafili się wypowiedzieć. Przygotuj się na wszystko. Czekaj na techników. Nie daj im zdeptać śladów, ogarnij to! Przesłuchaj tych z patrolu, sprawdź monitoring, zresztą wiesz, jak to działa.*

*Poprosiłem o pomoc dla Ciebie.*

Schował komórkę do kieszeni i wysiadł z auta. Rozejrzał się po rynku – cały był dla niego miejscem zbrodni. Dojrzał kilku policjantów, jeden z nich machnął do niego. Wieszając odznakę na szyi, ruszył przed siebie.

„To musisz być ty” – co komendant miał wtedy na myśli? SMS niczego nie wyjaśnił, jedynie przedstawiał sprawę, a może nawet jej brak. Czy to jego związana z tym miastem przeszłość była powodem wysłania go tutaj w środku nocy? W dodatku podczas wolnego. To nie miało sensu.

Szedł, bijąc się z własnymi myślami, jakby był zdolny wyjaśnić powody postępowania przełożonego. Co on sobie wyobrażał? Przecież mógł wybrać każdego z jego komendy – byli tam lepsi od niego, młodszy i sprawniejsi, a ponadto niektórzy z nich wierzyli jeszcze w skuteczność prawa.

I raptem wszystko stało się jasne – znalazł powód. Przeszłość właśnie go dopadła i wyglądało na to, że na dobre.





## Rozdział 2

# Miejsce zbrodni

– Feliks... Struner – przedstawił się mężczyzna.

Nazwisko dodał po krótkiej pauzie, jakby zapomniał, że je posiada. Nie chciał od razu spoufalać się z tutejszymi policjantami. Nie użył stopnia, bo każdy z nich powinien wiedzieć, że on ma wyższy. To było z jego strony trochę aroganckie, ale na ogół nie dbał o uznanie go za miłego czy zyskanie sympatii. Minięci wcześniej mundurowi już wyrobili sobie o nim zdanie, uznając go za milczącego twardziela, więc takiego postanowił zgrywać do końca dochodzenia.

Był wysokim mężczyzną, czasem miał wrażenie, że zbyt wysokim. Jego surowe i poważne rysy twarzy od razu wzbudzały respekt, a przenikliwy wzrok dawał do zrozumienia, że niełatwo go okłamać. Zewnętrzny obraz podrzucał sprzeczności: Feliks był wysoki i miał skrywające dużą siłę ramiona, lecz również niemały brzuch. Sprawiał przez to wrażenie osoby zaniedbanej i niezbyt zdolnej do wysiłku. Jednak mimo nadprogramowych kilogramów potrafił biegać na dalekie dystanse, w dodatku dosyć szybko, co zaskakiwało każdego, kogo miał okazję gonić.

– Aspirant Maciejczyk – odpowiedział jeden z policjantów, wychodząc przed dwóch zmieszanych posterunkowych. Brak informacji o stopniu był dla nich kłopotliwy. Rozstąpili się więc tylko przed swoim kolegą. – Tędy,

panie inspektorze. – Po uściśnięciu dłoni aspirant przepuścił Feliksa przed siebie.

Markowi Maciejczykowi zostało niecałe trzy lata do czterdziestej wiosny. Dzień wcześniej obchodził trzydzieste siódme urodziny – na szczęście na służbie, dzięki czemu nie leżał w tej chwili nieprzytomnie w łóżku obok młodszej kobiety. Dla wielu mógł się wydawać atrakcyjny, a wśród mieszkańców uchodził za tego fajnego policjanta, który nie wlepił mandatów za byle otwarte piwo w parku. Od razu można było zauważyć, że jest ambitny – ta cecha aż od niego emanowała. Cieszył się wielkim szacunkiem, nawet wśród band, które lubiły czasem mocniej zaszaleć i zaburzyć spokój miasteczka. Tylko raz w karierze stracił nad sobą panowanie – kiedy został nazwany psem. Jeden jedyny raz. Mieli wtedy wracać już na komendę, gdy po upomnieniu grupki starych wyjadaczy któryś z nich zaczął wykrzykiwać obraźliwe frazesy. „Pies, pies, chuj w dupę”. Trwało to ledwie kilka minut, ale czara goryczy przelała się niezwykle szybko. Aspirant wyszedł z radiowozu, zostawiając w nim broń i partnera. Wystarczyło trzydzieści sekund, żeby krzyczący mężczyzna pożałował każdego słowa, mimo że uchodził za jednego z najgorszych typów w mieście. Grupa, która mu towarzyszyła, mogła się tylko przyglądać, bo każdego z nich sparaliżował strach. Aż trzech mężczyzn musiało odciągać Marka od niefrasobliwego nieszczęśnika. Wreszcie policjant odpuścił, a wtedy mógł już jedynie przyjrzeć się zmasakrowanej twarzy człowieka. Oddychał. Nie skończyło się na szwach. Maciejczyk wytarł ociekające krwią knykcie w jednego z pijanych typów, po czym bez słowa odszedł. Nie musiał wspominać, że milczenie było jedynym rozsądnym wyjściem – swojemu partnerowi także. I choć wieść o jego napadzie złości szybko rozniosła się po mieście, postępowania dyscyplinarnego ani sprawy z powództwa cywilnego nie wniesiono do dzisiaj. Minęły już ponad trzy lata od tego wybuchu agresji, który bardziej przypominał atak spuszczonej ze smyczy bestii niż człowieka o urażonej dumie. Od tamtego dnia nie musiał już dwa razy pytać o informacje – każdy, kogo przesłuchiwał, wyśpiewywał wszystko od razu, a czasami nawet więcej, niż Marek chciał wiedzieć.

Funkcjonariusze otoczyli starą wierzbę, która była jednym z symboli pobiedziskiego rynku – obok imponującej figury Jezusa, fontanny przedstawiającej legendarnych Lecha, Czecha i Rusa oraz pomnika Powstańców Wielkopolskich.

Feliks od razu zwrócił uwagę na otaczające stare drzewo czerwone ślady, znikające w kałuży krwi pod jedną z większych gałęzi. Do kałuży wpadały co kilka sekund pojedyncze krople krwi. Wszyscy policjanci skierowali wzrok w ten sam punkt.

– To on... – oznajmił aspirant Maciejczyk, wskazując na coś palcem.

Feliks spojrział w górę. To wystarczyło, by zrozumiał, jeśli do tej pory tak się nie stało, dlaczego akurat on znalazł się w tym miejscu. Mimo ciemności doskonale widział każdy szczegół, a niebiesko-czerwone światła z radiowozów podkreślały kryjące się za tą zbrodnią okrucieństwo.

Do gałęzi drzewa przywiązane były dwie grube liny. Podtrzymywały dużego pluszowego misia. Na pierwszy rzut oka mógł wydać się wielkości dorosłego mężczyzny – przynajmniej na takiego wyglądał z dołu. I może powieszona za łapy zabawka nie byłaby niczym strasznym, gdyby nie to, że sprawiała wrażenie zakrwawionej żywej istoty. Czerwień życiodajnego płynu przebarwiła brzuch pluszaka, który – zanim został zbezczeszczony – wyróżniał się śnieżnobiałą barwą. Szczególną uwagę Feliksa zwróciło kilka dodatkowych drobiazgów. Czerwone oczy i zmieniony w smutną minę uśmiech, identycznie jak w przypadku jego pamiątki sprzed lat. Obszedł misia wokół, by coś sprawdzić – pod prawą łapą dojrzał czarną nitkę. Profesjonalne i równe szycie było mylące, a gdyby nie ten kontrastujący z bielą kolor, można by ją z łatwością przegapić.

Mimo wstrząsającego widoku Feliks nie stracił zimnej krwi. Zachował spokój, choć niełatwo mu było opanować myśli. I wtedy...

Pod naporem silnego wiatru głowa misia przechyliła się delikatnie do przodu. Na czole policjanci zauważyli litery, wyglądające tak, jakby zostały namalowane krwią lub czerwoną farbą. Feliks bez namysłu postawiłby każde pieniądze, że to krew.

„Otwórzcie mnie”, głosił napis, lecz stary gliniarz zatrzymał chcących wykonać polecenie miejscowych.

– Czekamy na techników! Ktokolwiek jest w środku, nie żyje. To brutalna prawda, ale nic nie poradzimy – powiedział ostrym tonem, jakby szkolił nowicjuszy. – Ślady! Teraz one są najważniejsze.

Marek kiwnął głową i dopiero wtedy jego współpracownicy się zatrzymali. W małym miasteczku, gdzie wiele osób zna się z imienia, a z widzenia praktycznie każdego, trudno zachować trzeźwość umysłu w obliczu tragedii. Nikt nie miał pojęcia, czyja tragedia kryje się w tym pluszowym misiu. Kapiąca krew potęgowała atmosferę niepewności, a nerwy udzielały się każdemu z tutejszych funkcjonariuszy.

– Chcę porozmawiać z patrolem, który był pierwszy na miejscu – zwrócił się do Marka, któremu udawało się jakoś panować nad sobą i kolegami, Feliks.

„Urodzony lider”, pomyślał stary wyga. Dobrze wiedział, że warto będzie z nim współpracować, a może nawet włączyć do śledztwa. Marek odpowiedział skinieniem głowy.

– To Marcin Saduś, jest posterunkowym i służy u nas od kilku miesięcy – poinformował Feliksa, prowadząc go ku policjantowi.

Saduś siedział na jednej z ławek otaczających rynek. Wpatrywał się w szarą kostkę brukową, jakby kryła odpowiedzi na trapiące go pytania. Wstrząs, jakiego doznał, odkrywając miejsce zbrodni, wywołało w nim nowe uczucie – bezsilność. Widząc jego stan, Feliks ucieszył się z towarzystwa Marka. To ważne, by wstrząśnięty funkcjonariusz nie czuł się osaczony, zatem kolega z komendy był tutaj idealnym wsparciem. Struner przysiadł obok młodego.

– Dobra robota – zagał po chwili.

„Doceń wysiłek, nie krytykuj”, pomyślał, jakby uczył samego siebie.

– Dzięki, ale my tylko... Po prostu się zatrzymaliśmy, to wszystko – odparł młody policjant łamiącym się głosem.

– Nieprawda, zrobiliście znacznie więcej: nie popełniliście błędu. – „Pokaż, że go rozumiesz”, instruował siebie w myślach inspektor. – Przy takich sprawach, i to jeszcze w swoim mieście, nietrudno o pomyłki. Emocje, które nami targają... Wielu starszych policjantów popełnia błędy i zaciera ślady. Wiem, jak bardzo chcieliście ściągnąć tego misia i go otworzyć, ale wierz mi, zostawienie go w spokoju było dobrą decyzją. – Poklepał młodziana po ramieniu. „Powoli zacznij dopytywać o sprawę, nie przesłuchuj, po prostu rozmawiaj”. – Marek mówił, że służysz od kilku miesięcy.

– Tak, od marca. I nie jestem stąd. Tak naprawdę to pochodzę z Łodzi. Cieszyłem się, że trafiłem właśnie w to miejsce, do małego miasteczka. Służba tutaj miała być... – Zamilkł i spojrzał na wierzbę płaczącą, po czym dokończył: – Inna.

– Pierwszy raz zobaczyłeś miejsce zbrodni? – zapytał Feliks.

„Współczuj, niech czuje, że może ci ufać”, dawał sobie rady.

Saduś kiwnął głową.

– Nie martw się – kontynuował starszy funkcjonariusz – wszyscy musimy przez to przejść. Ja do dzisiaj pamiętam, jak pierwszy raz stanąłem nad ofiarą. To było straszne, myślałem, że zwymiotuję. Ale wiesz co? To daje nam siłę, by wstawać każdego ranka z wyra i walczyć o sprawiedliwość. Ten widok... – Wskazał na drzewo. – Ten widok będzie ci przypominał, dlaczego zostałeś gliną. Nie daj się temu przytłoczyć.

„Dobra, koniec terapii, czas na konkrety”, pomyślał, a młody policjant zaczął mówić, jakby słyszał jego wewnętrzne dysputy.

– Naprawdę, doceniam pańskie słowa i dziękuję, że... nie pyta pan o wszystko tak bezpośrednio. Niestety nic nie zobaczyliśmy, nikogo podejrzanego. Ulice były puste. Rynek objeżdżamy w ciągu nocy kilkakrotnie, byliśmy tu około dwudziestej czwartej, może pierwszej, a później jeszcze przed trzecią. O pierwszej było pusto, a później zobaczyliśmy to... Tego misia. – Przerwał, by złapać oddech. – Początkowo myśleliśmy, że to jakiś żart, ale krew, spadające krople... Cały czas słyszę, jak kapia, jakby zaraz miał spaść deszcz i cały rynek miałby spłynąć krwią.

Kap, kap, kap. Co za człowiek mógł zrobić coś tak chorego? I ten pluszowy miś, te jego oczy... – Wbił wzrok w ziemię.

– Nie martw się tym, złapiemy go – zapewnił Feliks łagodnym tonem.

„Dobra, tutaj skończyliśmy”.

– Ale pan już to zrobił, prawda? – spytał młody posterunkowy, gdy stary gliniarz wstał z ławki.

– Co? – zdziwił się inspektor.

Spojrzał na Marka, a później znów na Marcina.

– Słyszałem starszych policjantów. To pan, prawda? W latach dziewięćdziesiątych to pan zamknął Zabawkarza... – Marcin patrzył na niego, jakby stał przed nim nie Feliks Struner, lecz Sherlock Holmes lub inny sławny detektyw, na którym wzorował się za młodu.

– Nie wierz we wszystko, co słyszysz, młody – odparł chłodno, po czym odszedł, a Marek ruszył tuż za nim.

Stanęli na środku rynku. Stary policjant zaczął rozglądać się wokół. „Rozmowa z drugim z patrolu byłaby wyłącznie stratą czasu”, stwierdził w myślach. Domyślał się także, że to ten młody posterunkowy pierwszy zauważył pluszowego misia i pewnie to on zapobiegł odcięciu go od drzewa. W dużej mierze ze strachu, ale – tak czy owak – decyzja była słuszna, nieważne, z jakich pobudek została podjęta.

– To prawda, że pamięta pan swoją pierwszą sprawę? – zaciekawił się aspirant.

– Nie, nie znam też nikogo, kto by pamiętał – bąknął od niechcienia Feliks, jakby oczekiwał, że Marek to zrozumie.

– Więc dlaczego? Po co była ta gadka? – Młodszy mężczyzna wydawał się zaintrygowany.

– Ten świeżak nie jest policjantem z powołania. Zdziwię się, gdyby po tym wszystkim był gliną przez choćby jeszcze pół roku – orzekł Struner, spoglądając na Marka, który już szykował się do kolejnego pytania. – Policjant nie potrzebuje powodu, by wstać z łóżka, to on sam jest tym powodem, jak też przysięga, którą składał. Jeśli będziemy wspominać

przeszłość, to ona w końcu nas dosięgnie, a wtedy będziemy do niczego. Jak ten tutaj, który nigdy nie zapomni tego pluszowego misia.

Czuł na sobie pytający wzrok, więc ciągnął dalej:

– To proste, musiał poczuć się jak jeden z nas, by powiedzieć mi to, czego chciałem się dowiedzieć. Nawet jeżeli tylko upewnił mnie w tym, że nic nie wie, to ja, jako kryminalny, zawsze muszę mieć pewność i nie mogę palić mostów, nawet tych bezużytecznych.

Spojrzeniem dał do zrozumienia, że to koniec tematu.

– A więc to jednak pan, prawda? – odezwał się po chwili Marek, bo zrobiło się wręcz nieznośnie cicho.

– Znowu ten Zabawkarz? – Podirytowany Feliks zerknął na aspiranta. – Tak, ale nie wracajmy do tego. Nie rozumiem, dlaczego o nim wspominać, to dwie różne sprawy... – Sam do końca nie wierzył w to, co mówi.

– Komendant... On pracował z panem dwadzieścia pięć lat temu, więc wszyscy na posterunku o nim wiemy. Starsi policjanci opowiadają każdemu młodemu o Zabawkarzu, jego zbrodniach, metodach i o tym, kim był. Ale skoro pan go zamknął, to kto to zrobił? Wszystko wygląda jak obrazek wycięty z ich opowieści... Naśladowca?

Każdy na miejscu Feliksa bałby się tego pytania.

„Kto to zrobił?”

– Nie wiem, nie możemy mieć pewności – odrzekł, urywając rozmowę o mordercy sprzed lat. „Dopóki nie otworzą misia”, dodał w myślach. – Monitoring? – rzucił szybko, zanim Marek zaczął drążyć wątek Zabawkarza.

Feliks nie ukrywał niechęci do tego tematu, co nie przeszkadzało jego rozmówcy.

– Kiedyś tam była kamera. – Wskazał palcem na parking tuż przy skrzyżowaniu, gdzie wyjeżdżało się z rynku. – Stary budynek został wyburzony i kamera zniknęła, ale jej jakość i tak nie była najlepsza – dodał, jakby, widząc minę Feliksa, chciał usprawiedliwić włodarzy miasta.

– Miejsce też chujowe, pewnie nawet nie obejmowała wierzby – rzekł Struner, nie kryjąc uczucia zawodu.

Centrum miasta pozbawione monitoringu – absurd. Chociaż miał rację, że kamera w tamtym miejscu i tak nie na wiele by się zdała. Jedno z drzew rosnących wokół rynku idealnie przysłoniłoby miejsce zbrodni, a otoczony tujami pomnik i postawiona przy nim budka z lodami zapewniłyby przejście poza okiem nieistniejącej już kamery. I to właśnie na pomniku zatrzymał się wzrok Feliksa.

– Co do kamery... Mieszkańcy o niej wiedzą? – zapytał, ciągle wpatrując się w monument.

– Nie było to jakoś publicznie ogłoszone, ale tak, wiedzą, że już jej nie ma – odparł Maciejczyk, lekko zmieszany, bo odpowiedź była raczej oczywista.

Struner jednak był całkowicie poważny. Każdą informację musiał potwierdzić, nieważne, jak wydawałaby się nieistotna czy oczywista. To typ człowieka, który potrzebuje głośnego potwierdzenia, by uznać coś za wiarygodne.

– Co oni wyprawiają? – Marek wskazał na otaczających wierzbę policjantów, gdyż wywiązała się między nimi sprzeczka.

– Kurwa – zaklął Feliks, ruszając truchtem do grupki. – Nie mam na to siły.

Stanął między dwoma funkcjonariuszami, którzy byli najbardziej pobudzeni.

– Mam w dupie rozkazy, ściągamy tego misia i zajrzemy do środka! – krzyknął jeden z nich. Mógł być niewiele starszy od aspiranta Maciejczyka.

„Tyle emocji, zdecydowanie miejscowy”, pomyślał Feliks.

Drugi był spokojniejszy, zachowywał zimną krew, ale nie ustępował, co oznaczało, że był z Poznania. Profesjonalista, który pilnował miejsca zbrodni. Tacy zawsze są znienawidzeni przez bliskich ofiary.

– Co się tu, do cholery, dzieje? – zapytał Feliks.

Nie był zdenerwowany, jeszcze nie. Niewiele dzieliło go od gniewu. Tyle, ile zabrakło policjantowi, by naruszyć miejsce zbrodni.



– Komendant dzwonił, prawda? – wtrącił Marek, gdy żaden z policjantów nie odpowiedział.

Zdenerwowany funkcjonariusz przytaknął.

– Mów, co się stało. – Feliks zerknął na Marka. Miał tylko jedną myśl w głowie: „Przydatny z niego młodzik”.

– Dziecko Sajno... nie wróciło wczoraj do domu – odpowiedział w końcu, zaciskając zęby i pięść.

Feliks to zauważył i obrzucił go ostrym spojrzeniem, mając nadzieję, że świadomość jego wyższego stopnia wpłynie na dyscyplinę.

– Co to za dziecko? – spytał, chcąc nawiązać rozmowę, zanim wszyscy stracą głowę.

– Córka naszego zmarłego kolegi, odszedł w zeszłym roku. Rak – wyjaśnił Marek.

„Kurwa, gdzie ci technicy?” – sarknął w myślach inspektor.

Rodzina policjanta była nietykalna. To zasada, która zawsze wzbudzała największy podziw wszystkich pracujących w tym zawodzie. Jedność, chęć ochrony swoich – właśnie to Feliks kochał w policji. Rozumiał emocje funkcjonariuszy, co nie znaczyło, że mógł pozwolić na ich upust.

– Przepuści nas pan? Czy mamy przejść przez pana? – odezwał się zdenerwowany funkcjonariusz.

„Kurwa”. Urzeczywistniał się najgorszy scenariusz. Był tak zły, że Struner nawet o nim wcześniej nie pomyślał. Pozostały dwie opcje: albo ich przepuści i możliwe, że zatrą większość ważnych śladów, albo uda mu się wykorzystać swoją odznakę. Wzbudzić autorytet, pokazać wyższość i wygrać pojedynek nerwów. Ta wersja była bardzo nieprawdopodobna. Już nie tylko jeden policjant pokazywał swoje niezadowolenie, za nim ustawiło się kolejnych dwóch, którzy najwidoczniej poczuli przyływ odwagi, by postawić się komuś z wyższym stopniem.

„Kurwa”.

Feliks nie miał nawet chwili, by przeanalizować, co stało się na pobiedziskim rynku, jak doszło do tragedii i kto mógłby być jej sprawcą.

Czy może po prostu szukał ucieczki, by nie myśleć o mordercy? Zacisnął drugą pięść i wtedy... pojawiły się nowe światła. Na rynek wjechały trzy samochody, jeden z nich był zwykłym czarnym sedanem.

– Już są. Chyba teraz nie spieprzycie mi tego śledztwa, co? – powiedział stanowczo inspektor, mimo że w duchu odczuł wielką ulgę.

To niewyobrażalne wyczucie czasu było niczym cud dla starego gliny, który nie bardzo wiedział, co by się wydarzyło, gdyby przyjechali chociaż minutę później...

Kryzys zażegnany.

Miejsce zbrodni szybko wypełniło się od specjalistów. Flesze aparatów świeciły nieprzerwanie przez kilka minut – sfotografowano praktycznie każdy centymetr rynku, od najmniej widocznego śladu butów na kostce brukowej aż po połamane gałęzie czy podeptaną trawę. Zebrano widoczne odciski palców, choć nie było ich zbyt wiele. Inne ślady też nie były wyraźne. Technicy bardzo się starali, lecz wcześniejszy deszcz skrupulatnie je zmył. Pomimo błota i krwi wokół wierzby udało się zrobić kilka dobrych zdjęć.

Feliks spoglądał na czarnego sedana, z którego dotąd nikt nie wysiadł. Widział tylko w jego wnętrzu światło telefonu. Kto to był? Dlaczego czekał? Odpowiedzi, oczekiwał odpowiedzi na swoje pytania, nawet na te nic nieznaczące.

Na jego twarz zaczęły spadać chłodne krople.

– Cholerny deszcz... – powiedział do siebie.

Policjanci mogli wreszcie ściągnąć wiszącego misia, ale Feliks nie był tym na razie zainteresowany. Podeszedł do pomnika Powstańców Wielkopolskich, a aspirant Maciejczyk podążył za nim.

– Widzi pan coś? – zagadnął, gdy Feliks wszedł za pomnik.

– Krew... – odparł krótko inspektor.

„Z tyłu i prawej strony otoczony tujami, z lewej budką, a z przodu jeszcze pomnik. Idealna kryjówka”. W jednym punkcie trawa pokryta była czerwienią krwi, i to dość obficie.

– Musiał tu siedzieć trochę z tym misiem. Sporo tego! – krzyknął, po czym pochylił się i patrzył, jak krew wsiąkała w glebę.

Krople deszczu mieszały się z nią na jego oczach. Wtedy dojrzał u podstawy pomnika szkarłatny ślad – niewielki, przypominał trochę linie papilarne.

– Tutaj, mamy odcisk! Szybko, zanim ten kurewski deszcz go zmyje! – wrzasnęła, ściągając kurtkę, by osłonić jedyny istotny ślad. Poza tym oczywistym, jakim był miś i skrywane przez niego tajemnice.

Marek szybko sprowadził jednego ze specjalistów. Feliks miał rację, to szczytkowy odcisk palca. Inspektor wyszedł zza pomnika, zostawiając robotę technikom. Zarzucił na siebie kurtkę i wówczas spostrzegł, że obok Marka stoi ktoś jeszcze. Trzymająca nad głową czarną parasolkę kobieta.

– Witaj – powiedziała wolno, jakby delektowała się zakłopotaniem mężczyzny. – Idziemy? To dosyć ważny moment – dodała, wskazując na ściągniętego już pluszaka.

Maciejczyk spojrział na Feliksa, który ani nie wiedział, co odpowiedzieć, ani nie chciał tego robić. Po prostu się odwrócił i poszedł w stronę miśka. Kobieta z uśmiechem ruszyła za nim. Młody aspirant, nie mając pojęcia, kim była ani co się właściwie dzieje, poczłapał za obojgiem bez słowa.

Feliks z tajemniczą nieznajomą stanęli przed zebranymi wokół pluszowej zabawki policjantami. Dwóch techników w rękawiczkach zaczęło przerywać czarną nitkę pod prawą łapą maskotki. Napięcie zdawało się nie do wytrzymania, nikt nie wiedział, czego mogą się spodziewać po otwarciu zabawki. Nikt... poza Feliksem i kobietą obok. Policjanci przyglądali się to im, to pracującym technikom.

– Myślisz, że to on? – zapytała po cichu. – Myślisz, że wrócił...?

– Myślę, że nie taką pomoc chciałem otrzymać – rzucił chłodno.

– Daj spokój, byłam oczywistym wyborem. To jasne, że do mnie zadzwonił. – Kobieta była lekko urażona.

– Żadne z nas nie powinno tu wracać. Nie, jeśli chodzi o niego. Daliśmy wtedy dupy, i to bardzo, a teraz zobacz... – Feliks zacisnął zęby.

– Mieliśmy rozkazy. I to nie my skazywaliśmy podejrzanego.

Nie patrzyli na siebie. Rozmawiali, spoglądając na rozpruwanego misia.

– Może, ale to nie znaczy, że nie jesteśmy winni – odrzekł Struner, a ton jego głosu dawał do zrozumienia, że rozmowa na tę chwilę jest zakończona.

Zlekceważyła jednak jego niechęć do dyskusji.

– Mówiłeś im, co znajdują w środku? – powiedziała tak cicho, że ledwo ją usłyszał.

Nawet na nią nie spojrział, bo właśnie rozcięto ostatni czarny szew pod łapą misia. Policjanci rozchylili szczelinę, a wtedy z wnętrza wyłoniła się ręka w dużej białej rękawicy. Wyglądała niczym dłoń kreskówkowej myszy. Zapadła przytłaczająca cisza, pełna grozy i strachu – zwłaszcza wśród miejscowych. Już teraz wokół wiszącego pluszaka roznosił się smród, który trudno było wytrzymać, ale po otwarciu jego brzucha odór stał się jeszcze intensywniejszy, niemalże namacalny. Kilku policjantów cofnęło się lekko, odwracając wzrok.

– O Boże! – krzyknął jeden z funkcjonariuszy.

– Mogłeś ich uprzedzić – szepnęła do Feliksa kobieta.

Mógł, to prawda, lecz miał nadzieję, że to nie będzie „jego” ofiara. Łudził się, że gdy puści ostatni szew, odnajdą w środku zwłoki szczurów czy innych gryzoni i wszystko okaże się chorym żartem.

Jego głowę zaczęły rozsadzać myśli, kiedy ręka okazała się prawdziwa, jak też ciało w głębi brzucha pluszowej maskotki.

„To właśnie takie gównu sprawia, że wiara w Boga jest niemożliwa. Znacznie łatwiej mi uwierzyć w diabła, bo wszyscy nim jesteśmy. Ludzie są źli, nie ma w nich nic mistycznego, nie ma żadnych demonów, które każą robić te popieprzone rzeczy, i nie... nie ma aniołków o pięknych śnieżnobiałych skrzydłach, zstępujących z nieba, by zatrzymać te wszystkie szumowiny i diabelskie moce. Nie ma. To diabeł, to on jest najstraszniejszy, on kazał... Nie, kurwa, to ludzie są źli, a zło można zwalczyć jedynie złem. A ja jestem zły. Nie, jestem wkurwiony”.

Po zdjęciu rękawicy ukazała się odarta ze skóry dłoń. Niemożliwe było pobranie odcisków palców.

„To jego metody. Pozbawiał ofiary wszystkiego, co mogłoby pozwolić na szybką identyfikację, a później zastępował to atrybutami z zabawek czy kreskówek”. Feliks przypomniał sobie to, czego nigdy nie chciał już wspominać.

Gdy policjanci wyciągali ofiarę z pluszowego misia, po jej ręce spływała krew. Na przedramieniu widoczne były dwa długie cięcia wzdłuż żył. Zadziwiał fakt, że krew jeszcze nie zastygła. Padający coraz mocniej deszcz tylko ją rozrzedzał, w wyniku czego kałuża pod drzewem dalej rosła. Wdepnął w nią nieuważny funkcjonariusz, ochlapując Feliksa i nieznaną kobietę. W końcu kilku policjantów wyciągnęło ciało z wnętrza pluszaka. Bacznie przyglądającym się oczom ukazała się twarz dziewczynki – nie mogła mieć więcej niż dwanaście lat.

Ogolono ją na łyso i zawiązano wokół głowy różową kokardkę w groszki o delikatnie ciemniejszym odcieniu. Miała nieudolnie nałożony i przesadzony makijaż, a czerwień szminki wyjeżdżała poza usta, imitując uśmiech. Na czubku nosa wymalowana była czarna kropka. Powieki zostały zaszyte czarną nitką, do których przyklejono dwa duże okrągłe guziki. Choć był już październik, ubrana była w lekką ciemnoróżową sukienkę – również w groszki. Małe stopy przybrano w czerwone szpilki na grubym obcasie. Na drugiej dłoni miała taką samą jak na tamtej rękawicę, ozdobioną trzema czarnymi paskami.

Deszcz przybierał na sile, a makijaż na twarzy dziewczynki zmieniał się w ciemne smugi, spływające po jej policzkach. Zniknął czerwony uśmiech, zostawiając na obliczu cierpienie, rozpacz i ból. Buzia ofiary nie przypominała tej u śpiącego dziecka. Nie miało to nic wspólnego ze spokojem. Samo patrzenie na nią budziło niepokój i smutek, nawet w najtwardszych sercach.

Jeden z techników chwycił czerwony but, zamierzając go ściągnąć, ale Feliks zrobił zdecydowany krok w przód.

– Nie, nie rób tego... Nie tutaj – polecił głośno.

Policjant spojrział na niego pytająco.

– Zabierzcie ją na sekcję zwłok, tu niczego się nie dowiemy – przemówiła kobieta. Jej słowa od razu potraktowano jak rozkaz.

– Zaczekaj... Daj mi chwilę. – Struner podszedł do dziewczynki i włożył parę gumowych rękawiczek.

Ukucnął przy ofierze. Wyczuł woń perfum, mimo że było to niełatwe przez smród martwego ciała. Obrócił ją delikatnie, sprawdzając okolice prawej łopatki. Po chwili kiwnął głową, by policjanci zabrali dziewczynkę.

Wstał powoli, wypuszczając powietrze, które trzymał w płucach już zbyt długo. Zapach damskich perfum i krwi – to nie było dobre zestawienie. Przez moment czuł, jakby miał zwrócić poranną kawę. Wziął się szybko w garść, przecież wszyscy na niego patrzyli i uważnie obserwowali każdy jego ruch. Kobieta także nie spuszczała z niego swoich ciemnozielonych oczu.

Miała na sobie czarny płaszcz, przewiązany w pasie ciemnym paskiem, co podkreślało jej figurę – a tej mogłaby jej pozazdrościć niejedna dwudziestolatka. Była niewiele młodsza od Feliksa. Częste wizyty u kosmetyczki i fryzjera odejmowały jej lat, bo upływu czasu ogromnie się obawiała. Zdawało się, jakby niedawno skończyła czterdziestkę. Głęboka czerń włosów dodawała jej wyglądowi zadziorności i pewności siebie. Uważała się za bardzo ładną kobietę – słusznie zresztą. Lubiła nowinki z branży modowej, co zdradzał stylowy płaszcz oraz dopasowana do niego parasolka ze znanym logo. Na szyi zawiązała apaszkę, która lekko przysłaniała skromny, lecz bardzo elegancki naszyjnik z białego złota. W uszach miała kolczyki z tego samego materiału, równie bezpretensjonalne, co gustowne. Spięte z tyłu włosy nie zasłaniały ładnych rysów twarzy i niemalże idealnie gładkiej skóry. Wyglądała tak, jakby czas nie miał szans z nią wygrać. Jej spojrzenie zdradzało bogatą przeszłość i doświadczenie, niejednen mężczyzna mógłby się wystraszyć. Była idealnym połączeniem piękna i siły. Nie pozwalała, by traktowano ją z góry – jak wrażliwą kobietkę, która mogłaby się stłuc niczym porcelanowa figurka. To feministka, lubiąca być traktowana jak dama, choć bardziej

stawiałaaby na równość. Profesjonalistka, która w tym świecie i zdominowanym przez mężczyzn zawodzie zdobyła szacunek. Dzięki ciężkiej pracy oraz nieustępliwości stała się kimś z legitymacją oficera służb ABW, a na półce w salonie stały liczne odznaczenia państwowe.

Nazywała się Maria Lipan i nigdy nie nosiła obrączki – nie dlatego, że nie chciała, lecz dlatego, że małżeństwo uważała za niepotrzebne w swoim życiu. Skoncentrowana na karierze, nie znalazła miejsca na miłość, czyli uczucie, które mogło ją uczynić słabszą. Była w stałych związkach, ale ucinała je od razu, gdy zaczęły się robić zbyt poważne. Kiedy mężczyźni zaczęli dawać sygnały, że wkrótce się oświadczą – dla Marii to był koniec. Nie chciała, by niepotrzebnie wydawali pieniądze na pierścionki, których by nie przyjęła. To byłoby czyste marnotrawstwo pięknej biżuterii, na to się zgodzić nie mogła. Prawdziwie pokochała tylko jednego mężczyznę, co stało się powodem zerwania już na piątej czy szóstej randce: wtedy, gdy miało zacząć się robić poważnie – w chwili powstawania pierwszych wspólnych planów. Wyjazd na wakacje, mieszkanie razem, może przeprowadzka do większego mieszkania, a może budowa domu, ślub, dzieci, wnuki. Wyczytała to w jego oczach. Miłość, która zapewniała ją o wspaniałej wspólnej przyszłości. Wiedziała, że on był tym jedynym i mógłby ją poprowadzić inną drogą od tej wybranej już przez nią dla siebie. Nie chciała tego, więc zerwała tę wyjątkową więź. Po uczuciu został jedynie wypalony w sercu znak z jego imieniem. Do dziś odczuwała bliźnę na swojej duszy i nieustanny ból, a w głowie kołatała myśl, że może popełniła błąd. Towarzyszyła jej ona zawsze przed snem, gdy gasły światła w jej pustej sypialni, a Maria nie miała obok drugiej osoby, która mogłaby ją ogrzać w chłodne wieczory.

Tego dnia jednak to wszystko nie miało znaczenia: jej życie, uczucia i przeszłość. Dziś zginęła dziewczynka. Została brutalnie zamordowana, a ona zamierzała pomóc w odnalezieniu zabójcy, choć przed laty razem z Feliksem wsadziła jednego za kratki. Tyle że tamten człowiek nie był mordercą, którego szukali – przynajmniej nie w owych czasach. Dziś mógłby być zupełnie innym człowiekiem, z pewnością był...

– Co zobaczyłeś? – zapytała Maria, kiedy Feliks do niej podszedł.

Nie odpowiedział, za to kiwnął ręką do Marka, by ten do nich dołączył. Funkcjonariusz od razu wykonał polecenie. Był jeszcze bardziej zaciekawiony od kobiety.

– Tak? Czego pan potrzebuje? – Spojrzał na wyższego rangą kolegę, licząc na dawkę informacji.

– Czy ta zaginiona dziewczynka... – Struner ściszył głos, aby inni policjanci nie słyszeli tego, co mówił. Maria z Markiem musieli się do niego przybliżyć. – Ta córka waszego kolegi... Czy miała jakieś znamiona? Pieprzyk albo bliznę? Gdzieś w okolicy prawej łopatki.

Wbił przenikliwy wzrok w młodego policjanta. Wzrok, który zawsze każdego mocno onieśmielał, zwłaszcza gdy stary glina chciał się czegoś dowiedzieć.

– Przykro mi, ale nie wiem – odparł aspirant. Nie wiedział dlaczego, lecz ta niewiedza sprawiała, że czuł się winny. Tak wielką presję odczuwał z powodu jednego spojrzenia inspektora. – Od śmierci Fabiana jego żona przestała przychodzić na posterunek, co w sumie nie jest dziwne. Odwiedzaliśmy ją, ale od kilku miesięcy nikt z nas jej nie widział, jej córki też... Przepraszam, ich córki.

Tłumaczył się, chociaż nikt tego nie wymagał. Czuł jednak, że musiało to zostać powiedziane.

Feliks w końcu odwrócił wzrok, a Marek odetchnął z ulgą, jakby zdjęto z jego barków wciskający go w ziemię ogromny ciężar.

– Porozmawiaj z nią. Lepiej, żeby to był ktoś, kogo zna – odezwał się nareszcie Struner, nie patrząc już na Maciejczyka.

– A dlaczego pan pytał? – zaciekawił się aspirant.

– Miała wyciętą skórę na plecach? – wtrąciła Lipan, która dobrze знаła metody mordercy sprzed lat.

Feliks kiwnął tylko głową, jakby nie chciał, żeby zostało to głośno przyznane, czując, że wówczas stałoby się jeszcze bardziej realne.

– A czy miała też...?



– Tak – przerwał jej, znów nie chcąc usłyszeć tego, co zamierzała powiedzieć.

Marek zerknął na niego pytająco.

– Dobra, skoro chcesz wiedzieć... Morderca wyciął kawałek skóry na jej plecach, gdzie prawdopodobnie było znamię lub coś, co pozwoliłoby jej rodzinie szybko ją zidentyfikować. Skórę zastąpił kawałkiem skórzanego materiału, który wszył w jej ciało. Jakby łątał zepsutą zabawkę. Uważam, że to drugi motyw...

– Jak to drugi motyw? – dopytywał wyraźnie zaciekawiony Maciejczyk, zapominając na moment o samej tragedii.

– Ciało ludzkie jest pełne niedoskonałości, piegów, rozstępów, różnie rosnących włosów, odcisków, skaleczeń. Nasza skóra jest wrażliwa praktycznie na wszystkie bodźce, a morderca nie lubi naszych wad, tego, co czyni nas ludźmi. Dlatego usuwa je, aby stworzyć swoje idealne zaba... Po prostu nas naprawia – rzekł przejęty Feliks, pozwalwszy emocjom wziąć nad nim górę.

– Przynajmniej tak on to widzi w swojej głowie – dodała Maria, łypiąc na inspektora, który zaczął błędzić wzrokiem po kostce na rynku.

– Ale przecież to chore... – wybełkotał Marek, bardziej do siebie niż do nich.

– Ten, kto to zrobił, nie może być zdrowy, prawda? – Feliks oderwał spojrzenie od ziemi i skierował je na Marka. – Słuchaj, to nie jest zwykłe morderstwo. Tak nie wygląda zabójstwo bez motywu, dla samego zabicia kogoś, jest w tym głębszy sens. W tej zbrodni nie ma agresji, nie ma typowego bólu... On nie czuł przyjemności w odbieraniu jej życia. To jego misja, jego powołanie, skurwiel nie zabija tych dzieci, on je naprawia – mówił półszepem, choć inni funkcjonariusze już się rozeszli.

Przez jego głos przedzierała się złość, ale w głębi tkwiła pewna nuta zrozumienia, a nawet adoracji. Tę nutę wyczuła jedynie Maria.

– Czyli chce pan powiedzieć, że kogo szukamy? – zapytał zmieszany Marek.

Dowiedział się więcej, niż chciał, a teraz trudno mu było to poukładać.

– Nie wiem, nie mam pojęcia. Kogoś z zaburzeniami? Może z depresją? – Feliks drapał się po brodzie, żałując, że dawno temu rzucił papierosy i używał ich tylko jako świeczek zapachowych. – Nie znajdziemy go, jeśli nie zrozumiemy jego motywów, tego, co nim kierowało. Nie możemy już pytać kto, lecz raczej dlaczego.

Z końcem zdania zapadła cisza.

Dlaczego? Pytanie to zawisło w powietrzu. Czy Feliks miał rację i zabójca naprawiał dziewczynkę? A może był po prostu chorym skurwysynem, za jakiego uważał go Marek?

– Pojadę na posterunek, może uda mi się porozmawiać z Mileną – poinformował aspirant.

– Z kim? – zapytała Maria.

– Z matką zaginionej dziewczynki. Zgłosiła się do komendanta jakiś czas temu – odparł i odszedł w kierunku swojego radiowozu, przy którym czekał na niego partner. – Kurwa, oby to nie była ona – dodał do siebie, wyciągając z kieszeni papierosa i odpalając go po drodze.

– Naprawdę? – obruszył się partner. – Nie powinniśmy palić w aucie – bąknął, gdy Marek wszedł do radiowozu z odpalonym ćmikiem.

– Dziś to, kurwa, nie ma żadnego znaczenia. – Zaciągnął się głęboko, odpalając auto.

– Chyba masz rację. Komenda? – upewnił się policjant.

Marek tylko kiwnął głową, wrzucił wsteczny bieg i ruszył z parkingu.



– To nie ona, to nie będzie córka tego zmarłego policjanta – powiedział cicho do Marii Feliks.

– Co? Dlaczego tak myślisz? – zdziwiła się kobieta; bardziej chyba dlatego, że się do niej odezwał pierwszy.

– On nie zabijał od razu, pamiętasz? Kazał nam szukać tych dzieci... – mówił zamyślony.

– A jeśli to jednak ona? – Popatrzyła na niego uważnie.

– To by znaczyło, że to nie on – rzucił szorstko.

Zamilkli, zatopiwszy się we własnych domysłach. Albo na skutek skrępowania.

– Robi się już jasno – zagadnęła po chwili Maria niczym dziecko, które zostało skarcone przez ojca, ale nie potrafiło wytrzymać pełnej napięcia ciszy.

– Nie, do tego miasta powrócił właśnie mrok – wyszeptał Feliks, odwracając się od niej.

– Zabieramy się za śledztwo? Wiesz dobrze, że powinniśmy pracować razem. – Kobieta ruszyła za nim.

– Nieprawda. Już raz pracowaliśmy nad tym dochodzeniem. I co? Daliśmy dupy. Dlaczego teraz miałoby być inaczej? – zapytał ze złością.

– Doświadczenie. Znamy go lepiej niż ktokolwiek inny. Jestem przekonana, że wtedy też byliśmy blisko. Gdyby nie naciskali na nas z góry... Zresztą to, co powiedziałaś, to wszystko o nim i jego motywacji... Ty go rozumiesz... – Urwała, kiedy na nią spojrział. – Wiesz, co mam na myśli.

– Miałem dwadzieścia pięć lat, by to zrobić, a wcale nie chciałem o nim myśleć – stwierdził, uspokoiwszy się nieco.

– Mieliśmy też sukcesy, czyż nie? – Maria uśmiechnęła się z satysfakcją.

– Tak, do ostatniego wspólnego śledztwa... – sarknął ironicznie.

– Nie rozpamiętujemy przeszłości... Więc co? Wiesz, że beze mnie go nie złapiesz, prawda? – dodała, widząc zmieszanie na twarzy Strunera.

– Kurwa mać, a miałem mieć dzisiaj wolne... – Przewrócił oczami i wziął głęboki oddech. – Tym razem go złapiemy, rozumiesz? Nie odpuszczamy, dopóki skurwiel nie znajdzie się za kratkami.

Wypowiedział te słowa głośno i dobitnie, chcąc ją onieśmielić, choć w głębi duszy wiedział, że miała rację. Nie da sobie bez niej rady. Pomimo kilku wpadek – błędów, które przecież on też popełniał – była świetnym funkcjonariuszem. Groźna i przebiegła, potrafiła tak manipulować świadkami, by sami odpowiadali na niezadane jeszcze pytania. Była przydatna, nigdy jednak nie mógł być pewny, czy nim nie manipuluje, bo robiła to tak zręcznie, że nawet on, Feliks Struner, nie wiedział, o czym partnerka naprawdę myśli i do czego zmierza. I ta niewiedza go przerażała.

Blokujące drogi radiowozy rozjechały się, a na rynku zostało już tylko kilku policjantów, którzy zabezpieczali miejsce zbrodni. Na chodniki przy otaczających rynek kamieniczkach zaczęła wylegać niczego jeszcze nieświadoma część mieszkańców. Sklep, na który wcześniej zwrócił uwagę Feliks, był już otwarty. W miejscu, gdzie śmierć wyszła z ukrycia i ukazała swoje najgorsze oblicze, pojawiło się życie. Zza stojącej przy kościele wieżyczki wyłoniło się słońce. Inspektor spojrział na zegarek, wskazówka przekroczyła godzinę ósmą, i to dość dawno. Był zdziwiony, że pozornie szybka akcja policji trwała aż tyle czasu.

– Od czego zaczniemy? – podjęła temat Maria, ponieważ rozmówca zdawał się odpływać myślami.

– Z matką dziewczynki rozmawia ten aspirant... Jak on miał... Maciejczyk – powiedział rozluźnionym głosem, bardziej stonowanym i przyjaznym niż wcześniej. – Sekcja zwłok też trochę potrwa, badania krwi, rekonstrukcja tego odcisku oraz przepuszczenie go przez system, chociaż pewnie i tak nic tam nie znajdą. Monitoring został zdjęty z rynku dawno temu. Moglibyśmy przejrzeć inne kamery, może któraś złapała faceta z pluszowym miśkiem, choć w sumie... on nie dałby się im uchwycić. – Zerknął na Marię, jakby oczekując, że potwierdzi jego słowa. Przytaknęła nieznacznie głową. – Pozostają nam...

– Rozmowy z mieszkańcami – dokończyła za niego Maria.

– Tak, rozmowy – zgodził się. – Nienawidzę tego.

Ruszył w stronę sklepu, a tuż obok dreptała Lipan.

– Dlaczego? Przecież ludzie są tacy cudni – mruknęła sarkastycznie, lecz sarkazm, o dziwo, zdawał się udawany.

– Empatia... Wymaga się jej od nas, ale nas jakoś nikt nie rozumie. Policjant, pies, świnia... Czy jak to teraz na nas wołają... Jesteśmy znienawidzeni przez wszystkich, ale to my musimy właśnie tych wszystkich chronić. Widzisz w tym ironię? Bo ja widzę kurewską niewdzięczność – wyrzucił z siebie Struner, przepuściwszy starszą panią w drzwiach sklepu.

Wylewność partnera zdziwiła nie tylko Marię, lecz i samego Feliksa. Wymienili zakłopotane spojrzenia.

– Przesadzasz. Wiedzieliśmy, na co się piszemy. Wiedzieliśmy, jak się traktuje ten mundur... Nie możemy mieć pretensji po tym, jak zaufanie do tego typu organów zostało kiedyś, delikatnie mówiąc, nadszarpane – rzekła kobieta tak cicho, aby nikt w sklepie jej nie usłyszał.

Inspektor zmierzył ją gniewnym wzrokiem. Należał wówczas do milicji, o czym dobrze wiedziała. Sama do służby wstąpiła już po transformacji, o czym długo nie pozwalała mu zapomnieć. Była wolna od kłopotliwej przeszłości, co pomogło jej w karierze.

Uszczypliwość Marii spełniła jednak swoje zadanie – podniosła mu ciśnienie.



## Rozdział 3

# Porozmawiajmy

– Dzień dobry – powiedziała grzecznie ekspedientka, mierząc wścibskim wzrokiem, który nijak nie pasował do tonu jej głosu, dwójkę nieznanym.

W takich miasteczkach wszyscy się znają przynajmniej z widzenia, co znaczy, że każde pojawienie się kogoś nowego wzbudza ciekawość – zwłaszcza u kobiet w konkretnych zawodach, mających częsty kontakt z mieszkańcami.

– Dzień dobry... – Feliks podszedł do lady. – Dostanę tu kawę? – zapytał, szukając wzrokiem jakiejś maszyny, tak często spotykanej w sieciówkach czy na stacjach benzynowych w dużych miastach.

– Tak, stoją na półce – odparła nieuprzejmie z nutką złośliwości sprzedawczyni, jakby urażona, że musi odpowiadać na pytanie. Palcem wskazała na regał, gdzie w rzędach stały paczki z kawą.

– Nieważne... – Inspektor sięgnął po odznakę. – Nazywam się Feliks Struner. – Z przyzwyczajenia pominął swój stopień. Pokazał odznakę.

– Chodzi o to zamieszanie na rynku? Co tam się stało?

Ekspedientka była wyraźnie zaciekawiona. Stała się miłsza i bardziej uprzejma. Dla Feliksa zabrzmiała niczym babcia próbująca nakłonić wnuczka, by przyznał się, co wywinął.

– Pozwoli pani, że to ja zadam jej kilka pytań? – rzucił poirytowanym głosem, a jego spojrzenie ustawiło kobietę do pionu.

– Proszę pytać – bąknęła, wracając do tonu zmęczonej i niechętniej do rozmów osoby.

– Kto stał wczoraj wieczorem za ladą? – Struner wyciągnął mały notesik ze swojej kurtki. Poklepał się po kieszeniach, lecz niczego więcej nie znalazł.

– Złotówka – oznajmiła sprzedawczyni, trzymając w dłoni długopis. Feliks wymusił uśmiech i zapłacił.

– A zatem... kto stał za ladą? Może pani też od razu powiedzieć, kto zaczynał poranną zmianę – dodał, wiedząc, że zabójca mógł się kręcić po rynku znacznie wcześniej.

– Wieczorem pracowała Gosia, a rano byłam ja – odrzekła od niechcienia kobieta.

– Małgorzata, tak? A nazwisko? I gdzie możemy ją znaleźć? – dopytywał Feliks.

– Proszę to dać. – Ekspedientka spojrzała na notes i długopis.

Podał jej zeszyt, a ona zapisała na nim dane koleżanki.

– Może pani dodać też swoje dane?

Kobieta wbiła w niego wzrok.

– Wystarczy telefon i nazwisko, gdybyśmy chcieli jeszcze o coś zapytać – wyjaśnił uprzejmie, nie chcąc jej do siebie zrazić.

– Proszę, napisałam numer, ale wolałabym, żeby pan nie dzwonił. Wiecie, gdzie pracuję, więc tutaj możecie mnie wypytywać – oznajmiła sucho.

– Dziękuję. Czy widziała może pani wczoraj kogoś nieznanego? Twarz, której pani nie rozpoznała? Kogoś, kto zapadł pani w pamięć? – Feliks zasypał ją pytaniami, mając dosyć odpowiedzi w stylu „odwal się”.

Rozejrzał się po sklepie, by sprawdzić, gdzie jest jego partnerka. Zobaczył, że rozmawia z jednym z klientów. Z jego perspektywy wyglądało na to, że Maria radzi sobie znacznie lepiej.

– Kogoś dziwnego? Widzimy takich codziennie. Młodzież stojącą przy autach, słuchającą muzyki i ubraną jakoś tak... nie wiem... Gdzie są ich rodzice? – Ekspedientka wyraźnie się pobudziła.

Krytykowanie innych sprawiało jej radość, zwłaszcza gdy mówiła o głośnym zachowaniu i braku szacunku dla starszych. W połowie tyrady Feliks przestał jej słuchać, zapisując jedynie pojedyncze słowa.

– A wcześniej? – przerwał jej wywód o niewdzięcznych bachorach, ciągnących pieniądze od rodziców, którzy zajmują się nie wiadomo czym. – Chodzi mi raczej o kogoś nowego. Albo kogoś dawno niewidzianego w Pobiedziskach. Spotkała pani taką osobę?

W głowie słyszał tylko jedno słowo: echo głosu policjanta, który wspomniał o Zabawkarzu.

– Nie wydaje mi się... Zapamiętałabym nową twarz, nową osobę, gdyby się dziwnie zachowywała – powiedziała z lekką dumą sprzedawczynie. Spojrzała na Marię, która odchodziła właśnie od klienta. – Ta pani wydaje się znajoma, przynajmniej trochę... – dodała zamyślona.

– Kiedyś tu mieszkałam, w tym miasteczku – odparła Maria, stając obok Feliksa.

– Może się pan jeszcze raz przedstawić? – poprosiła sprzedawczynie, ignorując kobietę.

– Feliks Struner. – Podał jej wizytówkę. Nie miał ich już zbyt wiele. – Na tę chwilę to chyba wszystko. A nie... Z kim moglibyśmy porozmawiać? Tyle tu sklepów... – Udał nierozgarniętego.

Sprzedawczynie popatrzyła na nich trochę podejrzliwie.

– Jest jedna kobieta... – powiedziała po chwili. – Starsza pani, jakoś po sześćdziesiątce – dorzuciła, lustrując inspektora.

Maria zerknęła z zadowoleniem na Feliksa, który zrobił zniesmaczoną minę. Jego partnerka nie miała sześćdziesiątki, ale on już ją przekroczył. Biorąc pod uwagę definicję ekspedientki, był starszym panem, co nie bardzo przypadło mu do gustu.



– Tak? – Podszedł bliżej, udając, jakby wzmianka o wieku go nie dotknęła.

– Mieszka w kamienicy obok. Dzieciaki, tfu, te gnojki nazywają ją „rynkowym monitoringiem”. Często wygląda przez okno, nieraz wzywała policję do tych... – Kobieta ugryzła się w język, by nie zakląć. – Nie wiem, jaki to numer mieszkania, ale jest na drugim piętrze. Pewnie siedzi tam od rana, jak tylko się pojawiliście – stwierdziła bez większej sympatii. – Raz widziałam... – Na jej twarzy przez moment pojawił się uśmiech. – Raz widziałam, jak rzuciła mąką w tych głośnych...

– A jak się nazywa? – weszła jej w słowo Maria, trochę znudzona tymi opowieściami.

– Nie mam pojęcia. To dziwne, bo bywa tutaj codziennie, ale nigdy z nikim nie rozmawia... Nawet „dzień dobry” nie odpowie – żaliła się sklepowa na tajemniczą kobietę z okna. – Ale nie nękać jej czasem... Jest, jaka jest, ale to nie jej wina.

– Co ma pani na myśli? – zaciekawił się Feliks.

– To jedynie plotki, mówi się jednak, że dawno temu straciła kogoś bliskiego. Chyba córkę. Nie wytrzymała tego... Choć i tak staro została matką, miała wtedy prawie czterdziestkę. – Jej nastawienie się zmieniło. Widocznie lubiła opowiadać różne plotki, jeśli ktoś chciał jej słuchać.

– Straciła córkę? Jak to się stało? – Maria wymieniła spojrzenie z partnerem.

– Tego nie wiem, ale podobno to była jakaś głośna sprawa...

– A córka jak miała na imię? – zapytał Feliks, mimo że nie spodziewał się odpowiedzi.

Kobieta pokręciła głową.

– To smutne, że tak szybko o niej zapomniano – wyszeptała, a jej głos stracił wcześniejszy entuzjazm.

– Dziękujemy bardzo. Proszę dzwonić, jeśli pani sobie coś przypomni – powiedział Feliks, nieznacznie się uklonił i wyszedł.

– Do widzenia – pożegnała się Maria, posyłając lekki uśmiech w stronę ekspedientki.

– Do widzenia – mruknęła niechętnie kobieta i obrzuciła ją nieprzychylnym spojrzeniem.

– Myślisz, że ta córka... była jego ofiarą? – zagaiła Maria, kiedy szli po schodkach.

Jej wzrok automatycznie powędrował ku wierzbie płaczącej, gdzie policjanci powstrzymywali gapiów, zanim nie przyjedzie zespół sprzątający.

– Kurwa, tego się właśnie boję... – odrzekł Feliks. – Mieszkałaś tutaj, powinnaś wiedzieć, jak rzadko dochodzi do zbrodni w takich miasteczkach. A jeszcze mniej się ich zapamiętuje – dorzucił, również patrząc na wierzbę, skupiony był na falujących liściach i kropłach deszczu, ciągle roszących imponujący pomnik przyrody.

Schodząc z ostatniego stopnia, wpadł na kobietę, która właśnie miała wejść do sklepu.

– Och, przepraszam bardzo – powiedział szybko. – Wszystko w porządku?

I wtedy zaniemówił.

– Tak, tak, dzięk...

Kobieta urwała nagle, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. Nie mogła wydać już z siebie żadnego dźwięku.

– Wszystko dobrze? – Maria była lekko zdezorientowana.

Patrzyła to na Feliksa, to na stojącą obok nieznajomą. Szybko pojęła, że ta dwójka się znała, i to od dawna. Nie była chyba dotąd świadkiem tak niezręcznej sytuacji. Obserwowanie jej dawało Marii nawet pewną satysfakcję, którą jednak dobrze ukrywała.

– Tak, tak... – rzucił cicho, patrząc już tylko na tajemniczą osobę.

– Co tu robisz? – odezwała się w końcu zszokowana. W jej głosie słychać było dużo złości. – To dlatego? – Wskazała brodą na wierzbę, którą

policjanci wzorowo otoczyli i nie dopuszczali zaciekawionych mieszkańców.

– Pracuję... A co ty tu robisz?! – Nie krył zdziwienia.

– Nie powtarzaj po mnie, nie jesteśmy w przed... – Kobieta zamilkła, spoglądając w dół.

Dopiero wtedy śledczy zauważyli chłopca, trzymającego ją obiema rękami za dłoń. Był wystraszony.

– Mieszkam tu – wyjaśniła kobieta, nie chcąc, by syn jeszcze bardziej przestraszył się jej wrogo nastawioną postawą. – Od dawna... Ale skąd mógłbyś o tym wiedzieć, prawda? – Przeszyła Strunera tak bardzo podobnym do jego własnego wzrokiem. Poczul to, co czują inni, gdy inspektor wbija w nich swoje przewiercające na wylot spojrzenie.

– Możesz wyjechać na jakiś czas? Do swojej matki? – zapytał głosem pasującym raczej do nastolatka niż do mężczyzny w kwiecie wieku.

– Co? Nie! I zacznij wymawiać jej imię. To jest dziwne... Była przecież twoją żoną.

– Ale tu nie jest...

– Bezpiecznie? – przerwała mu. – A gdzie jest? Złapcie, kogo tam macie złapać, i wyjedź stąd. Wyłącznie do tego się nadajesz, do uciekania. I przestań udawać, że nagle ci zależy. – Kobieta walczyła sama ze sobą, by nie zacząć krzyżeć, tym bardziej że wokół kręciło się coraz więcej ludzi. – Chodźmy, synku. – Ton jej głosu zmienił się nie do poznania, w jednej chwili stał się ciepły i łagodny.

Łypnęła gniewnie na Feliksa, po czym weszła z dzieckiem do sklepu.

Zanim zamknęły się za nią drzwi, Maria usłyszała jeszcze pytanie chłopca:

– Kim był ten pan?

– Nikim waż... – Resztę odpowiedzi zagłuszył trzask drzwi.

Maria zwróciła się do partnera.

– Czy to była...?

– Tak, moja córka. Z pierwszego małżeństwa, moje najstarsze dziecko...  
– odrzekł, wymuszając uśmiech, który skrywał wielkie pokłady bólu i wyrzutów sumienia.

Twarz syna jego córki była mu kompletnie nieznana. Obca. Nie widywał wnuka, zadbała o to matka dziecka. Oglądał go tylko na jednym zdjęciu Małgorzaty, tym profilowym, gdzie chłopiec mógł mieć pięć lat, a teraz... Teraz był starszy. Jeśli Feliks się nie mylił, minęło około sześciu lat, odkąd fotografia pojawiła się na profilu córki. W dodatku nie była zbyt wyraźna. Można by rzec, że dopiero tego dnia dowiedział się, jak bardzo jego wnuk podobny jest do swojej mamy. A to przypomniało mu czasy, kiedy jego córka była w tym wieku i kiedy wszystko się między nimi spieszyło.

– I nie wiedziałeś, że tutaj mieszka? – zdziwiła się Maria.

Feliks pokręcił głową.

– To popieprzone, nawet jak na ciebie – stwierdziła cicho, bez ironii, lecz z faktycznym współczuciem.

– Wiesz, nie byłem ojcem roku.

– Chcesz o tym pogadać? Wiesz, że ta kobieta nie ucieknie, nie? A lepiej, żebyś był w pełni skoncentrowany na sprawie... Zwłaszcza tej. – Maria podeszła bliżej do partnera. – Nie musisz ze mną, ale może chcesz porozmawiać z córką? – dodała szybko, kiedy się trochę cofnęła.

– To nic nie da, żadna rozmowa tu nie pomoże. Zresztą ona i tak by mnie nie posłuchała. Już w dzieciństwie miała swoje zdanie na każdy temat. Nikt nie potrafił na nią wpłynąć. Ona wie swoje i koniec – odpowiedział całkowicie spokojnie Struner. – Kurwa, córka nauczyła mnie więcej niż ja kiedykolwiek ją. – Spojrzał na uśmiechniętą Marię. Odchrząknął. – Ale mniejsza z tym, wróćmy do sprawy. Jedyne, co mogę teraz zrobić, to złapać tego... – Westchnął głęboko. – Tylko tak ją ochronię, nawet jeśli nie chce mnie znać.

– To bardzo... ojcowskie z twojej strony. Miło zobaczyć, że nie zmieniłeś się pod tym względem przez te wszystkie lata – powiedziała szczerze i ciepło Lipan, wciąż nieznacznie się uśmiechając.

– Chodźmy – rzucił ostro Feliks, chcąc przerwać tę przyjazną wymianę zdań, tak bardzo nie w jego stylu.

Przeszli kilka kroków dalej. Stare drewniane drzwi u szczytu schodów właśnie się otworzyły. Wyszła z nich młoda dziewczyna, która bez słowa przemknęła obok nich. Feliks spojrział na nią lekko zdziwiony, po czym znów zwrócił się ku drzwiom.

– I co, tak sobie poszła? Nawet nie zakluczyła – wymamrotał do siebie.

– To nie Poznań, tutaj znasz swoich sąsiadów, a kamienice zamyka się tylko na noc – odrzekła Maria i dorzuciła, zanim inspektor zdążył coś odpowiedzieć: – Mieszkałam w tym mieście, nie zapominaj, więc wiem o nim trochę więcej niż ty.

– Skoro tak mówisz... Nikt zresztą jeszcze nie wie, co się stało, inaczej wątpię, żeby byli tacy dla siebie otwarci. – Feliks zaczął wchodzić po schodach.

– Trochę więcej wiary w ludzi... – mruknęła cicho Maria, tak aby nie usłyszał.

Ruszyła za Strunerem. Tuż przed zniknięciem za drzwiami, spojrzała w stronę sklepu, gdzie zauważyła wpatrującego się w nią małego chłopca. Obdarzyła dziecko uśmiechem, a ono go odwzajemniło, po czym szybko się schowało.

– Mówiła o drugim piętrze? – zapytał retorycznie Feliks, co zdarzało mu się dość często.

– Twój wnuk wygląda na fajnego dzieciaka – zagadnęła partnerka, gdy wspinali się po zniszczonych stopniach w kamienicy.

– To pewnie dlatego, że nigdy nie poznał swojego dziadka – odparł, rozglądając się po ścianach, które dawno nie widziały nowej farby.

Każdy krok niósł się echem po całym budynku, każdy był głośny i irytujący, a po dotknięciu palcami oskrobanej poręczy zostawały na ręce resztki brązowej farby.

– A może właśnie jest podobny do niego... – zastanawiała się zaintrygowana Lipan.

– Lepiej nie. Lepiej, żeby ani trochę nie był do mnie podobny – oświadczył Feliks. Zatrzymał się na chwilę i zerknął na swoją dłoń. Była cała w płatkach zaschniętej farby. – Zabytkowa kamienica, taa... Też mi zabytek! – skomentował i ruszył dalej, teraz już z dala od poręczy.

– Dwa mieszkania. Od którego zaczynamy?

– Od tego. – Wskazał na drzwi po prawej stronie.

Zapukał. Echo uderzeń rozbrzmiało na całą kamienicę. Nikt nie otwierał, więc znowu zastukał. Nasłuchiwali, czy z mieszkania nie dojdzie do nich odgłos kroków. Policjant zapukał trzeci raz, lecz wciąż panowała cisza, którą zakłócały jedynie skrzypnięcia desek, gdy Feliks przenosił ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

– Pewnie pracują... – zgadywała Maria.

– Tak, zapewne – przytaknął. – Trudno, tych przesłuchają miejscowi, a kobieta musi być...

– Tutaj – dokończyła za niego Maria, która pierwsza stanęła przy drzwiach drugiego mieszkania.

Tym razem to ona zapukała. Dziwne, bo jej uderzenia były znacznie głośniejsze od tych Feliksa. Zanim spróbowała ponownie, usłyszeli stąpanięcia, jednak drzwi pozostawały zamknięte. Nikt się nie odzywał. Feliks kiwnął głową, a Maria zapukała jeszcze raz, i jeszcze jeden.

– Nie dostaniecie żadnych pieniędzy, idźcie sobie – odezwał się wreszcie damski, trochę ochryply głos.

Następnie usłyszeli ciężki kaszel, a kiedy ustał, kobieta dodała:

– Nic od was nie kupię. Zmykajcie stąd, łotry!

Maria wytrzeszczyła na Feliksa oczy i bezdźwięcznie powtórzyła: „Zmykajcie”. On był równie zdziwiony. Tak odgania się dzieciaki, a nie, jak wcześniej ich sklasyfikowała, ulicznych żebraków. Maria znów zapukała.

– Jesteśmy z policji – wyjaśnił inspektor. – Nazywam się Feliks Struner. Chcemy zadać pani kilka pytań. Nie zajmiemy dużo czasu.

Powtórnie usłyszeli kroki. Kobieta zapewne podeszła do judasza, by spojrzeć na nich kolejny raz. Zareagowali bardzo szybko i ich odznaki

znalazły się w zasięgu jej wzroku. Drzwi jeszcze przez chwilę pozostawały zamknięte, jakby kobieta po drugiej stronie próbowała ocenić prawdziwość ich blach. W końcu rozbrzmiał dźwięk przekręcanego klucza. Klamka wolno się poruszyła.

– Dziękujemy. – Maria skinęła lekko głową.

Już za czasów ich wspólnej służby była tą, której ufali świadkowie. To ona podczas przesłuchań emanowała empatią i zrozumieniem, czego nierzadko brakowało Feliksowi. Był najczęściej „złym gliną”, wspomnianym niemal w każdym filmie kryminalnym, choć Maria umiała być gorsza, jeśli tylko tego chciała. Teraz jednak, kiedy zobaczyli kobietę, która otworzyła im drzwi, zarówno jedno, jak i drugie ogarnęło współczucie.

Gospodyni zmierzyła ich wzrokiem, jak gdyby w ogóle nie spojrzała wcześniej przez wizjer. Patrzyła na nich przez chwilę, po czym odsunęła się z przejścia i pozwoliła im wejść do mieszkania. Była niska i nie miała więcej niż metr sześćdziesiąt, jak szybko ocenił Feliks. Mimo że byli w podobnym wieku, a inspektor zestarzał się dość widocznie, kobieta i tak wyglądała, jakby była co najmniej o dziesięć lat starsza. I Maria, i Feliks nie mogli nie pomyśleć, że to wynik jej stanu psychicznego po stracie córki, o której mówiła ekspedientka. Struner, będąc ojcem, potrafił ją zrozumieć, chociaż nie umiał utrzymać kontaktu z dwójką własnych dzieci. Maria w ogóle nie myślała o potomstwie, więc matczyne instynkt był jej obcy, dlatego też tak bardzo odpychał ją widok starszej pani. Była przygarbiona, bardzo zaniedbana, a jej krótkie siwe włosy przypominały raczej nieudaną perukę. Policjantka natomiast szczyliła się pięknymi włosami, które skutecznie ją odmładzały.

Kobieta przywitała ich w stroju, którego funkcjonariuszka nie potrafiła sklasyfikować. Nie wiedziała, czy to koszula nocna, czy może jakiś dziwny strój sprzed lat. Wiedziała jedynie, że był szary, w kwiaty i kompletnie pozbawiony stylu. Mógł nawet dodawać kilka lat. Już gdy właścicielka mieszkania otwierała drzwi, Lipan odniosła wrażenie, jakby staruszka miała się na ich oczach rozpaść. Dopiero kiedy ruszyła z nimi w głąb

mieszkania, Maria odetchnęła z ulgą, ponieważ gospodyni poruszała się całkiem sprawnie.

Śledcza szybko pożałowała, że towarzyszyła Feliksowi w przesłuchaniu. Przekroczywszy bowiem próg dużego pokoju, uderzyła w nią straszliwa woń. Nie wyczuwała jej ani na korytarzu, ani na klatce, co było dziwne, bo zapach był ostry i intensywny, do tego odpychający. Struner też go poczuł, ale nie miał aż tak wrażliwego nosa jak Maria, więc łatwiej mu przyszło nie dać po sobie niczego poznać.

– Napijcie się czegoś? – Głos kobiety brzmiał przyjemnie, jednak kryła się w nim nieufność.

– Dziękuję, woda wystarczy – powiedział Feliks, nie chcąc jej obrazić odmową.

„Starsi ludzie lubią być dobrymi gospodarzami, trzeba jej na to pozwolić”, pomyślał. Maria z kolei pokiwała głową, unikając otwierania ust w pomieszczeniu, które zapachem przypominało jej wizyty w kostnicy.

– Możemy usiąść? – spytał inspektor. – Pani...?

Kobieta nie odpowiedziała. Milczenie uznali za zgodę. Usiedli na kanapie, z której uniosła się chmura kurzu.

– Rózo – przemówiła w końcu.

– Rózo...? A nazwisko? – dopytała Maria.

– Po prostu „Rózo”.

Do niewielkiej kuchni prowadził krótki ciemny korytarz. Widzieli, jak staruszka postawiła czajnik na gazie, by zrobić herbatę, a Feliksowi naląła szklankę wody z kranu.

Po lewej stronie od drzwi wejściowych znajdowała się mała toaleta i pokój, po prawej zaś salon, którym można było przejść do sypialni. To do salonu wprowadziła ich wcześniej.

Nie było to duże pomieszczenie, choć w porównaniu do warunków, w których Feliks żył od kilku ostatnich dni, wydało mu się ogromne – również dzięki niewielkiej liczbie mebli. Między dwojgiem drzwi stała komoda z nadstawką w roli biblioteczki, z trzema zakurzonymi książkami.



Jedna, najbardziej zakurzona, to z pewnością Biblia – podstawowy atrybut polskich seniorek.

Naprzeciw ustawiono dwuosobową kanapę, przed którą stała rozkładana ława. Leżał na niej album, bardzo stary, ale za to starannie wyczyszczony. Wykonany był z brązowej skóry, w wielu miejscach poprzecieranej, a na jego środku widniały dwie litery: „A” i „R”. Funkcjonariusze domyślali się, czyje to inicjały – zapewne jej córki.

Maria rozglądała się wokół. Spostrzegła w kątach liczne pajęczyny, a na podłodze dziury po kafelkach, niezastłonięte przez dywan. W rogu pokoju stał sinozielony fotel z brązową narzutą. Kanapa, na której siedzieli, być może miała podobny kolor, lecz pokrywała ją warstwa kurzu, więc stała się po prostu szara, straciła jakikolwiek oryginalny odcień.

Feliks nie błędził wzrokiem po salonie, wbijał natomiast spojrzenie w podnieszczony dziennik. Leżał przed nim, otoczony pokładami kurzu, na wyciągnięcie ręki, jakby prosił o zerknięcie w głąb jego tajemnic. Wystarczyłoby jedno zdjęcie – i już by wiedział. Miałby pewność, czy życie córki tej starszej kobiety zabrał Zabawkarz. Stary glina mógł nie pamiętać twarzy wielu ofiar, świadków czy szumowin, które zamykał, ale z tamtej sprawy pamiętał każdą dziecięcą buzię, znajdowaną razem z Marią i miejscową policją. Już miał wyciągnąć rękę po album, gdy w mieszkaniu rozbrzmiał gwizdek czajnika. Feliks wyprostował się, jakby został przyłapany na gorącym uczynku. Maria spojrzała na niego zdziwiona, a wtedy do pokoju weszła Róża.

Trzymała w rękach tacę z dwiema filiżankami herbaty, szklanką wody oraz czekoladowymi ciasteczkami na małym talerzyku. Postawiła tacę na stole, a następnie jedną z filiżanek przed Marią i szklankę przed Feliksem. Między nimi znalazł się też talerzyk z ciasteczkami. Drugą filiżankę ustawiła przed sobą. Zniosła tackę do kuchni, by po chwili wrócić z taborettem. Usiadła na nim dumnie, gotowa do rozmów. Widząc, jak stół zaczął niebezpiecznie się bujać, Maria aż zerwała się na równe nogi. Kobieta jednak zdawała się tym nie przejmować, założyła nawet nogę na nogę, popisując się umiejętnością utrzymania równowagi.

Sięgnęła po swoją filiżankę.

– W czym mogę państwu pomóc?

– Dziękuję – wykrztusił Feliks, wzięwszy szklankę i spostrzegłszy na niej liczne ślady dłoni, a przy krawędzi także i szminki.

Wziął łyka w miejscu, gdzie naczynie wydawało się najczystsze.

Maria kiwnęła tylko głową i napiła się herbaty, nie zwracając uwagi na ostrzegawczy wzrok partnera.

– No, to czego chcecie? – Ton miłej staruszki zmienił się diametralnie. Zabrzmiał tak jak wtedy, gdy przepędzała ich sprzed drzwi.

– Przejdźmy zatem do rzeczy – zaczął Feliks. – Czy ma pani z mieszkania widok na rynek?

Chciał zdradzić jak najmniej, a najlepiej w ogóle nie wspominać o pluszowym misiu, który mógłby wywołać przykre wspomnienia, choć inspektor w zasadzie nadal nie wiedział, czy córka kobiety była jedną z ofiar Zabawkarza.

W takich właśnie chwilach żałował tego, jak rozpoczął karierę, jak podchodził do niej w młodości. Koziół... Przekłęte przezwisko – przekłęty i on.

– Tak – odpowiedziała głośno. – Z pokoju An... Z małego pokoju. – Wbiła wzrok w album na stole.

– Wszystko w porządku? – upewniła się Maria i odłożyła filiżankę.

Wykorzystując rozkojarzenie gospodyni, wytarła usta w rękaw. Miała w nosie, że czerwień szminki zostanie na materiale, chciała jak najszybciej zetrzeć z warg smak brudnej porcelany.

– Jak miała na imię? – zapytał Feliks, co poruszyło nawet Marię, która spojrzała na niego rozgniewana. – Jak miała na imię pani córka?

Kobieta uniosła wysoko podbródek i spojrzała na niego ze spokojem.

– Anielka – odrzekła łamiącym się głosem. – Moja mała Anielka.

Na krótki moment jej oczy się zaszkliły. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, wzięła łyk herbaty i szybko zmieniła zachowanie.

– Tak, można z mojego mieszkania zobaczyć rynek – burknęła szorstko, prawie niegrzecznie, porzucając ukazane wcześniej oblicze.

– A czy często pani obserwuje, co się tam dzieje? Powiedzmy... wieczorami? – kontynuował z uprzejmością przepytywanie Struner.

Maria patrzyła na niego zdziwiona. Zaczęły ją już drażnić dziwne zmiany nastroju Róży, więc była zaskoczona, że ze wszystkich ludzi na planecie akurat on zachowywał stoicki spokój.

– Czasami... – Starsza pani unikała wzroku mężczyzny, co mogło świadczyć, że mijała się z prawdą. Nie umknęło to uwadze Feliksa, a tym bardziej Marii, która uważnie przyglądała się poczynaniom staruszki.

– Możemy zobaczyć ten pokój? – Inspektor nie ustępował. – To znaczy widok na rynek... – wyjaśnił szybko, bo kobieta obrzuciła go takim spojrzeniem, jakby ją co najmniej zwymyślał.

Zerknęła jeszcze na Marię, która wymusiła uśmiech, a potem znów na Feliksa. Wzięła kolejny łyk herbaty, po czym wstała.

– Proszę za mną – powiedziała dobrze im znanym tonem, który kazał im raczej wypieprzać z mieszkania, niż gdziekolwiek zapraszać.

Róża podeszła do drzwi i delikatnie chwyciła klamkę, ale jej nie naciskała. Chwila zawahania nie trwała długo, a mimo to Maria i tak zaczęła się denerwować. Feliks z kolei nadal zachowywał spokój. Kobieta wyciągnęła z kieszeni koszuli mały kluczyk. Prędzej przypominał taki do komórki niż do pokoju, lecz pasował do zamka. Drzwi wyglądały na bardzo stare, choć zostały odmalowane, w przeciwieństwie do innych, poniszczonych i brudnych. Wzorem bardziej pasowały do obecnych czasów. Gospodyni przekreśliła kluczyk, a w mieszkaniu rozległ się dźwięk otwieranego zamka. Głęboko westchnęła i nacisnęła klamkę. Drzwi ustąpiły. Puściła je, by szerzej otworzyły się same. Potem przeszła na bok, przepuszczając niespodziewanych gości.

Sama nie weszła do pokoju.

– Dziękuję. – Struner przekroczył próg pierwszy, a Maria tuż za nim, mierząc Różę wzrokiem.

Stała oparta o ścianę. Nie patrzyła ani na funkcjonariuszkę, ani na pokój, ale w podłogę, ciężko przy tym oddychając. Policjantka przestraszyła się, że może kobieta dostała zawału. Trwało to jednak tylko parę sekund, bo gdy weszła do środka, od razu zapomniała o staruszce.

Oboje mieli wrażenie, jakby nagle wrócili do lat dziewięćdziesiątych. Od ścian i mebli po łóżko, zasłony, a nawet okna i grzejnik – wszystko było jakby żywcem wyjęte z tamtych czasów. Co dziwniejsze, wyglądało zupełnie jak nowe, a na meblach czy parapecie nie dostrzegli ani grama kurzu. Sufit był idealnie biały, a tapeta starannie umyta. Nad ich głowami wisiał żyrandol, który błyszczał w świetle żarówek niczym najprawdziwszy diament. Feliks przypomniał sobie, jak sam chciał kiedyś taki kupić, ale z żoną uznali, że ich na niego nie stać. Z czasem pojawiły się inne lampy, bardziej modernistyczne, a o tym zapomnieli.

Na ścianie po prawej stronie, przy której stało niewielkie łóżko, mające nie więcej niż sto pięćdziesiąt centymetrów długości, położono tapetę w białym kolorze z wypukłymi elementami. Śledczy szybko się domyślił, że wybrano ją specjalnie dla dziecka, bo pewnie córka lubiła rysować czy bazgrać po ścianach. To prosty sposób, aby inne ściany w domu pozostawały czyste. Reszta była różowa w duże kolorowe kwiaty, wśród których przeważały słoneczniki i maki. Przypominały Feliksowi tapetę, którą sam przyklejał dla swojej córki – zanim się urodziła.

W kącie po lewej stała duża biała szafa z lustrem, a dalej ustawiono biurko w delikatnym różowym odcieniu. Leżały na nim równo ułożone książki, zdjęcie oprawione w ramkę, kartka papieru, a obok paczka kredek, jeszcze nierozpakowana. Pod drewnianym parapetem schowano żeliwny grzejnik, a okno przysłaniała śnieżnobiała zasłona. Łóżko było pościelone, jakby czekało na powrót dziecka. Jego metalowe elementy pomalowano na różowo, w odcieniu poszewki na kołdrę.

Tuż za zagłówkiem łóżka tkwił biały pluszowy miś. Na głowie miał czerwoną wstążkę. Choć nie przypominał tego, który zawisł na gałęzi wierzby płaczącej, funkcjonariusze wzdrygnęli się na jego widok. Feliks nawet lekko się przestraszył, zwłaszcza jego czarnych ślepiów,

wpatrujących się w niego z prawie taką samą zawziętością, z jaką robił to mały pluszak w jego mieszkaniu.

Inspektor pokręcił głową, a gdy znów spojrzął na misia, ten już nie patrzył na niego, lecz przed siebie, na biurko dziewczynki.

– Ile to potrwa? Co? – usłyszał gniewny głos gospodyni.

Wciąż stała w progu. Taksowała ich spojrzeniem, które idealnie pasowało do tonu jej głosu.

– Już wychodzimy, tylko zerknę... – Feliks podszedł do okna.

Maria stanęła obok.

– No i widać – oznajmiła cicho.

– Tak, ale czy nocą, w świetłach latarni też coś widać? – zadał sam sobie pytanie Feliks. – Spójrz, tam jest pomnik, zasłaniają go trochę krzaki, a tej przestrzeni za nim, tam, gdzie znalazłem odcisk, w ogóle nie można dojrzeć. Jest i budka, no i wreszcie wierzba. To drzewo przeszkadza, ale widać naszych ludzi – mówił powoli, nachylając się nieznacznie. – W ciemności nie można było dostrzec sprawcy, nie ma szans. Dopiero przy wierzbie, chociaż też jedynie w konkretnym miejscu. Byłby prawie niewidoczny, przynajmniej stąd...

– On... nie wie o monitoringu – przypomniała sobie Maria. – Nie wie, że go zlikwidowali, więc dlatego ta trasa. To jasne. Mimo że stąd był niewidoczny, to dla tamtych kamienic był podany jak na tacy. – Wskazała na pasmo budynków rozciągających się za budką. – Gdyby wiedział o kamerze, to uznałby, że od strony kościoła byłaby najbezpieczniejsza droga. Odbudowywany budynek i parking, praktycznie zero mieszkańców, którzy mogliby go dostrzec. Dlaczego miałby ryzykować? Okej, pomnik i tuje to niezła kryjówka, ale czy on naprawdę jej potrzebował? – rzuciła pytaniem na zakończenie swojej teorii.

– No dobra, powiedzmy, że ma to sens, jednak nic nam to nie daje. Że nie jest mieszkańcem, wiedzieliśmy wcześniej... – dumął Feliks, rozglądając się po rynku, szukając tego, co mógł przeoczyć, będąc zbyt blisko miejsca zbrodni. Szersza perspektywa dawała większe możliwości.

– A teraz mamy pewność. Chodźmy, nic tu po nas. – Maria przybliżyła się do partnera, by Róża jej nie usłyszała. – Nawet jeśli go zauważyła, to nie widziała, kim jest, nie z takiej odległości i nie w nocy.

– Taa... – zgodził się Struner, a jego wzrok powędrował na oprawioną fotografię.

Przedstawiała trzy osoby. Jedną z nich był mężczyzna o czarnych włosach, który wyglądał dość młodo, lecz przy tym i dosyć poważnie. Ubrany w białą koszulkę, której krój wskazywał na te same lata co wystrój pokoju, oraz wyprostowana postawa nadawały mu dostojności. Obok stała kobieta, nieco niższa i starsza. Feliks uznał ją za bardzo ładną. Miała kasztanowe włosy, lekko podkrecone na końcówkach, sięgające ramion, a na sobie niebieską sukienkę w stokrotki, tak przynajmniej inspektor uważał jako laik. Dorośli trzymali dziewczynkę za ręce. Była ubrana w podobną sukienkę co jej mama, tylko bez kwiatków. W pasie przewiązано jej białą chustę. W czarnych prostych włosach tkwiła biała kokardka, pasująca do stroju. Najbardziej zwracała uwagę blada cera dziecka, ale to mogła być wina starej fotografii. Dziewczynka wyglądała na bardzo szczęśliwą, tak jak dwoje dorosłych, choć żadne z nich się nie uśmiechało.

Ciszę zakłóciło ponaglenie starszej pani.

– Długo je...

– Przepraszam, ale chciałbym jeszcze zapytać o jedną rzecz – przerwał jej Feliks. Róża kiwnęła głową. – Ma pani tu taki piękny widok, co za rynek! Na pani miejscu chyba codzienne bym go oglądał. A pani? – Spojrzał na kobietę. Wzruszyła ramionami. – Czy wczoraj albo w jakiś inny dzień... gdy tak pani patrzyła na miasto, zobaczyła pani kogoś nieznanego? Tu, na rynku?

Staruszka wpatrywała się w niego.

– Może kogoś dziwnego? – nie dawał za wygraną. – Coś sobie pani przypomina?

Podszedł do niej, emanując ciekawością. Maria pokręciła jedynie głową.

– Nie wiem, możliwe... – odrzekła niepewnie Róża.

– Może mi pani o tym opowiedzieć? – poprosił Feliks, a Maria aż się do nich przysunęła, nie dowierzając, że kobieta chce im coś wyznać.

– Nie wiem, kim on był. Nie jestem nawet pewna, czy to był on, czy może ona... – Kobieta spojrzała w podłogę. – I czy w ogóle kogoś widziałam. Kilka dni temu, w jej urodziny... byłam tu i spojrzałam przez okno. O, tam... – Wskazała na ruchliwą ulicę. – Był cały ubrany na czarno... Miał czapkę... Taką z daszkiem. – Jej głos przepelniały emocje. Skubała z futryny kawałki farby.

– Kim on był? Kim był ten człowiek? – dopytywał łagodnym głosem Feliks.

– To... To nie był człowiek. Widziałam jego oczy i... nadal je widzę, gdy zamykam swoje. Widzę go! To diabeł. – Przeniosła wzrok na mężczyznę i spojrzała mu prosto w oczy.

Inspektor zobaczył w nich przerażenie. Nie widział kłamstwa ani szaleństwa, choć Róża brzmiała, jakby postradała zmysły.

Dostrzegł wyłącznie paraliżujący strach.



## Rozdział 4

# Feliks

Maria ledwo mogła nadążyć za pospiesznie opuszczającym kamienicę Feliksem. Na progu niemal upadł.

Chociaż Róża nie opisała zbyt dokładnie krążącej po rynku dziwnej postaci, staremu policjantowi wyraźnie stanęła przed oczami. Gdy staruszka skończyła mówić, na krótki moment przymknął powieki i zobaczył mordercę. Jego ślepia, które tak bardzo przypominały plastikowe oczy misia. Ledwo wydukał z siebie „do widzenia” i wybiegł z mieszkania. By nie upaść, trzymał się poręczy, zapominając o odchodzącej farbie, i biegł, zeskakując po dwa stopnie. Ostatnie cztery pokonał jednym susem. Nie podejrzewał, że jest w stanie tak zrobić – miał przecież duży brzuch i sześćdziesiąt lat na karku. Zmęczony i zadyszany otworzył drzwi kamienicy. Wyszedł na świeże powietrze, którego teraz tak bardzo potrzebował. Właśnie dlatego tak pędził – w mieszkaniu Róży poczuł, jakby miał zaraz stracić przytomność, cząsteczki powietrza w pokoju jej córki powiększyły się stokrotnie i nie były w stanie przedostać się przez jego nozdrza i krtani. Teraz mógł wreszcie odetchnąć, zrobić głęboki wdech i uspokoić nerwy.

Przyłożył palce do tętnicy szyjnej i wbił wzrok w zegarek. Odliczał uderzenia serca. Walilo, jakby zaraz miało wyskoczyć z klatki piersiowej. Znów zrobił wdech i wydech, wdech i wydech... Powtórzył kilkakrotnie.



Maria obserwowała jego poczynania. W takim stanie jeszcze go nie widziała. Nie podeszła bliżej, nie chciała się narazić na nieprzewidywalną reakcję, jakiś niekontrolowany wybuch. Bała się partnera. O niego też, ale jednak bardziej jego samego.

„Co jest, kurwa? Atak paniki?”, zapytał siebie w myślach, po czym Mierzył tętno przez piętnaście sekund. „Przez ile to się mnożyło? Przez dwa? Cztery? Kurwa! Czekaj, chyba cztery”. Spojrzał na zegarek. Oddychał spokojniej, coraz wolniej. Patrzył na wskazówkę, która przesuwiała się z każdą sekundą, choć zdawało się, jakby trwało to znacznie dłużej. I wybiła piętnasta – doliczył się dwudziestu uderzeń. Pomnożone przez cztery, czyli osiemdziesiąt. Na granicy, ale w normie. Odetchnął głęboko i opuścił ręce.

– Wszystko w porządku? – zapytała Maria, podchodząc do niego powoli jak do rannego zwierzęcia, które mogłoby w desperacji zaatakować.

– Tak, chyba tak – odparł spokojnie, ale unikał wzroku partnerki.

Nie lubił wychodzić na słabego, zwłaszcza w towarzystwie kobiet. Zdawał sobie jednak sprawę, że zawsze okazywały się od niego silniejsze. Odkąd poznał swoją pierwszą żonę, a potem Marię, to one były dla niego opoką, nie odwrotnie. Zawsze starał się sprawiać wrażenie silnego, żeby bodaj trochę poczuły to, co on odczuwał przy nich. Bezpieczeństwo. Ale tego dnia obdarł Marię z iluzji, którą stworzył wokół siebie, ściągnął maskę, pokazał słabość.

– Co tam się stało? – Lipan położyła dłoń na jego barku.

W końcu Feliks zdecydował się, by spojrzeć jej w oczy. Zaskoczyło go, że nie było w nich pogardy czy rozczarowania, lecz zwykła troska. Ciepłe spojrzenie mówiące, jak bardzo właśnie się o niego martwiła. Tak, zobaczył również strach, który szybko zniknął, ustępując miejsca rozbawieniu.

– Nie wiem, jak Boga kocham, nie wiem, a kocham mocno... – Posłał jej krzywy uśmiech, a ona cicho się zaśmiała.

– Spoko, mnie też już robiło się tam niedobrze... Mówię ci, jeszcze pięć minut i bym zwymiotowała. Serio – powiedziała półzartem.

Słowa te dawały jasny sygnał, że nic się nie stało i mogą wrócić do pracy. Ba, muszą to zrobić. Feliks wyprostował się, a jego twarz nabrała kolorów. Tętno wróciło do normy.

– Ruszajmy. Musimy go znaleźć – rzucił pewnie, jakby niezręczna sytuacja nie miała miejsca.

W głębi duszy wiedział, że wystarczyło się uspokoić, by rozprawić się z jego najgorszym koszmarem i złapać Zabawkarza.

– Tędy. Jestem przekonana, że musiał wybrać tę trasę. – Funkcjonariuszka podążyła wzdłuż ulicy, którą tego ranka przejeżdżał Feliks.

Teraz też to widział: drogę, którą musiał wybrać. Była dość oczywista, ale wcześniej w ogóle nie zwrócił na to uwagi. Wcześniej liczył na cud. Kamera na urzędzie gminy sięgała wyłącznie ulicy prostopadłej do tej, którą skręcało się na rynek. To na niej znajdował się zaułek między kamienicami, prowadzący do ogródków mieszkańców centrum – z dala od kamer i tłumów.

Skręcili, wchodząc między budynki, gdzie uliczka zakreślała w lewo. Z jednej strony rozciągała się ściana domów, a z drugiej – działki, ogrody i rosnące przy płotach liczne tuje. Między nimi wiły się ścieżki, pozwalające na pozostawanie poza radarem wścibskich oczu. Po drodze minęli wiele porzucanych butelek, plastikowych kubków i paczek po ćmikach. Gdzieś dało się też zauważyć zużyte kondomy, nieudolnie zasypane piaskiem. To jasne, że działo się tutaj naprawdę wszystko, a czasem i może więcej, bez martwienia się o policyjne interwencje.

Feliks szedł powoli, a im byli dalej, tym bardziej czuł, że idą w odpowiednim kierunku. Okna w kamienicach, z których można by doglądać ogrodów, pozamykano i pozasłaniano nie tylko żaluzjami, lecz także storami.

„Mieszkańcy musieli mieć dość tej sodomy i gomory, przecież czego oczy nie widzą, to się nie wydarzyło, ech”, pomyślał Struner, rozglądając się wokół. Nie chciał ominąć nawet centymetra ściany czy zwirowanej drogi ani roślin wyrastających zza płotów. Wszędzie mogły być

pozostawione ślady, cokolwiek. W takiej uliczce zabójca mógł być mniej ostrożny...

– Słyszysz to? – odezwała się Maria.

Inspektor kiwnął głową, słyszał. Jakby stłumiony krzyk. Z niedaleka. Szybko się zorientowali, że to druga alejka od nich, poruszały się tam tuje. Pobiegli ku nim, wyciągając broń. Wymienili szybkie spojrzenia, po czym Feliks pierwszy wszedł na ścieżkę z – na wszelki wypadek – wymierzoną w żywopłot bronią.

– Policja! Na ziemię! – krzyknął, a po chwili rozłożył w zdumieniu ręce.

Maria stanęła obok, nadal z bronią w pogotowiu, którą szybko schowała.

– Kurwa, naprawdę? – Uczyniła taki sam gest jak partner.

Feliks spojrział na nią z zażenowaniem.

Właśnie nakryli dwoje nieletnich na tym, do czego nie dojrzeli. Chłopak mógł mieć może czternaście lat, a dziewczyna wyglądała na młodszą – niewiele, ale jednak. Oboje wystraszeni, wręcz przerażeni. Chłopak tak bardzo, że gdy próbował wciągnąć spodnie, upadł na ziemię. Dziewczyna natomiast zamarła, nie mogła się ruszyć. Marii ulżyło, że nastolatka była w pełni ubrana. Pokręciła z politowaniem głową. Małolata zrozumiała przekaz, bo od razu opuściła ze wstydem wzrok.

– Dobra, młody... – zaczął Feliks.

– Dzwonimy do waszych rodziców – przerwała mu Maria.

– Co? – wydarła się niemal jednocześnie para nastolatków.

– Nie, moja mama nie może się dowiedzieć – powiedziała błagalnie dziewczyna.

– No, a mój ojciec... – próbował coś wytłumaczyć chłopak.

– Dobra, zamknij się! – wrzasnął podirytowany Feliks. – Ty spierdalaj do chaty! – zwrócił się do chłopaka, który od razu wykonał polecenie. Wciągnął spodnie i pobiegł ścieżką między tujami. – I lepiej, żebyś nie przychodził tu więcej z małolatami!

– Tak po prostu go puszczasz? – Maria wydawała się zdenerwowana.

– Tak, on też jest jeszcze dzieckiem. Zresztą do niczego smarkuli nie zmuszał – odparł bez większego zainteresowania Struner. – Nie zapominaj, dlaczego tu jesteśmy. Tylko to się teraz liczy!

Spojrzał na partnerkę w sposób, którego nie lubiła. Od razu zamilkła, nie potrafiła mu się wtedy sprzeciwić, bo wiedziała, że mimo hartu ducha... nie da rady.

– A ja...? – zapytała niepewnie dziewczyna.

– Ile masz lat? – Maria podeszła bliżej.

– Dwanaście... w grudniu – odparła niechętnie małaletnia, patrząc pod nogi.

– Kurwa, jedenaście lat? Naprawdę? – Lipan zerknęła na Feliksa, który jasno dał do zrozumienia, że nie chce się mieszać. – Słuchaj, robiłaś to już?

Dziewczyna zaprzeczyła, kręcąc głową.

– Nie śpiesz się, nie warto. To zaledwie kilka minut, w dodatku niezbyt satysfakcjonujących. Nie wierz w te głupie opowieści z internetu. Seks nie jest tego wart, nie w tym wieku... – Maria zdumiała samą siebie tym kazaniem, ale miała wrażenie, że jej słowa poruszyły nieco jedenastolatkę, a przynajmniej może dały jej do myślenia. – Poczekaj jeszcze i wybierz kogoś odpowiedniego, wtedy będzie to miało sens i przyniesie odrobinę przyjemności – dodała, co trochę rozluźniło dziewczynę, która wreszcie na nią spojrzała.

– Czyli nie powie pani mojej mamie? – chciała się upewnić.

– Nie, jednak nie próbuj tego więcej. – Uśmiechnęła się do nastolatki, a ta odwzajemniła uśmiech i pokiwała głową. – W takim miejscu? Coś ty sobie myślała? – zażartowała Maria.

– Już? – wtrącił szorstko Feliks.

Policjantka zmierzyła go gniewnym wzrokiem.

– Mogę iść do domu? – spytała nieśmiało dziewczyna.

– Nie, nie sama. Maria cię odprowadzi. – Struner wskazał na partnerkę, która wydała się bardzo zdziwiona, ale nie zwracał na to uwagi. – Jak masz na imię?

– Agnieszka.

Feliks popatrzył na nią nieufnie.

– Naprawdę – zapewniła, odczuwszy siłę tego spojrzenia.

– Dobra, niech ci będzie.

– Poczekaj chwilę, tylko o czymś porozmawiam z tym niegrzecznym panem – powiedziała Maria i odeszła na bok z Feliksem. – Co robisz? Jestem ci tutaj potrzebna, tak? – Spojrzała na niego z wyrzutem.

– Nie, poradzę sobie... Ile ona ma lat? Jedenaście? Rozumiesz to? – syknął ostro.

Maria dobrze wiedziała, o czym mówi. Nastolatka nie powinna nigdzie chodzić sama, zwłaszcza po takich miejscach i zwłaszcza jeśli wrócił Zabawkarz. W dziewięćdziesiątym trzecim znaleźli trzy ofiary, – i żadna z nich nie miała więcej niż dwanaście lat ani mniej niż dziewięć. Co sprawiało, że Agnieszka była potencjalnym celem. Feliks miał rację, Maria musiała ją bezpiecznie odprowadzić.

– Zresztą... skoro zacząłeś już ją wychowywać, to zrób to porządnie – rzekł, odwracając się od niej.

Kobieta przemilczała jego uszczypliwość.

– Chodź, wyjaśnij mi, gdzie mamy iść. – Podeszła do dziewczynki, po czym ruszyły ścieżką.

– Ten pan dobrze się czuje? – Jedenastolatka zerknęła przez ramię na Feliksa.

– Trudno powiedzieć. Słowo „dobrze” raczej nie występuje w jego życiu – odparła Maria.

Po chwili zniknęły z zasięgu wzroku mężczyzny.

Feliks doceniał pomoc Marii, nawet jeśli w przeszłości rozstali się w gniewie, a może i nienawiści do siebie. Dziś potrafił o tym zapomnieć, bo wiedział, że bez niej nie znajdzie sprawcy. Znali go najlepiej. W głębi serca rozumiał, że oboje potrzebują tej sprawy, tego ostatniego zwycięstwa, odkupienia. Przed dwudziestoma pięcioma laty to oni zadowolili się najłatwiejszym tropem, najbardziej oczywistym, a i sami

przecież sprawili, że był wystarczający także dla prokuratury. To oni byli winni. I jeśli Zabawkarz wrócił, to oni mieli krew na rękach. Krew dziewczynki z pluszowego misia.

Potrzebował pomocy, w tej chwili jednak chciał zostać sam na sam z mordercą. A raczej z jego cieniem, echem jego czynów, które inspektor próbował zrozumieć. Był wyjątkowym policjantem. O niektórych jego talentach nikt nie miał pojęcia, również Maria. Jak choćby o tym... Nie była to specjalna zdolność w stylu komiksowego superbohatera. Mimo że Struner nigdy nie studiował psychologii kryminalnej i nie był profilerem, potrafił stworzyć w swojej głowie obraz mordercy. Nie wyobrażał sobie jego twarzy, nie na tym to polegało – w jego umyśle każdy zbrodniarz miał oblicze Feliksa. Przez kilka krótkich chwil, ułamków sekundy, był w stanie zobaczyć siebie jako oprawcę, poruszał się jak on i myślał jak on.

Właśnie ta umiejętność pozwalała mu dawniej znajdować idealne kozły ofiarne, które pasowały do jego wizji przestępców. Łapał też prawdziwych, a po dziewięćdziesiątym trzecim już tylko takich. Zabawkarz był ostatnim, który mu uciekł i którego musiał zastąpić kozłem.

To była pierwsza wielka sprawa od czasów transformacji. Do tego, jako byłego milicjanta, po każdej sprawie poddawano go dokładnej ocenie. To trudny okres w jego karierze; był na wylocie, jedno poślizgnięcie – i wyrzuciliby go jak psa (dostrzegął ironię). Potrzebował zwycięstwa, a Maria – wówczas żółtodziób i w dodatku kobieta – potrzebowała go równie mocno. Nie mówili o tym głośno, jedynie sobie przytakiwali, gdy któreś dopełniało jakąś pełną dziur teorię. Dokładali do śledztwa wątki, zeznania i domysły, tak aby wszystkie wskazywały na najbardziej oczywistą osobę. Znaleźli trzecie dziecko, które – jak wszystkie poprzednie – nie żyło. Prokurator był pod ścianą, a oni przynieśli sprawcę na tacy, więc to klepnął. Areszt, przesłuchanie, postawione zarzuty, przyznanie się do winy, sąd i więzienie. Bułka z masłem.

Wszyscy przydzieleni do sprawy zostali wyniesieni na piedestał, a Feliks miał zapewniony bezpieczny stołek w policji. Było tak, jak powinno. Dnia, kiedy zapadł wyrok, nawet Struner zaczął myśleć – choć wiedział, jakie to

naiwne – że może udało im się wrobić prawdziwego zabójcę. Do czasu... powrotu do mieszkania. Przed drzwiami zobaczył pluszowego misia, który do dziś stał u niego w pokoju. To była wiadomość. Zabawkarz wysłał jasny sygnał, że jest na wolności. Inspektor nikomu o tym nie powiedział, a pluszak pozostał tajemnicą, którą dzielił tylko z mordercą.

Dlatego chciał teraz zostać sam – to z nim dzieciobójca czuł więź i wyłącznie Feliks mógł ją odkryć. Przez dwadzieścia pięć lat nieustannie myślał o tym, że Zabawkarz gdzieś tam jest. A dziś był tak blisko niego, jak jeszcze nigdy. Dziś spojrzy w tę otchłań i nawet nie mrugnie, stanie twarzą w twarz ze swoją ciemną stroną. Przez lata czuł, że im dłużej morderca jest na wolności, tym dłużej siedzi zamknięty w jego głowie i tym bliżsi się sobie stają. Nie chciał tego przyznać, również przed sobą, ale czasami wydawało mu się, że są tacy sami i kroczą tą samą drogą do piekła. A tam pewnie staliby się najlepszymi przyjaciółmi... Teraz natomiast byli wrogami.

– Gdzie jesteś? – szepnął Feliks i zamknął oczy.

Ruszył w podróż, z której niełatwo mu się wracało, wszedł głębiej, otworzył czarne drzwi umysłu i... spojrział. Powietrze zdało mu się lekkie jak nigdy wcześniej. Kolory jaśniejsze, a krople deszczu już mu nie przeszkadzały. Stał się kimś innym, jak każdy, kto wyłączył swoje człowieczeństwo. „Emocje czynią cię słabym” – słyszał to nie raz, a gdy się ich pozbywał, odgradzał murem, zaczynał rozumieć, o co w tym chodzi. Emocje były jak klapki na oczach, nie pozwalały mu dostrzec wielu śladów, które Zabawkarz zostawiał tylko dla niego. A przynajmniej inspektor taką miał nadzieję...

Rozejrzał się po alejce. Na ziemi widział liczne ślady butów. Najświeższe należały do dzieciaków i Marii, więc go nie obchodziły. Szukał innych odcisków, nie tylko obuwia.

– Ciało ukryte w pluszowym misiu. Dziewczynka mogła ważyć od trzydziestu kilogramów w górę, może trzydzieści pięć. Niełatwo byłoby ją przenieść, nie odpoczywając, zwłaszcza w tym mišku – mówił do siebie.

To jedna z tych rzeczy, które robił w samotności. Tak lepiej myślał, bo gdy coś powiedział na głos, stawało się to realne... Było prawdą. Budząc się w nocy zlany potem, nie sądził, że tego dnia słowo „miś” tak często będzie padać z jego ust. W tej chwili nawet zarechotał, wydało mu się to zabawne.

– To musi być tutaj – stwierdził cicho.

Dopiero teraz do niego dotarło, że wyłącznie tą alejką można było przejść do równoległej ulicy. Wcześniejsze kończyły się w ogrodach mieszkańców kamienic, ale nie ta.

– To jedyne wyjście, logiczne – dodał głośniejszym głosem i podążył alejką do miejsca, gdzie zniknęła mu z oczu Maria z Agnieszką. – Dziewczynka... Gdzie ona jest?

Zaczął biec, coraz szybciej, szybciej. Zatrzymał się dopiero na ulicy i rozejrzał po kilka razy w prawo i w lewo, do przodu i do tyłu. Było całkowicie pusto, jakby Feliks trafił do wymarłej części miasta. Samochody stały po dwóch stronach jezdni, zaparkowane na chodnikach jeden przy drugim. Inspektor nie wyobrażał sobie, jak ktoś mógłby wyjechać, nie uszkadzając przy tym żadnego auta. Wokół nie było żywej duszy.

– Tu w nocy musiał zostawić wóz. Ja bym tak zrobił. I to nie tylko tej nocy.

Jego wzrok skakał z jednego pojazdu na drugi, choć wiedział, że tego, którego szukał, nie znajdzie. I wtedy zobaczył jakąś parkę. Szła w jego kierunku, a raczej w kierunku alejki, lecz kiedy młodzi dostrzegli Feliksa i jego surowe spojrzenie, odwrócili się i uciekli. Struner spojrzął na zaułek. Nawet stąd, z ulicy, widział go całego. Teraz świecił pustką, ale gdy inspektor zamknął oczy, już nie...

Zobaczył trzy młode dziewczyny, mogły mieć po jedenaście lat, nie więcej. Rozglądały się, jakby oczekiwały czyjś przyścia. Rozmawiały i chichotały, przynajmniej dwie z nich. Jedna stała bardziej z boku, z miną raczej niewyraźną. Nie była zachwycona, że tam jest. Jej koleżanki zaczepiały ją, bawiły się jej kosztem. Nie słyszał, o czym rozmawiają, ale im więcej mówiły, tym nastolatka bardziej markotniała. Nie widział ich twarzy, nie mógł też rozpoznać koloru włosów, a mimo to zdawał sobie



sprawę, co się między nimi dzieje. Koleżanki wciąż się rozglądały, lecz zupełnie nie zwracały na niego uwagi. A on stał i patrzył. Obserwował.

Jedna z dziewczyn – tych śmiejących się – wyciągnęła paczkę papierosów. Poczęstowała kumpelki. Smutna nastolatka odmówiła, lecz one nalegały, teraz już obie. Ta, która przyjęła papierosa, odpaliła go, zaciągnęła się i wydmuchnęła dym w jej twarz, a następnie złapała koleżankę za rękę i ścisnęła tak mocno, że ta aż pisnęła. Za drugi nadgarstek chwyciła ją dziewczyna z paczką fajek i także ścisnęła. Wolną dłonią włożyła jej do ust swojego papierosa. Buntowniczką zakrztusiła się i wypluła ćmika na ziemię. Kumpele głośno się zaśmiały, a później rzuciły ją na ścieżkę i zaczęły wyzywać. Dziewczynka usiadła i chwyciła palącego się obok papierosa. Skapitulowała. Małolaty stały nad nią, póki nie został tylko filtr. Nie zwracały uwagi, że koleżanka się krztusi i ciągle kaszle, musiała wypalić do końca.

Feliks nie reagował, choć sytuacja wzbudzała w nim złość. Chciał powstrzymać nieletnie od znęcania się nad koleżanką, ale stał w miejscu, czekał. Dwie dziewczyny wydały mu się zepsute tak bardzo, że nie widział nadziei na poprawę, natomiast ta opierająca się miała jeszcze szansę. Inspektor dojrzał w niej resztkę niewinności, coś, co mogło ją uratować.

Do grupki ktoś dołączył. Dużo wyższy chłopak – albo rósł nad wyraz szybko, albo co najmniej trzy lata dzieliły go wiekiem od dziewczyn. W rękę trzymał szklaną butelkę. Z daleka można było rozpoznać, że z wódką, i to jedną z tych tańszych. Odkręcił ją, co bardzo ucieszyło dwie wredne małeletnie. Flaszka zaczęła krążyć z rąk do rąk między nimi i chłopakiem. Siedząca na ziemi dziewczyna płakała, ale usiłowała być cicho, mając nadzieję, że rozbawione koleżanki o niej zapomną. Myliła się. W butelce została ponad połowa płynu, gdy jedna z nich chwyciła ją za włosy. Odchyliła dziewczynie głowę, mówiąc coś do niej, po czym ją uderzyła – alkohol wyzwolił agresję. Jedna z nastolatek trzymała płaczącą za włosy, a druga wlewała jej do buzi wódkę. Atakowana prosiła, by przestały, ale one nie zamierzały tego słuchać i wlewały w nią alkohol, dopóki nie opróżniły flaszki. Kiedy naczynie wylądowało na ziemi, a one

puściły koleżankę, ta zaczęła wymiotować. Część wymiocin wylądowała na bucie jednej ze znęcających się dziewczyn, która natychmiast zareagowała, kopiąc ją po brzuchu tak długo, aż but stał się znów czysty. Potem okrutne nastolatki powiedziały coś do chłopaka i cała trójka się oddaliła, zostawiwszy na dróżce pijaną i pobitą koleżankę. Ta cały czas płakała, nie mając pojęcia, co się dzieje. Alkohol szybko uderzył jej do głowy – leżała ledwo przytomna.

Feliks zrobił w końcu krok do przodu. Otworzył oczy. Alejka znów była pusta, a on znalazł się w obserwowanym przed chwilą miejscu. Jak? Nie wiedział, przecież zrobił tylko jeden krok. Nagle poczuł, że powietrze znów zgęstniało, a krople deszczu stały się zimne i irytujące. Pochylił się i położył ręce na kolanach. Oddychał głęboko, co nie było łatwe. Ponownie wszystko wydało mu się nazbyt męczące – emocje wróciły.

Nigdy nie był pewien, czy to, co zobaczył, gdy próbował postawić się w roli mordercy, naprawdę się wydarzyło, lecz wiedział jedno: w tym zaułku morderca mógł znaleźć swoją ofiarę. Dzieci uciekające z lekcji do miejsca, gdzie nie zaglądali dorośli; do miejsca, które rodziców zwyczajnie nie obchodziło. Idealna lokalizacja dla zbuntowanych i poszukujących sensu dzieciaków, co sprawiało, że właśnie ten obszar stał się dla nich najniebezpieczniejszy w całym mieście. A oprawca już je znał.

Inspektor patrzył w ziemię, oddech bardziej mu wadził, niż pomagał. Pośród kropli deszczu słyszał jedynie swoje dyszenie. Był przemoczony. Nie miał pojęcia, jak długo tak stał. Wciąż wpatrywał się w ścieżkę, tam, gdzie leżała dziewczynka. Wgapiał się w nią, nie mogąc oderwać wzroku. Jakby w tym błocie miał znaleźć odpowiedzi na swoje pytania. Mrugał coraz częściej, bo woda spływała mu po twarzy, często trafiając do oczu. Po którymś mrugnięciu nareszcie coś zobaczył. Tylko przez chwilę – tak krótką, że pomyślał nawet o zwidach. Ta jedna kropla coś przed nim odsłoniła, coś dziwnego, brązowego.

Padł na kolana, nie zważając na błoto. Zaczął rozrzucać rękami ziemię. Szybko dokopał się do tego, czego szukał. Woda cały czas zalewała dziurę. Już wiedział, co trzymał w dłoniach. Odczekał kilka sekund, zanim

wyciągnął to z wody. Bał się, był pewny, co zobaczy. Pragnął odwlec ten moment jak najdłużej. Nie zwracał uwagi, czy ktoś idzie, czy Maria wraca, po prostu czekał. Dziurę powoli wypełniało błoto – na dłoniach poczuł chłód ziemi i jej gęstość. Zadziałała jak przycisk aktywujący jego ręce. Wyciągnął je z rozmięklej ziemi wraz z... małym misiem. Maskotka była cała brudna, ale łatwa do rozpoznania, przynajmniej dla Feliksa. Czerwone oczy, smutna mina, wyczuwalny szew pod prawą łapą. To była wiadomość dla niego.

Patrzył, jak deszcz zmywa błoto z sierści pluszaka. Przecierał dłonią jego pyszczek, bardziej brudząc go, niż czyszcząc. Spoglądał w jego czerwone oczy, nie zwracając uwagi na swoje kolana, które coraz bardziej zapadały się w błocie. Ocknął się, kiedy w jego kieszeni zaczął wibrować telefon. W jednej sekundzie był na nogach z komórką w ręku. Na ekranie wyświetlał się numer Marii. Obłoconym palcem wcisnął zieloną słuchawkę.

– No? – odezwał się szorstko.

– Gdzie jesteś? – usłyszał zdziwiony głos kobiety. – Minęło ponad półtorej godziny, myślałam, że zobaczymy się na komendzie – dorzuciła, nie kryjąc irytacji.

– Co? To już... – Oderwał od ucha telefon, by spojrzeć na godzinę. Partnerka miała rację. – Nieważne, znalazłem coś. Niedługo będę.

– Pospiesz się, chyba mamy problem – uprzedziła.

Feliks rozłączył się, kiedy usłyszał, jak brała oddech, by mówić dalej. Dla niego rozmowa się skończyła; wiedział, gdzie jest, wiedział, co ma robić, nie było sensu słuchać o problemach – nie w tym miejscu, w którym się znajdował.

Trzymając misia, poczuł, że ze szwów pod łapą coś wystaje. Sprawdził, co to takiego, ale nie mógł dojrzeć przez deszcz i błoto. Chwycił delikatnie za nitkę. Początkowo nie puszczała, była mocna – zbyt mocna. Ścisnął palce z większą siłą i... rozpruł cały bok zabawki. Aż prawie odpadła łapka. Z wnętrza nie wysypały się trociny czy wata. Feliks miał nadzieję, że to jakieś nici, ale ta szybko umarła. Gdy dotknął tajemniczego tworzywa, od

razu się zorientował, że ma do czynienia z... włosami. Choć padało, a błoto wdarło się do środka, rozróżnił trzy odcienie.

– Kurwa...

To jedyne słowo, które przeszło mu przez gardło i wydawało się odpowiednie.

Zaczęły mu się trząść ręce. Dobrze wiedział, że nie z zimna. Z uwagą badał wnętrze przytulanki, aż między włosami dojrzał złożoną wielokrotnie kartkę. Wyciągnął ją i schował do kieszeni kurtki. Nie chciał, by zniszczył ją deszcz. Nie chciał też, by zobaczył ją ktoś inny. Nie, dopóki sam jej nie przeczyta. „Ta wiadomość jest dla mnie, tylko dla mnie”, pomyślał.

Znalazł to, po co tutaj przyszedł z Marią, a nawet więcej, niż się spodziewał. Znacznie więcej. Ruszył do swojego auta. Dawno powinien być na posterunku. Co to był za problem, o którym wspomniała Maria? Nie bardzo go to teraz obchodziło. Odnalazł przecież coś ważniejszego. I mimo że mogły to potwierdzić jedynie badania, a część włosów mogła być przefarbowana, śledczy czuł w głębi duszy – nie potrafił pozbyć się tych przeczuc – że Zabawkarz rozpoczął swoją grę. I Feliks właśnie poznał jej stawkę: trzy życia. Zupełnie jak dwadzieścia pięć lat temu.

Deszcz przybrał na sile. Choć Struner był już całkiem przemoczony, i tak wydawało mu się, jakby spadające na niego krople były znacznie zimniejsze niż wcześniej. Odpalił samochód. Początkowo nawiew był chłodny, co sprawiało, że mężczyzna trzął się coraz mocniej. W rękach trzymał poskładaną kartkę. Ścisnął ją mocno i chociaż ciekawość była wielka, strach okazał się silniejszy.

– Jeszcze nie teraz – powiedział do siebie i schował ją w podłokietniku auta.

Powietrze z nawiewów zrobiło się nieco cieplejsze, lecz on nadal dygotał. Na miejscu pasażera posadził pluszowego misia – w taki sposób, by jego plastikowe oczka zwracały się ku niemu. Wzrok pluszaka był taki sam jak tego w jego mieszkaniu oraz tego, który dziś wisiał na wierzbie. Feliks miał wrażenie, jakby każdy z nich zaglądał w jego duszę. Przechodnie patrzyli

na niego jak na dziwaka. Stał przed sklepem od co najmniej dziesięciu minut – w dodatku wyglądał dość mizernie, co mu jednak nie przeszkadzało. Trzymane przy ciepłym powietrzu z nawiewu ręce odzyskiwały czucie. Struner głośno wypuścił powietrze. Powinien spieszyć się na posterunek, ale nie widział sensu w pośpiechu. Takiej sprawy nie rozwiązuje się szybko, a do tego on sam musiał się uspokoić.

Już czas, jedź – usłyszał w głowie znajomy głos. Ten sam, który w nocy kazał mu wstać z podłogi, gdy patrzył na misia. Feliks nawet nie spojrzął na tego siedzącego obok, po prostu wykonał polecenie. Wrzucił bieg i ruszył.

Komenda policji pamiętała czasy sprzed zmian. Wyglądała jak żywcem wyjęta właśnie z tamtego okresu. Odchodząca sinożółta farba, zardzewiałe kraty czy zniszczony płot wokół budynku. Nic dziwnego, że inspektor go nie pamiętał. Gdy przyjechał tutaj po raz pierwszy, w dziewięćdziesiątym trzecim, była to jedna z najnowszych i najlepiej wyposażonych komend. Nic się w niej niby nie zmieniło, lecz mury niszczały, a przejmujący władzę burmistrzowie zapewniali jedynie nowe radiowozy. Nic poza tym. Nikt nie zainteresował się budynkiem, w którym pracowali ludzie strzegący bezpieczeństwa mieszkańców. Przecież to policyjne auta pokazywały się na ulicach, gdzie każdy mógł je zobaczyć. Tak tworzono iluzję, że policja ma się dobrze.

Feliks zaparkował obok znajomego już czarnego sedana. Przeszedł obok niego obojętnie, choć samochód przykułby wzrok każdego faceta. Masywny, o dużym silniku, jeden z najnowszych modeli, a on nawet nie spojrzął na znaczek. Sama linia auta nic mu nie mówiła, nie interesował się motoryzacją, nie aż tak. Po co miał znać się na rzeczach, na których zna się dziewięćdziesiąt dziewięć procent mężczyzn? On za to znał się na tym, na czym dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć procent ludzkości się nie znało. Mógłby się nauczyć czegoś o samochodach, ale po co tracić czas. Nigdy tego nie rozumiał. Po co tak bardzo skupiać się na przedmiocie, którego jedynym zastosowaniem jest pokonanie trasy z punktu A do punktu B? Nic więcej, oto cała filozofia motoryzacyjna. Nie pojmował

nadawania temu znaczenia większego, niż w rzeczywistości miało. Kiedyś wdał się w dyskusję z jednym z policjantów na swoim posterunku w Poznaniu. Argumenty typu ryk silnika, szybkość czy możliwość wyrywania kobiet na karoserię wywoływały u Feliksa śmiech.

– Im będą mocniejsze, im więcej koni tam władują, im szybciej będzie jechał, tym większe niebezpieczeństwo na trasach. A drogówka? Będą mieli jeszcze trudniejszą pracę, ale o tym nikt nie myśli. Wypadki nie dzieją się z przypadku: zawsze jest winny człowiek, który nie powinien mieć dostępu do takiej mocy – odpowiadał rozmówcom, czym za każdym razem zamykał dyskusję.

Luźna dysputa o autach zamieniała się w pogadankę Feliksa, prostującego postawy kolegów. Zresztą tak było z każdym tematem – nie bawił się w błahe pogaduszki, gadki szmatki czy pogawędki o niczym.

Wkroczył do komendy. Mimo że był mokry, brudny od błota i wyglądał raczej jak osoba, którą powinno się zatrzymać, szedł dumnie po stopniach na piętro. Trzymał w ręce rozprutego misia, w drugiej zaś odznakę, przyszykowaną, by pokazać ją zdziwionemu funkcjonariuszowi w okienku. Ten nie zdążył się nawet odezwać i wyprosić dziwnego mężczyzny, gdy Feliks przycisnął blachę do szyby. Dyżurujący kiwnął głową, wpuścił go i przyglądał się, jak znika za drzwiami.

– Gdzieś ty był?! – krzyknęła Maria, kiedy go zobaczyła. – Kurwa, jak ty wyglądasz? – I wtedy spostrzegła misia. – On ci to zrobił? – zadrwiła.

Partner zmierzył ją surowym spojrzeniem.

– Nie, ale to faktycznie ma z nim związek – odparł. – Był zakopany w alejce przez... – Urwał i dodał ciszej, widząc, że wszyscy się im przyglądają: – Przez niego.

Maria łypnęła na Feliksa lekko przerażona.

– Jak to? Skąd wiesz?

– Spójrz. – Pokazał jej, czym był wypchany pluszowy miś.

– Włosy? – Dotknęła ich palcami. – To są ludzkie włosy?

Szybko odsunęła dłoń, jakby dotknęła gorącej blachy.

- Spójrz dokładniej, są trzy odcienie... Tak myślę. Kurwa, to błoto...
- Daj, wyślę to do laboratorium. – Maria chwyciła miśka. – Ale jeśli to są trzy rodzaje... – Zamilkła, nie chcąc mówić tego na głos.
- Będą trzy ofiary – zakończył za nią.
- Mogłeś go delikatniej rozpruć... – skomentowała po chwili poczynania partnera.
- Nie moja wina. To się stało, jak go wyciągałem, stąd też tyle błota – tłumaczył się Feliks. – Gdzie jest ten aspirant? Maciejczyk? – zapytał szybko, by zmienić temat. Miał dość rozmowy o pluszakach.
- Pojechał z tą wdową. Co przypomina mi o problemie... – odpowiedziała Maria. – Jej córka nie miała znamienia na plecach. Wiem, że to nie dowód, tylko twoja teoria. Ale teraz, kiedy przyniosłeś to tutaj... – Wskazała na misia. – Teraz nie mogę pozbyć się wrażenia, że część tych włosów będzie należeć właśnie do niej.
- Taaa, też o tym pomyślałem – odrzekł Struner zmęczonym głosem.
- To nie wszystko... – zaczęła niepewnie partnerka, lecz gdy na nią spojrział, zaczęła mówić dalej. – Przyjechała pani burmistrz. Wcześniej...
- Co? Po co? – zdziwił się Feliks. Nietrudno było wychwycić w pytaniu złość.
- Jak to „po co”? Nie wiesz, jak to działa? Za niecały miesiąc wybory, a morderstwo w samym centrum miasta to nie jest dobra prasa dla urzędującej burmistrz, prawda? – prychnęła trochę podirytowana Lipan, jakby musiała tłumaczyć coś oczywistego dziecku.
- Chce ciszy, tak? – upewnił się spokojnie inspektor.
- I szybkiego złapania mordercy. Normalka.
- Taaa, jebać politykę, zrobimy to tak, jak należy.
- Chciałaby, żebyśmy zdążyli przed pierwszą turą... – wyjaśniła funkcjonariuszka pełnym niepewności głosem.
- Co? Nie, nie, nie rób tego, nie tym razem. – Feliks podszedł do niej bliżej. – Oboje mamy za sobą karierę, teraz czeka nas już tylko piach, więc zapomnij o nic niewartych wpływach i zrób to, co trzeba. I jebać wybory,

głosujesz zawsze na to samo gówno, jedynie nazwy są inne. – Zaczerpnął głęboko powietrza. – Obiecałaś mi, więc dotrzymaj słowa. Nikt nie chce go bardziej złapać ode mnie... Kurwa, na Boga, zrobię to. – Odwrócił się, a ostatnie słowa wypowiedział bardziej do siebie niż do partnerki.

– Masz rację, nie chciałam tego sugerować – powiedziała cicho Maria, a on posłał jej krótkie spojrzenie, bez złości. Odetchnęła z ulgą. – Jaki kolejny krok?

Zanim zdążył odpowiedzieć, ze swojego gabinetu wyszedł komendant policji. Feliks wiedział, że przed laty pracowali wspólnie nad jakąś sprawą, ale za cholerę go nie pamiętał. Przypatrywał się mu uważnie i ostatecznie stwierdził, że w sumie nie miał powodu, by go pamiętać. Facet niczym się nie wyróżniał. Mógł mieć tyle lat co Struner, ale jego wygląd był tak zwyczajny, że inspektor nie potrafił dokładnie oszacować nawet wieku. Wzrost przeciętnego mężczyzny, ani chudy, ani gruby, a już na pewno nie umięśniony. Jego chód również był nudny. Nic dziwnego, że podwładni nie zauważyli jego pojawienia się w polu widzenia. Jediną emocję, jaką wzbudził w Feliksie, to żal, że on nie miał takiego przełożonego w Poznaniu. Jego życie byłoby prostsze, gdyby dawano mu w każdej ze spraw wolną rękę.

Zerknął na Marię, która odniosła chyba podobne wrażenie, bo nie skupiła uwagi na dowodzącym choćby przez pięć sekund. Odwróciła wzrok, jakby był niemającym znaczenia zwykłym posterunkowym. W końcu któryś z policjantów gwizdnął, a reszta stanęła na baczność. Komendant machnął ręką, aby spoczęli. Dopiero teraz Feliks spostrzegł, że funkcjonariusze szykowali się do wyjścia. Ich przełożony był gotowy. Wkładali kurtki, kamizelki i płaszcze przeciwdeszczowe.

Struner spojrział pytająco na Marię, a ona przewróciła oczami i rzuciła nonszalancko:

– Poszukiwania.

– Nie znajdują jej w lesie czy gdzie tam chcą iść. On tak nie działa – zaznaczył.



– Wiem, ale co chcesz? To córka ich kolegi, nie będą przecież siedzieć beczynnie, a raczej nie możemy wchodzić do każdego domu w Pobiedziskach i przeszukiwać każdego zakamarka – odpowiedziała szybko Lipan, bo komendant już do nich podchodził.

– Dzień dobry. Kopę lat, Feliksie – przywitał się, ściskając dłoń mężczyzny.

Uśmiechał się szeroko, jak do przyjaciela sprzed lat.

– To prawda, ale okoliczności mogłyby być inne – odparł trochę zakłopotany inspektor. Za nic w świecie, nie przypominał sobie imienia tego człowieka, tym głupiej mu było, że ten z taką łatwością zapamiętał jego. Maria tylko chichotała cicho. Dobrze знаła tę minę partnera i zawsze ją bawiła. – Gdzie chcecie zacząć?

– Sam nie wiem... W tej gminie jest wiele miejsc, gdzie można uciec – stwierdził zamyślony komendant.

– Uciec?! – zdumiał się Feliks.

– Nie możemy jeszcze łączyć tych dwóch spraw. Milena, matka dziewczynki, powiedziała, że ostatnio dużo się kłóciły, a córka coraz więcej czasu spędzała z jakimś chłopakiem. To brzmi jak ucieczka. Jeden z policjantów pojechał, żeby sprawdzić tego chłopaka. W dodatku ochotnicza straż z Pobiedzisk i Biskupic zadeklarowały pomoc w przeczesywaniu terenów leśnych. Policjanci z Poznania też zostali, by pomóc. Im nas więcej, tym większe mamy szanse. Zresztą wiesz, jak to jest. Pierwsza doba najważniejsza. – Pod maską obojętności pojawiły się smutek i troska.

– Ale musicie brać pod uwagę, że to nie była ucieczka. Że mogło jej się coś stać – podpowiedział Feliks, a Maria chwyciła go za rękę. Znała to spojrzenie, znów błyszczała w nim złość.

– Ona uciekła. Wiem, że czas nie gra na naszą korzyść, ale to, że znaleźliśmy tamtą... dziewczynkę, nie oznacza, że córka Mileny też... To po prostu zbieg okoliczności. – Komendantowi łamał się głos, a na twarzy rysowało się coraz większe przejęcie. – Wiem, że to straszna tragedia, co stało się z tym dzieckiem. Ale musimy znaleźć zaginioną dziewczynkę. Wy

macie swoje śledztwo, dlatego nie proszę o pomoc w poszukiwaniach. Im szybciej znajdziecie skurwiela, tym lepiej. – Barwa głosu dowodzącego znów się zmieniła, co zdziwiło nawet Strunera.

Maria cały czas trzymała go za nadgarstek i ścisnęła, by partner nie wybuchł.

– Alejka... Ta przy rynku. Tam, gdzie zbierają się dzieciaki... Ktoś musi jej pilnować – rzekł spokojnie, choć ręce mu się trzęsły.

Wkurzał się, bo dla niego było oczywiste, że sprawy są połączone. Z drugiej strony – on wiedział, że Zabawkarz wrócił, reszta nie.

– Inne dzieci mogą być w niebezpieczeństwie – przypomniał, gdy aktualny zwierzchnik spojrzał na niego pytająco.

– Marek wam pomoże, ale resztę potrzebuję w terenie – oznajmił już swoim zwykłym tonem, bez wyrazu. – Musimy znaleźć córkę Mileny, to nasze zadanie. Waszym jest znalezienie mordercy. Wtedy nikt nie będzie zagrożony.

Ostatnie słowa mocno akcentował, tak by dotarły do inspektora. Feliks wiedział, że komendant ma rację. Gdyby wówczas dobrze wykonali swoją robotę, dziś nikt by nie musiał się martwić i nie mieliby zwłok w drodze do zakładu medycyny sądowej, a i ta dziewczynka by nie zaginęła. Gdyby... Jego wzrok powędrował ku Marii. To z nią dzielił ten sekret i winę.

– Nie wspomniałeś mi o pluszowym misiu... – rzuciła, kiedy komendant odszedł.

– Nie zapytał – odparł trochę złośliwie Feliks, a na twarzy kobiety pojawił się uśmiech. – Nie no, sama słyszałaś, to nasze zadanie.

– Musimy wyciągnąć akta z tamtego śledztwa.

Struner kiwnął głową i powiedział:

– Co z mediami? Rozumiem, że burmistrz rozmawiała z komendantem? Śledztwo to jedno, ale zdjęcie dziewczynki mogliby pokazywać... Może ktoś coś widział.

– Rozmawiali przez jakiś czas w jego gabinecie, nie wiem o czym. Gdy wychodziła, wyglądała na zadowoloną.

– W takim razie my to zrobimy. Jak ona miała na imię?

– Dziewczynka? Magda Sajno, jedenaście lat.

Feliks miał już w ręku telefon, na którym pisał wiadomość do dziennikarza jednej z komercyjnych stacji. Po ponad trzydziestu latach służby wiedział, że z reporterami trzeba żyć w zgodzie. Ich pomoc zawsze się przydawała, a jeśli ceną było kilka przecieków ze śledztwa, chętnie ją płacił.

Zaginęła dziewczynka, 11 lat, w Pobiedziskach (wielkopolskie), Magda Sajno. Puśćcie informację i poproście o kontakt na policji, zdjęcie dostarczę później. Możliwe porwanie, dowiesz się pierwszy.

SMS wystarczył. Otrzymał odpowiedź dosłownie po sekundzie. Reporter zrobi, o co poprosił.

– Przynajmniej jedna dobra wiadomość – zwrócił się do Marii inspektor.

– To wkurzy kilka osób – skomentowała obojętnie.

– Nie jesteśmy tutaj, by zdobywać przyjaciół, ale żeby złapać skurwiela – warknął Feliks, a kobieta przewróciła oczami. Zbyt dobrze znała partnera i jego zamiłowania do przemów, podczas których chciał wyjść na obrońcę prawa i uciśnionych. – Dawniej robiliśmy wszystko po cichu, teraz niech wie, że go szukamy. Niech popełni błąd.

– Dobra, ja jadę z tym. – Maria machnęła mu przed oczami misiem. – Może jeszcze zdążę.

Śledczy dostrzegł w jej spojrzeniu pytanie o jego plany.

– Pokręcę się po mieście, popytam... Sam nie wiem, czuję, że możemy zrobić więcej.

Próbował ukryć zmęczenie oraz to, jak bardzo zmarzł.

– Daj spokój, oni już jej szukają, a ty byłbyś kolejnym błakającym się po omacku durniem. W taki sposób nie da się go złapać, dobrze o tym wiesz – powiedziała dobitnie, wiedząc, że tylko tak go pocieszy. – Dziś już nic nie zrobisz. Rano dostaniemy akta, a wyniki przyjdą dopiero po kilku dniach, może wcześniej. Przy odrobinie szczęścia jutro któryś z nauczycieli

poinformuje nas, że jakaś uczennica nie pojawiła się od kilku dni w szkole. A wtedy dowiemy się, kim jest dziewczynka z misia.

– Przy odrobinie szczęścia? – Struner zrobił zdziwioną minę.

– Wiesz, co mam na myśli. Nie wiemy, kim ona jest. Może to córka tej Mileny, a może nie. Mamy ofiarę bez tożsamości. Czy wybrał ją przypadkiem? Czy może planował to od dłuższego czasu? Nie wiemy, kurwa, nic nie wiemy.

Maria właśnie zdała sobie sprawę, jak bardzo jest sfrustrowana. Śledztwo dopiero się zaczęło, a oni już mierzyli się z tyloma przeszkodami.

– Masz rację, nic nie wiemy, ale czy to nas usprawiedliwia?

Nie zrozumiała, co partner miał na myśli. Dojrzał to w jej spojrzeniu.

– Nieważne, masz rację – dodał szybko.

Zerknął na powieszony nad drzwiami gabinetu komendanta zegarek. Był zdziwiony, gdyż dochodziła piętnasta. Gdzie uciekły mu te wszystkie godziny? Czy aż tak dużo czasu spędził w alejce?

– O, i byłabym zapomniała – odezwała się po krótkiej ciszy Maria, wkładając płaszcz. – Masz. – Podała Feliksowi czarny pendrive. – Tu są zdjęcia z rana. Wiem, że nie dasz sobie dzisiaj z tym spokoju. A tak przynajmniej może coś wyłapiesz. I ogarnij się. – Uśmiechnęła się sztucznie.

– Dzięki. – Inspektor chwycił urządzenie i schował do wciąż mokrej kurtki.

– Do jutra. Zadzwoń, gdybyś coś znalazł albo potrzebował pomocy – powiedziała Lipan najmilej, jak potrafiła.

Podeszła do niego. Feliks był przekonany, że – jak to miała w zwyczaju – chce go na pożegnanie pocałować w policzek. Nic z tego. Uśmiechnęła się za to, tym razem z satysfakcją.

– Nie wierzę, że ten nudny komendant tak ci pocisnął. – Ruszyła do wyjścia z pluszowym misiem w ręce i zawieszoną na nadgarstku czarną parasolką.

– Nie pocisnął... Pozwoliłem mu spuścić trochę pary – zamruczał do siebie Feliks.

Wszyscy wyszli. Na posterunku został jedynie funkcjonariusz w okienku.

„Tylko co się stało z komendantem? To zupełnie inny człowiek. Takiego bym zapamiętał. Chociaż nie... Przecież on jest nieważny, więc po co o nim pamiętać”, pomyślał inspektor.

Cisza na posterunku dawała mu się we znaki, lecz nie bardzo chciał wracać do Poznania – do pustki w mieszkaniu i może nawet bardziej od niej cięższej ciszy. Maria miała najprawdopodobniej rację, nic więcej nie mogli dziś zrobić. Z bezsilnością najtrudniej było mu się pogodzić. Już raz to zrobił, a dwadzieścia pięć lat później musiał mierzyć się z konsekwencjami.

Wyciągnął notes, chcąc zerknąć jeszcze raz na zapiski z dzisiejszego dnia. Nie było tego wiele, więc czuł się zawiedziony. Nie znalazł w nich niczego, czym mógłby się od razu zająć czy sprawdzić trop, ponieważ go nie miał. Pośród kartek natrafił na numer ekspedientki; nie tej, z którą rozmawiał wcześniej, ale tej, która była w pracy zeszłego wieczoru. „Przynajmniej coś”, przemknęło mu przez głowę z satysfakcją. Jednak ta szybko zmieniła się w gniew, w złość na samego siebie. Nie powinien zapomnieć o tej kobiecie, była wszak oczywistą osobą do przesłuchania.

Może przyszła do pracy – usłyszał znajomy głos, który przestał już wywierać na nim wrażenie. Przyzwyczajał się do niego.

Właśnie minęła piętnasta, pora zmiany w sklepie – warto było sprawdzić. Mógł zadzwonić, umówić się w jej domu i tam przesłuchać, ale miało to jedną wadę. Dom był strefą komfortu. Feliks nie lubił, gdy świadkowie, nawet o nic nie podejrzani, czuli się zbyt bezpiecznie. Trudniej jest kłamać, omijać pewne fakty, kiedy atmosfera wokół nie jest przyjazna. Ludzie są wtedy niczym otwarta książka, łatwi do przeczytania, wystarczy umieć dostrzegać szczegóły. Stres manifestuje się na różne sposoby, a inspektor znał je wszystkie. Nietrudno mu było zdobywać zaufanie albo wzbudzać strach u osoby spiętej. Otoczenie było ważne,

zawsze. Gdy samo miejsce wzbudza pewien dyskomfort, Feliks może być miłym gliną – jak kotwica na rozszalałym morzu czy szalupa na tonącym pokładzie. Wykorzystywał to, a świadkowie się przed nim otwierali. Burzył mury w ich umysłach. Niektórzy musieli poczuć strach zamiast stresu, by zacząć gadać. Przerazenie to największa motywacja do mówienia prawdy.

Struner zostawił swój numer u dyżurującego policjanta i zaznaczył, żeby skontaktował się z nim aspirant Maciejczyk. Bezzwłocznie. Od razu, jak tylko pojawi się na posterunku. Chciał wiedzieć, co powiedziała matka, ale jeszcze bardziej – poznać nastawienie funkcjonariusza. Czy się angażuje, czy woli chodzić po lesie i gonić wiewiórki. Potrzebował kogoś, kto w stu procentach poświęci się śledztwu. Podczas sprawy Feliks nie robił nic na pół gwizdka. Nawet gdy szukał kozła ofiarnego, znajdował najlepszego, jakiego mógł. W pracy nigdy nie zawodził, za to w życiu rodzinnym... tak, również w stu procentach.

Nie pił, przynajmniej nie w pierwszym małżeństwie, nigdy też nie uderzył żadnej z żon, nawet przy zatrzymaniu starał się nie używać siły. Nie był tego typu mężczyzną. Był natomiast zamknięty w sobie. Według niego udane małżeństwo to takie, gdzie się nie zdradza, seks jest dobry, a rozmowy trwają do pięciu minut. Ze względu na charakter jego pracy i tak nie mogły trwać dłużej. Tyle że jego żony chciały owego „dłużej”, czego nie rozumiał. Chciały opowiadać o sobie i słuchać o nim, chciały, by się otworzył, mówił o emocjach i uczuciach. A on milczał. Zdawał sobie sprawę, że robi błąd, już w momencie jego popełniania, co jednak go w niczym nie powstrzymywało. Ze smutkiem zauważał, jak jego żona się od niego oddala, i odpychał ją jeszcze bardziej. Niezbyt go to obchodziło, przynajmniej nie w tamtym czasie.

„Emocje czynią cię słabym”, powtarzał za każdym razem, gdy przytłaczało go śledztwo. W takie dni pragnął pobiec do żony, przytulić się do niej i wypłakać, co nie znaczyło, że tak robił.

– Nie mogę patrzeć, jak się męczysz, jak jesteś coraz bardziej nieszczęśliwy. Czuję się, jakby to była moja wina... – mówiła Justyna.

– Ale to nie twoja wina – odpowiadał.

– Wiem, że nie moja! Zrozum, że to, co robisz, ma wpływ na nas wszystkich, a ja nie chcę takiego życia. Nie dla siebie, nie dla moich dzieci. To koniec.

Milczał, więc dodawała:

– Naprawdę? Kurwa, dzieliliśmy wspólne życie, skurwielu, a ty nie masz nic do powiedzenia? Nawet nie próbujesz mnie zatrzymać?

Przeżył co najmniej trzy takie rozmowy. Chociaż nie, z ostatnią poważną partnerką nie miał dzieci.

W szufladzie przy biurku leżały w małym pudełeczku dwie złote obrączki, pamiątki po żonach. Może przez skąpstwo, a może pragnienie czucia, że wciąż trwa pierwsze małżeństwo, nigdy nie zmienił swojej obrączki. Nawet gdy planował ślub z ostatnią partnerką, nie zamierzał kupować nowej. Często na służbie nosił ją w kieszeni, nawet po rozwodzie, tym pierwszym i drugim.

Tylko z jedną osobą lubił rozmawiać dłużej niż pięć minut, tylko ona zmiękczyła serce Feliksa. Córka, jego pierwsze dziecko, mała Gosia. Nawet kiedy był wykończony, bawił się z nią, aż pierwsza padła ze zmęczenia. Ona była policjantką, a on złodziejem, którego za każdym razem udało jej się schwytać. Od zawsze chciała być jak tatuś, gonić złych ludzi i zapewniać bezpieczeństwo rodzinie. On nigdy na nią nie krzyczał, a ona nigdy nie dała mu powodu do złości.

Miała pięć lat, a jej szóste urodziny zbliżały się wielkimi krokami. Był styczeń dziewięćdziesiątego czwartego, gdy Feliks znalazł przed drzwiami swojego mieszkania pluszowego misia. Niecałą dobę wcześniej skazano rzekomego Zabawkarza na dożywocie z możliwością ubiegania się po dwudziestu pięciu latach o wcześniejsze zwolnienie. Satysfakcjonujący wyrok dla tych, którzy nie znali prawdy.

Miś czekał na Strunera po powrocie z pracy, zatem ktoś, kto podrzucił maskotkę, musiał wiedzieć, kiedy inspektor kończy służbę. Musiał też wiedzieć, że żona czy córka Feliksa nie będą miały możliwości natknięcia się na „darczyńcę”. Tak więc pluszak czekał na niego; wyłącznie na niego – i to był początek końca.

Z córką bawił się od tej pory coraz rzadziej, więcej czasu spędzał zamknięty w swoim pokoju. Zakazał dziewczynce tam wchodzić. Jednak dzieci z ochotą robią rzeczy zabronione, do tego Gosia była bardzo ciekawska. Zauważył to już wcześniej, gdy dopytywała się o szczegóły jego pracy. „To pięciolatka?”, myślał wtedy zdziwiony. Zawsze cieszyła go jej ciekawość świata, w którym żyje ojciec, czego z kolei nie doceniał u żony. Jej rosnąca frustracja zbiegła się z pierwszym wybuchem Feliksa.

Gosia pomimo zakazu weszła do pokoju, gdzie siedział miś. Miała pięć lat i nie mogła się powstrzymać. Od świąt minął niecały miesiąc, zbliżały się jej urodziny, więc była przekonana, że pluszak jest dla niej, zwłaszcza że znajdował się w pokoju ojca, jej bohatera i wzoru do naśladowania. Zaczęła się bawić maskotką, udając, że miś to Feliks. Siedziała na podłodze, kiedy ojciec wrócił do domu. Nie miał złego dnia w pracy, zresztą, nawet gdyby miał, to nigdy nie pokazałby tego córce, co innego żonie – ona zawsze wiedziała. Przez krótki moment obserwował, jak Gosia bawi się pluszowym misiem. Nie dostrzegał w tym niczego złego, trudno byłoby o słodszy scenę. Aż do chwili, gdy córka nazwała pluszaka jego imieniem. Miś Feliks... Wtedy coś do niego dotarło. Zaczął zadawać sobie pytania. Co oznaczał prezent od Zabawkarza? Prezent, który mógł być przesiąknięty krwią ofiar, a jego córka właśnie się nim bawiła... Raptem coś się w nim załamało. Jeszcze nigdy na nikogo tak nie krzyczał. Chociaż Gosia się nie popłakała, Feliks rozpoznał, że jej małe serduszko pękło. Zrobił coś, czego dotąd sobie nie wybaczył, a wskutek czego stracił jej zaufanie i zniszczył ich czystą miłość.

Nigdy więcej nie podniósł na nią głosu, ale ten jeden raz wystarczył. Ich relacja się zmieniła. Córka przestała wyczekiwać na jego spóźniony powrót z pracy, a on przestał się z nią bawić, gdy wracał wcześniej. Nigdy nie przeprosił, choć wiedział, że powinien. Po prostu nie potrafił, mimo że jedno jego słowo mogło posklejać pęknięte serce córki.

Dystans, jaki pojawił się między Feliksem a córką, miał też wpływ na relacje z żoną. Nie znajdowała już powodu, który trzymałby ją przy mężu. Dogorywające uczucie okazało się zbyt małe. „Był dobrym ojcem,



a teraz...”, powtarzała sobie, zanim podjęła ostateczną decyzję. Separacja nie trwała długo, rozwód przebiegł dość gładko i we w miarę dobrej atmosferze. Feliks niczego nie utrudniał, wiedząc, że córce lepiej będzie z matką, a poza tym zdawał sobie sprawę, że wina leżała po jego stronie. Może nie potrafił przeprosić, lecz potrafił wziąć winę na siebie i ponieść konsekwencje. Justyna, jego żona, nie zamierzała odcinać go od dziecka. Dobrze rozumiała, jak ważne są kontakty z obojgiem rodziców. Pomimo to Feliks i Gosia nie umieli powrócić do dawnych relacji.

Spotkania przebiegały w niezręcznej atmosferze, zabawy nie radowały już tak jak kiedyś, a śmiech pojawiał się rzadko, w dodatku zazwyczaj wymuszony. Z dwóch spotkań w tygodniu zrobiły się dwa w miesiącu, a później dwa na pół roku, aż mała Gosia została nastolatką i kompletnie odcięła się od ojca. Feliks nie walczył o nią – i to roztrzaskało serce córki do reszty, jego zresztą także. Przez całe życie zranił ją zaledwie dwa razy. Jednak to wystarczyło.

Dziś ojciec był jej obcy, natomiast Małgosia ciągle stanowiła jego czuły punkt. Jedynie ona mogła go jeszcze zranić. Zasłużył na to, ale ta świadomość wcale nie sprawiała, że sytuacja była dla niego mniej bolesna.

Powrót do sklepu na rynku okazał się stratą czasu, ekspedientka bowiem nie przyszła do pracy. Telefon do koleżanki był krótki i konkretny: zwolnienie lekarskie do końca tygodnia. Informację przekazała Feliksowi niezbyt przyjazna sprzedawczyni z rana. Teraz zaśmiała się w głos. Skomentowała jego wygląd, brudne spodnie i przemoczoną kurtkę, a potem próbowała się czegoś dowiedzieć o rozmowie ze staruszką w kamienicy. Oczywiście niczego nie udało się jej wyciągnąć z inspektora. Podziękował kolejny raz za pomoc i wyszedł.

Dawno nie było takiego dnia, a przynajmniej takiego, o którym pamiętał, gdy nieustający deszcz zdawał się wpływać na nastroje wszystkich przechodniów, także jego. Z rynku zniknęły radiowozy i policjanci, taśmy i barierki, co sprawiało wrażenie, że nic się tu nie wydarzyło. Feliks nie wsiadł jeszcze do auta. Ludzie omijali go, jakby mieli się czymś od niego zarazić, ale inspektora to nie ruszało. Przeszedł przez

ulicę, gdyż chciał ponownie przyjrzeć się wierzbie. Jedno spojrzenie – tego potrzebował, by móc odjechać i rozpocząć żmudną policyjną robotę. Nie tę, którą pokazują w telewizji, gdzie na pierwszym planie są pościgi i strzały, lecz tę przy papierach sprzed lat, zdjęciach i zatracaniu się w myślach. Mało ekscytujące, ale tak wyglądało życie policjantów. Wielu z nich nigdy nie wyciągnęło broni, a przynajmniej nie poza strzelnicą. Feliks nie lubił broni, nie lubił strzelać i odbierać życia albo zdrowia nawet największym szumowinom tego świata, nie miał jednak wyrzutów, gdy musiał to zrobić. Nigdy. Znał cenę i znał nagrodę. Dzięki niemu wielu ludzi mogło spać spokojnie, a odesłanie jednego przestępcy do piachu nie stanowiło czegoś, czego mógłby żałować. Życie jednostki czy życie większości – dla Feliksa rachunek był prosty.

Jedno zerknięcie, tylko tego chciał. Minął pomnik Powstańców Wielkopolskich i fontannę. Na posąg Jezusa nawet nie spojrzał. Stał przed potężnym drzewem, które w deszczowej aurze wyglądało wyjątkowo nostalgicznie. Wierzba płacząca – jakże tego dnia jej nazwa wydawała się trafna.

„Ludzka tragedia w obliczu piękna natury – to wręcz poetyckie”, pomyślał Feliks. Miał skłonność do przesady, do szukania ukrytych znaczeń, symboliki. Choć nie pomagało to śledztwu, nie potrafił tego zmienić. Przypadłość owa pozwalała mu odnaleźć równowagę. Niektórzy zaglądali do kieliszka, inni chodzili do burdelu, a on szukał czegoś głębszego. Czy miał duszę artysty? Tego nie wiedział, ale bez swoich metafor świat byłby dla niego nie do wytrzymania. Pogodził się z tą częścią siebie. I może to właśnie ona spowodowała wcześniej atak paniki – aby pokazał swoją słabość? Teraz natomiast dawała mu trochę spokoju, pewien rodzaj ulgi.

Na kostce brukowej zobaczył niedomyte ślady krwi. Deszcz jeszcze sobie z nią nie poradził. Policjanci mieli za zadanie szukać jedenastolatki, więc kto by w takich okolicznościach zajmował się miejscem zbrodni. To też była prosta decyzja: zaginiona, żywa dziewczynka czy martwa i niezidentyfikowana. Chociaż dla Feliksa w tym wypadku nastolatek nic

nie różniło. Był przekonany, że wie, z kim znajdowała się poszukiwana i co ją czeka...

Ślady były niewielkie, ledwo zauważalne, lecz dla niego świeciły niczym neon w ciemnej uliczce. Uniósł wzrok, podążając nim wzdłuż pnia, który był nienaruszony. Kora wydawała się zbroją, chroniącą stare drzewo przed wandalami. Zatrzymał spojrzenie na gałęzi, z której ściągali misia. Znajdowały się na niej zdarcia od liny, a w jednym miejscu można było dojrzeć pęknięcie, bardzo duże. Feliks nie znał się na drzewach, a o przyrodzie wiedział tyle co nic, ale ta gałąź nawet w oczach laika sprawiała wrażenie, jakby miała odpaść, i to bez większej pomocy. Ślady krwi widniały pod dwoma zadrapaniami od liny.

Zranione drzewo, prawie złamana gałąź, a jednak pluszowa zabawka nie dotknęła ziemi. „Jakby wierzba, pomimo własnych ran, ochroniła to dziecko przed upadkiem, dając nam szansę...”, dumął w myślach inspektor, uśmiechając się. „Nie... Co ja tutaj tworzę za głupoty? To już nie poezja, to absurd”.

Na rynku zaczęło pojawiać się coraz więcej mieszkańców, a każdy nie omieszkał dziwnie spojrzeć na Feliksa. Był jedyną osobą bez parasola, w dodatku wpatrywał się w drzewo jak jakiś wariat. Zanim odszedł, rzucił jeszcze okiem na kościół. Piękna gotycka budowla wywołała w nim lekką złość, sam nie wiedział dlaczego.

Odezwały się dzwony świątyni. Dźwięk rozniósł się po całym rynku, dochodził nawet do dalszych zakątków miasteczka. Był niczym budzik, który wrywa ludzi ze snu. Mieszkańcy automatycznie przyspieszyli. A Feliks nadal stał i przyglądał się nagłej zmianie. Obserwował przechodzących obok ludzi, patrzył na ich twarze, oczy, chód, badał zachowania. Widział matki ciągnące za rękę dzieci, by szły szybciej. Widział mężczyzn stojących przy schodach, trzymających w rękach małe szklane buteleczki, których zawartość zniknęła podczas jednego łyka. Widział kłótnie pomiędzy młodymi parami oraz młodzież wychodzącą ze sklepu i chowającą coś po kieszeniach kurtek. Widział spojrzenia między kobietą a mężczyzną, te niedozwolone, bo oboje mieli stałych partnerów.

Widział, czym naprawdę było to spokojne miasteczko: miejscem pełnym tajemnic i pozorów, problemów, których nie dało się rozwiązać.

Dzwon wreszcie zamilkł, a cisza, która po nim nastąpiła, wyrwała Feliksa z zadumy.

Wrócił do auta. Czuł, że zbyt dużo czasu spędził w tym miejscu. Choć minął zaledwie dzień, miał wrażenie, że miasteczko wciąga go do swojego świata. A może to był świat Zabawkarza?

Powinien odpocząć, tak jak radziła mu Maria. W takich miejscach obcy niełatwo się odnajdują. Małe miściny trudno zrozumieć, zwłaszcza jeśli się w nich nie dorastało. To jeden organizm, oddychający wraz z mieszkańcami i karmiący się ich szczęściem, dramataми i życiem. Ci, którym udaje się z niego wyjechać, nigdy go nie zapominają. Czują to miejsce pod skórą, jest częścią każdego z nich, kawałkiem tożsamości. Mieszkańcy chronili miasto, a ono chroniło ich.

Ale i takie miejsce może się zmienić. Zanim Feliks wyjechał na trasę do Poznania, jeździł po ulicach Pobiedzisk. Nie bardzo wiedział, na co liczy, przecież nie mógł spotkać spacerującego w zimnym deszczu mordercy, który zwyczajnie by czekał, aż go odnajdzie. Mimo to jeździł i obserwował. Minął urząd gminy, straż pożarną, policję, siedziby banków, supermarkety, kościoły, osiedla, blokowiska, prowadzące nad jeziora polne drogi, stadion piłkarski. Poznawał to miasto, wchodził w głąb jego organizmu. Spostrzegł też, jak się zmienia. Przejechał obok ronda, wiaduktu, odnowionych budynków, nowej hali sportowej oraz widzianej wcześniej wypożyczalni rowerów. Te wszystkie nowości nie pasowały do charakteru Pobiedzisk, w oczach inspektora wyglądały wręcz jak choroba, która zaczęła się rozprzestrzeniać, a nikt nie potrafił jej zatrzymać. Struner mieszkał przez ostatnie lata w Poznaniu i widział, co dzieje się z mieszkańcami, gdy urzędnicy naciskają, by miasto zbyt prędko się rozwinęło. Deweloperzy, nowe biurowce, bloki mieszkalne, nazywane teraz apartamentowcami. Kiedy pojawia się coś nowego, wówczas to, co stare, cierpi, by w końcu umrzeć. Zawsze. Nauczyły go tego lata obserwacji i życie. Rozumiał, że postęp jest ważny i nie można go hamować, lecz

widząc zatracający się charakter takiego miasteczka jak Pobiedziska, czuł, że wszystko dzieje się nazbyt szybko.

To jednak nie miało znaczenia. Mimo że jego myśli ogarniał sentyment, nie miałby oporów, by popchnąć miasto ku zgubie, gdyby to pozwoliło mu na złapanie mordercy. Nic więcej się nie liczyło.

Opuszczając granicę Pobiedzisk, odetchnął z ulgą. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że miasto umiera – i nie zamierza odejść samotnie.



## Rozdział 5

### Akta

– Potrzebujesz pomocy? Mamy kilka mniej naglących spraw. Wiesz, gdybyś chciał, mógłbym przydzielić ci kilku chłopaków – odezwał się po dłuższej chwili milczenia komendant.

Feliks zdał raport z pierwszego dnia. Powiedział wszystko, o czym przełożony powinien wiedzieć. Nie wspomniał tylko o znalezionym w pluszowym misiu liście, którego sam jeszcze nie przeczytał. Podczas dyskusji trzymał poskładaną karteczkę w dłoniach i bez przerwy nią obracał. Miał ją w ręce na długo przed rozmową z przełożonym.

Komendant lubił zasypywać swoich najlepszych ludzi pytaniami, co było dla nich irytujące. Podczas tej przepytówki inspektor pominął prośby burmistrz o dyskrecję i o szybkie złapanie mordercy – miał ku temu powód. Znał swojego szefa, który pomimo bycia dobrym gliną przez znaczną część swojej kariery popełniał zawsze jeden błąd: pozwalał politykom mieszać się w sprawy policji, a więc teraz w sprawę Strunera. Czy kilka motywowanych względami polityków ustępstw i decyzji mogło przekreślić solidną służbę dla zwykłych obywateli? Według Feliksa – tak. I to właśnie dlatego nienawidził samego siebie za sposób wykonywania swojej pracy sprzed lat. Nienawiść ta pozwalała mu aktualnie ukrywać fakty przed przełożonym. Teraz, gdy Feliks nie pozwalał już nikomu mieszać się w swoje śledztwa, stał się skuteczny. Był nie lubiany i często mu

grożono – od samorządowców i polityków począwszy, a na biznesmenach czy księżach skończywszy – wydaleniem ze służby, ale to nie miało żadnego znaczenia, bo w tej chwili na zadane przez komendanta pytanie mógł odpowiedzieć: „Nie, dam sobie radę”.

I mówił serio. Był pewien, że wraz z Marią sobie poradzą.

Nie pożegnał się z szefem, nie podziękował za telefon, po prostu się rozłączył. Domysły na temat Zabawkarza również zachował dla siebie, bo tajemnica mordercy była jego i Lipan. Oboje mogliby ucierpieć z powodu całkowitej szczerości – na tę nie przyszedł jeszcze czas.

Spojrzał na kartkę w swojej dłoni. Bał się tego, co może tam przeczytać, z drugiej jednak strony nie mógł dłużej wytrzymać – ciekawość to trudny przeciwnik. Niemniej, zanim ją rozwinął, istniało coś, co musiał zrobić. Otworzył laptop i włączył przeglądarkę. Profil córki na Facebooku wyskoczył od razu. Inspektor nie zamierzał rozklejać się nad jej zdjęciami i wciąż nieprzyjętym zaproszeniem. Najechał kursorem na białą kopertę. Jedno krótkie zdanie, tylko tyle musiał napisać, żeby choć trochę poczuć się spokojnym.

Uważaj na siebie, a gdybyś czegoś potrzebowała, zadzwoń.

To wszystko, co musiała wiedzieć i co chciał jej przekazać. Teraz mógł odłożyć sprawy rodzinne na bok. Chwycił karteczkę. Wydała mu się cięższa, lecz to na pewno igrała z nim wyobraźnia. Jego oddech przyspieszył, krew pulsowała coraz mocniej, a w wypełniającej pokój ciszy usłyszał bicie własnego serca. Przełknął głośno ślinę i zaczął rozwijać tajemniczą wiadomość.

Wiele rzeczy mógł się spodziewać, jeszcze więcej mogło go zaskoczyć, jednakże to, co zobaczył, przerosło jego najgorsze oczekiwania. Na kartce bowiem nie było odręcznego pisma czy kojarzonych z porwaniami powyklejanych liter, nie było żadnej wiadomości, wyłącznie rysunek. Dziecięcy rysunek przedstawiający pięć postaci. Kolorowy i niedokładny, właśnie taki, jakiego można by się spodziewać po pięciolatkach. Tyle że dzieci zabierane przez Zabawkarza miały więcej lat. Z rysunku spoglądało na Feliksa mocno świecące żółte słońce o promieniach z kresek. Na niebie

widniały zaledwie dwie chmurki, a na zielonym pagórku, gdzie inspektor spodziewałby się domku, rośło jedno drzewo, przy którym pięć osób trzymało się za będące czarnymi kreskami ręce. W środku stał wysoki mężczyzna o długich czarnych włosach. Na jego twarzy gościł szeroki uśmiech, wychodzący poza linię głowy. Ścisnął dłonie dwóch dziewczynek, znacznie od niego mniejszych. Jedna z nich obejmowała palcami dłoń chłopca, a druga kolejnej dziewczynki. Dzieci były uśmiechnięte prawie tak szeroko jak mężczyzna. Szczęśliwy obrazek, można by pomyśleć, jednak Feliks zobaczył coś, co sugerowało, że osobę rysującą przepełniało przerażenie. W niektórych miejscach rysunek był rozmazany, ale nie przez gumkę. Struner odniósł wrażenie, że to słońce spadły na kartkę.

Odłożył papier. W głowie pojawiło mu się znacznie więcej pytań niż odpowiedzi. O ile był pewien, kogo przedstawia środkowa postać, o tyle dzieci pozostawały zagadką. Dlaczego były w tak młodym wieku, skoro odnaleziona w mišku dziewczynka mogła mieć jakieś jedenaście lat? Czy to oznaczało, że obserwował swoje ofiary od ich młodszych lat? Może stojące po bokach mężczyzny dziewczynki przedstawiały zaginioną córkę policjanta i dziecko odnalezione w pluszowym misiu? Ale kim była pozostała dwójka? Czy to zapowiedź tego, co się wydarzy? Czy Zabawkarz wybrał już swoje ofiary? Czy znajdował je dużo wcześniej i żadna z nich nie była przypadkowa?

Dlaczego właśnie te?

Wreszcie: o co chodzi z tą wiadomością? Świadczyła o arogancji mordercy czy o skrzesze, próbie powstrzymania samego siebie dzięki pomocy policji?

Dlaczego czwórka? To pytanie uderzyło w Feliksa najmocniej. W dziewięćdziesiątym trzecim przypisano Zabawkarzowi trzy zbrodnie – tyle ciał pozwolił im odnaleźć. Później zaginął, zawiesił swoją chorą naturę na kołku niczym bokser rękawice. I zniknął. Ostatecznie postanowił, że wróci. Struner, do czasu zerknięcia na rysunek, był przekonany, że ofiar będzie tyle samo co wtedy. Czy się mylił? Czy może dawniej zaginęło jeszcze jedno dziecko, które on i policja przeoczyli? Gdyby tylko odnalazł



czwartą ofiarę... Dopełniłaby jego teorię. Może to jest ten brakujący element układanki, może wtedy... odnalazłby mordercę.

Nie umiał wyrzucić tej myśli z głowy, chociaż prawda była brutalna. Nie miał wówczas absolutnie żadnego podejrzanego – poza wrobionym przez niego mężczyzną. I choć często odnosił wrażenie, jakby zbliżał się do dzieciobójcy, nigdy nie potrafił zrobić ostatniego, decydującego kroku, by poznać jego tożsamość, aż w końcu ten wymknął mu się na ponad dwie dekady.

Jeden niepozorny rysunek, a wywołał tak wiele myśli i niepewności. Inspektor położył kartkę na pustym biurku. Tam, gdzie zawsze leżały stosy dokumentów, akt sprawy, nad którą właśnie pracował. Śledztwo dopiero się rozpoczęło i poza tym obrazkiem nie miał zbyt wiele tropów, jedynie zdjęcia z miejsca zbrodni na przekazanym przez Marię pendrivie.

Lubił dawne czasy, kiedy fotografie drukowano i można było ślęczeć nad nimi godzinami. Nie bał się wtedy o swój wzrok – jak teraz, gdy musiał wbijać oczy w ekran laptopa. Raziło go światło z monitora, więc zaczęły lekko łzawić. Często tak miał, jego oczy nie przepadały za komputerami. Chwycił znienawidzone okulary, polecane mu przez sprzedawcę w gabinecie okulistycznym zerówki z filtrem. Miały ochronić oczy przez szkodliwym światłem. O ile Feliks w życiu prywatnym lub w pracy nie dawał sobą rządzić czy manipulować, o tyle w świecie zakupów był jak marionetka w rękach handlarzy. Wystarczyło mu wmówić, że czegoś potrzebuje, a on już kupował wskazane mu rzeczy. Nie zastanawiał się, nie szukał tańszych odpowiedników, promocji, brał to, co mu podsunęto. Pod warunkiem, że argumenty były przekonujące. Nie chodził więc zbyt często na zakupy, bo po nich wracał z takimi właśnie zerówkami, które nie pomagały mu ani trochę dłużej wytrzymać przed monitorem.

Wyświetlił pierwsze zdjęcie. Twarz trzymał tak blisko ekranu, jak tylko się dało. Pomimo tego, że policyjny fotograf robił po kilkanaście zdjęć jedno po drugim, co dawało praktycznie takie same ujęcia, Feliks spędzał nad każdym z nich tak samo dużo czasu. Pozornie identyczne fotografie, ale któreś mogło dać mu coś, czego na poprzednim nie dostrzegł. Dlatego

oglądał uważnie wszystkie, poświęcając każdemu co najmniej kilka minut, by dobrze przeanalizować nawet najmniejszy fragment. Był tak mocno skupiony, że nie zauważył, kiedy za oknem zapadła ciemność, a w pokoju jedynym źródłem światła stał się laptop.

„Jeszcze jedno, jeszcze tylko jedno...”, powtarzał w myślach po kończeniu oględzin kolejnej fotografii. I kolejnej. Okulary udowodniły swoją bezużyteczność, a głód przybierał na sile – od rana nic nie jadł. Siedział przed monitorem i walczył, by przy nim pozostać. Przejrzał zdjęcia pomnika Powstańców Wielkopolskich, kostki brukowej wokół wierzby, śladów krwi i uchwyconego w całości miejsca zbrodni. Dotarł do tego, na którym fotograf skupił się na powieszonym pluszowym misiu. I wtedy Feliks poległ. Po jego policzku spłynęła łza, oczy odmówiły współpracy. Wstał, zapalił światło, a pokój wypełnił żółtawy blask.

Poszedł do kuchni. Na stole czekała na niego siatka z zakupami, które zrobił po drodze do domu. Nie miał zamiaru bawić się w kucharza, zwłaszcza po takim dniu. Kupił dwadzieścia różnych zupiek instant, papierosy, dwie największe paczki kawy, jakie znalazł, karton mleka i płatki śniadaniowe. Taka dieta czekała go przez następne dni – cena śledztwa. Nie obchodziło go, co będzie jadł, liczył się zaoszczędzony na gotowaniu czas.

Postawił na gazie czajnik z wodą, przyszykował kubek do kawy i ukruszył w misce dwie zupki. Odpalił papierosa, by małą kuchnię wypełnił dym. Nie zaciągał się, ponieważ palenie nie należało do jego nałogów. Chodziło o zapach, który miał usunąć wspomnienie odoru zwłok. Dziś dym miał zamaskować woń perfum, którymi wysikane było ciało dziewczynki. Czuł ten zapach na sobie, odkąd się do niej zbliżył, a oglądane zdjęcia wzmocniły jego intensywność. Gdy zamykał oczy, miał wrażenie, jakby ofiara była tuż obok niego... Blisko. By nigdy o niej nie zapomniał.

W końcu dym przedarł się do jego zmysłów. Feliks mógł spokojnie odetchnąć. Dziewczynka zniknęła z jego głowy. Brakowało mu jeszcze aromatu świeżo parzonej kawy – ten zestaw zawsze działał.

Usłyszał delikatny świst, który przybierał na sile – woda zaczęła się gotować. Począł chwilę. Zalał kawę i zupkę, a zapach perfum znikł, przynajmniej na jakiś czas. Z kuchni wyszedł dopiero wtedy, kiedy zgasł papieros.

Pluszowy miś na zdjęciach wyglądał gorzej, niż gdy ujrzał go dziś rano na rynku. Przemoczony od krwi i ze zmienionymi detalami na twarzy mógł wzbudzać strach, w dodatku policyjny fotograf uchwycił moment, kiedy jedna kropla oderwała się od zabawki i zawisała w powietrzu. Struner przesunął kursor. Kropla była bliżej ziemi. Seria zdjęć uchwyciła jej cały lot. Feliks kilkakrotnie obejrzał, jak wpada do kałuży pod misiem.

Przy tych fotkach inspektor spędził najwięcej czasu. Miały coś, co hipnotyzowało starego glinę. Nie mógł się od nich oderwać. Klikał na kolejne, by potem cofać się do pierwszego ujęcia. I tak kilkakrotnie. Wbijał wzrok w spadającą kroplę krwi, która niosła ze sobą cząstkę odebranego dziewczynce życia; po to jedynie, by rozbić się o ziemię, roztrzaskać – tak jak wspomnienie o dziecku i odebrana przyszłość. Życie, które mogła wieść, i rodzinę, którą mogła założyć. Wszystko się rozpadło wraz z tą jedną kroplą krwi. Dlatego tak długo odtwarzał tę scenę. Była cholernie smutna, ale przy tym tak bardzo ludzka.

Obudził się około pierwszej w nocy, laptop już dawno przeszedł w tryb uśpienia. Miska po zupce leżała na podłodze, fusy wysypywały się z kubka na kanapę, tuż obok siedzącego Feliksa. Zaspany zlustrował pokój. Białe światło zdawało się słabsze niż wcześniej. Żarówka musiała docierać do końca swojego żywota.

Wstał, aby wyłączyć lampę. Nie miał siły na nic innego. Potem bez namysłu ruszył do łóżka. Bez kąpieli, bez umycia zębów, tak jak wrócił z Pobiedzisk. Spojrzał kolejny raz na rysunek i siedzącego na stosie książek misia. Nawet w ciemności dostrzegł zarys wpatrujących się w niego ślepków. Po tym dniu bał się go jeszcze bardziej, bał się, że pluszak skrywa w sobie wiadomość albo – co gorsza – został wypchany włosami ofiar Zabawkarza.

Struner ściągnął brudne od błota i krwi spodnie, jedynie na to wystarczyło mu siły. Położył się. Tej nocy nie był zlany potem i przestało mu dokuczać zimno, wręcz przeciwnie, cienka kołdra w zupełności wystarczyła, by poczuł komfort. Może to nie dzięki kołdrze, lecz nowej sprawie, która przynosiła spokój. Nie musiał mierzyć się ze swoimi demonami, bo czekała go walka z innym rodzajem zła. Chociaż nie... Zabawkarz był jego demonem.

Z tą myślą zamknął oczy i zasnął.

Dzisiejszej nocy nawet na moment nie pojawił się sen, panowały wyłącznie ciemność i spokój. Obudził się trzy godziny później, chwilę przed czwartą. Był wyspany i wypoczęty, gotowy na kolejny dzień. Migająca dioda w telefonie informowała o wiadomości. Przyszła od Marii, i to zeszłego wieczoru. Kobieta krótkim zdaniem kazała mu się stawić przed ósmą pod sądem. Feliks nie odpisał – była przecież czwarta rano.

Miał czas. Tego ranka miał go aż za dużo. Chwycił kopertę od prokuratury. Czytał, leżąc w łóżku. Wezwanie na przesłuchanie. W taki sposób dawała o sobie znać jego przeszłość. Prokurator generalny kazał zbadać wszystkie budzące wątpliwości sprawy. A taką było skazanie rzekomego mordercy, Zabawkarza, którego zamknął Feliks. Zabawkarza, który nie był zbrodniarzem. Media jeszcze nie podchwyciły tego tematu, ale śledczy czuł, że na skutek morderstwa w Pobiedziskach zaraz powinno się to zmienić. Dzieciobójca wykazał się dziwnym wyczuciem czasu, by wrócić na kilka tygodni przed przesłuchaniem inspektora, jakby wiedział, że nareszcie może odzyskać swoją tożsamość, której pozbawili go Maria i Feliks. W dodatku przesłuchanie miało mieć miejsce na trzy dni przed pierwszą turą wyborów samorządowych. Struner, czytając pismo, nie mógł pozbyć się wrażenia, że zostanie pionkiem w jakiejś politycznej rozgrywce.

Czy świat naprawdę był pełen ironii? Gość, który wrabiał innych na zlecenie władz PRL-u, dziś miał być rzucony na pożarcie, aby inna partia mogła odnotować sukces i udawać, że życie zwykłego obywatela jest dla prominentnych polityków ważne i że każdego w końcu dosięgnie ręka

sprawiedliwości. Czy naprawdę policjant o ksywce Koziół miał zostać kozłem ofiarnym?

„Nie”, przerwał kanonadę myśli Feliks. Był winny i wiedział o tym, choć teraz to się nie liczyło. Rzucił papier w kąt. Facet gnił w więzieniu przez dwadzieścia pięć lat i nic tego nie mogło zmienić: ani ewentualna skrucza inspektora, ani wydalenie go ze służby czy proces. Struner miał jeszcze czas, by zacząć się tym martwić, lecz nie tego dnia. Dziś nie mógł sobie pozwolić na odwrócenie uwagi.

Z łóżka wyrzucił go zapach. Znów poczuł woń perfum – była znacznie wyraźniejsza niż wczoraj. Dołączył odór jego potu i brudu, którego z siebie do tej pory nie zmył.

Wodę postawił na bardzo małym ogniu, tak by zdążył wziąć prysznic, zanim się zagotuje. Zapach perfum towarzyszył mu nawet pod prysznicem, aromatyczne żele nie potrafiły go stłumić. Na szczęście, gdy się wycierał, zaczął gwizdać czajnik.

Wreszcie miał szansę na pozbycie się zapachu. Wybiegł z łazienki, nie zakładając na siebie nawet bokserek, żeby jak najszybciej zalać kubek i odpalić papierosa.

Zanim fusy opadły na dno, Feliks zdążył się ubrać.

Popijając czarną i gorzką – wyłącznie taką pijał – kawę, spoglądał za okno. W bladym świetle latarni krople deszczu znowu opadały na śpiące ulice Poznania. Deszcz przywołał wspomnienie kapiącej krwi. Papieros przygasł, a woń perfum niemal natychmiast powróciła.

To było dziwne uczucie, gdy otworzył laptopa, a tam czekały na niego zdjęcia z miejsca zbrodni zamiast strony profilowej jego córki. Przeglądanie fotografii odłożył na później, teraz musiał dopełnić porannego rytuału. Włączył przeglądarkę i spojrzął na profil Małgorzaty. Zaproszenie ciągle oczekiwało na akceptację. Wszedł w wiadomości. Nie otrzymał żadnych, choć ta wysłana przez niego dzień wcześniej została odczytana. Odetchnął z ulgą. Nie chciał zmuszać jej do rozmowy, chciał tylko, żeby na siebie uważała. Teraz mógł wrócić do oglądania zdjęć. W rękę trzymał kubek z odrobiną kawy i klikał. Gdy na monitorze pojawiła

się wyciągnięta z misia dziewczynka, zapach perfum stał się niemal namacalny. Wnikliwie obejrzał kadry ukazujące jej rany i makijaż, który z każdą kolejną fotką był coraz bardziej rozmazany.

Przejrzał wszystkie zdjęcia, nawet te niewyraźne, kiedy nieuważny fotograf poruszył dłonią. Pozornie nieudane ujęcie mogło pokazać coś zupełnie nowego... Nie pokazało. Jedynie dziewczynka wydawała się krzyczeć. Feliks wpatrywał się w nią – bezwiednie przybliżał twarz do monitora. I nagle cichy pokój wypełnił krzyk, był nie do wytrzymania. Struner zasłonił uszy, lecz to nic nie dało. W końcu więc zatrzęsął ze złością laptopa. I znów w mieszkaniu zapanowała kompletna cisza.

Przestraszony mężczyzna poszedł obmyć twarz wodą. Miał wrażenie, że tej nocy postarzał się o co najmniej rok. Zarost nadawał się już do zgolenia. Nie przeszkadzał mu jednak, tak jak stojące na wszystkie strony włosy. Pozostawił je w nieładzie, umył zęby, po czym przyszykował się do wyjścia.

Mimo że nie wybiła jeszcze nawet szósta, nie potrafiłby spokojnie czekać w mieszkaniu, aż będzie mógł spotkać się z Marią. Akta z rozprawy były ważne, w nich mieli wszystko w pigułce, ale archiwum policyjne miało własne dokumenty – także te sprzed lat, kiedy Feliks szukał mordercy z Pobiedzisk. Zawierały to, czego prokuratura, by zadbać o wysoki wyrok dla domniemanego mordercy, nie przygotowała do rozprawy. Tam znajdzie fakty, domysły, powiązane sprawy, możliwe tropy i wątki, a nawet wycinki z gazet.

Na swoje szczęście całą karierę policyjną w Trzeciej Rzeczypospolitej spędził w jednej komendzie. Był – wraz z komendantem i dwoma innymi starymi gliniarzami – najbardziej szanowanym tutaj policjantem, co pozwalało mu na wejście do archiwum bez pozwolenia na piśmie i zabrania interesującej go teczki. Bez pytań, podpisów, po prostu wchodził, brał, co chciał, i wychodził.

Włożył pogniecione jeansy, bo nie zdążył ich wyprasować. Miał do wyboru albo brudne, albo pogniecione, wybrał te drugie. Na białą koszulkę zarzucił ciemną rozpinaną bluzę i skórzaną kurtkę. Całe szczęście, że zdążyła wyschnąć. Wstąpił do swojego pokoiku po odznakę i broń. Zanim

po nie sięgnął, spojrzał na wpatrującego się w niego misia. Małe ślepia sprawiły, że na moment znieruchomiał. Dopiero gdy w jego głowie pojawił się nakazujący mu jechać na posterunek znajomy głos, zabrał swoje rzeczy i opuścił mieszkanie.

Po schodach kamienicy niemal biegł. Słyszał, jak robotnicy zabierali się za pracę. Przez krótki moment współczuł swoim sąsiadom, ale zaledwie przez moment. Zobaczył starszą panią z torbą zakupów. Otworzył drzwi i przepuścił starowinkę. Kobieta uśmiechnęła się i zmęczonym głosem powiedziała „dzień dobry”. Te dwa słowa zabrzmiały w jej ustach ciepło i przyjaźnie, aż Feliks na chwilę uwierzył, że budzący się dzień mógłby być naprawdę dobrym dniem. Odpowiedział jej z równą dozą uprzejmości. Wychodząc na zewnątrz, czuł się źle, że nie pomógł zanieść staruszce zakupów do mieszkania. Potrząsnął głową i wmówił sobie, że sąsiadka mieszka na parterze i już pewnie przekręca klucz w zamku. W środku czeka na nią mąż, z którym spędziła życie w szczęściu i który kocha ją bezgranicznie. I nawet roboty konserwacyjne w ogóle nie utrudniają im życia. Ta myśl pozwoliła mu odwrócić wzrok i udać się do swojego opla. Zdawał sobie sprawę, że życie mieszkańców bloku nie należy do łatwych, szczególnie że właściciel kamienicy nie zaliczał się do sympatycznych ludzi i źle ich traktował. To jednak kompletnie nie obchodziło Feliksa – mimo zanoszonych do niego, jako policjanta, skarg. Natomiast twarz starszej kobiety miała zostać z nim na dłużej. Jak też ciepły uśmiech i szczere przywitanie.

Zostawił problemy lokatorów za sobą. Nie myślał o nich, jadąc autem do komendy. Liczył, że nie spotka tam przełożonego. Był ostatnią osobą, którą chciałby widzieć podczas prowadzenia śledztwa. A ponieważ jakieżś dochodzenia miał prawie zawsze, unikał komendanta przez większość czasu.

Normalnie do komendy nie jechał zbyt długo, ale miasto budziło się właśnie ze snu i poznaniacy ruszali do pracy. Między szóstą a siódmą ruch przybierał na sile, po siódmej trzeba było liczyć się ze sporymi korkami. Feliksowi udało się dotrzeć na miejsce w niecałe dwadzieścia minut.

„Dzięki Bogu za pobudkę o czwartej”, pomyślał. Nie należał do osób szczególnie wierzących, lecz używanie imienia Boga nadaremno przypadło mu do gustu. Udawane chrześcijaństwo to jego wyznanie. Kiedy zaistniała potrzeba, uznawał istnienie Boga za fakt, natomiast w każdej innej sytuacji wyrzucał wszystkie formułki do kosza. Wiele też zależało od stojącego naprzeciwko człowieka oraz od tego, co inspektor chciał od niego uzyskać.

Do budynku wszedł chwilę po szóstej, co dawało mu jakieś półtorej godziny na przeszukanie archiwów i udanie się przed sąd, gdzie miała czekać Maria.

W milczeniu pokazał odznakę młodemu policjantowi w okienku, który poznał, kim był stary policjant – przecież witał go tutaj już od kilku miesięcy. Mundurowego nie zdziwiło, że Feliks praktycznie go nie zauważył. Struner zawsze wchodził jak gdyby nigdy nic i nie reagował na obecność młodziaka. Funkcjonariusz nie wiedział, czy takie zachowanie uznać za uszanowanie jego funkcji przez niesławnego starego wygę, czy może wręcz przeciwnie. Trapił się tą myślą przez następnych kilka godzin.

Feliks nie udał się do swojego biurka, bo nie miał tam nic, co mogłoby mu pomóc w sprawie Zabawkarza. Mógłby się jedynie wkurzyć na swoich kolegów po fachu, którzy zawsze witali go od samego progu – czuł, że robią to ze złośliwości. Nie lubili się, więc granie mu na nerwach dawało im pewną satysfakcję. Do czasu, aż Struner się odezwał. Jego riposty, choć bardzo rzadkie, zamykały im usta niemal natychmiast. Tyle że Feliks nie czerpał z tego przyjemności, wzrastał w nim raczej gniew na samego siebie, że dał się sprowokować, przez co stracił cennych pięć sekund. Może nie był oazą spokoju i nie wyznawał filozofii zen, ale wiedział, kiedy traci czas, a dokuczanie sobie – jak w gimnazjum – z kolegami w pracy było dla niego kompletnym marnotrawstwem każdej minuty. Za coś bardziej wartościowego uznawał chociażby obgryzanie paznokci, bo oszczędzało mu przynajmniej czasu spędzonego z nożyczkami czy pilnikiem przy zlewie w mieszkaniu. W zasadzie im częściej bywał w komendzie, tym mocniej utwierdzał się w przekonaniu, że nie po drodze mu z innymi ludźmi i że zwyczajnie ich nie lubi – prawie wszystkich.



Archiwum znajdowało się za drewnianymi drzwiami. Przez szczelinę przy podłodze przebijało się delikatne światło, co pozwoliło Feliksowi myśleć, że kogoś tam znajdzie, nawet o tej godzinie. Nacisnął klamkę – pomieszczenie było zamknięte na klucz. Zapukał. Przypominało to bardziej uderzanie w drzwi, które trzeszczały, jakby miały rozpaść się na kawałki. Po chwili dosłyszał odgłos przypominający spadanie z krzesła, co wywołało lekki uśmiech na jego twarzy. Wreszcie drzwi się otworzyły.

Trzydziestokilkuletni mężczyzna spojrzał na Feliksa z wyraźnym wyrzutem. Stary policjant nie musiał pytać, żeby wiedzieć – właśnie obudził tego funkcjonariusza. „Widocznie nie jest rannym ptaszkiem”, pomyślał Struner i wszedł bez słowa do środka. Zmierzył wzrokiem zaspanego policjanta, który niemal natychmiast znalazł się za biurkiem, jakby był stuprocentowym profesjonalistą. Jego oblicze nadal zdradzało oznaki niezadowolenia, jednak niższy stopień nie pozwalał mu na wyrażenie tego słownie. Patrzył tylko pytająco na niespodziewanego gościa. Feliks milczał, nie miał zamiaru z niczego się tłumaczyć. Wygrał pojedynek na spojrzenia, zanim tak naprawdę się zaczął. Policjant spuścił wzrok na biurko. Zaczął szukać czegoś w szufladzie, by za moment wyciągnąć duży notes.

– Proszę się wpisać, inspektorze. – Obrócił zeszyt i wskazał na puste miejsce w tabelce, pod ostatnim wpisem.

Feliks pochylił się i wpisał datę, a obok złożył podpis.

– Jeszcze numer akt – dodał niemrawo policjant.

– Dziękuję, ale nie będzie to konieczne – odparł śledczy, uśmiechając się z surowością w oczach i odkładając długopis na biurko.

Mężczyzna obserwował go podejrzliwie, ale Struner nie zwracał już na niego uwagi. Ruszył w stronę drzwi, za którymi znajdowały się regały z aktami. Były zamknięte, a otwierający je przycisk znajdował się przy biurku policjanta.

– Powinien pan wpisać ten numer... – rzekł niepewnie funkcjonariusz.

Zapadła nieprzyjemna cisza. Jedyne, co można było usłyszeć, to przesuwane się wskazówki zegara i coraz głośniejszy oddech

mundurowego. Feliks obrzucił go znaczącym spojrzeniem. Policjant aż wyprostował się na krześle, a jego dłoń bezwiednie powędrowała na przycisk.

– Dziękuję – powiedział Struner tak cicho, że sam ledwo siebie usłyszał.

– Może pan go wpisać później... – odezwał się policjant, ale dopiero wówczas, gdy jego niespodziewany gość zniknął w ciemnym pomieszczeniu. – Co za kutas – dorzucił.

Feliks zapalił lampy w archiwum i pokój wypełniło białe światło jarzeniówek. Jak każde dobrze zorganizowane zbiory archiwalne, te także były ustawione chronologicznie. Większość akt została już przeniesiona do serwerów policyjnych, co przyspieszało poszukiwania dokumentów. Lecz w sieci ślady były zbyt widoczne, a inspektor nie chciał ich zostawiać. Znał daty wszystkich morderstw Zabawkarza z dziewięćdziesiątego trzeciego, a raczej daty odkrycia ciał. Znalezienie odpowiednich teczek nie powinno być trudne, zwłaszcza że to on je zakładał.

Mijał opisane datami regały, na których ułożono kartony z nazwami śledztw. Wiele ze spraw znał, co sprawiało, że spacer między pudłami był niczym podróż przez jego karierę. Nie należał do nostalgicznych osób, a jednak spojrzenie na swoje dawne sukcesy okazało się pocieszające. Przez moment nawet pozwolił sobie myśleć, że nie był wcale takim złym gliną – ani człowiekiem. Chwila ta szybko minęła, gdy dotarł do regału z opisem: 1993 r. Już po kilku minutach miał w rękach karton z kryptonimem Zabawkarz, stworzonym ze względu na pluszowego misia, w którym znaleziono pierwszą ofiarę. Na bocznej ścianie pudła napisano, w jakim okresie pracowano nad sprawą: październik – listopad, 93 r.

„Ekspresowe śledztwo, nic dziwnego, że taki był efekt”..., stwierdził w myślach Feliks, choć dobrze wiedział, że w przypadku Zabawkarza nie można było cierpliwie badać tropów. Zabójca działał cyklicznie, regularnie co tydzień, tego samego dnia porzucał kolejne zwłoki. To jedyne, czego można się było po nim spodziewać – po siedmiu dniach kolejna ofiara. W tamtym czasie znaleźli trzy. Dwie dziewczynki i chłopiec.

Inspektor stał z kartonem w rękach. Jego myśli skupiły się na rysunku. Tym, który przedstawiał czwórkę dzieci. I to właśnie on nie pozwolił mu pozbyć się wrażenia, że brakuje tutaj jednej teczki, czwartej ofiary Zabawkarza. Bo czwarte ciało nigdy nie zostało odnalezione.

– Może się wystraszył, gdy zgarnęliśmy tamtego faceta... – powiedział cicho do siebie Struner, kładąc pudło na ziemi. – Nieee, tacy jak on nie boją się policji, a już na pewno nie zrezygnowałyby ze swojej misji. – Jego wzrok wędrował po ustawionych na półkach kartonach.

„To dziecko musiało być uznane za zaginione...”, pomyślał.

Tylko dlaczego on nic o tym nie wiedział?

Po ponad dwudziestu minutach niczego nie znalazł, żadnego zaginionego dziecka w dziewięćdziesiątym trzecim. Chwyił znowu karton i z poczuciem porażki udał się do wyjścia.

– Znalazł pan wszystko, co chciał, inspektorze? – zapytał policjant zza biurka, kiedy Feliks minął go bez słowa.

Śledczy przystanął.

– Prawie. Jest coś... – zaczął z wahaniem, ale gdy spotkał wzrok mężczyzny, wyprostował się i mruknął: – Nie mogłem znaleźć akt zaginionej dzie... osoby.

Funkcjonariusz patrzył na niego wyczekująco. Feliks jednak, ku rozczarowaniu mundurowego, który bardzo chciał, by Struner poprosił go o pomoc, zamilkł.

– Jeżeli sprawa nie została zamknięta, nie znajdzie jej pan tutaj – wyjaśnił po chwili policjant.

– A jeśli zaginęła ponad dwie dekady temu? – dopytywał Feliks.

– Czas nie ma znaczenia – odparł funkcjonariusz. – To znaczy... dla nas. – Wiedział, że dla osoby zaginionej czas bez wątpienia się liczył. – Chodzi o to, że jeśli ktoś z rodziny dalej pcha sprawę i nie chce zaakceptować, że nie da się jej rozwiązać, pozostaje otwarta. Otwarte sprawy nie trafiają do archiwum.

Feliks spoglądał na rozmówcę, zdającego się stresować jego milczeniem.

– Może pan poszuka w rejestrze osób zaginionych...? – Policjant głośno przełknął ślinę.

– Dzięki – rzucił Struner.

Wychodząc z pokoju, zerknął na wiszący na ścianie zegar. Za chwilę wybije siódma. Miał pół godziny do wyjścia, by zdążyć dotrzeć do sądu. Rejestr zaginionych mógłby sprawdzić z każdego miejsca na ziemi i nie potrzebował do tego uprawnień policjanta, ale musiał wiedzieć już teraz. Nie mógł dłużej czekać.

Ruszył na piętro, gdzie znajdował się wydział kryminalny. Miał szczęście, najgłośniejsi z jego „kolegów” jeszcze się nie pojawili. Usiadł przy swoim biurku. Szybko wszedł do spisu osób zaginionych. Teraz wystarczyło wklepać dane. Feliks był pewien, że znajdzie interesujące go informacje.

Imię:

Nazwisko:

Data zgłoszenia zaginięcia: październik – grudzień, 1993 rok.

Wiek (w dniu zaginięcia): od 8 do 12 lat.

Kolor oczu:

Wzrost:

Płeć:

Ostatnie miejsce pobytu: Pobiedziska.

Województwo: wielkopolskie.

Kraj: Polska.

Półowę rubryk nie mógł wypełnić, bo najzwyczajniej w świecie nie miał pojęcia, co wpisać. Cursor myszy powędrował na przycisk „szukaj”. Wcisnął go. Na ekranie pojawił się komunikat: „brak wyników”.

– Jak to możliwe? – zapytał sam siebie.

Cofnął stronę. Ponownie przejrzał dane, które wpisał. Nie popełnił błędu, nazwa miasta się zgadzała, data zgłoszenia także. „Ale to dziecko musiało zaginać”, powtarzał w myślach, patrząc na ekran.

– Pobiedziska, Pobiedziska, Pob...

Kursorem myszy zaznaczył nazwę miasteczka i usunął ją. Dotarło do niego, że rodzina mogła przecież podać nieznaną mu nazwę miejsca. Zanim wcisnął jeszcze raz przycisk „szukaj”, przypomniał sobie rysunek. Trzy dziewczynki, jeden chłopiec. Widział ich sylwetki, jakby trzymał ilustrację tuż przed sobą. Sięgnął pamięcią do ofiar z dziewięćdziesiątego trzeciego roku: dwie dziewczynki i chłopiec. Zaginionym dzieckiem musiała być dziewczynka. Zaznaczył „kobieta” w rubryce „płeć”. Nacisnął klawisz „enter”. Na ekranie monitora pojawiła się klepsydra. Każdy jej obrót zdawał się zajmować co najmniej kilka sekund – czas jakby zwolnił. Odgłosy w komputerze były coraz głośniejsze, a klepsydra coraz wolniejsza. Wcześniej wynik pojawił się natychmiast, a teraz... Feliks oddychał coraz szybciej, wbił wzrok w monitor, wiedząc, co się zaraz wydarzy. Klepsydra obróciła się ostatni raz...

Na ekranie pojawił się wynik – jedna zaginiona osoba. W listopadzie dziewięćdziesiątego trzeciego roku dziewczynka miała dziesięć lat. Ostatnio widziano ją w miejscowości Bugaj, jeszcze w granicach gminy Pobiedziska, ale już nie w samym miasteczku. Struner przypomniał sobie, że dzień wcześniej mijał tabliczkę z tą nazwą, kiedy jechał na miejsce zbrodni. Najbardziej zaskoczyło go imię. Był przekonany, że jest mu znajome. Aniela Rygiel. Nazwiska nie kojarzył, ale imię coś mu mówiło. Najechał kursorem myszki na pomniejszone zdjęcie dziewczynki. Kliknął.

– Kurwa... A jednak to ona – szepnął.

Zanim zdążył cokolwiek więcej przeczytać o zaginionej przed laty, usłyszał dwa znajome głosy. Przybyli ci, których nie cierpiał. Wcisnął „drukuj” i spiesznie podszedł do drukarki, której używali wszyscy policjanci w wydziale. Dokument wylądował w kartonie tak szybko, że żaden z jego kolegów nie miał szansy, by o niego zapytać.

– Ooo, Feliks, ty tutaj? – zdziwił się jeden z nich, niższy od drugiego stopniem.

– Właśnie, nie miałeś mieć wolnego? – odezwał się wyższy rangą policjant.

Był ledwie rok młodszy od Feliksa, ale w czasach PRL-u szybciej wstąpił do służby, a to przecież staż w policji liczył się bardziej niż faktyczny wiek. Nazywał się Janusz Padul, inspektor.

– Taaa, wczoraj. Zresztą... – Struner spojrział na karton na biurku.

– Nowa sprawa? – dopytywał młodszy, na co Feliks tylko kiwnął bez entuzjazmu głową.

– No właśnie, muszę lecieć – bąknął, gdy ci się w niego wpatrywali.

– Słyszałeś? – Starszy policjant zignorował słowa kolegi po fachu. – Nie dość, że obcięli nam emerytury, to w dodatku musimy walczyć o podwyżki.

– Nie krył frustracji.

– Jak to? – Feliks wydał się zmieszany.

Choć wiedział, że rozmowa może potrwać, był ciekaw, o czym Padul mówi. A ten lubił mówić o wszystkim.

„Prawdziwy Polak, znawca wszystkiego”, pomyślał Struner.

– Ustawa dezubekizacyjna. Słyszałeś chyba o niej? Wprowadzili ją kilka miesięcy temu – odparł zdziwiony policjant. – Młodemu to wszystko jedno, ale my dostaliśmy po dupie.

– Ustawa dezubekizacyjna? Co to takiego? – Feliks spojrział na zegarek. Miał jeszcze kilka minut i warto byłoby się dowiedzieć, o co chodzi, jeśli mogło to wpłynąć na jego zarobki.

– Chyba żartujesz? Nie oglądasz telewizji? Co ty, gazet nie czytasz? – Janusz zaśmiał się z dużą dozą satysfakcji.

Feliks przewrócił oczami. Tekst z klasycznej polskiej komedii nie bawił go tak, jak dwójkę kolegów.

– Obcinają nasze emerytury, zrównują je do średniej wypłacanej przez ZUS. I to za co? Za tych kilka lat w milicji – sapnął już całkiem poważnie Padul, gdy zapadła krótka cisza. – Jakbyśmy to my, kurwa, pałowali związkowców, a przecież nasz wydział zajmował się prawdziwymi kryminalistami. Nie wiem, kto wymyślił taką ustawę... Kurwa, nie wiem. Człowiek ryzykuje życiem, łapie szumowiny, a tu proszę... Zrównują nas

z tymi, co wykonywali jakieś polityczne rozkazy. Paranoja, mówię ci, to, kurwa, paranoja jest!

Mężczyzna z każdym słowem coraz bardziej dawał upust tłumionym emocjom. Feliks wiedział, że to prowadzi do nieustającego słowotoku, a jemu kończył się czas. Pozostało mu wyłącznie jedno: musiał zniechęcić policjanta do rozmowy. Łatwa sprawa.

– I tak długo nie pożyjemy... – Machnął lekceważąco ręką.

– I co, mamy oddać swoje zarobione pieniądze? Nie wkurwia cię to? – Paduł tracił cierpliwość, zwłaszcza gdy widział kamienną twarz Strunera.

– Nie.

To jedno słowo wystarczyło, aby kompletnie wytrącić rozmówcę z równowagi. Nie cierpiał nie mieć racji, a Feliks to wykorzystał. Pociągnął temat, by nie dopuścić do erupcji wulkanu nagromadzonych w koledze emocji.

– Nie, może nie prześladowaliśmy związkowców czy księży, ale niewinni też nie jesteśmy. Przyglądanie się z boku i niereagowanie na ludzkie krzywdy to też wina. Każdy z nas miał swój rozum, mogliśmy zrobić więcej zamiast się przyglądać i wykonywać rozkazy. Odwróciliśmy wzrok, rozumiesz? Zostawiliśmy ten kraj samemu sobie. Na szczęście udało mu się wygrać i bez nas.

Panował nad swoim głosem, który był spokojny, wręcz usypiający, a Janusz stracił rezon. Po krótkim wywodzie Strunera wyglądał, jakby stracił chęć do dyskusji. Misja wykonana.

– To wszystko, co masz do powiedzenia na ten temat? – zapytał zmęczonym głosem.

– Tak. Zrozum, w tamtych czasach były dwa rodzaje ludzi. Ci, co walczyli o zmiany w tym kraju, i cała reszta. To, że ubecy byli winni, nie czyni nas czystymi, tak samo przejście lustracji nie robi z nas przykładnych policjantów.

Mężczyzna spojrzał na Feliksa markotnie.

– Nie łam się. I tak długo już nie pożyjemy – powtórzył Struner, uśmiechając się szyderczo.

Policjanci wymienili się spojrzeniami i bez słowa od niego odeszli. Kiwnęli tylko głową na pożegnanie.

Feliks schodził z piętra ukontentowany, ściskając znalezione akta. Dziś odniósł podwójne zwycięstwo: zapobiegł bezsensownej rozmowie oraz udało mu się oderwać uwagę nieulubianych kolegów od trzymanego przez niego w rękach kartonu. Ale odetchnął z ulgą dopiero w aucie. Była też trzecia wygrana: nie spotkał komendanta.

Maria czekała około dziesięciu minut, zanim pojawił się przed sądem. Nie przywitała go ani słowem, pokazała jedynie palcem na swój drogi złoty zegarek, a Feliks wiedział, że nie po to, by pochwalić się biżuterią. Jej wzrok mówił wszystko. Była wściekła, że musiała czekać, i to w chłodny jesienny poranek.

– Przynajmniej dziś nie pada – stwierdził inspektor, mocno akcentując sarkazm w głosie.

Kobieta obrzuciła go gniewnym spojrzeniem i weszła do budynku. Struner był tuż za nią. I właśnie pomyślał, że wyciągnięcie akt z policyjnej klitki znacznie różni się od dostania kopii z sądu. Przyspieszył kroku i zbliżył się do partnerki.

– Nie powinniśmy mieć pozwolenia od prezesa sądu? – zapytał cicho.

Maria spojrzała na niego i wzniosła oczy ku niebu.

– Myślisz, że co wczoraj robiłam? Nie traciłam czasu, wiem, że mamy tydzień – odpowiedziała poirytowana. Wyciągnęła z kieszeni płaszcza dokument, na którym Feliks dojrzał pieczęć z podpisem sędziego. – Opłaca się mieć kilka przysług tu i tam – dodała z satysfakcją, wiedząc, że ta wzmianka zdenerwuje jej towarzysza.

Właśnie takiej postawy nie cierpiał, policjantów, którzy handlowali prawem i przysługami. To był jeden z powodów, przez który ich partnerstwo rozpadło się przed laty. Ale nie główny... Informacja, że



właśnie ta zniechęcona praktyka ułatwiła im dostęp do akt, była sporym ciosem w dumną postawę inspektora.

– Masz w telefonie aparat? – zainteresowała się Maria po okazaniu dokumentu w sekretariacie.

– Aparat? – Feliks wyciągnął komórkę z kieszeni.

Kobieta spojrzała na niego i pokręciła głową.

– Schowaj go, bo jeszcze komuś krzywdę tym zrobisz – powiedziała z pogardą. – Masz. – Wyjęła z torebki mały aparat cyfrowy, a sama chwyciła swojego iPhone'a.

– Nie będziemy kserować? – Feliks niechętnie wziął sprzęt do ręki.

– Wiesz, ile to kosztuje?

– To prawda – potwierdziła młoda kobieta w sekretariacie.

Była uśmiechnięta i miła, co bardzo zdziwiło przybyłych. Przywykli do oschłego traktowania przez pracowników administracyjnych.

– Jakiś czas temu w sprawie skarbowej jedna ze stron skopiowała ponad osiemset stron akt i musieli zapłacić ponad dwa i pół tysiąca złotych. – Dziewczyna oddała dokumenty.

– Stąd aparaty – wytłumaczyła Maria takim tonem, jakby mówiła do dziecka.

– Dzięki. – Obruszony Feliks zmierzył partnerkę gniewnym wzrokiem, a pracownica sekretariatu cicho się zaśmiała. – Nie wiedziałem po prostu, że można robić tu zdjęcia.

– W dawnych czasach nie było można – wtrąciła dziewczyna, co wywołało na twarzy Marii uśmiech. Młoda kobieta od razu się zorientowała, że mogła przypadkiem urazić starego policjanta. – Dopiero gdzieś w dwa tysiące pierwszym minister wprowadził ustawę, która sklasyfikowała fotografie jako notatki.

– To my już lepiej pójdziemy po te akta – oznajmiła Lipan, której humor wydawał się poprawić, pomimo że wcześniej partner kazał jej na siebie czekać.

– Proszę, drugie drzwi na lewo. – Sekretarka wstała. – Zaraz je państwu przyniosę.

– Dzięki – rzucił opryskliwie Feliks i ruszył we wskazanym kierunku.

– Co za przemiła dziewczyna – skomentowała Maria, kiedy znaleźli się przy drzwiach, z dala od uszu pracownicy sądu.

– Taaa, prawdziwie cudna...

Otworzył drzwi, ale nie przepuścił partnerki, która tego oczekiwała. Wszedł tuż przed jej nosem.

– Pojechałem do komendy po akta. Dlatego się spóźniłem. Tamte papiery też mogą się przydać.

– Możliwe – odparła od niechcienia Maria.

– I sprawdziłem coś...

Słowa Feliksa zainteresowały kobietę, więc na niego spojrzała.

– W dziewięćdziesiątym trzecim zaginęło jeszcze jedno dziecko w okolicy Pobiedzisk. Aniela.

– Aniela? Jak ta córka...

– Tak, tej kobiety z kamienicy. Ona wtedy zaginęła, nadal jest w rejestrze.

– Może naprawdę po prostu zaginęła? – bąknęła trochę lekceważąco Maria.

– To on, Zabawkarz. Aniela to czwarta ofiara, jestem tego pewny, musiały być cztery... Teraz też będą cztery. – Feliks w ogóle nie patrzył na partnerkę.

– Co? Skąd wiesz, że muszą być cztery? – zaniepokoiła się funkcjonariuszka.

– Przeczucie... – mruknął zmieszany inspektor.

Przez tyle lat w policji i ABW Lipan przekonała się, jak ważne jest przeczucie u policjanta. Choć ona opierała się głównie na faktach, czasem spreparowanych, to w przeczucia Feliksa zawsze mogła wierzyć.

Po kilkunastu minutach niezręcznej ciszy dziewczyna z sekretariatu przyniosła akta, o które prosili. Maria podziękowała, a Feliks bez słowa zaczął przeglądać grube teczki.

– Kurwa, jest ich trochę... – Śledcza westchnęła, biorąc jedną z trzech.

– Taaa, postaraliśmy się, kawał chujowej roboty...

Struner układał na stole akta, strona przy stronie. Włączył aparat.

– Myślisz, że to naprawdę on? – Maria oglądała jedną z fotografii sprzed lat. Zbliżenie obdartej ze skóry dłoni.

– Widziałaś tę dziewczynkę z wczoraj, prawda? To mógł być tylko on – odrzekł inspektor, pstrykając zdjęcia dokumentom.

– No tak, ale...

– Co, miałaś nadzieję, że umarł ze starości? – wyłośliwił się Feliks.

Dla niego to był czas na pracę, a nie wysnuwanie teorii o dziejach Zabawkarza w ostatnich dwudziestu pięciu latach jego życia – na co jest czas, gdy morderca siedzi już w zamknięciu. Ale oni byli daleko od posadzenia go za kratki.

– Nie... Raczej, że pierdolnął go pijany kierowca – zripostowała Maria, po czym zabrała się za robienie fotografii.

Feliks rozkładał kolejne strony akt, gdy zadzwonił jego telefon. Nieznany numer. Partnerka rzuciła mu rozdrażnione spojrzenie i wzruszyła ramionami. Odebrał.

– Tak?

– Inspektor Struner? – rozbrzmiał w głośniku znajomy głos. – Tu aspirant Maciejczyk. Chciał pan, żebym do niego zadzwonił...

Dopiero po kilku sekundach Feliks się zorientował, że to Marek, policjant z Pobiedzisk.

– A tak, tak. Myślałem, że jeszcze wczoraj zadzwonisz. – Odłożył aparat, który trzymał w drugiej dłoni. – Chciałem cię zapytać o przesłuchanie mamy tej zaginionej dziewczynki.

– Ach, o to chodzi. Wczoraj już skończyłem służbę, więc pomagałem w poszukiwaniach, nie było mnie na posterunku.

Feliks nie wiedział, czy to telefon tak zniekształcał głos Marka, czy faktycznie policjant brzmiał tak lekceważąco.

– Opowiesz mi o przesłuchaniu, kiedy przyjedziemy. – Inspektor spojrzał na akta. – Myślę, że za dwie, może trzy godziny.

– Zapytaj o poszukiwania... – szepnęła Maria.

– A jak poszukiwania?

– Nic nie znaleźliśmy, żadnych śladów. No, poza zwykłymi śmieciami... – odpowiedział już normalnym tonem aspirant, choć akcent na ostatnie słowo był mylący. Trudno było stwierdzić, czy chodzi o butelki i tego typu śmieci, czy o pewien typ ludzi. – Prawdę powiedziawszy, nie ma sensu, żebyśmy jej szukali po lesie. Nie jestem pewien, czy ona w ogóle uciekła – dodał półszepem. Ledwo go było słychać.

– Tak?

– Sądzę, że sprawy dziewczynki z misia i zaginionej Magdy... się łączą. Wiem, że pan też tak myśli. – W głosie Maciejczyka pojawiła się nutka ekscytacji.

– Twój komendant ma inne zdanie.

– Tak, był wściekły, gdy w wiadomościach pojawiła się informacja o zaginięciu. Ja uważam, że to dobrze, że ktoś puścił farbę. Przesłuchaliśmy nauczycielkę, a ona porozmawiała z dziećmi. Nic nie wskazuje na ucieczkę, przy której się uparł ten stary... – Marek ugryzł się w język. – Nasz komendant. Dwa dni temu Milena zgłosiła, że córka zachorowała, więc nawet w szkole nie wiedzieli, że coś się stało.

– Zachorowała? A matka o tym wspominała? – zainteresował się Feliks.

– Nie wiem... Ale chyba nic nie mówiła. To tylko choroba...

– To było telefoniczne zgłoszenie? – dopytywał inspektor.

– Nauczycielka nie powiedziała... Proszę wybaczyć, ale muszę kończyć. Idziemy szukać dalej. – Aspirant wydawał się zmieszany. – Proszę napisać, kiedy pan przyjedzie, a ja postaram się dotrzeć na komendę.

- Zaczekaj! – krzyknął Struner, lecz Marek już się rozłączył.
- Widzisz, czasem warto zainteresować się innymi – skonstatowała z satysfakcją Maria. – Chyba czegoś się dowiedziałeś.
- Tak, o zaginionej dziewczynce. W szkole zgłoszono, że jest chora. – Feliks podrapał się po brodzie. – Myślę, że to nie jej matka zgłosiła chorobę...
- Zabawkarz? – domyśliła się Maria.
- Może. Albo dziewczynka chciała mieć wolne od szkoły...
- I myślisz, że ta pierwsza też zgłosiła chorobę?
- Tak, musimy się spieszyć. W szkole dowiemy się, kim była. – Struner chwycił aparat i szybko robił zdjęcia.
- Zadzwoń do aspiranta, niech zapyta i o nią – zasugerowała partnerka, energicznie wertując następne kartki akt.
- Nie, lepiej nie. Komendant na pewno będzie go obserwował, a wolę, żeby nie wiedział, co mamy. Przynajmniej na razie.
- Dlaczego? Wiesz, że może nam pomóc.
- Pewnie tak, ale ta dziewczynka nie żyje i nic tego nie zmieni. Teraz wszyscy zaczną ratować swój tyłek. Wizyta burmistrz jest tego najlepszym dowodem.
- A jeśli nie była z Pobiedzisk?
- Była... – zapewnił Feliks, a Maria obrzuciła go pytającym wzrokiem. – Nie mam pewności, to przeczucie...
- Dużo tych przeczuć. – Lipan zrobiła się podejrzliwa.

Minęło trochę czasu, zanim uwinęli się z robotą w sądzie. Im dłużej im to zajmowało, tym bardziej byli sfrustrowani. Ale to ważne akta. Znajdowały się w nich zebrane przez prokuratora dane. Feliks nigdy ich nie widział. Akta z komendy policji były uboższe, pozbawione prawniczych teorii i wątków, dlatego mężczyzna uparcie pstrykał zdjęcia zamiast rzucić to wszystko w cholerę i zadowolić się wykonaną pracą sprzed lat. Część stron była kopią tego, co miał w aucie, lecz je także fotografował. Nie ominął ani jednej kartki.

Wybiła jedenasta, gdy skończyli z drugą teczką. Struner patrzył coraz częściej na zegarek. Myślał, że będzie już w drodze do Pobiedzisk, a tu czekała na nich trzecia część dokumentacji. Mimo że była nieco cieńsza od poprzednich, po tylu godzinach wydawała się dwa razy grubsza. Nie znosili tego aspektu swojej pracy, jednak w kompletnej ciszy dokonali robotę, bo tak działali zawodowcy, za których lubili się uważać.

Chwilę po dwunastej Maria zrobiła ostatnie zdjęcie. Szybko zgarnęli akta i ułożyli tak, by dziewczyna z sekretariatu nie miała problemu z dokumentami. Feliks poszedł po nią, a potem bez słowa opuścił pomieszczenie. Maria rzuciła jej miłe spojrzenie i krótkie „dziękuję”, żeby ta nie poczuła się kompletnie zignorowana. Funkcjonariuszka rozumiała, jak działają relacje międzyludzkie – w przeciwieństwie do Strunera. Znała znaczenie słów: dziękuję, proszę, dobrego dnia. Nie zawsze wypowiadała je szczerze, lecz świetnie potrafiła udawać. Wychodziła z założenia, że każdy może jej się kiedyś przydać, dlatego nie obrażała nawet najbardziej nieistotnych dla niej w danej chwili ludzi. Inspektor natomiast był prostym człowiekiem. Jeśli osoba nie wносиła do sprawy niczego nowego albo miał wrażenie, że więcej mu się nie przyda, zachowywał się jak chuj. Szczerzy, niepodrzucający rzeczywistości chuj.

– Feliks? – zagadnęła Maria po wyjściu z budynku.

– Jedziemy twoim – mruknął. Śledcza spojrzała na niego zdziwiona, jakby nie wierzyła, że to powiedział. – No co? Nie ma sensu jechać dwoma autami.

– Tak, to prawda – odpowiedziała skonfundowana, nie wiedząc, jak zareagować.

Partner kompletnie ją zaskoczył – nastawiła się na dyskusję o tym, dlaczego to właśnie on miałby porzucić swoją vectrę. Była pewna, że będzie musiała go namawiać.

– Poczekaj moment...

– Co? – Maria rozrzuciła ręce, wyraźnie poirytowana.

Feliks podążył przed siebie chodnikiem, zostawiając ją samą. Zerknęła nerwowo na zegarek, aż pojawił się z powrotem.

– Prowadź – rzucił krótko, niosąc w rękach karton z aktami.

Policjantka nie skomentowała tego ani słowem. Ruszyła do przodu szybkim krokiem, wiedząc, że mężczyźnie trudno będzie za nią nadążyć.

– Może zjemy coś po drodze? Jeszcze nic nie jadłam... – zaproponowała, gdy dotarli do jej samochodu.

– Co to, jakaś nowa dieta? Zero śniadań? – Struner nie krył sarkazmu ani złośliwości.

Maria obrzuciła go gniewnym spojrzeniem.

– Sam potrzebujesz diety... – odburknęła.

– Hot dog i kawa na stacji – powiedział po chwili.

– Co? Mam ładować w siebie to świństwo?! – oburzyła się kobieta.

– Przyzwyczajaj się... Przecież nie będziesz jadła jajek po benedyktyńsku. Nie, kiedy mamy zaginioną dziewczynkę i... – Inspektor się zająknął.

– Socjopatę na wolności? – skończyła za niego Lipan. – Dobra, rozumiem, masz rację. Kurwa, nienawidzę śmieciowego żarcia.

Odpaliła samochód. Nie potrzebowała do tego kluczyka, co zdziwiło Feliksa, ale nowinki techniczne były mu obce.

– Z takim nastawieniem na pewno ci nie zasmakuje – oznajmił.

„Auto na guzik, idiotyzm”, pomyślał i odłożył aparat do schowka. Karton z aktami wziął na kolana, po czym go otworzył.

– Co robisz? – zapytała Maria.

– Trzydzieści minut jazdy, ze śniadaniem czterdzieści. Chyba nie myślałaś, że będziemy tyle czasu rozmawiać? – Struner wyciągnął wydrukowane ogłoszenie zaginionej przed laty dziewczynki. – Nie jesteśmy przyjaciółmi.

– Ty w ogóle nie masz przyjaciół – odparowała z satysfakcją partnerka, uznawszy, że uderzyła w czuły punkt.

– Taaa, właśnie dlatego nie mam. – Feliks nie okazał większych emocji. Wpatrywał się w kartkę, uważając rozmowę za zakończoną.

– Co masz na myśli? – Maria zaczęła się denerwować.

– Rozmowy. Gdybym miał przyjaciół, musiałbym prowadzić takie bezsensowne rozmowy jak ta, a to jedynie sprawia, że mam ochotę kogoś uderzyć – wyjaśnił całkowicie stoickim tonem śledczy.

– Jesteś chujem, wiesz?

– Co daje pożądane efekty – uciał szorstko pogaduszki Struner.

Na jego twarzy malował się uśmiech, który jednak szybko znikł.

Wydrukowane zdjęcie było ponure, wręcz dołujące. Feliks miał w pamięci to z mieszkania na rynku, z pokoju dziewczynki. Choć obie fotografie przedstawiały tę samą osobę, wydawało się, że były zupełnie innymi dziewczynkami, a przecież zdjęcie musiała przekazać policji właśnie rodzina, by dodano je do ogłoszenia. Mężczyzna zastanawiał się, skąd tyle rozpacz na twarzy dziecka i czy to wina druku. Wpatrywał się w oblicze nieszczęśliwej dziewczynki. Świadomość, że nie potrafił jej pomóc, a nawet nie wiedział o jej istnieniu, była niczym niezabliźniona rana na honorze policjanta.

„A więc to tak smakuje poczucie winy...”, stęknął w myślach i odłożył kartkę na bok. Miał już do czynienia z tym uczuciem – raniąc swoją córkę, niszcząc małżeństwa albo pracując na miano Kozła – ale to było inne. Silniejsze i znacznie bardziej mroczne. Nie podobało mu się.

Maria raz po raz sprawdzała, co robi partner i co przegląda, nie tracąc jednocześnie koncentracji na drodze. Była dobrym kierowcą.

Wkrótce znaleźli się na stacji paliw. Lipan wyskoczyła z auta.

– Możesz zjeść po drodze? – Feliks popatrzył na zegarek.

Maria nie odpowiedziała, przystawiła tylko do szyby środkowy palec i powędrowała po śniadanie. Nie zamierzała jeść w samochodzie.

Struner wrócił do przeglądania akt. Tym razem trzymał na kolanach teczkę mordercy, a raczej niewinnego człowieka, który tak dobrze pasował do profilu. Wyłączywszy brak krwi dzieci na jego rękach.





## Rozdział 6

# Winny niewinny

Mariusz W. – tak przedstawiano go w prasie, telewizji i radiu. Był profesjonalnym zabawkarzem, nie mordercą o takim pseudonimie. Kimś, kto po prostu tworzył zabawki. Przeglądając jego akta, Feliks uznał, że trop był zbyt oczywisty. W Pobiedziskach znano Mariusza jako pana Witka. Tak bowiem brzmiało jego nazwisko. Prowadził sklep papierniczy, gdzie sprzedawał również własnej roboty zabawki. Jedyna zbrodnia, jaką popełnił, to nieodprowadzony podatek za swoje rękodzieło.

Przychodziło do niego wiele rodzin, by zamówić drewniane figurki postaci z bajek i filmów. Z czasem nie było takiej, która by nie miała w domu zabawki z jego podpisem. Powoływał do życia bohaterów, o jakich marzyły wszystkie dzieciaki w mieście, co pozwoliło mu zdobyć szacunek i sympatię każdego z mieszkańców. Dzieci uwielbiały pana Witka, przybiegały do niego z pomysłami, ale też po to, by testować nowe zabawki. Rodzice nie bali się o swoje pociechy, bo właściciel sklepu zawsze był dla nich dobry.

Mariusz nie miał własnego potomstwa, lecz był szczęśliwie żonaty. Kobieta jego serca pomagała mu w sklepie – szaleńczo w nim zakochana, jak i on w niej. Trwała przy mężu do końca i nawet gdy został skazany przed sądem, nie dała wiary oskarżeniom. Kochała go tak mocno, że po procesie poszła do zamkniętego sklepiku. Zastała wybite szyby, a po kątach

leżały zniszczone zabawki. Mieszkańcy wpadli tam pewnego dnia niczym dzika horda i wszystko zdemolowali. Pozostawili też w środku wykonane dla nich przez pana Witka przedmioty. Budynek miał służyć w ogniu oczyszczającym sumienie miasta, a razem z nim wszystko, co kiedykolwiek stworzyły dłonie zabawkarza. Pragnęli, by zniknął z powierzchni ziemi i pamięci mieszkańców, jak gdyby nigdy nie istniał. Całe szczęście, że jeden z inicjatorów akcji w porę się opamiętał i wezwał straż, kiedy pożar dało się jeszcze opanować.

Po procesie ukochana Mariusza wróciła do miasta. Opluwana i wyszydzana przeszła przez rynek z dumnie uniesioną głową, uklękła przed pomnikiem Jezusa, a następnie podążyła do sklepu. Tam popełniła samobójstwo. Powiesiła się tak, aby przechodnie widzieli jej bezwładne ciało, z którego uchodziło życie. Patrzyła na nich, a oni na nią. Choć w oczach mieli strach i współczucie, nikt się nie ruszył, by odciąć sznur. I tak żona pana Witka zmarła.

Maria usiadła za kierownicą samochodu, czego Feliks, pochłonięty przeglądaniem aktami, nie zauważył.

– Masz. – Podała mu kawę.

– Czekając z nią, aż wystygnie? – zapytał, chwytając kartonowy kubek.

– Tak, bo jesteś chamski i chciałeś, żebym się spieszyła – odparła. – W tym autku się nie je. W swoim możesz robić, co chcesz, ale moje ma pachnieć tylko skórą i nowością – dodała i wciągnęła głęboko powietrze.

Kiedy wspomniała o zapachu, Feliks faktycznie poczuł dziwną woń. Zupełnie inną od tej, która towarzyszyła mu w jego starym oplu. Ten zapach był orzeźwiający i nawet przyjemny, jednak szybko stwierdził, że nie chciałby go mieć u siebie. Dawałby mu złudne wrażenie, że istnieje w życiu coś idealnego, a przecież tak nie było. To poczucie mogłoby sprawić, że stałby się nieostrożny albo – co gorsza – ogarnęłaby go iluzja bezpieczeństwa. Opuściłby gardę przed niesprawiedliwym życiem.

– I kawę. – Uniósł kubek i wziął łyk letniej już latte.

Nie smakowała mu, ale wiedział, że Maria specjalnie kupiła właśnie taką. Dobrze znała jego preferencje oraz to, że pił wyłącznie czarną. Nie

chciał dawać jej satysfakcji, więc sęczył zabielałą bez żadnego grymasu na twarzy.

Lipan ruszyła spod stacji. Zawiodła się brakiem reakcji ze strony partnera. Włączyła radio – jazda w ciszy ją drażniła. Mężczyzna obok nie był skory do rozmowy, zwłaszcza że wrócił do akt, zapominając o towarzyszącej podróży.

Mariusz Witek miał czterdzieści trzy lata, gdy go aresztowali. Jego żona Anna była młodsza o pięć. Poza sklepem rzadko widywano ich na mieście, ponieważ praktycznie całe dni spędzali w tym jednym miejscu. On kochał swoją pracę – tworzenie nowych zabawek – a ona wspierała go w tej pasji. Mieszkali w małej kamienicy, tuż obok gotyckiego kościoła – atrakcyjnym punkcie przy jednej z wizytówek Pobiedzisk. Na piętrze mieli mieszkanie, a pod nim, na parterze, prowadzili sklepik. Z jednej strony przylegał do niego zakład fotograficzny, z drugiej – niewielka kawiarnia.

Dawniej rynek w takim małym miasteczku funkcjonował niczym jeden organizm. Wszystkie sklepiki i zakłady wchodziły w interakcje, zacieśniały więzi i tworzyły miejsce, gdzie można było załatwić każdą sprawę. To tak jak w dzisiejszym centrum handlowym, tylko na świeżym powietrzu i z ludźmi, którzy tworzyli ze sobą faktyczne relacje, oparte na czymś więcej niż wymianie złotych na towar. Każdy sobie ufał, bo każdy się znał. I taki też był kiedyś ryneček w Pobiedziskach.

Feliks czytał właśnie zeznania właścicieli małych punktów sprzedaży z tamtych czasów. Z ich wypowiedzi wyłonił się obraz przyjaznego miasteczka, którego nie miał okazji poznać.

„Czy to możliwe, by mówili o tym samym miejscu?“, pytał siebie w myślach. Przewrócił stronę. Akta nie były uporządkowane, co mogło wydać się problematyczne, ale nie miał ochoty układać ich chronologicznie. Brał kartki, jak leciały, przecież i tak przeczyta wszystko, kolejność niczego nie zmienia.

Minęli sygnalizację świetlną przy skrzyżowaniu w Kobylnicy. Maria wcisnęła mocniej pedał gazu – nie chciała się dłużej nudzić za kierownicą, podczas gdy Feliks wertował dokumenty i zdobywał informacje.

Frustrowało ją to, bo nie miała ochoty zostać w tyle przy śledztwie. Licznik pokazywał, że przekroczyła setkę, i to w obszarze zabudowanym.



Mariusz Witek, absolwent Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie. Tuż po studiach przeprowadził się do Poznania („Nie wiadomo dlaczego” – głosiła notatka), gdzie pracował w zakładach Hipolita Cegielskiego. Nie zagrzał tam długo miejsca. Praca w fabryce tłamsiła jego artystyczną naturę. Zaczął imać się małych zleceń, tworzył rękodzieła i dorabiał, pracując w niewielkim zakładzie meblarskim. Od zawsze lubił malować, ale to rzeźbiarstwo było jego największą pasją. Dzięki jego innowacyjnym pomysłom na oryginalne kształty mebli pomógł małej rodzinnej firmie zyskać nowych klientów. Uspokajało go rzeźbienie w drewnie. Z pozostałych kawałków tworzył małe ludziki, żeby później rozdawać je na rynku dzieciom. („Przynajmniej tak twierdził” – mówiła notatka w aktach). To właśnie tam poznał przyszłą żonę. Anna pochodziła z zamożnej rodziny. Rodzina ta posiadała kamienicę, w której później zamieszkali. Z krwi i kości pobiedziszczanka zakochała się w Witku od pierwszego wejrzenia. W trudnych dla kraju czasach wyróżniał się dobrocią i empatią, co dawało jej nadzieję na lepsze dni. Anna, studenta filologii polskiej, zawsze marzyła o pracy z dziećmi, więc ktoś z tak wielkim sercem wydał się jej idealnym mężczyzną. Kandydatem na męża.

Feliks próbował sobie przypomnieć twarz mężczyzny, który przez niego odsiadywał wyrok, lecz na próżno. Choć wiedział, że powinien czuć się z tym źle, miał w sobie zupełną pustkę. W końcu poświęcił jedno życie w zamian za spokój ogółu. Zamykając oczy, widział tylko zamazaną twarz kogoś, kto nic dla niego nie znaczył. Dlatego inspektor zapomniał o nim na dwadzieścia pięć lat. Zdawało mu się, jakby dziś na nowo poznawał człowieka, którego ogłoszono Zabawkarzem.

Oczy mężczyzny poruszały się z zawrotną prędkością, z lewej do prawej. Czytał szybko, kolejne słowa odkrywały pozornie nieistotną historię miłości państwa Witków. Pierwsze spotkania, randki, a nawet ceremonię ślubną, która pozwoliła Mariuszowi wejść do zamożnej rodziny. Zarówno mieszkanie w kamienicy, jak i pomieszczenie na sklepik były prezentami od rodziców Anny.

Feliks sięgnął po następną stronę.

Trafił na zdjęcie pana Witka. Zrobione na potrzeby kartoteki policyjnej, tuż po jego zatrzymaniu. Ustawiony profilem, z tabliczką w ręku. Struner zaraz znalazł drugie, tu mężczyzna stał przodem. Miał podbite oko i mocno rozciętą wargę, co w ogóle nie zdziwiło śledczego. To prawda, w dzisiejszych czasach by to nie przeszło, ale w dziewięćdziesiątym trzecim więzień nie miał zbyt wielu praw lub zwyczajnie ich nie przestrzegano. Aktualnie policjanci biją w miejscach, które przykrywają ubrania, ale wtedy... bez ograniczeń dawano upust złości. „Podejrzany stawiał opór przy zatrzymaniu” – takie wytłumaczenie było wystarczające dla prokuratury. Żadnych pytań, jakby wątpy mężczyzna faktycznie mógł stawić opór grupie uzbrojonych antyterrorystów.

Feliks pamiętał, w jakich okolicznościach zrobiono te zdjęcia, nawet nie pomyślał wówczas o zaprotestowaniu. Takie fotki były mu na rękę. Wykonano je, zanim Mariusz się przyznał i zanim postawiono mu jakiegokolwiek zarzuty. Zatrzymany w celu wyjaśnień. Sąd nie zdążył się jeszcze przychylić do trzymiesięcznego aresztu, a zdjęcia zostały zrobione, jakby już udowodniono Mariuszowi winę. Po nich nastąpiła skuteczna perswazja ze strony funkcjonariuszy.

Maltretowanie psychiczne i fizyczne sprawiło, że podejrzany do wszystkiego się przyznał, byleby zakończyć swoje cierpienie. Przyznał się nawet do czynu, który nie został popełniony. Wmówiono mu gwałt na dzieciach, choć badania zaprzeczyły jakiegokolwiek wykorzystaniu nieletnich. Pan Witek potwierdził oskarżenie. Wieść o tym rozniosła się po komendzie lotem błyskawicy, a potem bardzo szybko przedostała do prasy. Wkrótce cała Rzeczpospolita mówiła o mordercy i gwałtocielu – którym nie

był. Gdy zapadł wyrok, również więźniowie poznali jego historię. Wszyscy skazańcy przygotowywali się na dzień przybycia Zabawkarza w mury zakładu karnego. Pozbawienie wolności to nie jedyna kara, która spadła na barki wątlęgo twórcy zabawek – współwięźniowie stali się jego katami.

Struner czuł, że zbyt długo przygląda się jego fotografiom, jednak nie potrafił zapanować nad powracającymi wspomnieniami z procesu. Czytał o nim w gazetach, sam bowiem ani razu nie pojawił się na sali rozpraw. Maria wręcz przeciwnie, przychodziła na każdą, a na jednej z nich nawet zeznawała – jako funkcjonariuszka, która złapała mordercę. Mimo że była wtedy żółtodziobem, sprawa ta stała się trampoliną do jej zawrotnej kariery. I dlatego dziś mogła być... No właśnie, Feliks nie wiedział, jakie piastowała stanowisko w ABW, ale raczej ważne. Jeździła nowym autem, pozwolenie o akta załatwiła w jeden wieczór, w dodatku (to było wyłącznie podejrzenie inspektora) o morderstwie w Pobiedziskach dowiedziała się przed nim.

Spojrzał ostatni raz na zdjęcie pana Witka. Wychudzony mężczyzna o długich włosach nie wzbudzał strachu, nie wyglądał groźnie, prędeż żałośnie; wywoływał współczucie. Ze starej fotografii wpatrywały się w Feliksa niebieskie oczy. Rozcięte usta jakby się poruszyły, lecz nie wy dostały się z nich żadne dźwięki. Usta otwierały się coraz szerzej i ruszały szybciej, a na twarzy nabrzmiały żyły – Mariusz zaczął wyglądać tak, jakby krzyczał, ale w aucie rozbrzmiewała jedynie puszczana w radiu sonata.

Feliks odłożył zdjęcia z największym spokojem, na jaki go było stać. Kiedy znalazły się w kartonie, wszystko wróciło do normalności. Mężczyzna z fotografii znowu trwał nieruchomo.

Struner przetarł oczy i spojrzał za okno. Zza szarych chmur przebijały się delikatne promienie słońca. Właśnie mijali tabliczkę z napisem: Pobiedziska-Letnisko. Tylko pięć kilometrów dzieliło ich od miasteczka, gdzie poprzedniego dnia zawitała zbrodnia. Inspektor zamknął karton, gdyż nie było sensu zaczynać czytania nowych stron akt. Dopił zimną latte, której nie ruszył, odkąd minęli światła na skrzyżowaniu w Kobylnicy.

Ulice miasta wydały się takie same jak wczoraj, a ludzie na chodnikach nieporuszeni dramatycznymi wydarzeniami. Podana w wieczornych informacjach wieść o zaginionej dziewczynce została chyba potraktowana przez większość mieszkańców dość obojętnie. Niewielu z przechodniów nerwowo oglądało się za siebie, sprawdzając własny cień. Maria jechała prosto pod szkołę, więc po drodze musieli minąć rynek. Zobaczyli tam samochód ze znanym logo jednej ze stacji telewizyjnych, a dalej następny z innym, równie znanym. Wyglądało na to, że oba auta zaraz miały odjechać.

– Chyba mają to, czego chcieli – stwierdziła Maria, wyraźnie znudzona całą drogą w ciszy.

– Dobrze wiedzieć, że interesuje ich dziecko normalnych ludzi, a nie tylko wielka polityka.

– W tym kraju nie ma wielkiej polityki... – Lipan wzruszyła ramionami, włączając kierunkowskaz przed wyjazdem z rynku.

– Trzynasta. Obyśmy zdążyli pogadać ze wszystkimi nauczycielami. – Feliks urwał temat polityki, na który nigdy się nie wypowiadał.

Nie był pewien, czy wie, kim jest premier kraju, a już na pewno nie znał ministrów, marszałków etc. Jedyne, co wiedział o polityce, to to, że co chwila ktoś kogoś nagrywa, by później ktoś kogoś zdymisjonował. I tyle.

– Wystarczą wychowawcy klas, będą wiedzieć, kto jest chory, a kto nie – powiedziała sennym głosem Maria, jakby sama myśl o tylu rozmowach była dla niej niezwykle męcząca.

– Taaa, może masz rację. Zaczniemy od czwartych klas? Wtedy ma się ile? Dziesięć, jedenaście lat? – zastanawiał się na głos Feliks.

– Rocznikowo ma się dziesięć, gdy zaczynasz – odparła partnerka. – Jedenaście, kiedy kończysz... – dodała złośliwie.

Feliks pominął jej uszczypliwość milczeniem.

Przed szkołą stał radiowóz. Maria zaparkowała tuż obok. Szkoła w Pobiedziskach była duża, składała się z aż czterech budynków. W najnowocześniejszym uczyły się roczniki gimnazjalistów. W dwóch

innych, tych o przedwojennej architekturze: klasy 1–3 i 4–6. Taki podział wiekowy zdawał się dobry dla młodszych uczniów, bo przebywali z dala od starszych, więc ci nie mogli ich gnębić. Na terenie szkoły powstała też nowoczesna hala sportowa, gdzie organizowano różne turnieje i imprezy, a przy niej boisko typu orlik. Mimo sporego zabudowania obszar podstawówki wypełniała również duża zielona przestrzeń, a całość otaczał aluminiowy płot. Między nim a posesją jednego z mieszkańców biegła ścieżka, która prowadziła nad jezioro. Z drugiej strony szkoła sąsiadowała z domem kultury. Przed główną bramą, tuż przy ulicy, stał pomnik Kazimierza Odnowiciela.

Wiele uleciało z pamięci zarówno Feliksa, jak i Marii. Cały kompleks wyglądał jak elitarna szkoła w jakimś bogatszym mieście w USA, a nie w małym polskim miasteczku. Rzeczywistość naprawdę się zmieniła, oboje wysnuli taki wniosek.

Drzwi do budynku otwierały karty magnetyczne. Dlatego czekali, waląc w nie, prawie dziesięć minut, zanim otworzyła je sekretarka. Oczywiście po uprzednim okazaniu przez funkcjonariuszy odznak.

– Jeśli chodzi o zaginioną dziewczynkę, to gościmy już policję – zaznaczyła niezbyt uprzejmym tonem. Wyglądała na niezadowoloną niespodziewaną koniecznością przejścia z sekretariatu do głównego wejścia.

– Taaak? Ale my mamy swoje pytania. – Feliks wszedł do szkoły, otwierając szerzej drzwi i prawie taranując nieprzyjazną kobietę.

– Przepraszam, on tak zawsze – rzuciła lekko zażenowana Maria.

– W czym więc mogę pomóc, panie...? – zapytała szorstko sekretarka.

– Struner, Feliks Struner – odparł całkowicie poważnie inspektor, a Maria niemal wybuchnęła śmiechem. – Musimy porozmawiać z dyrektorem.

Dopiero jej chichot dał mu do zrozumienia, jak zabrzmiał: „Jestem Bond, James Bond”.

Nie zareagował.



Pracownica sekretariatu nie zauważyła zachowania policjantki ani nie miała skojarzeń z filmem. Maria jednak wyobraziła sobie stojącego obok Feliksa Daniela Craiga. Aktor, grający Bonda w ostatnich częściach serii o brytyjskim szpiegu, zawładnął sercem niejednej kobiety na świecie – Lipan była jedną z nich. Tym bardziej rozśmieszyła ją wizja Strunera w tej roli. Agent 007 w służbie Jej Królewskiej Mości, przystojny mężczyzna, który ubierał się tylko w najlepsze garnitury, no i umiał zadbać o kobietę, a z drugiej strony Feliks... Taki... facet. I tyle.

– Idziesz? – Spojrzał na nią surowo.

– Co? Tak, tak – odrzekła szybko, nieco zmieszana.

– To chodź, dyrektor na pewno nie ma dużo czasu.

Tak naprawdę nie obchodził go terminarz dyrektora. To Feliks nie miał czasu, lecz za to miał porwane dzieci.

– Dobra, już dobra – odpowiedziała naburmuszona Maria.

„Też mi Bond”, prychnęła w myślach.

Sekretarka poprowadziła ich pustymi korytarzami szkoły. Trwały lekcje. Kiedy przechodzili obok sal, słyszeli wykłady nauczycieli. Gramatyka, dwudziestolecie międzywojenne czy tłumaczenie wzorów chemicznych. Docierały do nich strzępy zdań. W końcu weszli na drugie piętro. Kobieta zatrzymała się tuż przy schodach. Wskazała na najbliższe drzwi.

– Dyrektor Drzemiec prowadzi lekcję. – Zerknęła na zegarek. – Zostało dziesięć minut, proszę tu poczekać. – Ton jej wypowiedzi brzmiał bardziej jak rozkaz niż prośba.

Następnie zeszła po schodach, nie czekając na odpowiedź.

Do uszu funkcjonariuszy dobiegł zza drzwi oschły i donośny głos mężczyzny.

– Kto mi powie, jak brzmi druga zasada dynamiki? Proszę, pan Paruch.

– Ciało, na które działają siły niezrównoważone – odezwał się cicho jakiś chłopiec – porusza się względem układu inercyjnego z przyspieszeniem o wartości wprost proporcjonalnej...

– Przestań czytać z Wikipedii! Schowaj ten telefon! – krzyknął fizyk. – Masz przed sobą podręcznik? Przeczytaj i powiedz to własnymi słowami.

Dyrektor nieznacznie się uspokoił.

W klasie nastała cisza jak makiem zasiał, raz po raz przerywał ją jedynie stukot laski. Maria z Feliksem nasłuchiwali. Nagle rozbrzmiał huk zamykanej książki.

– Co? Już nie tak łatwo, gdy trzeba się wysilić, prawda? – Nauczyciel zdawał się zadowolony. – Zadanie domowe.

W sali rozległ się jęk rozczarowania.

– Cisza!

I znów zapanował spokój – jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Feliks poczuł pewnego rodzaju respekt do dyrektora, który tak łatwo potrafił opanować gromadę głośnych dzieciaków. Ciszę przerywał pisk kredy i zdławiony szept uczniów. Potem zaterkotał dzwonek, a z klas wybiegły niezliczone gromady dzieciaków. Sala dyrektora pozostawała jednak zamknięta. Zza drzwi nie dochodził żaden dźwięk, co zdawało się wręcz nienaturalne. Wreszcie się otworzyły.

– Proszę, możecie iść na przerwę. – Fizyk trzymał za klamkę, przepuszczając grzecznie idących uczniów, którym nie przyszłoby nawet do głowy, by wybiec z jego lekcji.

Feliks zerknął na mężczyznę. Przyszło mu do głowy tylko jedno słowo: jegomość. Dyrektor szkoły miał siwe, perfekcyjnie ułożone włosy, zadbaną brodę i aparycję prawdziwego gentlemana starej daty. Można by go uznać za człowieka z wyższych sfer. Nienaganny ubiór i dobrany każdy detal to jego wizytówki. Idealnie wyprasowana biała koszula, brązowa kamizelka w kratę i garnitur w takim samym kolorze. Do tego starannie związany ciemnowiśniowy krawat oraz pasująca do całości finezyjnie ułożona poszetka. Do tego z zapięcia kamizelki zwisał złoty łańcuszek i zniknął w jej prawej kieszeni. Całości dopełniały ciemnobrązowe buty i takiż pasek, jak również wystające spod rękawów marynarki złote spinki do mankietów. Na czubek nosa nauczyciel włożył zgrabne małe okulary, a na palec serdeczny u lewej dłoni – złoty sygnet. Opierał się na lasce. W głębi klasy,

tuż przy biurku, stał wieszak z kapeluszem i płaszczem. Dyrektor był raczej przeciętnego wzrostu, nie przekraczał metra osiemdziesięciu, lekko wychudzony, o bladej, kościstej twarzy. Miał w sobie coś dostojnego, budzącego szacunek.

Spojrzał na nieznanym mu ludzi.

– Dzień dobry. Państwo są rodzicami któregoś dziecka? – zapytał tonem zupełnie innym od tego, który słyszeli podczas lekcji.

– Dzień dobry. Jesteśmy z policji. Inspektor Struner. – Feliks wyciągnął odznakę, lecz Drzemiec nawet na nią nie spojrzał.

– A pani? – Wbił wzrok w Marię. Wyraźnie mu się spodobała.

– Och, tak, dzień dobry. Maria Lipan. – Kobieta wyciągnęła rękę, a dyrektor schylił się, by pocałować dłoń funkcjonariuszki.

– Profesor Robert Drzemiec. Miło mi panią poznać – odparł z delikatną chrypką, która wydała się kobiecie całkiem seksowna. – Proszę, madame.

Przepuścił Marię, wchodząc między nią a Feliksa. Policjant zamknął za sobą drzwi.

– W czym mogę pomóc? – Dyrektor otworzył okno.

Pomieszczenie od razu wypełniło chłodne powietrze.

– Mamy do pana prośbę. Chcielibyśmy zadać kilka pytań każdemu wychowawcy. Chodzi o klasy od trzecich do piątych. Tak na początek – zaczął niezbyt uprzejmym tonem Feliks.

– Kto pyta, nie błądzi, jak głosi przysłowie. Czy coś się stało? Bo jeśli chodzi o zaginioną dziewczynkę, to wydaje mi się, że ktoś już rozmawia z nauczycielami.

Drzemiec kulał na lewą nogę. Usiadł na krześle przy biurku. Wydawał się zmęczony.

– Tak, wiemy, ale chodzi o coś innego. – Struner nie zmieniał nastawienia, zaczynał być wręcz agresywny.

– Proszę wybaczyć, ale nie możemy zbyt dużo ujawnić. Dla dobra śledztwa – wtrąciła Maria, opierając się o ławkę stojącą najbliżej biurka.

Feliks zauważył rozpięty guzik przy jej koszuli. Lipan położyła przed dyrektorem swoją odznakę, pochylając się tak, by jej piersi były dobrze widoczne. Mężczyzna ledwo zauważył blachę.

– Tak, rozumiem – powiedział cicho, odchrząknął i wyprostował się dostojnie. – Doceniam państwa uprzejmość, że przyszliście z tym najpierw do mnie. Jeśli chodzi o nauczycieli, nie ma problemu. Ufam, że to bardzo ważne. Jednak z dziećmi proszę nie rozmawiać – uprzedził, niejako strofując przybyłych. – Nie bez mojej obecności. Albo chociaż psycholog szkolnej czy rodzica.

Otworzył szufladę, z której wyjął pudełko tabletek i paczkę papierosów. Odpalił jednego.

– Myślałam, że w szkole nie można palić – zdziwiła się Maria.

– To moja ostatnia lekcja, a zresztą... jestem dyrektorem. – Fizyk zaciągnął się dymem z wyraźną satysfakcją.

– A to? Na co one są? – Feliks wskazał na pudełeczko.

– To leki na raka. Jednego zwalczyłem, ale okazało się, że nie tylko jedna walka była mi przeznaczona. – Dyrektor chwycił w dłoń opakowanie i schował do szuflady.

– Czy w takim razie powinien pan palić? – dopytywał Feliks z lekkim niedowierzaniem.

– Ależ absolutnie! Drogi panie Struner, mam sześćdziesiąt siedem lat i choć czuję się dosyć dobrze, nie wyobrażam sobie, że będę żył nie wiadomo ile. Niedługo choroba zmusi mnie do przejścia na emeryturę, a wie pan, jak ona może wyglądać dla chorego na raka? Nie chcę chemii, jedną już miałem, wystarczy. Porażka jest nieunikniona, ale to będzie mój wybór, a dokonam go najlepiej z dobrym cygarem w ręce. I może szklaneczką dobrego koniaku. – Drzemiec uśmiechnął się, po czym zaległa cisza.

Przerwała ją Maria.

– No dobrze... Tak więc... dziękujemy za poświęcenie nam czasu.

– Jeszcze jedno. – Feliks nie od razu pozwolił się wyprowadzić partnerce z klasy. – Tak z czystej ciekawości... Jak długo pan tu uczy?

– Och, ciekawość rzadko jest czysta. Nie pamiętam dokładnej daty, ale chyba od drugiej połowy lat osiemdziesiątych. – Dyrektor ponownie zaciągnął się papierosem, a następnie strzepnął popiół do trzymanej w szufladzie popielniczki.

– Dziękujemy raz jeszcze. – Maria złapała Strunera za rękę i pociągnęła go w stronę drzwi.

Inspektor skinął tylko głową w zadumie.

– Niech państwo poproszą panią Kasię z sekretariatu, żeby zaprowadziła państwa do pokoju nauczycielskiego w drugim budynku! – zawołał nauczyciel, zanim policjanci zniknęli za drzwiami.

Feliks zdążył dojrzeć, jak Drzemiec bierze pudełko z lekami i wyciąga z niego dwie małe tabletki. Dyrektor nie patrzył na gości, lecz za okno, w nieodgadnioną dal.



Sekretarka dość nieuprzejmie odmówiła pójścia do innego budynku, wyjaśniła jedynie z niechęcią, jak dotrzeć do wspomnianego przez dyrektora pokoju nauczycielskiego. Funkcjonariusze przyjęli jej postawę w milczeniu. Maria nie miała ochoty nawet na grzecznościowy uśmiech.

Raptem cały parter wypełnił się krzykiem.

– Kasiu!

Pracownica sekretariatu w jednej chwili całkowicie zmieniła zachowanie, a na jej twarzy wykwitł uśmiech.

– Tak, pani wicedyrektor? – zapytała grzecznie.

Marii aż trudno było uwierzyć w taką przemianę.

Wtedy pojawiła się ona, wicedyrektorka. Szła powoli, nie zważając, czy ktoś stoi jej na drodze. Uczniowie rozstępowali się przed nią jak Morze Czerwone przed Mojżeszem, a nawet odskakiwali, gdy tak dostojnie kroczyła wprost na nich. Była niską kobietą z mocną nadwagą. Z daleka sprawiała wrażenie kogoś miłego, ale im bardziej się zbliżała, tym widoczniejszy był gniew na jej obliczu. To właśnie jej naturalny wygląd – wiecznie wkurwionej – choć ton głosu często temu przeczył. Miała krótkie włosy o barwie burgunda, a w uszach przesadnie duże kolczyki, z pewnością nieodpowiednie do noszenia w szkole. Kiedyś dyrektor ją za to skarcił, jednak wyszedł z tej potyczki przegrany. W oczy rzucały się usta kobiety – dzięki kontrastującej z czarną sukienką ognistoczerwonej szmince. Sukienka sięgała tuż za kolana. Wicedyrektor zarzuciła na nią marynarkę w intensywnym kolorze dojrzałego czerwonego wina. Szyję przewiązywała apaszką. Zawsze ją miała na sobie, tę samą chustę dzień w dzień. Najczęściej nie pasowała do reszty stroju. Wysokie czerwone szpilki wyglądały, jakby miały się złamać przy każdym jej kroku. Usiłowała poruszać się z wdziękiem. Piętnaście dodatkowych centymetrów, a i tak Maria była od niej wyższa.

– Teraz ty flirtujesz... – powiedziała cicho do Feliksa partnerka, śmiejąc się pod nosem.

– Gdzie dyrektor, pani Kasiu? – zapytała przełożona, nie zwracając uwagi na nieznanym.

– Skończył przed chwilą lekcję...

– To wiem, ale dlaczego nie ma go jeszcze w gabinecie? – przerwała sekretarce nad wyraz uprzejmym tonem.

Mimochodem spojrzała na dwójkę funkcjonariuszy i dopiero wówczas raczyła ich zauważyć. Zlustrowała nieproszonych gości od stóp do głów, powoli i skrupulatnie, aż mieli wrażenie, że robi im badanie rentgenem.

– Państwo są... – zaczęła pani Kasia.

– Z policji – dokończyła za swoją podwładną. – Tak, to widać. – Serdeczny ton głosu wydawał się jednocześnie bardzo nieprzyjazny.

Feliksa ani trochę nie zdziwiła mina Marii, która dużą wagę przywiązywała do ubioru. Była zde gustowana.

Wicedyrektor nie zadawała pytań, patrzyła na nich, oczekując odpowiedzi.

– Musieliśmy porozmawiać z dyrektorem, zaraz powinien zejść – wyjaśnił Feliks, wzruszając ramionami.

– O czym?

– Nie możemy udzielać takich informacji – wtrąciła szorstko Maria.

– Rozumiem. Następnym razem proszę kierować się do mnie. – Wicedyrektorka nie spuszczała wzroku z Feliksa, na Lipan w ogóle nie zwracała uwagi. – Dyrektor jest... hmm... Lepiej go nie martwić. – Obdarzyła ich sztucznym, wystudiowanym uśmiechem.

– Jest chory, ale są rzeczy, które dyrektor szkoły musi wiedzieć – rzekł z naciskiem Struner, nawet nie próbując być subtelny.

– Ach tak, zaginiona dziewczynka. To straszne, ale nie można narażać dyrektora na dodatkowy stres. Proszę być pewnym, że dyrektor o wszystkim się dowiaduje ode mnie, dzięki czemu nie jest narażony na rozmowy z... państwem na przykład.

Jej spojrzenie powędrowało ku Marii i na długą chwilę zatrzymało się na wciąż rozpiętym guziku koszuli. Policjantka wypchnęła piersi jeszcze bardziej, jakby chciała się nimi pochwalić.

– Dodatkowy stres? Przecież to państwa uczennica – zdumiał się Feliks.

– Tak, to prawda, ale ona uczy się u nas od zaledwie kilku lat. Może pięciu? A dyrektor jest z nami od ponad trzydziestu i w tym czasie zrobił tak wiele dla szkoły... Nie chcę nikogo porównywać, ale...

„Przecież właśnie to robisz”, przemknęło przez głowę wszystkim rozmówcom, łącznie z panią Kasią z sekretariatu.

– W każdym razie proszę się kontaktować ze mną – zakończyła oschle wicedyrektor.

– Oczywiście – wycedziła przez zęby Maria. – A pani to kto?

– Brygida Rossa, doktor Brygida Rossa. Jestem wicedyrektorem. A teraz państwo wybaczą, mamy swoje obowiązki. – Obrzuciła znaczącym wzrokiem sekretarkę, która aż podskoczyła, po czym udała się za przełożoną.

– Wie pani chociaż, kim była? – Feliks prawie krzyknął.

Rossa przystanęła.

– Kto? – Nawet się nie odwróciła.

– Zaginiona dziewczynka.

– Proszę porozmawiać z jej wychowawcą – rzuciła i odeszła, krocząc dumnie niczym paw.

– Nie cierpię tej suki – prychnęła Maria.

– Taaa, wiem. Co jest z tymi ludźmi... – szepnął Feliks, bardziej do siebie niż do towarzyszki. Wciąż nie potrafił zrozumieć, że w szkole praktykowano takie urzędnicze podejście do ludzi – do dzieci.

Wyszli z budynku. Kilka metrów dalej stał ten, do którego mieli się udać. Postawiony jeszcze przed pierwszą wojną światową, był żywym pomnikiem historii i wspaniałej architektury. Pomimo upływu lat czerwona cegła nie straciła koloru, a zabytkowe drzwi oddawały majestatyczny charakter gmachu. Zanim jednak zdążyli do niego wejść, otworzyły się drzwi. Wyłoniła się z nich kobieta o niespotykanej urodzie, a za nią szedł chłopiec. Feliks od razu go rozpoznał.

– Dzień dobry. Mogę w czymś pomóc? – zainteresowała się kobieta. Jej głos brzmiał równie miło co wicedyrektorki, lecz z jedną różnicą: był szczerzy i nie maskował złego charakteru.

– Są z policji – odpowiedział chłopiec, który wydawał się nie poznawać Feliksa. Przyglądał się jedynie Marii.

– Naprawdę?

Inspektor pokazał odznakę.

– Pani jest wychowawcą jednej z klas?

Kobieta uśmiechnęła się i spojrzała na chłopca.



– Nie, nie, jestem tu po to, by mieli z kim porozmawiać. Jestem psychologiem szkolnym. – Podała dłoń Feliksowi. – Pola Litt-Górzak.

– Miło panią poznać. Maria Lipan, a to Feliks Struner. Niezbyt dobrze radzi sobie w kontaktach międzyludzkich. – Policjantka uścisnęła dłoń pani psycholog.

– Co się stało? – Struner popatrzył na dziecko.

– Nic takiego, prawda, Alanie? Ooo, jest już jego mama. – Pola wskazała na furtkę, gdzie pojawiła się córka Feliksa. – Proszę wybaczyć.

– Oczywiście. Będziemy mogli z panią porozmawiać? – zapytał inspektor.

– Pewnie, to nie potrwa długo. – Psycholog uśmiechnęła się i zaprowadziła chłopca do matki.

Kobiety zaczęły rozmawiać.

– To dopiero zbieg okoliczności – skomentowała sytuację Maria.

– Tak, po prostu świetnie. Stańmy tam. – Feliks wskazał na wejście do budynku. – Nie chcę, by mnie zobaczyła.

– Jak uważasz. A nie powinniśmy iść do...

Dzwonek na lekcję przerwał Lipan.

– Myślę, że ona powie nam znacznie więcej niż nauczyciele – zauważył śledczy. – Jeśli zechce gadać... – dodał, gdy Maria spojrzała pytająco.

Przypomniała mu się jego wizja w alejce i znęcające się nad koleżanką dziewczyny. To właśnie takie poszkodowane i zastraszone uczennice potrzebowały pomocy przyjaciela lub psychologa. Pani Litt-Górzak mogła znać dziewczynkę jak nikt inny.

– Niech będzie. – Maria wzruszyła ramionami.

– Poza tym i tak jest lekcja, przecież nie będziemy chodzić od klasy do klasy i pytać, czy ktoś zaginął. To nie miałoby sensu. – Feliks usiadł na małym stopniu przed wejściem.

Teraz musieli tylko czekać, aż Pola załatwi sprawę z jego wnukiem i córką.

Wtem Struner zobaczył w szybie dziewczynkę, samą w pustym korytarzu. Biegła, znikając w przerwach między oknami, by pojawić się w następnym. „Spiesz się na lekcję”, pomyślał inspektor. Wydawała mu się znajoma, jakby kiedyś już ją widział. To było jednak niemożliwe. Spojrzał na ostatnie okno i... nic. Dziewczynka więcej się nie pojawiła. Gorączkowo zaczął jej szukać wzrokiem, lecz na próżno. Zniknęła.

Zerknął na znudzoną Marię, która chyba nie zauważyła biegającego po korytarzu dziecka, mimo że patrzyła w tę samą stronę. Feliks wrócił spojrzeniem do okien, obserwując każdą szybę. Bezskutecznie. Zwrócił więc oczy na drugie piętro, gdzie znowu dostrzegł dziewczynkę.

Pamiętał ją!

To ona – usłyszał w głowie znajomy głos.



Miał rację, głos miał rację. To twarz pierwszej ofiary Zabawkarza. Wpatrywała się w niego tak jak wtedy, gdy ją znaleźli. W dziewięćdziesiątym trzecim. Jeden z gliniarzy zerwał przyklejone do oczu guziki. Kiedy Feliks z Marią dotarli na miejsce, było za późno. Oczy dziecka, a przynajmniej tak wydawało się inspektorowi, wpatrywały się w niego. Nigdy nie zapomniał tego widoku. Dziewczynka w oknie wyglądała identycznie, nie miała powiek. Feliks dojrzał spływającą po jej policzkach krew, jakby to były łzy. I choć napiął mu się każdy mięsień, to nie dał po sobie poznać, że widzi coś, co nie istnieje. Maria stała tuż obok, a on widział ofiarę sprzed lat. Wiedział, że to umysł płata mu figle, jednak wizja była bardzo realna.

Przypomniawszy sobie wszystkie zeznania oraz historię, która z nich powstała.

Opowieści przesłuchiwanym osobom miały jeden wspólny mianownik: dziewczynka bywała w sklepie z zabawkami. Pewnego popołudnia po

lekcjach poszła tam, żeby odebrać zamówioną przez mamę zabawkę, i nigdy już nie wróciła do domu. Jej zaginięcie zgłoszono po dwóch dniach, ponieważ w tamtych czasach panowała zasada, że dopiero po tym czasie uznaje się osobę za zaginioną i policja może rozpocząć poszukiwania. Dziś wszyscy wiedzą, że pierwsza doba jest kluczowa. Przesłuchano rodziców, nauczyciela, z którym miała ostatnią lekcję, kolegów i koleżanki – wszyscy wskazali to samo miejsce. Policja pojawiła się w sklepie pana Witka trzeciego dnia od zaginięcia.

Wspominając te zdarzenia, Feliks poczuł, jak gdyby tam był.



– Dzień dobry panu – powiedział jeden z funkcjonariuszy.

– O, dzień dobry, panie władzo. Zabawka będzie gotowa na jutro – odrzekł Mariusz, myśląc, że policjant przyszedł, aby odebrać zamówioną wcześniej figurkę.

– O tak, dziękuję, ale my nie w tej sprawie. – Mundurowy przechadzał się po sklepiku. – Mamy nadzieję, że może nam pan pomóc.

– Tak? Zawsze chętnie pomogę – zapewnił z uśmiechem pan Witek, wydrążając otwór w kawałku drewna.

– Rzeźbi pan w sklepie? – zapytał z ciekawością drugi gliniarz, obserwując pracę mężczyzny.

– Tak. O tej porze pojawia się tutaj niewielu klientów, a to daje mi czas na drobne prace. – Zabawkarz zręcznie poruszał dłońmi, a z jego ust nie schodził uśmiech.

– Zaginęła dziewczynka, trzy dni temu – poinformował w końcu pierwszy funkcjonariusz. Był starszy stopniem.

Z rąk pana Witka wyleciały narzędzia. Z hukiem spadły na podłogę.

– O Boże, co się stało?

Chwilę potem w sklepie zjawiała się żona Mariusza. Rozejrzała się po pomieszczeniu i podeszła do męża.

– Wszystko w porządku? – Uklęła przy ukochanym.

– Tak, to znaczy nie. Kim była dziewczynka? – zwrócił się do policjantów pan Witek.

– Alicja Czarnyk – odparł gliniarz. – Nie mamy żadnych tropów, możliwe, że to ucieczka, ale... – Przerwał, widząc, że Mariusz się trzęsie. – Czy coś się stało?

– Znam tę dziewczynkę. Robiłem dla niej zabawkę...

– O tym chciałem porozmawiać. Trzy dni temu miała ją od pana odebrać, prawda? Może panu napomknęła, gdzie się wybiera? Może powiedziała coś, co mogłoby się nam przydać?

– Nie, nie przyszła po zabawkę. Jeszcze gdzieś tu ją mam.

Sklepiarz wydawał się bardzo poruszony wieścią o zaginięciu. Żona klęczała przy nim, masując jego ramię.

– Może pan ją przynieść? – wtrącił się drugi policjant.

– Ależ oczywiście.

Pan Witek wstał i poszedł na zaplecze.

– Przepraszamy za to najście, pani Anno, ale nie mamy wielu tropów. Nasi koledzy w tej chwili przeczesują lasy.

– Nic się nie stało. Mówił pan, że jak się nazywała dziewczynka?

– Alicja Czarnyk. Dziesięcioletnia dziewczynka, długie czarne włosy. Nosila białą przepaskę we włosach, przynajmniej tego dnia...

Policjant wydawał się smutny. Pracując w małym miasteczku, nigdy nie spotkał się z podobną sprawą, a jego głównymi zadaniami była pomoc w przeprowadzeniu staruszki na drugą stronę jezdni i czasami zatrzymanie kilku młodzików za burdy na mieście. Zaginięcie dziewczynki wstrząsnęło każdym mieszkańcem.

– Musiała się gdzieś zapodziać, nie mogę jej znaleźć... – Pan Witek wrócił do sklepu, był wyraźnie przejęty.

– To była postać z bajki? – Anna podeszła do męża.

– Tak, Alicja z Krainy Czarów. Mała bardzo lubiła tę postać – odparł z delikatnym uśmiechem, jakby wspomnienie książki wywołało u niego radość.

Policjanci obserwowali małżeństwo.

– Och, kochanie, ta twoja pamięć... – Anna uśmiechnęła się lekko. – Ta dziewczynka była po tę figurkę.

Wszystkie oczy skierowały się ze zdziwieniem na Annę.

– Była? – Najbardziej zdziwił się pan Witek.

– Tak, nie pamiętasz? Alicja dla Alicji, odebrała ją trzy dni temu. – Na twarzy kobiety malował się przestach. – Musisz iść z tym do lekarza. Mąż czasami zapomina – zwróciła się do policjantów.

– Zapewne. – Drugi funkcjonariusz był bardziej podejrzliwy.

– Była pani wtedy w sklepie? – zapytał pierwszy.

– Tak, przez chwilę, ale dziewczynka nic istotnego nie mówiła, przykro mi.

– A pan nic nie pamięta?

– Nie, niestety. Byłem pewien, że ta zabawka wciąż tutaj jest. – Mariusz usiadł na krzeselku, przy którym leżał kawałek drewna. Wyglądał na załamane.

Policjanci nie wiedzieli tylko, czy przejmował się zaginioną dziewczynką czy zabawką.

– Proszę przyjść na posterunek, gdyby sobie pan jednak coś przypomniał – polecił drugi policjant, po czym obaj wyszli ze sklepu.



Feliks przetarł oczy. Dziewczynka w oknie zniknęła. Mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył w to samo miejsce, aż poczuł, że Maria go szturcha.

– Co ty tam widzisz? – zaciekała się, gdy partner spojrzał na nią zmieszany. – Zresztą nieważne, chyba skończyła.

– Skąd wiesz? – mruknął Struner, lecz nie musiał czekać na odpowiedź, bo doskonale było tu słyhać, o czym rozmawia psycholog z jego córką. Teraz właśnie się żegnały. – Podśluchiwałaś je?

– Nie chciałam, ale skoro już czekaliśmy... A ty nie? Rany, faktycznie nie interesujesz się córką – zażartowała z ironicznym uśmiechem Lipan.

Feliks nie odpowiedział.

– Dziękuję, że państwo zaczekali. Zapraszam. – Pola weszła do budynku, a za nią Feliks i Maria.

Choć zabudowanie szkolne było regularnie odnawiane i sprawdzane pod kątem bezpieczeństwa, zachowano w nich klimat sprzed lat. Schody wydawały dźwięk przy każdym kroku – delikatny pisk niosący się po pustych korytarzach. Na pokrytych beżową farbą ścianach wisiały gabloty i tablice. W gablotach wywieszano ogłoszenia szkolne i prace niektórych uczniów. Tablice przedstawiały zdjęcia wszystkich klas od czwartych do szóstych. Pani psycholog przystanęła na chwilę przy jednej z nich.

– To ona. – Wskazała na zdjęcie dziewczynki.

Tablica przedstawiała klasę piątą B, a wśród uczniów siedziała dziewczynka o ciemnych, prawie czarnych włosach i smutnym spojrzeniu. Jej zielone oczy zdawały się kryć wielkie cierpienie. Nie uśmiechała się.

– Magda Sajno – wyszeptał Feliks.

Dziewczynka była bardzo podobna do tej, którą widział niedawno w oknie.

– Tak, to straszne, że uciekła. – Psycholog aż westchnęła.

Inspektor spojrzał na nią zdziwiony. „A więc taka jest wersja wydarzeń. Uciekła...”, pomyślał z odrazą.

– Proszę do gabinetu – powiedziała Pola, ruszając po schodach na drugie piętro.

Jej gabinet znajdował się tuż obok pokoju nauczycielskiego. Otworzyła stare drewniane drzwi. Oczom funkcjonariuszy ukazał się mały pokój,

a w nim na samym środku niewielkie biurko, przed którym stały dwa krzesła. Drewniane i – jak się chwilę później przekonał Feliks z Marią – niezbyt wygodne. Pracownica szkoły usiadła w wytartym skórzanym fotelu, pasującym bardziej do pracy w korporacji, i to niezbyt dobrze płatnej, niż do gabinetu pani psycholog.

– Proszę usiąść. Przepraszam za bałagan. – Zgarnęła z biurka do szuflady parę rzeczy, a przy tym cztery teczki.

– Nic nie szkodzi – zapewnił Struner i usiadł na twardym krześle.

– Trudni uczniowie? – zagadnęła Maria, patrząc na miejsce, z którego zniknęły teczki.

– Trudni? Staramy się unikać tego słowa. Potrzebują od czasu do czasu pomocy i rozmowy. Tym się zajmuję. Rozmową. – Psycholog uśmiechnęła się ciepło.

– Czy...? – zaczął Feliks.

– Czy zaginiona dziewczynka była u mnie częstym gościem? Tak, niełatwo było jej sobie poradzić ze śmiercią ojca, a w dodatku... – Pola zerknęła na szufladę.

– Tak?

– Dzieci potrafią być okrutne dla tych bardziej wrażliwych – rzekła. – Niemniej to był szok, gdy dowiedziałam się o ucieczce. – W jej głosie można było wyczuć prawdziwy smutek.

– Czy rozmawiała z panią o czymś, co mogłoby nam pomóc? Może jakiś nowy znajomy, cokolwiek? – Maria przystąpiła do standardowych w takich przypadkach pytań.

– Niewiele mogę powiedzieć, tajemnica lekarska i takie tam. – Litt-Górzak wzruszyła bezradnie ramionami.

– Ale w chwili, kiedy pojawia się zagrożenie, tajemnica już nie obowiązuje, prawda? I z rodzicami też pani rozmawia, czyż nie? – upewniała się Maria.

– To prawda, lecz staramy się traktować naszych uczniów jak dorosłych pacjentów i dochowujemy często tajemnicy nawet przed rodzicami,

zresztą sami tego chcą. To pomaga wzbudzić w nich zaufanie. Ale nie, nic nie mówiła... Staraliśmy się poukładać jej relacje z matką, poradzić sobie z nękaniami ze strony innych dziewczyn... Na ostatnim spotkaniu była zdystansowana. Nie chciała powiedzieć dlaczego, później dowiedziałam się, że jej mama zgłosiła przeziębienie czy grypę, więc uznałam, że to mogło wpłynąć na zachowanie Magdy.

Feliks odniósł wrażenie, że kobieta się tłumaczyła, tyle że nie przed nimi, raczej przed samą sobą.

– Chora dziewczynka ucieka z domu? – zastanowił się na głos Struner.

– To dziwne, prawda? – podjęła szybko Pola. – Jestem równie zdziwiona co pan. Coś musiało się stać. Ona normalnie by nie uciekła... I to już druga choroba w tym miesiącu.

Śledczy spojrzeli na siebie.

– Jeszcze jedno dziecko zgłosiło chorobę? – dociekał Feliks.

– Ma pan na myśli, że rodzic zgłosił? Tak, z klasy czwartej A. Ta uczennica też często do mnie przychodzi. – Wspomnienie o niej wywołało uśmiech u pani psycholog.

– Kiedy to było?

Inspektor badał twarz kobiety, nie mógł oderwać od niej wzroku. Miała w sobie coś ciepłego, coś, co nie pozwalało mu przestać patrzeć.

– Może osiem dni temu? Ja się dowiedziałam na początku tego tygodnia od jej wychowawcy. Rodzice nie są zbyt... rozmowni. – Uśmiech zniknął z jej oblicza.

– Co ma pani na myśli? – odezwała się Maria.

– Dziewczynka jest bardzo zdolna i bystra, ale jej rodzice mają swoje problemy. Łucja nie stwarza żadnych, wręcz przeciwnie, a do mnie przychodziła sama z siebie. Opowiadała o sytuacji w domu. Ojciec jeździ za granicę, a gdy wraca, nawet nie rozmawia z córką, jedynie kłóci się z macochą i... pije. Macocha z kolei pije, gdy ojca nie ma, a kiedy wraca, staje się przykładną matką. W tej karuzeli dziwnego zachowania dziecko może czuć się naprawdę zagubione. Pomagałam jej odnaleźć równowagę. –



Pola zamyśliła się na moment. – Muszę do niej zadzwonić... A dlaczego państwo w ogóle o to pytają? – Nie wiedziała, co dziewczynki mogłyby mieć ze sobą wspólnego.

– Nigdy nic nie wiadomo... Co do Magdy: które dziewczynki nie dawały jej spokoju? – dążył Feliks.

– Koleżanki z klasy, trudno powiedzieć które, nie zdradziła mi imion. Opowiedziała tylko o kilku sytuacjach w klasie czy w szatni. Dzieci są okrutne. Po śmierci ojca budżet jej rodziny znacznie się zmniejszył, a pani Milena robi, co może, by zapewnić jej dobre życie. Jednak w tym wieku liczą się markowe ciuchy, drogie telefony... Gdy któreś dziecko ich nie ma... staje się łatwym celem – tłumaczyła rzeczowo psycholog.

– To straszne – wtrąciła cicho Maria.

– Mam nadzieję, że szybko wróci do domu.

– Tak, my też. – Feliks kiwnął głową.

– A ten chłopiec?

Kiedy Maria zadała to pytanie, poczuła na sobie wzrok partnera. Nie było to przyjemne. Przekroczyła granicę.

– Alan? Nie stwarza problemów. Jest po prostu bardzo zamknięty w sobie. Ale to normalna reakcja.

– Reakcja na co? – W głosie Strunera można było wyczuć lekkie poruszenie, mimo że starał się zachować spokój.

– Rozwód. Jego rodzice od roku są w separacji, a teraz zdecydowali się rozwieść – wyjaśniła ze współczuciem Pola.

Inspektor siedział zamurowany, trawiąc docierające do niego informacje.

– A Łucja? Coś pani wie jeszcze o jej rodzicach? – zmieniła temat Maria.

– Jeśli się nie mylę, jej ojciec ma niedługo wrócić. W zasadzie jedynie z nim rozmawiałam. Macocha chyba nigdy nie pojawiła się w szkole. Znam ją tylko z opowieści Łucji. Jest z Poznania, niedużo starsza od studentek. Tyle o niej wiem.

– A ojciec? – indagowała funkcjonariuszka.

– Urodzony pobiedziszczanin, chodziliśmy kiedyś razem do klasy. To przykre, co musiał przejść z córką... Jej matka, a jego żona, zginęła w wypadku. Pijany kierowca. Wracala z kościoła. I pomyśleć, że taki dramat zdarzył się w biały dzień... – Głos pani psycholog zaczął drżeć.

– Ile lat miała Łucja? – odezwał się Feliks.

– Pięć. Była z mamą mocno związana, bardzo to wszystko przeżywała i tęskniła za nią. A jeszcze stało się to na krótko przed jej urodzinami. Co za dramat musiało przejść to dziecko. – Pola sprawiała wrażenie, jakby zaraz miała się rozkleić. – Ojciec zaczął pić. Wyłącznie tak potrafił zagłuszyć ból, co oddaliło go od córki, która od tamtej pory czuła się całkiem sama. Pojawienie się macochy pogłębiało oddalanie się Łucji i ojca, który na domiar złego znalazł pracę za granicą.

– A jak to się stało, że zaczęła do pani przychodzić? – rzuciła kolejne pytanie Maria.

Pani psycholog wydawała się zmęczona, ale policjantki to nie interesowało.

– Przyjaźniłam się z jej matką i ojcem, może mnie pamiętała, nie wiem. Spotkałam ją samą na korytarzu, gdy inne dzieci latały po dworze, i tak po prostu zaczęłyśmy ze sobą gawędzić. Potrzebowała rozmowy z kobietą, jej macocha kompletnie ją ignoruje... Z tego, co mówiła, to niewiele się do siebie odzywają. I ja jej wierzę.

– Skąd ta pewność? – Lipan uważnie przyglądała się Poli.

– To prawda, że dzieci często przesadzają i chcą całej uwagi dla siebie, ale ona... Chodzi w ubraniach, z których prawie wyrosła, a nieprzycinane od lat włosy sięgają jej niemal do kolan. To może i banalne, lecz te „babskie” rzeczy pomagają się zżyć, lepiej poznać, a już na pewno pokazują nasze zaangażowanie w życie dziecka – odparła akademickim tonem pani psycholog, jakby prowadziła wykład. – Łucja powiedziała mi coś jeszcze. Przy zapoznaniu usłyszała od macochy, że ta nie będzie próbowała zastąpić jej matki, co wydaje się dosyć dobrym początkiem i pokazuje dojrzałe podejście do dziecka. Tak zdobywa się szacunek pociechy. Jednak wtedy powinien nastąpić etap zaprzyjaźnienia się. Tylko że macocha

nawet nie spróbowała... – Podniosła nieco głos. – Och przepraszam, nie powinnam tak mówić – zreflektowała się nagle.

– A jak to było z Magdą? – zapytała Maria po krótkiej chwili niezręcznej ciszy.

– Kiedy w czasie lekcji szłam korytarzem, usłyszałam płacz w toalecie dla dziewcząt, więc weszłam, aby sprawdzić, czy mogę komuś pomóc. To była ona. Miała podarte ubranie i płakała. Opowiedziała mi, co się stało, a ja zabrałam ją do domu. W aucie milczała, ale następnego dnia do mnie przyszła i...

– Zaczęłyście rozmawiać – dokończyła Maria. – Czy dzieci, które do pani przychodzą... Czy zna pani panujące między nimi relacje?

– Nie wiem niczego na sto procent. To nie jest wielka szkoła, tu każdy poniekąd ma z każdym jakąś styczność, ale jakie relacje łączą poszczególnych uczniów, tego nie mogę być pewna. Staram się wyciągać z każdego jak najwięcej o nim samym, a nie o innych. Straciłabym ich zaufanie, a proszę uwierzyć, niełatwo je zbudować czy odzyskać. Nie u dzieci, które najbardziej cenią właśnie szczerość.

– No tak... To chyba nie mamy więcej pytań, prawda? – Maria spojrzała na Feliksa, który sprawiał wrażenie nieobecnego.

– Panie Struner, czy wszystko w porządku? – zaniepokoiła się Pola.

– A tak, tak, źle spałem, to wszystko. – Inspektor ocknął się z letargu, a wówczas na jego obliczu pojawiło się wyjątkowe skupienie. – Ostatnie pytanie. Może nietypowe z perspektywy psychologa, ale muszę je zadać. Czy Łucja miała znamię? – Wbił wzrok w psycholog, która aż cofnęła się z krzesłem kilka centymetrów.

Na krótko pokój wypełniła cisza.

– Znamię? – powtórzyła Pola.

– Blizna, pieprzyk, cokolwiek?

– Nie, chyba nie.

Feliks wstał bez słowa.

– Ale... Chociaż nie, to niemożliwe. – Psycholog zawahała się.

– Tak? Proszę powiedzieć – naciskał inspektor.

– Mówiła mi, że chce sobie zrobić tatuaż, ale przecież to dziecko, więc pomyślałam, że żartuje.

– Jaki tatuaż? – podjęła temat Maria.

– Kwiat lilii. Był bardzo specyficzny, mówiła, że przypomina jej mamę. Miejsce też wybrała. Na plecach, gdzieś przy łopatce. Ale co to ma wspólnego z zaginioną dziewczynką? – nie rozumiała Pola.

– Może nam pani podać jej adres? – Feliks nawet nie pomyślał o odpowiedzi na jej pytanie.

– Tak myślę... – Napisała coś na kartce i podała ją mężczyźnie. – Może mi pan wyjaśnić, o co chodzi? Coś jej grozi? – Była wyraźnie zmartwiona.

– Dziękujemy pani, do widzenia. – Feliks opuścił gabinet.

– Do widzenia. – Maria ruszyła za nim, a Pola nie ruszyła się nawet z fotela, tylko wyciągnęła z szuflady cztery teczki i rozłożyła je na biurku.

– Która to była klasa? Czwarta A? – zapytał Struner.

– Tak, tak mówiła.

Przypatrywali się tablicy ze zdjęciami uczniów z klasy czwartej A. „Łucja, Łucja, Łucja...”, powtarzał w myślach inspektor. I była, zobaczył ją. Dziewczynkę o czarnych jak smoła włosach, ze smutkiem na twarzy. Jej zielone oczy zdawały się zaraz wypuścić morze łez. Tyle emocji na dziecięcej fotografii... Aż Feliks odczuł ten bezdeny smutek gdzieś głęboko w sobie.

– To ona, prawda?

– Nawet tu jest bardzo blada – odpowiedziała Maria.

I wtedy stało się coś, czego nigdy by się nie spodziewała. Po policzku Feliksa spłynęła samotna łza, mała kropla, którą zaraz starł rękawem kurtki.

– Wszystko w porządku? – zaniepokoiła się partnerka.

„Później to wykorzystam”, pomyślała, ale teraz była autentycznie zmartwiona.

– Tak, tak, jednak... teraz, gdy ją poznaliśmy i nie jest już jedynie kolejnym ciałem w kostnicy... Cholernie to przykre.

Struner odwrócił się od tablicy i zszedł po schodach. Po kilku stopniach zapomniał o swojej chwili słabości i postanowił nigdy do tego momentu nie wracać.

– Przykre, to prawda – przytaknęła cicho Maria.

Następnie wyciągnęła telefon, by zrobić zdjęcie dziewczynki.

Feliks zbiegł po schodach, wyskakując z impetem na dwór. Znów czuł, jakby miał się udusić, lecz chłodny wiatr pomógł mu uspokoić ciężki oddech. „Wdech, wydech”, powtarzał w myślach jak mantrę, aż mógł się wyprostować. Wkrótce dołączyła do niego Maria.

– No i znaleźliśmy ją... – szepnął do siebie.

Lipian stanęła przy nim.

– Chcesz porozmawiać z jej wychowawcą?

– Myślę, że to strata czasu, ale chyba musimy – odparł, udając spokój.

– Ma lekcje na parterze. – Maria otworzyła drzwi gmachu, który właśnie opuścili.

Jej twarz wyrażała wiele emocji – od strachu czy troski po irytację i rozczarowanie, a nawet zdziwienie.

Feliks nie czuł się sobą, lecz pracą to praca. Wrócił do starego budynku szkoły. Stanęli przed klasą, gdzie na drzwiach wisiał numer „4” i mała literka „a”.

Rozbrzmiał dzwonek na przerwę. Inspektor spojrział na zegarek. Okazało się, że rozmowa z panią psycholog zajęła znacznie więcej czasu, niż myślał. Dzieci wybiegły z klas, nie zwracając uwagi na policjantów. Omijały ich niczym sportowcy podczas biegów z przeszkodami. Niezwykle szybko znalazły się na dworze. Nastąpiła błoga cisza.

Funkcjonariusze weszli do sali. Feliks pierwszy – czyli obydwoje bez pukania i uprzejmości. Przy biurku stał młody mężczyzna ledwie po trzydziestce. Nosił okulary o grubych czarnych oprawkach oraz włosy krótko ścięte po bokach z górą zaczesaną do tyłu. Miał na sobie

jasnobeżowe spodnie oraz koszulę w kratę z podwiniętymi rękawami, a do tego granatowe sneakersy. Uchodził za przystojnego. Wygląd intelektualisty sprawiał, że mógł stać się dla wielu autorytetem, choć nie wśród dzieci.

Spojrzał na niezapowiedzianych gości zmieszany, trzymając w ręku wypracowania uczniów.

– Dzień dobry... – przywitał się niepewnie.

– Dobry. – Feliks automatycznie pokazał odznakę.

– Myślałem, że państwo są dziad... rodzicami. W czym mogę pomóc? – zapytał już z większym spokojem wychowawca.

– Mamy kilka pytań o jedną z pana uczennic. – Inspektor usiadł na ławce.

Przez moment miał wrażenie, że nauczyciel chce zaprotestować. Jeśli zamierzał tak uczynić, to prędko zrezygnował, kiedy Struner wbił w niego wzrok.

– O matko, co się stało? – Przejęty mężczyzna przycupnął na krześle.

– Chodzi o Łucję – oznajmiła Maria, bacznie go obserwując.

Ten spojrzał na nią pytająco.

– Łucję? – Zastanowił się.

– Łucja Bart... – rzuciła poirytowana Lipan.

Wychowawca chwycił dziennik klasy i zaczął przeglądać nazwiska uczniów.

– Aaa tak, dziewczynka na zwolnieniu lekarskim. Dziewiąty dzień choruje. Może to coś poważnego...? – myślał na głos nauczyciel, wpatrując się w kartki dziennika.

– Pamięta ją pan w ogóle? – Maria pomału traciła cierpliwość.

Feliks tylko się przyglądał.

– Kogo? Tę dziewczynkę? Oczywiście. Łucja, tak... O co chcieli państwo zapytać?

– Jak długo pan tutaj uczy? – warknęła śledcza dość napastliwie, co bardzo zestresowało nauczyciela.

– Ile uczę? Dwa lata. Nie... Półtora roku.

– Jak długo prowadzi pan tę klasę?

– Od września, ale... lekcje prowadzę w niej od zeszłego roku. Jako wychowawca od września...

– I nie zna pan swoich uczniów? Jakim jest pan wychowawcą? – sarknęła Maria.

Feliks widział, że ponoszą ją nerwy, jednak ta rozmowa zupełnie go nie interesowała. „Strata czasu” – tak właśnie o niej myślał.

– Co? Oczywiście, że znam! – bronił się nauczyciel.

– Kim była Łucja Bart? – Maria podniosła głos.

Mężczyzna był coraz bardziej spłoszony.

– Łucja była... była... – Próbował znaleźć odpowiednie słowa. – Przepraszam, jak to „była”? Coś jej się stało? – zapytał wstrząśnięty.

I Maria, i Feliks byli zdziwieni. Inspektor – nieostrożnością partnerki, natomiast kobieta – wychwyceniem przez nauczyciela jednego źle dobranego słowa.

– Proszę odpowiedzieć na pytanie – powiedziała stanowczo, lecz mniej agresywnie niż wcześniej.

Wtedy rozległ się dzwonek kończący przerwę.

– Dobra, to wszystko – zakończył rozmowę Struner. – Tak jak mówiłem, strata czasu – dodał, patrząc na wychowawcę, po czym wyszedł bez pożegnania z klasy.

– Tak, kompletna strata czasu. – Maria obrzuciła pedagoga niechętnym spojrzeniem i podążyła za Feliksem.

Nauczyciel zaprosił uczniów na zajęcia.

Gdy opuszczali salę, inspektor zauważył stojącą na schodach panią psycholog. Przyglądała się im.

– I co? Co myślisz? – Maria była ciekawa opinii partnera.

Jechali na posterunek. Feliks napisał do aspiranta Maciejczyka, by ich oczekiwał.

– Co myślisz?! – prawie krzyknęła Lipan.

– Co? Nie wiem, będziemy musieli pojechać do domu dziewczynki i porozmawiać z macochą – odezwał się dopiero po chwili Struner, jakby został wyrwany z transu.

– Ale czy to coś da? Bardzo nie chcę tego powiedzieć, ale ta dziewczynka była jak powietrze, nawet wychowawca nie zauważył jej zniknięcia.

– Może. Pogadajmy jednak z macochą. Mogła nie zauważać Łucji, ale może spostrzegła w okolicy jakiegoś nieznajomego...

– Zabawkarza?

Feliks nie odpowiedział.

Przejeżdżali właśnie przez rynek.

– Zwolnij – polecił stary glina, lecz jego wzrok nie powędrował na wierzbę.

Spojrzał w stronę kawiarni, która okazała się znacznie większa, niż pamiętał. Wchłonęła bowiem sklepik z zabawkami, który po wyburzeniu ściany wypełniono stolikami dla gości. Cała kamienica wyglądała inaczej. Miała wielki szyld z nazwiskiem właściciela i odnowioną fasadę.

– Zdaje się, że wraz ze zniknięciem Zabawkarza nie tylko my dostaliśmy to, czego chcieliśmy – stwierdziła Maria, widząc, jak Feliks wpatruje się w budynek.

– Ta jego żona... Anna, pamiętasz? Jej rodzina miała tu spory majątek, prawda? – spytał.

– Tak, z tego, co pamiętam, w całej gminie, nie tylko w miasteczku.

– Nie miałaś wtedy wrażenia, że... A zresztą nie, nieważne. – Struner machnął ręką. – Twoi rodzice długo tu mieszkali? – zmienił temat.

Partnerka popatrzyła na niego z ciekawością.

– Nie wiem, nie interesowały mnie moje korzenie, ale ja się tutaj wychowałam – odparła wymijająco. Wydała się nieco urażona wtrącaniem



się w jej przeszłość. – Dlaczego pytasz?

– Tak po prostu. Chcę zrozumieć to miasto. W dziewięćdziesiątym trzecim myśleliśmy, że to musi być ktoś stąd. Ostatecznie padło na przyjeźdnego. Sądzę, że nasza pierwsza myśl była dobra. Zabawkarz się tu urodził... Tak myślę – mówił w zamyśleniu inspektor, na co Maria nic nie odpowiedziała.

Kilka minut przejechali w milczeniu, aż dotarli przed posterunek.

Aspirant Maciejczyk już na nich czekał.



## Rozdział 7

# Zaginiona

– Nienawidzę cię! – krzyknęła dziewczynka, zatrzasnąjąc drzwi swojego pokoju.

Matka nerwowo chodziła po salonie, była wściekła i smutna jednocześnie. Jej córka – jeszcze przecież dziecko – wróciła do domu pijana i miała podarte ubrania. Kobieta uspokoiła się dopiero dzięki trzem, odpalanym jeden od drugiego, papierosom. Zostało trochę czasu, zanim będzie musiała wyjść do pracy. Stała przed pokojem córki, choć czuła, że obie są zbyt mocno pobudzone i powinna zostawić ją w spokoju.

– Co się dzieje? Porozmawiaj ze mną – mówiła do zamkniętych drzwi. – Wiesz, że się staram. Staram się, jak mogę, naprawdę. Czasem pewnie jestem trudna, ale wszystko, co robię, jest dla ciebie. Madziu... porozmawiaj ze mną.

Spojrzała nerwowo na zegarek. Nie chciała wyjść z domu, nie pogodziwszy się z córką, a przynajmniej nie porozmawiawszy z nią wcześniej.

– Tak? – Drzwi pokoju się otworzyły. Dziewczynka lekko się zachwiała. Z trudem, ale udało się jej utrzymać w pionie. – To dla mnie się z nim pieprzysz?

Matkę замуrowało. Była zszokowana.

– Co? Chciałaś porozmawiać... to porozmawiajmy! Kiedy poznam nowego tatusia? – Magda, mimo alkoholowego upojenia, mówiła wyraźnie, lekko podniesionym głosem. – No? Wszyscy już i tak wiedzą! Ssałaś mu? Dziewczyny twierdzą, że tak...

– Jak w ogóle możesz tak mówić do matki? – Milena patrzyła na córkę, nie potrafiąc rozpoznać w niej swojego dziecka.

– Dziewczyny mówiły, że taka stara baba musi dobrze ssać, inaczej by nie wyrwała takiego faceta!

– Dość! Jestem twoją matką, nie będziesz tak się do mnie odzywać.

Kobieta głośno oddychała i z całej siły próbowała zachować spokój.

– Jesteś dziwką! Puszczasz się z byle kim! Czy ty w ogóle kochałaś ojca? Pamiętasz go jeszcze? Co?! Nowy kutas wystarczył, żebyś o nim zapomniała?! Jesteś zwy...

Krzyki dziewczynki przerwał plask. Milena nie wytrzymała – pierwszy raz w życiu uderzyła córkę. Nie było to mocne uderzenie, ale wystarczyło, by zbuntowane dziecko zrozumiało, nawet będąc pod wpływem procentów, jak właśnie potraktowało matkę. Po twarzy kobiety spływały łzy, które dopiero teraz zauważyła zdezorientowana nieletnia. Na krótki moment zapanowała cisza. Cisza, w której każda sekunda wydawała się wiecznością. Zakłócały ją tylko spadające na panele krople łez zranionej matki.

Jedenastolatka patrzyła na nią ze wstydem, próbowała nawet znaleźć odpowiednie słowa, ale nadaremnie. Chciała przeprosić, na jej twarzy malowały się wyrzuty sumienia, lecz Magdzie zabrakło odwagi, by coś z siebie wydusić – dziś padło już zbyt wiele słów. Milena przytuliła córkę.

– Idę do pracy... – powiedziała cicho ochrypniętym głosem. – Jutro podwiozę cię do szkoły, a teraz spróbuj zasnąć.

Wypuściła Magdę z objęć, a ta stała jak sparaliżowana, nie potrafiła poruszyć nawet jednym mięśniem. Matka odwróciła się i ruszyła w stronę wyjścia.

– Kocham cię – rzuciła, przekraczając próg mieszkania.

– Ja ciebie też, mamó – wyszeptała dziewczynka, gdy drzwi się zamknęły.

Następnego ranka Milena zaparkowała samochód przed szkołą. Jeździła starą skodą – po śmierci męża sprzedała ich nowe audi, by mieć pieniądze na raty za mieszkanie. Przez całą drogę powrotną w aucie panowała głucha cisza. Córka, choć dzień wcześniej była pijana, dobrze pamiętała każde wypowiedziane przez siebie słowo. Milena także. Pomimo że minęło już kilka godzin, jej oczy ciągle były napuchnięte, a makijaż rozmazany. Magda zdawała sobie sprawę, że przez całą nocną zmianę matka płakała. Nie mogła na nią spojrzeć, było jej za siebie wstyd – za to, jak raniła osobę, która ją kochała.

– Zostawię ci obiad w lodówce... – Milena w końcu przerwała milczenie.

– Mamó, przepraszam – rzekła niepewnie córka. – Wiem, że się starasz, naprawdę... Ja też będę. Obiecuję. Chcę, żebyś była ze mnie dumna, ty i tata.

Patrzyła na swoje buty, nadal nie umiała spojrzeć matce w oczy.

– Jestem z ciebie dumna. – Na twarzy Mileny pojawił się uśmiech, a z oczu popłynęły łzy radości. – Mamy za sobą trudny okres, a nigdy o tym nie rozmawialiśmy... Jutro usiądziemy i pogadamy na spokojnie, co? Porozmawiamy i wszystko się ułoży. – Kobieta czuła zbliżającą się kolejną falę łez.

– Bardzo bym tego chciała, tylko już nie płacz, mamó. – Magda uniosła wzrok na matkę, która ją przytuliła.

– To nic, to dobre łzy – szepnęła. – Dziś wrócę późno z pracy, ale jutro spędzimy całe popołudnie razem. Obiecuję, kochanie. – Pocałowała córkę w czoło.

– No to teraz leć. Cześć, mamó. – Dziewczynka otworzyła drzwi samochodu.

– Kocham cię! – krzyknęła Milena, zanim córka je zamknęła.

Z ruchu warg Magdy odczytała niemą odpowiedź:

– Ja ciebie też.



Stali na parkingu, ponieważ Marek Maciejczyk nalegał, by nie wchodzili do komisariatu.

– Komendant? – zapytał Feliks.

– Jest w środku, nie był zbyt zainteresowany tą rozmową i chyba pana nie lubi.

– To dosyć powszechne... – wtrąciła swoje trzy grosze Maria. – Dobra, nie będziemy tutaj rozmawiać o sympatiach i antypatiach. Masz coś dla nas? – rzuciła niezbyt uprzejmym tonem, ale nie dbała o to. Było jej zimno, a wiatr ani na moment nie przestawał dmuchać.

Aspirant starał się jak najbardziej szczegółowo opowiedzieć to, co usłyszał od Mileny Sajno.

– Wtedy widziała córkę po raz ostatni – zakończył obszerny monolog. – I nie sądzę, żeby uciekła.

– Bo tego nie zrobiła. A w szkole? Czego się dowiedziałeś? – Inspektor zadawał pytania, układając równocześnie w głowie nowe informacje.

– Niewiele. Dzieciaki naprawdę nie lubią z nami rozmawiać, ale wreszcie dwie dziewczyny się przyznały.

– Do czego? – zdziwiła się Maria.

Wtedy aspirant wyciągnął telefon i pokazał zdjęcie na profilu jednej z uczennic. Przedstawiało Magdę – na ziemi, we własnych wymiocinach. Obok leżała pusta flaszka taniej wódki. Feliks automatycznie przypomniał sobie scenę z alejki.

– To było w dzień przed pojawieniem się misia. Nie mogłaby uciec, nie była w stanie... A te dziewczyny ją tam zostawiły.

– Też mi koleżanki – skomentowała Lipan.

– Raczej nimi nie były. Te dwie, według nauczycielki, zachowywały się najgorzej wobec Magdy – odparł Marek.

– Nie rozumiem, dlaczego z nimi poszła...

– Chłopak... – zauważył Feliks.

– Tak, najwyraźniej Milena miała rację. Magda poznała starszego chłopaka. Chociaż może nie tyle poznała, co po prostu go widywała gdzieś w przelocie. On nie wiedział o jej istnieniu. Jest z pierwszej gimnazjum. Podkochiwała się w nim, a koleżanki zabrały ją do alejki niby na spotkanie. – Aspirant wydawał się zły i męczony wyrzutami sumienia, jakby to on był winny zniknięcia Magdy.

– Pojawił się tam? – zapytał Struner.

– Nie, podobno nie. Wódkę przyniósł inny chłopak. Jego zeznania pokrywają się z wersją dziewczynek. Po prostu ją tam zostawili. – Złość Maciejczyka przeradzała się we wściekłość, choć jeszcze nad nią panował. – Spisaliśmy go. I te dziewczynki też. Teraz to problem sądu rodzinnego – dodał z wyraźną satysfakcją.

– Pozostaje pytanie: kim jest kochanek matki?

Marek spojrział na Feliksa lekko zmieszany, jakby miał nadzieję, że to pytanie nie padnie.

– To on – wydedukowała od razu Lipan, widząc jego reakcję.

– Jak pani...?

– Umieć czytać ludzi. To dar. Czasem przekleństwo.

– Tak, spotykamy się od jakiegoś czasu. Milena nie chciała, żebym poznał jej córkę, przynajmniej dopóki jej na to nie przygotuje – wyjaśnił młody policjant, zdając sobie sprawę, że tajemnica wyszła na jaw. – Gdybym tylko wiedział!

– I co, aresztowałbyś te dzieciaki? Nikt nie mógł przewidzieć, że on... Że pojawi się naśladowca. – Maria położyła dłoń na barku aspiranta.

Ten odruchowo się odsunął, jakby wstyd nie pozwalał mu przyjąć pocieszenia.

– Jak dużo mamy czasu? – zapytał.

– Niewiele, jeśli ten naśladowca... – Feliks zrobił pauzę na krótki oddech.  
– W dziewięćdziesiątym trzecim morderca ujawniał kolejne ciała po tygodniu. Minęła doba, zostało więc sześć.

– Co mogę zrobić? – W oczach pobiedziskiego gliny zaświecił się mały promyk nadziei.

– Nie trać czasu w lesie. Znasz to miasto, prawda?

Mężczyzna w odpowiedzi kiwnął głową.

– Pozwól więc ulicy mówić. Te grupki, które... wszyscy omijają szerokim łukiem, najszybciej zauważą kogoś obcego na swoim terenie. Przy odrobinie szczęścia dostaniesz jakiś opis. I jeszcze jedno, niech twój partner patroluje tę alejkę – polecił inspektor.

– Tak jest. – Maciejczyk zasalutował.

– Dzwon, jak tylko czegoś się dowiesz.

– Pan także.

Marek podążył do swojego radiowozu.

Zanim zdążył odjechać, na parkingu pojawił się samochód. Nieznany mężczyzna zatrzymał się na samym środku, blokując policyjne auta. Wyskoczył z wozu i pognął do budynku. W ogóle nie zwrócił uwagi na funkcjonariuszy. Aspirant Maciejczyk wyszedł z radiowozu, klnąc pod nosem. Spojrzał na równie zaskoczonych Feliksa i Marię.

Mężczyzna wbiegł po schodach. Zatrzymał się przy okienku wyraźnie zdenerwowany. Feliks bez zastanowienia ruszył za nim.

– Moje dziecko! Moja córka!

– Proszę się uspokoić... O co chodzi? – spytał dyżurujący funkcjonariusz.

– Od wczoraj nie wróciła do domu!

Lament mężczyzny słyhać było nawet na dziedzińcu przed posterunkiem.

– Spokojnie. Proszę podać imię i nazwisko, zaraz przyjmę zgłoszenie o zaginięciu. – Młody policjant starał się zachować stoicki spokój, tak jak uczono go w akademii.

– Agnieszka... – Mężczyzna oddychał głęboko i ciężko – Agnieszka Lisowska. Ma jedenaście lat. To jej zdjęcie.

– Data urodzenia?

– Trzeci marca...

– Oczy zielone, czarne włosy... – Policjant wpisywał dane do komputera.

– Kiedy pan widział ją po raz ostatni?

– Nie wiem... Chyba wczoraj przed szkołą. Miała nocować u koleżanki, ale kiedy dziś pojechałem po nią do szkoły, dowiedziałem się, że nikt jej od wczoraj nie widział... – Głos przerażonego ojca drżał.

Feliks wyraźnie słyszał każde słowo, stojąc na dole z Marią i Markiem. Patrzyli po sobie. Świetnie zdawali sobie sprawę, o czym myśli osoba obok.

– Próbował się pan z nią skontaktować? Zadzwoić może? – zapytał policjant.

– Oczywiście, ale ma wyłączony telefon. To ostatnia wiadomość, jaką przysłała... „Właśnie idę do Łucji, do zobaczenia wkrótce, tatusiu”. Nawet nie wiedziałem, że ma nową koleżankę. Jakąś Łucję... – Mężczyzna zająknął się, a wtedy Feliks stanął tuż za jego plecami niczym duch.

– Inspektor Struner. – Podał mu rękę, a ten ją uścisnął. – Policjant przyjął zgłoszenie, a teraz może odpowie pan na kilka pytań.

– Rafał Lisowski. Oczywiście. Zrobię wszystko, bylebyście ją znaleźli.

– Maria Lipan – przedstawiła się partnerka Feliksa, stanąwszy przy nich.

– Proszę pokazać zdjęcie córki.

Zrozpaczony ojciec podał jej swój telefon. Funkcjonariuszka nacisnęła przycisk, a na wygaszaczu ekranu pojawił się wizerunek dziewczynki. Pokazała zdjęcie Feliksowi. Już widzieli tę twarz. Dzień wcześniej w alejce.

– To aspirant Maciejczyk. Zada panu kilka pytań... – powiedział inspektor, chwyciwszy Marię pod ramię. – Przepraszam pana.

Oddalając się, słyszeli jeszcze przez chwilę Marka.

– Proszę opowiedzieć coś o córce. Czy ma jakieś ulubione miejsca? Gdzie mogłaby pójść? Do przyjaciółki, chłopaka? Wszystko, co pan sobie przypomni, może nam pomóc...



W końcu głos Maciejczyka ucichł. Zeszli po schodach i znaleźli się przed posterunkiem.

– Jak to się mogło stać? Miałaś ją zaprowadzić do domu! – zaczął gniewnie Feliks.

– Odprowadziłam. Widziałam, jak wchodzi do środka.

– Kurwa mać! – Struner usiłował stłumić krzyk. – Ale jak? Jak?! Mówiłem ci, że...

– Nie wydzieraj się na mnie! Co niby miałam zrobić? Wejść i położyć ją do łóżka? Czy może poczekać na jej rodziców? Nie moja wina, że smarkuła uciekła z domu, zanim wrócili!

Maria odpowiadała w złości, lecz w jej głosie słyhać było żal do siebie. Obwiniła się, choć nie chciała się do tego przyznać.

– I co teraz? To trzecie dziecko... A my jesteśmy w czarnej dupie. Coś jest w dodatku nie tak... – Feliks mówił bardziej do siebie niż do Marii.

– To znaczy?

– Wcześniej nie uprowadzał ich w tak krótkich odstępach czasu. Jak gdyby to nie był on... Co się zmieniło, że zaczął działać inaczej?

Na to pytanie żadne z nich nie potrafiło odpowiedzieć.

Niezręczną ciszę przerwała Maria.

– Lisowska... Cholera, znam to nazwisko.

– Tak?

Kobieta przymknęła powieki, jakby nad czymś dumając. Wreszcie odparła z satysfakcją:

– Tak. Widziałam je na teczce u tej psycholog.

– W szkole? – zdziwił się Feliks.

– Tak. I to nie może być przypadek: wszystkie zaginione dziewczynki chodziły do niej na rozmowy. To jedyne, co je łączyło. Jedyny, jak na razie, punkt zaczepienia.

– Podejrzewasz ją? – Struner rzucił partnerce szybkie spojrzenie.

– Pomyśl tylko. Jeśli to nie nasz Zabawkarz? Nie ten z dziewięćdziesiątego trzeciego? Co, jeśli to jego... Nie wiem... Córka? Uczennica?

– Mówisz, że on co? Wyszkolił ją, a sam przeszedł na emeryturę? – sarknął inspektor.

– Wciąż mówisz o przecuciach. To jest moje przecucie... Sam twierdzisz, że coś jest nie tak, jakby to nie był ten sam morderca. Więc przynajmniej tego nie wykluczaj. – Maria ściszyła nieco głos.

– Dobra, sprawdzimy ją, ale nie sądzę, że to ona. Chociaż rzeczywiście to dziwne, że wszystkie dzieci do niej chodziły. Morderca na pewno o tym wiedział. Dzieci z problemami siedzą zazwyczaj w internecie, rozmawiają z nieznanymi, którym łatwiej się zwierzyć, zaufać... Nie wiemy, ile powiedziały Poli. Musimy sprawdzić ich komputery. Całej trójki.

– Wyślę Marka, żeby zajrzał do komputera zaginionej Magdy.

– Okej. Nie możemy tracić więcej czasu, więc ty pojedziesz z ojcem Agnieszki, a ja do domu Łucji.

– Wiesz, że będziesz musiał powiedzieć, co się z nią stało? – Maria była zdziwiona. Feliks rzadko informował o śmierci bliskich. Nie nadawał się do tego, brakowało mu zrozumienia i empatii. – I poprosić o identyfikację zwłok.

– Wiem. Niczego nie przegapcie. Jeśli to faktycznie jakiś jego uczeń... – Struner zamilkł na chwilę, gdy partnerka na niego spojrzała. – Jeśli tak, to nie jest zbyt dobry. Teraz nie możemy być pewni nawet tego tygodnia. – Zaczął nerwowo rozglądać się po parkingu. – Kurwa!

– Co?

– Moje auto jest w Poznaniu!



Feliks szybkim krokiem przemierzał Pobiedziska. Był – delikatnie mówiąc – wkurwiony. Maria wytłumaczyła mu, gdzie znajduje się ulica, na której mieszkała Łucja z macochą, okazjonalnie też z ojcem. Według jej instrukcji miał już niedaleko. Wcale go to jednak nie pocieszało. Nad niespokojnym miasteczkiem zaczęły zbierać się chmury. Inspektor czuł, że ostatnie dni zmieniają je nie do poznania – dusza tego miejsca została zatruta, a tego nie da się wymazać nawet z betonowego organizmu. Miał tylko nadzieję, że on i Maria zdołają zatrzymać mordercę, zanim dwie zaginione dziewczynki staną się kolejnymi ofiarami. Niezależnie od tego, jak długo o nich myślał, znajdował jedynie dwa wspólne mianowniki – poza oczywistym wiekiem. Dziewczynki chodziły na spotkania do psycholog szkolnej oraz były bardzo do siebie podobne; można by uznać je za siostry.

Ulica Fiołkowa. Tuż obok ośrodka pomocy społecznej wzniesiono bloki. Wybudowano tutaj kilka lat wcześniej kompleks budynków z placami zabaw i parkingami dla mieszkańców, rozpoczęto też kolejne prace budowlane. Dalej znajdowało się kilka kilometrów pól i pojedynczych domów.

Łucja mieszkała na parterze w ostatnim bloku, przy pierwszym placu budowy. Feliks dojrzał na piętrze trzech robotników. Mieli chyba przerwę obiadową, bo siedzieli i rozmawiali, żaden nie pracował. Potencjalni świadkowie lub podejrzani – Struner nie potrafił zdecydować z takiej odległości.

Stanął przed drzwiami mieszkania. Zapukał.

– Nie słyszysz? Otwórz! – usłyszał dochodzący zza drzwi kobiecy głos.

Zapukał jeszcze raz. Tym razem do jego uszu dotarł jakiś szmer, jakby ktoś wstał z kanapy.

– Zero pożytku z bachora...

Drzwi otworzyła kobieta w szlafroku, z papierosem w dłoni. Miała trzydzieści lat, choć wyglądała na nieco więcej, ale Feliks uznał, że to wina sytuacji. Mimo że dawno minęła piętnasta, gospodyni zdawała się dopiero co wstać z łóżka. Strój też na to wskazywał.

– Co? Chyba niczego nie sprzedajesz, nie? – Wpatrywała się w stojącego na progu mężczyznę.

– Nie – odparł krótko i szorstko.

Wyciągnął odznakę i wszedł do środka, nie czekając na zaproszenie.

Mieszkanie zaczynało się od niewielkiego salonu, po lewej biegł prowadzący do reszty pomieszczeń wąski korytarz. Feliks rozejrzał się po pokoju. Był zagracony i panował w nim straszny bałagan. W telewizji emitowano jeden z miernych programów o problemach innych ludzi, a na stole stała otwarta butelka wina.

– Czego pan chce? – Gospodyni splotła ręce na piersi.

Była od niego o pół głowy niższa, miała rozczochrane blond włosy, a na nich dziwnego koloru pasemka. Pod tą mieszaniną dwóch barw ukrywał się ciemny brąz. Feliks kompletnie nie znał się na włosach, ale te wyglądały na mocno zaniedbane. Nawet on spostrzegł, jak bardzo były przetłuszczone, a końcówki nie tylko rozdwojone, lecz wręcz podzielone na trzy czy więcej – wyglądały niczym siano. Pomalowane rzucającą się w oczy czerwoną szminką usta odciągały uwagę od rozmazanego makijażu. Pod luźnym podkoszulkiem sterczały sutki, na co pozwalał brak stanika. Duże piersi były jak na wiek właścicielki trochę zbyt obwisłe. Krótkie spodenki – w których zapewne spała – odsłaniały opalone nogi i część jędrnych jeszcze pośladeków.

Feliks nie miał ochoty patrzeć na rozmówczynię – i to nie z powodu zaniedbanego wyglądu. Normalnie uznałby ją za całkiem ładną kobietę, odwiedzoną jednak w nie najlepszym czasie, choć i tak udało się jej zachować nieco atrakcyjności. Lecz inspektor nie oceniał jej wyłącznie przez pryzmat wyglądu...

– Od pani? Niewiele. Chcę zobaczyć pokój Łucji. – Ton jego głosu nie brzmiał jak prośba.

– No pewnie. Co ona znów zbroiła? Jak Boga kocham, to dziecko to same problemy... – Kobieta ruszyła korytarzem.

Inspektor zauważył, że jej bosa stopy miały brudne podeszwy.

– Rozumiem, że pani jest jej macochą.

– Tak.

– Łucja zaginęła.

– Jak to „zaginęła”? To znaczy, że co? Uciekła? – Trzydziestolatka otworzyła drzwi pokoju. Złękła się, gdy nie zobaczyła w nim dziewczynki. – Gdzie ona jest? To niemożliwe! – krzyknęła.

– Kiedy wraca jej ojciec?

– Za tydzień... Co się z nią stało? Zadzwońię do niej...

Kobieta była przerażona. W tej chwili wyglądała jak dziecko, które próbuje ukryć przed rodzicami zły uczynek.

– To nic nie da. Za to będziemy musieli panią poprosić o identyfikację zwłok.

Feliks nie próbował nawet udawać współczucia. Nie polubił swojej rozmówczyni, więc nie zamierzał łagodzić złych wiadomości.

– Zwłok? Jakich zwłok? O czym pan mówi? To jakiś żart?!

Macocha Łucji zaczynała wpadać w histerię, a w jej oczach Struner dojrzał nutę szaleństwa.

– Mamy powody podejrzewać, że dziewczynka zaginęła już kilka dni temu. – Spojrzał na kobietę z wyrzutem.

Ta zrobiła krok w tył.

– Ona nie żyje? – Osunęła się na podłogę. – Jak to możliwe? Piotr mi tego nie wybaczy – szeptała sama do siebie.

– I nie powinien – bąknął inspektor, wchodząc do pokoju dziewczynki.

Kobieta wbiła wzrok w ścianę, kompletnie zapominając o policjancie, który rozglądał się po pomieszczeniu. Było naprawdę ubogo umeblowane. W rogu stał wieszak z paroma ubraniami, pod ścianą zniszczone łóżko, a obok niego taboret i mały stolik z laptopem. Feliks nie znał się na sprzętach elektronicznych, ale to urządzenie z pewnością nie należało do tych z najnowszej generacji. W kącie przy wieszaku zobaczył podręczniki szkolne, a na nich rysunek. Podszedł, by go obejrzeć. Przedstawiał

czerwonookiego pluszowego misia, który się nie uśmiechał. Feliks wypuścił kartkę z ręki, jakby go parzyła. Z trudem powstrzymał się od przekleństwa.

Usiadł przed laptopem.

Na ekranie pojawił się wygaszacz. Gif z chodzącym misiem, który w pewnym momencie zaczynał biegać za latającym po ekranie sercem. Struner najechał kursorem na nazwę profilu. „Łucja”. Kliknął. Poczuł ulgę, ponieważ konto nie było chronione hasłem, a tego się obawiał. Na pulpicie widniało mnóstwo plików, większość z nich odnosiła się do przedmiotów szkolnych, ale niektóre także do zmarłej matki. Stary glina zajrzał do każdego. Komputer przepelniony był rodzinnymi zdjęciami, filmami z urodzin czy świąt. W części folderów znajdowały się pomoce szkolne.

Feliks otworzył przeglądarkę. Przed jego oczami pojawiło się zalogowane konto na skrzynce mailowej, wypełnionej wiadomościami od jednej osoby. Inspektor, widząc nazwę nadawcy, poczuł nieprzyjemny dreszcz. Cofnął się do e-maila, w którym po raz pierwszy pojawił się nick tego użytkownika: pluszowy-miś-12.

Dowiedział się, że najpierw pisali na czacie, a potem to ona poprosiła go o adres mailowy. To ona napisała do niego pierwszą wiadomość. Wyjawiała, gdzie mieszka, on zrobił to samo. Udawał dwa lata starszego od niej chłopaka. Podszyl się pod ucznia, w którym dziesięciolatka prawdopodobnie się podkochiwała – taki wniosek wysnuł stary policjant. To nie pluszowy-miś-12 zdradził swoje imię, lecz tak pokierował Łucją, by nazwała go imieniem tego konkretnego chłopaka. Przytaknął, gdy w końcu to zrobiła.

„Wiesz, kim jestem. Przecież widziałem, jak patrzysz na mnie na przerwach”.

„Zauważyłeś mnie?”.

„Tak, zawsze Cię dostrzegałem. Nie mógłbym Cię nie zauważyć”.

Wyrażał się tak, jakby faktycznie był dwunastolatkiem. Feliks nie był orłem z polskiego i zasad pisowni, ale spostrzegł wiele błędów – u niej znacznie mniej. Dziewczynka wydawała się bystra, natomiast błędy jej

rozmówcy zbyt oczywiste, rzucały się w oczy. Inspektor wiedział, że robił je specjalnie.

Łucja zaczęła się zwierzać. Gdy tylko „kolega” przyznał, że ją dostrzegł, od razu się otworzyła. Dostała to, czego potrzebowała, czyli kogoś, z kim mogła porozmawiać, kogoś, dla kogo nie była niewidzialna. Morderca wykorzystał jej słabość. Korespondowali ze sobą każdego dnia przez ostatni miesiąc. Mężczyzna zdobywał zaufanie dziesięciolatki: krytykował tych, na których narzekała, chwalił ją za każdy sukces, z którego była dumna, pisał to, co chciała przeczytać. Wiadomości zaczynał od informacji dotyczącej jej ubioru danego dnia – tak udowadniał, że ją zauważa, obserwuje. Dziewczynka dziękowała za komplementy, myśląc, że ten dwunastoletni chłopak zaczyna coś do niej czuć. I choć się dziwiła, dlaczego nie mogą się na razie spotkać, wybaczała mu zwłokę.

Namówił ją do usunięcia konta na Facebooku i do odcięcia się od wszystkich uczniów w klasie. Chciał mieć ją wyłącznie dla siebie. Pragnął, żeby była zawsze sama, w każdej chwili każdego dnia. I miała czekać na jego maile. I aby pozostał jej tajemnicą, a ona jego. Aby zachowali istnienie tej znajomości dla siebie. Tak właśnie zrobiła. Potem też przysięgała na własne życie, że nie wspomni o nim pani psycholog. Przysięgała, obiecywała i prosiła, by jej uwierzył. Zapewnił wtedy, że jej ufa. Pozwalał jej także pozostać niewinną dziewczynką. Pytał o ulubioną bajkę, sam przyznawał się do ich oglądania i wręcz zachęcał Łucję do poznania jednej z animacji Disneya. Tę, gdzie pojawiała się Myszka Minnie. Miała ją oglądać, gdy czekała na jego odpowiedzi. Początkowo się opierała, ale kiedy napisał, że jest słodka jak ta postać rysunkowa, następnego dnia szczegółowo opisała kilka odcinków.

„Oglądaj tę bajkę. Niech rodzice widzą w Tobie swoje dziecko, żeby nie podejrzewali (Feliks zauważył specjalnie zrobiony błąd) Cię o związek ze starszym chłopakiem”.

Związek. To słowo zmieniło kompletnie charakter ich rozmów.

Struner spostrzegł, jak łatwo zabójca zamienił się z nią rolami. W pierwszych mailach to on walczył o jej zaufanie, a po kilku dniach to ona

była tą, która zabiegała o jego względy. Owinął sobie dziewczynkę wokół palca, manipulował nią. Niczego nieświadoma uczennica wpadła w jego sidła. Teraz wystarczyło tylko jedno słowo.

Za opis jej ubioru chciał wiedzieć wszystko. Pytał o rodziców, nauczycieli, o macochę i jej koleżanki. W końcu ich maile zmieniły się w dwuzdaniowe wiadomości od niego i całe rozprawki od niej. Miała opisywać mu cały swój dzień, jakby to było zadanie domowe. Nie mogła ominąć nawet tego, co jadła na śniadanie. Pisała mu o wszystkim, co pragnął wiedzieć.

I nagle... bum. Dostała wiadomość, że to się nie uda, że te dwa lata różnicy to za dużo. Że jest popularnym chłopcem i nie może ryzykować. Napisał cały esej i pytał, co ma zrobić. Co się z nim stanie, gdy jego rodzice się dowiedzą? Albo koledzy czy nauczyciele. Miał być gwiazdą szkolnej drużyny piłkarskiej, nawet starsi gimnazjaliści go szanowali. Pisał, że chce z nim chodzić starsza dziewczyna i że z nią mógłby podbić całą szkołę, zyskać jeszcze większą renomę. Twierdził, że to nie ma sensu, by pisał z dziesięciolatką i zaczął z nią się umawiać. Spotykać się z dzieckiem... Tak, nazwał ją dzieckiem. Uznał, że jest niedojrzała i nie może mu dać tego, co starsza dziewczyna. Między kanonadą wyzwisk i wylanych żali napisał coś, czym kompletnie zaskarbił sobie zaufanie Łucji.

„Jak to się stało, że ja...? Ja? Zakochałem się w młodszej dziewczynie?”.

Zakochał się. Wyznał miłość osobie, która desperacko tej miłości potrzebowała. Jej odpowiedź była oczywista. Feliks spodziewał się tego, co zobaczył w następnym mailu. Wyznała mu to samo.

„Ja Cię kocham nad życie! Obiecuję, że nie pożałujesz. Zrobię dla Ciebie wszystko, co tylko będziesz chciał, daj mi szansę. Proszę. Tak bardzo Cię proszę... Potrzebuję Cię”.

Krótko i bez wahania. Jakby w ogóle nie zauważyła kilkudziesięciu obniżających jej samoocenę zdań. Mężczyzna wypunktował to, co małolata wyznała mu we wcześniejszych mailach, każdy żal, jaki mu w sekrecie powierzyła. A on wykorzystał to wszystko, wspominał o tym, czego się bała, zniszczył jej poczucie wartości, a raczej to, co z niego pozostało po śmierci



matki. Na koniec była bliska załamania, więc rzucił jej ostatnią deskę ratunku, nadzieję na jakieś uczucie w świecie, który kazał jej siebie samą nienawidzić. Chciał uchodzić za ostatni pomost do szczęścia i istnienia. A gdy wyznała mu miłość, łaskawie zaproponował spotkanie, początek nowej relacji.

Zgodziła się.

W ostatnim mailu inspektor znalazł godzinę i miejsce spotkania. „Tylko przyjdź sama, ja też będę sam”.

Łucja obiecała.

Koniec maili, koniec rozmów – równo osiem dni temu. Tydzień przed odnalezieniem jej zwłok w pluszowym misiu na pobiedziskim rynku.

– Laptop muszę zabrać na posterunek... – oznajmił Feliks.

Macocha nie zareagowała. Struner zamknął komputer i odłączył od ładowarki. Wziął go pod rękę i podszedł do siedzącej przy ścianie w korytarzu kobiety. Patrzyła na swoje brudne stopy.

– Dobrze się pani czuje? – zapytał bez emocji śledczy. Przykucnął przy niej, a wtedy spojrzała na niego pustym wzrokiem. – Proszę posłuchać. W ciągu najbliższych dni przyjadą po panią policjanci. Zostanie pani poproszona o identyfikację. Jeśli pani sobie z tym nie poradzi, proszę podać adres dziadków czy kogokolwiek z krewnych. Rozumie mnie pani?!

Mówił podniesionym głosem, a macocha jedynie na niego patrzyła, prawie nie mrugając.

– Czy pani mnie rozumie?

Kiwnęła głową.

– Czyli da pani radę? Tak? Tak mam to rozumieć? Pojedzie pani z policjantami? – dopytywał Feliks, czując, że ta rozmowa go przerasta.

Jego cierpliwość miała swoje granice. Odnosił wrażenie, jakby gadał do ściany; nawet nie do swojego misia, bo ten chociaż odpowiadał, powiedzmy... telepatycznie.

– Tak – wyjąkała wreszcie kobieta. – To moja wina, prawda?

W jej oczach tliła się nadzieja. Czekwała na kilka słów, które zapewnią ją, że tego wszystkiego nie dało się uniknąć. Lecz Struner nie był tego typu policjantem. Wstał i spojrzał na nią z góry.

– Wie pani, dlaczego się nie przedstawiłem? Ani nie poprosiłem o pani imię? – spytał kompletnie pustym, wysanym z uczuć głosem.

– Nie wiem... – odparła lekko zmieszana.

Patrzyła na jego pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu twarz, jakby odlaną z kamienia. Przez moment poczuła strach.

– Gdy krzywda dzieje się dzieciom, winę ponoszą dorośli. Za każdym razem. – Inspektor akcentował każde słowo, powoli i boleśnie. Chciał, by to, co mówił, zostawiło po sobie ślad. – Tak, ma pani rację, winę ponosi pani, nikt inny. – Odsunął się od kobiety i zatrzymał przy wyjściu. – To dlatego się nie przedstawiłem. Nie chcę pani znać.

Otworzył drzwi i wyszedł, nawet ich za sobą nie zamykając.

Kobieta poczuła zimne powietrze z dworu, które od razu postawiło ją na nogi. Krótka chwila żalu przeminęła, jednak słowa nieznanego wciąż krążyły w jej głowie. Czowała złość, coraz większą złość. Wybiegła na boso z mieszkania, ale go nie goniła. Przystanęła na chodniku i patrzyła, jak odchodzi.

– Jestem Monika Stuszeń! I to ja nie chcę cię znać ani więcej tu widzieć... skurwielu!

Jeszcze przez kilka minut krzyczała, ale Feliks jej nie słyszał. Miał bardzo przydatną umiejętność niesłuchania tych, których nie chciał. Po prostu oddał się rozmyśleniom, w wyniku czego macocha Łucji przestała dla niego istnieć.

„Obelgi to oręż tych, co nie mają racji”, pomyślał z satysfakcją.

Minęła ponad godzina. Tyle czasu spędził na czytaniu maili mordercy i Łucji. Nad pustą ulicą, którą kroczył, powoli zapadał zmrok. Jedynie w czystym niebie znalazł pocieszenie. Najwyraźniej deszczowe chmury, które tak go wcześniej drażniły, zostały przegonione. Wiatr nadal był silny, lecz teraz wiał mu w plecy.

Mimo że niejednokrotnie udawało mu się dopaść poszukiwanego przestępcę dzięki numerowi IP i pomocy techników, tym razem przeczuwał, że tego mordercy nie da się tak łatwo znaleźć.

„Park na końcu ulicy, ten za garażami. O północy”.

Miejsce i czas spotkania dziewczynki z mordercą przewijały się w jego myślach. Szedł ulicą, o której pisali – szedł na jej koniec, do parku. Chciał obejrzeć ten zakątek pomimo ciemności otulających miasto. Już po dwóch spędzonych w nim dniach odczuł, że jest połączone z mrokiem. Jakby z niego się zrodziło. Choć może nie tyle miasto, ile on... Ten, którego szukał.

Wreszcie dotarł na miejsce. Po prawej stronie zobaczył tuje, a pod nimi kwiaty, które powoli traciły płatki. Jesień jest bezlitosna, zupełnie jak Zabawkarz...

Park nie był duży. Dwie małe ścieżki otaczała roślinność, a trzy stojące przy nich ławeczki widoczne były z ulicy.

– Mimo to porwał ją i nikt tego nie widział... – powiedział do siebie cicho Feliks, przechadzając się dróżką. Przystanął obok ławeczki i położył na niej laptop. Może jego telefon był stary i nie robił świetnych zdjęć – jak zauważyła w sądzie Maria – ale miał latarkę. Ta była mu potrzebna. Łudził się, że coś znajdzie – pomimo że minął już tydzień – lecz czuł wewnętrzną potrzebę sprawdzenia każdego źdźbła, każdego ziarenka piasku. Łucja nikogo nie obchodziła za życia. Tak naprawdę została zabita dużo wcześniej, niż dorwał ją morderca. Inspektor chociaż po śmierci dziewczynki chciał poświęcić jej należną uwagę. Otworzył laptop i uważnie przeczytał ostatni mail.

– Kazał jej czekać na środkowej ławce...

Rozejrzał się – to była ta ławka. Świetnie widoczna z ulicy, postawiona najbliżej rozciągających się za parkiem garaży, za którymi wznosiły się betonowe bloki, a między garażami biegła mała uliczka. Zaledwie kilkanaście metrów od ławki. Cienie budynków dobrze ukrywały przestrzeń między sobą lub tego, kto mógł tam stać. Feliks był pewien, że

to właśnie tutaj czekał morderca, gdy dziesięciolatka pojawiła się z nadzieją na spotkanie swojej miłości.

– Pójdę od strony galerii...

Struner czytał kolejne wskazówki dla dziewczynki. Galeria stała kilkaset metrów dalej, przy ulicy, w którą skręcało się przy parku. Łucja, żeby mieć dobrą widoczność, musiała usiąść plecami do uliczki pomiędzy garażami.

– Do końca nie wiedziała, co się stanie, nie miała pojęcia, że za plecami czai się zło – mówił do siebie inspektor, patrząc w alejkę. – Nawet nie dostała szansy na ucieczkę. Musiał ją czymś odurzyć. Noc nocą, park parkiem, jednak... – Rozglądał się wokół. – Tu są bloki, tam domy. Gdyby tylko zaczęła krzyczeć... Ale nie mogła. Nie otrzymała tej szansy. Nawet na krzyk.

Stanął na uliczce, w cieniu budynków. Nie chciał wchodzić w jego skórę, ale musiał to zobaczyć. Musiał odegrać rolę mordercy. Zamknął oczy i...



Dziewczynka siedziała odwrócona do niego plecami, nie mogła go widzieć, inaczej uciekłyby, zanim zrobiłby pierwszy krok. Wbijał swój demoniczny wzrok w jej sylwetkę. Rozglądała się na boki, ale ani razu za siebie – tak jak to zaplanował. Trzymał się w cieniu. Był niewidoczny, prawie jakby nie istniał – w zasadzie dla niej był wciąż nierealny.

Nie ruszył od razu. Czekał, czekał i czekał... aż dziewczynka zrobi się zmęczona, smutna, może nawet straci chęć życia.

Przyglądał się samotnej Łucji. Nie wykonał nawet najmniejszego ruchu – był cierpliwy. Nie musiał się spieszyć. Dziewczynka nie wstawiała i nie zamierzała wstać. Nie wróci do domu. Nie miała po co – tam była wyłącznie powietrzem, kimś, kogo się ignoruje... Tutaj miała nadzieję. Chłopak, który nada sens jej życiu, wart był kilku chwil na ławce w mroźną noc.

Kilka chwil przerodziło się w godzinę, później w półtorej. Gdy miała upłynąć druga, gdy dziesięciolatka zaczęła tracić trzymającą ją tutaj do tej pory nadzieję, morderca ruszył. Szedł powoli, każdy krok stawiał precyzyjnie, z największą starannością, aby pośród szmeru wiatru nie zdradzić swojej obecności. Wpatrywał się w dziewczynkę – ta zaś patrzyła w ziemię i dygotała z zimna. Mężczyzna zatrzymał się, przez ułamek sekundy spojrzął na nią inaczej, jakby jej współczuł... I właśnie dlatego zrobił kolejny krok. I kolejny. Staął tuż za nią – nie miała o tym pojęcia. Jego oddech był niesłyszalny, a obecność niezauważalna, zupełnie jak ona każdego dnia. Czuł to, co dziewczynka, czuł pustkę w jej wnętrzu. Zapragnął uwolnić ją od bolesnych doznań. Zapragnął dać jej to, czego chciała: uwagę, stuprocentową uwagę.

Wyciągnął coś z kieszeni kurtki. Szmatkę, mokrą. Uklęknął. Wszystko robił powoli, bardzo powoli, nie spieszył się. Nie miał powodu się spieszyć. Szybkie ruchy wywołałyby niepotrzebny hałas, który mógłby spłoszyć ofiarę – siedzącą spokojnie w kompletnej ciszy i raz po raz pociągającą nosem, bo zimno dawało się we znaki. Mężczyzna słyszał bicie jej małego serca, tylko je było słychać w tej okropnej ciszy. Spokój to jedynie pozór – denerwowała się jak jeszcze nigdy w życiu. Zdradziło ją serce. Biło bardzo szybko, jakby zamierzało ustanowić rekord uderzeń na minutę. Jego – wręcz przeciwnie, ledwo co uderzało w ogromnej klatce piersiowej.

– Boże, gdzie on jest? – zapytała cicho Łucja drżącym głosem.

Odchyliła głowę, by spojrzeć w niebo. Tej nocy było czyste, a gwiazdy świeciły jaśniej niż zwykle. Na moment zamknęła oczy...

– Nie bój się, już jestem... – szepnął jej do ucha.

Dziewczynka uniosła powieki, ale za późno... Nie zdążyła się obrócić, a już silna ręka objęła jej tułów i obie ręce, podczas gdy druga wylądowała na jej ustach i nosie. To mogło trwać ledwie chwilę, lecz dla niej trwało wieki. Czuła, jak z każdą sekundą opuszczają ją siły. Mimo że próbowała wykrzesać z siebie choć trochę woli walki, żaden jej ruch nie zrobił wrażenia na napastniku. Nie poruszyła jego ręki nawet o milimetr. Był silny, zbyt silny. Albo ona zbyt słaba. Oczy same jej się zamykały. Nie

panowała już nad nimi... Nie chciała nad nimi panować. Bezradność... Lecz doznała czegoś jeszcze: prawdziwego spokoju. Jakby z nadchodzącym snem wszystkie troski miały zniknąć. Wtedy przestała walczyć.

Mężczyzna poczuł na dłoni wilgoć. Z oczu nieprzytomnej dziewczynki popłynęły łzy. Nie wiedział, czy ze strachu, czy może były oznaką zupełnie innych uczuć. Dziesięciolatka się uśmiechała albo... tak mu się tylko wydawało.

Schował szmatkę do kieszeni. Łucja bezwładnie leżała na ławce, a on nad nią stał. Stał i patrzył na twarz dziecka, które żyło teraz w krainie snów. Minęło kilka chwil, zanim objął ją i chciał unieść. Poczuł opór. Włosy dziewczynki zahaczyły o drewniane listwy ławeczki. Mężczyzna próbował je odplątać, ale było zbyt ciemno, a włosów zbyt dużo. Dwie godziny spędzone w cieniu garaży zrobiły swoje. Ręce miał skostniałe, nie potrafił chwycić pojedynczych kosmyków.

– To trwa zbyt długo, zbyt długo, zbyt długo... – powtarzał do siebie, próbując rozsypać kolejne pasma.

Łypnął w stronę ulicy, była pusta. Zegarek na jego ręce wskazywał już wpół do trzeciej. Pochylił się nad nieprzytomną dziewczynką.

– Przepraszam...

Wziął bezwładną Łucję na ręce i wstał z nią z impetem, trzymając mocno głowę. Część włosów została między listwami ławeczki. Mężczyzna czuł coraz większy niepokój. Cisza, którą wcześniej się upajał, teraz wydawała się zbyt ciężka. Każdy pomruk wiatru sprawiał, że przechodziły go ciarki. Bał się. Obrzucił wzrokiem otoczenie. Ulice wciąż były puste... Ale jak długo?

Z dziewczynką w objęciach udał się w stronę garaży, by zniknąć razem z nią w ich cieniu.



Feliks klęczał nad ławeczką. Twarz oświetlał mu blask ekranu monitora. Nagle ciszę przerwała jakaś melodyjka. Dziwnie znajoma. Otrząsnął się i poczuł wibrację w kieszeni spodni. Wyciągnął z niej telefon.

Na ekranie zobaczył numer Marii. Dzwoniła do niego już któryś raz, o czym informowała ikonka na górze wyświetlacza. Godzina zdziwiła go równie mocno – kompletnie stracił poczucie czasu. Dochodziła już dwudziesta druga.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś?! – usłyszał krzyk, gdy tylko nacisnął zieloną słuchawkę.

Rozmowa była krótka. Maria krzyczała, a on nie zamierzał się tłumaczyć. Nie znosił tego. Partnerka, zmęczona już czekaniem na komendzie, zdecydowała, że po niego przyjedzie, dzięki czemu miał czas, żeby się jeszcze rozejrzeć.

Poświecił latarką z telefonu na ławkę. Oglądał każdy centymetr, każdy defekt w drewnie, gdzie mógł zostać bodaj jeden włos dziewczynki. Jej smoliste włosy trudno byłoby zauważyć nawet w pełnym słońcu, a co dopiero nocą, i to wyjątkowo ciemną. Deski ławeczki pomalowano czarną farbą, więc nie lada wyczynem było cokolwiek dostrzec. Feliks położył dłoń na desce i delikatnie ją przesunął. Nic. Spróbował wyczuć cokolwiek na drugiej. Znowu nic. Trzecia deska była bardziej zniszczona od poprzednich. Czuł wystające kawałki drewna. Możliwe, że już kilka drzazg powchodziło mu w palce, ale to nie miało znaczenia. Starał się, usilnie próbował coś znaleźć, ale niestety, jego ręka była już przy samym końcu deski.

Wtem zerwał się wiatr. Nie był to mocny podmuch, wystarczający jednak, by poczuł, jak coś łaskocze go w opuszki palców. Schylił się i poświecił latarką. Zobaczył pod ławką kilka falujących włosów. Czarnych.

Wyciągnął z kieszeni paczkę chusteczek i przez jedną z nich złapał włosy. Były mocno wciśnięte między deskę a betonową podstawę. Wyszarpnął je i mocno ścisnął, by wiatr nie wyrwał ich z jego skostniałej dłoni. Potencjalny dowód, zawinięty w chusteczkę higieniczną, wylądował w kieszeni Feliksa, który zamknął laptop dziewczynki i usiadł.

Czekając na Marię, przebiegał wzrokiem po najbliższych domach i mieszkaniach w blokach, wpatrywał się w ciemność w oddali. Miejsce, w którym rozegrała się tragedia, nie było odludne. Znajdowało się w pobliżu posterunku, galerii handlowej, supermarketu, pizzerii oraz osiedli.

– Jak to się mogło stać? – zapytał sam siebie inspektor.

Nie rozumiał, jak można było tak niezauważenie stąd kogoś uprowadzić. Z ukrytej i omijanej alejki – owszem, ale stąd? Feliks zaczął się zastanawiać, jak wielka musi panować znieczulica, jak bardzo ludzie muszą być zamknięci w swoich małych światach, by nie dostrzec porwania małej dziewczynki. Spostrzegł kilku przechodniów. Nawet nie zerknęli w jego stronę, a przecież nie wyglądał groźnie. Po prostu nikogo nie obchodził.

Wreszcie dojrzał światła samochodu, a po chwili tuż przy parku stanął czarny sedan. Mężczyzna wstał i z laptopem w ręce ruszył w stronę auta.

– Co ty tam robiłeś tyle czasu? – fuknęła Maria, gdy tylko zapiął pas. – Bzykałeś ją?

– Co? – zdziwił się jej partner.

– No nie znam innego powodu, dla którego miałbyś tyle czasu być u tej macochy... Czyli co, ruchałeś ją? Przyznaj się. – Nie mówiła tego z zazdrości, kierował nią zwykły gniew.

– W życiu bym tego nie zrobił.

– Taaa, niby dlaczego? Brzydka? – dopytywała ciągle poirytowana Lipan, co denerwowało Feliksa, bo naprawdę nie lubił takich rozmów.

– Nie, nie jest wcale zła... Ale mam konkretny typ kobiet, które mnie pociągają. – Wzruszył ramionami.

– Jaki? – Maria ściszyła głos, co pozwoliło mężczyźnie sądzić, że mu wierzy.

– Lubię kobiety... z duszą – odpowiedział po krótkiej chwili, po czym od razu zmienił temat. – Mam laptop Łucji, pisała z nim maile. Z mordercą.

– Co?! – Funkcjonariuszka omal nie wjechała na krawężnik.



– Tak, od miesiąca do siebie pisali. A ty gdzie jedziesz? – zainteresował się, ponieważ partnerka włączyła znieścacka kierunkowskaz i skręciła między bloki.

– Nie ma sensu wracać do Poznania, prawda? A ja mam tutaj mieszkanie. Możemy w nim spać do końca śledztwa. Albo przynajmniej do jutra... – zaproponowała Maria dziwnym tonem, którego Feliks jeszcze u niej nie słyżał. – Chociaż w sumie nie wiem, jak teraz wygląda.

– Opłacasz dwa mieszkania?

– To mam po rodzicach. Jakoś nie potrafiłam go sprzedać. Zresztą to jedynie kilka stów miesięcznie.

Struner nic nie odpowiedział. Nostalgiczne uczucie przywiązania do tego miejsca okazało się pomocne dla podjęcia decyzji. Było przed dwudziestą trzecią, a on miał wewnętrzne przekonanie, że lepiej nie opuszczać miasta, zwłaszcza teraz.

Przecież zaginęła kolejna dziewczynka.

Mieszkanie nie było duże, ale w porównaniu do małej klitki Feliksa wydawało się ogromne. Połączony z kuchnią salon, łazienka i dwa pokoje. Coś jednak zdziwiło inspektora... Mieszkanie było odnowione.

– Maria? Od kiedy tu nie mieszkasz? – Położył laptop dziewczynki i karton z aktami na stole w salonie.

– Z dziesięć lat. Chcesz kawy?

– Poproszę. Czarną, dwie łyżeczki. Dziesięć lat? – powtórzył, rozglądając się po dość świeżych kolorach na ścianach.

– Tak, a co? – Kobieta odwróciła się do niego. – Przecież to nie ja tu mieszkalam. Wynajmowałam lokum przez jakiś czas. Od roku dopiero stoi puste... A co? Mam cię informować o wszystkim, co robię?

Wydawała się zdenerwowana, więc Feliks odpuścił temat.

– Dobra, to czego dowiedziałaś się o dziewczynce? Agnieszka, prawda? – zapytał.

– Jak wygląda, już wiesz – odparła partnerka, siadając obok niego na kanapie. – Jedenaście lat, raczej dobra uczennica, a przynajmniej tak

twierdzi ojciec.

– Wiesz, o co pytam. Każda z nich chodziła do tej szkolnej psycholog. Jaki problem miała Agnieszka? – Struner łypnął na nią z zaciekawionym.

– Rozwód, rodzice rozwiedli się kilka miesięcy temu. Dziewczynka mieszka u ojca, najwyraźniej matce nie zależało na walce o prawa do opieki. A nawet gdyby jej zależało, to i tak raczej nie miałyby zbyt dużych szans.

– Dlaczego? Sędziowie raczej chętniej oddają dzieci matkom – zauważył Feliks.

– Tak, ale nie wtedy, gdy córka nakrywa matkę z kochankiem.

– Stąd ta scena w alejce.

Maria przytaknęła ruchem głowy.

– Najwyraźniej ta trauma popchnęła ją zbyt szybko w dorosłość.

– Myślisz, że Zabawkarz udał jej rówieśnika, by się z nim spotkała? – Śledczy pochylił się, by otworzyć laptop Łucji.

– Jeśli udawał, to na pewno nie chłopaka...

– Co masz na myśli?

– W jej komputerze nie znaleźliśmy, co prawda, żadnych wiadomości, czy to mailowych, czy na Facebooku, ale historia w wyszukiwarce była dosyć obszerna.

– My?

– Z jej ojcem – wyjaśniła Lipan. – Wydaje mi się, że Agnieszka jest lesbijką, a przynajmniej, że ona sama tak podejrzewa.

– Co? Przecież widzieliśmy ją z tym... gnojkiem. Mieli zamiar, wiesz co...

– Uprawiać seks?

– Kurwa, nie mów tego tak spokojnie, to jeszcze dzieci!

– Dobra, ale to nie zmienia faktu, że to by się tam właśnie wydarzyło, gdyby nie my. I chyba wiesz, dlaczego chciała to zrobić? Czy musisz zapytać panią psycholog? – rzuciła uszczypliwie Maria.

– Wiem – przytaknął krótko Struner, choć wcale nie był pewien.

– Mhmm, niemniej powiem to głośno. – Maria zaczerpnęła głęboko powietrza. – Kiedy weszłam do jej domu, od razu wiedziałam, jaki jest jej ojciec. Nie chodzi mi o to, że jest złym ojcem, bo nie jest. Atmosfera w domu była ciepła, ale jego poglądy... Można by powiedzieć, że skrajnie prawicowe, konserwatywne, nie wiem. Kościelne wręcz.

– Rozumiem. – Feliks patrzył na Lipan uważnie, jak student na wykładowcę podczas seminarium.

– Tak? Bo ja za nic nie wiem, co ona musiała myśleć. Dom, w którym kościół i tradycyjny obraz rodziny są na pierwszym miejscu, nagle się rozpada, a młoda dziewczyna zaczyna odkrywać swoją seksualność.

Maria dostrzegła, jak oczy starego gliny szeroko się otwierają. Po chwili dodała:

– Linki w historii prowadziły do zdjęć gołych dziewczyn, do studentek. Zdarzały się też filmiki.

– A poszła z nim do alejki, bo?

– Musiała być pewna... Już zanim poznała swoją orientację seksualną, zanim powiedziała o niej głośno, czuła się odrzucona przez ojca. Ależ on był zdziwiony... No mniejsza z tym. Zdecydowała się na seks z chłopakiem, bo chciała, by się okazało, że jednak jest hetero, rozumiesz? Zmusiła się do tego, by nie zawieść swoich rodziców. Widzisz, co z nią zrobili? Nawet o tym nie wiedząc, sprawili, że córka nie chciała się zaakceptować. Myślę, że to w sumie nie rozwód popchnął ją do wizyt u szkolnej psycholog.

– Kurwa, a on to wykorzystał.

Feliks poczuł nagły przyływ złości, która mieszała się z bezradnością.

– Więc jeśli się pod kogoś podszył – kontynuowała Maria – to pewnie pod dziewczynę, która powiedziała jej, że miłość do innej dziewczyny to nic złego. I wiesz co, kurwa, ma rację, że to nic złego... Ten mordujący dzieciaki jebany skurwiel ma pieprzoną rację...

Odwróciła twarz od partnera, bo poczuła, jak po policzku spłynęła jej łza. Ucieszyła się, gdy zaczął gwizdać czajnik, ponieważ dzięki temu miała

pretekst do wstania z kanapy i choć trochę czasu na pozbieranie się do kupy.



Kiedy Maria zapoznawała się z mailami, Feliks zabezpieczył znalezione włosy i zabrał się za przeglądanie akt. Chociaż cały dzień wydawał się wypełniony nowymi zdarzeniami, informacjami o ofierze i zaginionych, mężczyzna przez cały czas czekał na ten moment. Powrót do przeszłości, jeszcze jedno spojrzenie na tamte wydarzenia. Pod powierzchnią każdego z działań kryła się nadzieja na odkupienie.

Chciał wrócić do dziewięćdziesiątego trzeciego, do czasu, gdy to wszystko się zaczęło. Do sprawy, która wracała do niego jak koszmar – co noc. To właśnie w tym kartonie chował swoje demony. Przez dwadzieścia pięć lat trzymał je w zamknięciu, aż w końcu ktoś je uwolnił. A może same uciekły? Niemniej tylko one mogły pokazać to, czego wcześniej nie widział – wyłącznie w błędach przeszłości mógł znaleźć jakiś trop. Jeden szczegół odsłaniający tajemnicę Zabawkarza.

Cisza w mieszkaniu przerywana była jedynie ciężkim oddechem Feliksa i szelestem przewracanych stron, na których odkrywał zaniedbania sprzed lat. Im więcej kartek przeglądał, tym większe czuł obrzydzenie do samego siebie. Nie poznawał prowadzącego tamto śledztwo człowieka – zupełnie jakby to nie był on.

Wreszcie natrafił na wycinek z gazety, gdzie nagłówek nie pozostawiał wątpliwości: to była zbrodnia, jakiej jeszcze wtedy nie widziano. „Makabryczne odkrycie w pobiedziskim lesie”, głosił. A pod nim wymowna czarno-biała fotografia, na niej zaś stare drzewo i ociekające krwią liny. Feliks pamiętał, czym faktycznie je wysmarowano. Czerwoną farbą. Drzewo natomiast nawet nie stało obok tego znajdującego z powieszonym misiem. I co najważniejsze – to nie była pierwsza ofiara mordercy. Ale

sama inscenizacja przypadła mu do gustu, mogłaby trafić do kadru jakiegoś horroru.

Pamiętał ten dzień. Struner był zszokowany, mimo że niejedno już widział. Obok stała ona, Maria, jego przełożona, która pojawiła się na kilka tygodni przed sprawą. Weszła na posterunek i... wszystko jakby się zmieniło. Była wtedy młodą – bo za taką się uważała – kobietą po trzydziestce. Rok po zakończeniu drugiego kierunku studiów. Psychologia i bezpieczeństwo narodowe. Psychologię studiowała za granicą, co w tamtych czasach robiło wrażenie. Ponadto miała za sobą kilka kursów i szkoleń strzeleckich, przygotowań do służby etc. Ilekroć Feliks o tym słuchał, tylekroć się dziwił, jak zgrabnie jej się układało w dorosłym życiu. Podczas studiów poznała syna kogoś ważnego, ktoś wisiał jej jakąś przysługę, aż ostatecznie została przełożoną Strunera.

Dla Marii nie było ważne, jak zdobyła swoją pozycję, liczyło się to, że ją miała. Nie zaprzętała sobie głowy tym, co gadają za jej plecami czy co mówił komendant, bo wiedziała, że wreszcie zasłuży na swoją posadę. „Zamknięte sprawy zamkną im usta” – z tą myślą przychodziła do pracy. Lecz ta para policjantów dostawała najgorsze wezwania, nieprzeznaczone dla kryminalnych ani dla dzielnicowych. Eksmilijant z PRL-u i żółtodziób nie mogli liczyć na więcej.

Wówczas pojawił się on – spadł im z nieba: Zabawkarz z pierwszą ofiarą.

Najgłośniejsza zbrodnia w Polsce. Wielu chciało ją rozwiązać, ale gdy chętni się dowiadywali, kim była ofiara, szybko znikali. Komendant nie miał wyboru – oddał śledztwo Feliksowi i Marii, którzy widzieli w nim swoją szansę. Albo rozwiążą sprawę i ich kariera nabierze tępa, albo spadną na dno, choć odnosili wrażenie, że nie mogli już upaść niżej.

Inspektor wziął zdjęcie z drugiego miejsca zbrodni. Za każdym razem wyglądało podobnie: gigantyczny pluszowy miś powieszony na majestatycznym starym drzewie. Zmieniało się jedynie przebranie zamordowanej osoby.

Drugą ofiarę odnaleziono nad jeziorem Dobrym, niedaleko szkoły, otoczonym gęsto rosnącymi drzewami. Struner pamiętał, jak jechał

z Marią drogą na Kociałkową Górkę, skąd można dotrzeć na drugą stronę jeziora, gdzie rozciągały się polany. To właśnie tam, w najmniej uczęszczanych rejonach, odnaleziono dziewczynkę. Natknął się na nią jeden z rybaków. Jezioro było dość popularnym łowiskiem, do tego rzadko sprawdzanym, łowiono więc bez zezwolenia i strachu, że zostanie się nakrytym. W tamtych czasach nikt nie pomyślał, aby dać wędkarzowi mandat za to tylko, że łowi.

Maria prowadziła Feliksa do miejsca zbrodni. Znała te tereny. Opowiadała mu po drodze, jak w młodszych czasach chodziła tam na ogniska. Między drzewami, w głębi lasu – znajdowała się polanka. Idealna dla młodzieży na spotkania. Dalej rozścielały się użytki rolne – hektary pól uprawnych, gdzie nikt nie mógł usłyszeć zabawy młodych lub... krzyku ofiary.

Gdy dotarli na miejsce, policja odcięła już wiszącego misia, a ofiarę wyciągnięto z jego wnętrza. To było ich pierwsze spotkanie z „pracą” Zabawkarza. Wcześniej widzieli jedynie dziewczynkę w kostnicy, gdzie patolog omówił wyniki sekcji zwłok, określił przyczynę śmierci oraz przybliżył czas zgonu. Książkowo, nieuprzejmie i bez emocji. Chyba praca z nieboszczykami zupełnie go znieczuliła.

Równy tydzień dzielił oba odkrycia – przez ostatnie sześć dni nie zdobyli wiele informacji. Rozmowy z rodziną, pracownikami szkoły, znajomymi. Nikt nic nie wiedział. Za namową lokalnej policji zdecydowali się porozmawiać jeszcze raz z panem Witkiem. Oboje zgodnie stwierdzili, że był nieco dziwny, ale nie wyglądał na mordercę, w dodatku żona dawała mu alibi. Jednakże powiązania z bajkami nie mogli zignorować – i tak Mariusz wylądował na tablicy jako pierwszy podejrzany.

Dopiero szósty dzień śledztwa, a oni stali nad kolejnymi zwłokami – nie tego spodziewali się w małym miasteczku. Miejskowa policja zdeptała wszystkie ślady – martwe dziecko miało na sobie odciski palców wielu funkcjonariuszy. Dziewięćdziesiąty trzeci rok nie był rokiem profesjonalistów ani najwyższych technologii. Śledztwa nie prowadzono

na podstawie badań, lecz opierając się na poszlakach, przeczuciach i zeznaniach świadków – tych także brakowało.

Feliks patrzył na zdjęcie sprzed lat i odnosił wrażenie, że znowu znalazł się w tamtym punkcie sprawy. Bez drogi i tropu, którymi mógłby podążać. Przed oczyma miał tylko płynącą ku ognisku po źdźbłach trawy krew. Dotknęła wreszcie ziemi i wniknęła w popiół. Spalona czerń i czerwień, taniec dwóch kolorów, śmiertelna sztuka mordercy.

Inspektor pamiętał nierozważny czyn policjantów. Dziewczynce włożono na stopy szpilki, złote, wieczorowe buty, które usiłował zdjąć jeden z funkcjonariuszy. Początkowo nie mógł nimi nawet poruszyć. Zanim Struner go powstrzymał, mundurowy pociągnął z całej siły, myśląc, że były po prostu zbyt ciasne. Błąd. Ściągnąwszy je w taki sposób, zdarł skórę z podeszew ofiary. Inny policjant zauważył nierozsądne posunięcie kolegi, więc nie usiłował już ściągać z jej dłoni długich białych rękawiczek. Blond włosy okazały się peruką, prawdziwe zostały zgolone.

Zamordowana jedenastolatka przebrana była za Kopciuszka. Feliks szybko odszukał zdjęcie innej dziewczynki, którą wtedy odnaleziono.

Alicja Czarnyk, pierwsza ofiara. Znaleziona na jednym z pól. Rosło tam jedno samotne drzewo, a pluszak mógł z oddali wydać się strachem na wróble. Struner z partnerką obejrzeni miejsce dopiero dzień po odkryciu zwłok, gdy miejski komendant zdecydował się poprosić o pomoc z Poznania. To znacznie utrudniło początek śledztwa, ponieważ nawet najlepszy policjant niewiele może zdziałać bez nienaruszonego miejsca zbrodni. Zdjęcia i opisy innych funkcjonariuszy nie były wystarczające. Dziesięciolatkę przebrano za inną postać z bajki. Czarno-biała fotografia nie mówiła zbyt wiele. Jej opis wyciągnął z akt.

Dziecko zostało znalezione przez jednego z farmerów po tygodniu od zaginięcia. Była czwarta nad ranem, kiedy zgłoszono morderstwo. Rolnik, przekonany, że to jakiś chory żart, miał gdzieś ostrożność, więc ściągnął pluszowego misia, rozpruł go i dopiero wówczas postanowił wezwać policję. W środku wielkiej maskotki zobaczył ciało dziewczynki przebranej za Alicję z Krainy Czarów. Taką samą lalkę zamówiła u lokalnego

zabawkarza. I właśnie to sprawiło, że pan Witek musiał zostać podejrzanym.

Wiktoria Litt. Tak nazywała się druga dziewczynka. Zanim zniknęła, uczęszczała do klasztoru Sióstr Sacré Coeur. Placówka ta dziś już nie pełni funkcji edukacyjnej, lecz dawniej należała do prestiżowych szkół w Wielkopolsce. Matka Wiktorii pojawiła się na posterunku tuż po odnalezieniu pierwszej ofiary, zgłosiła zaginięcie córki, a po tygodniu musiała zidentyfikować jej zwłoki. Feliks pamiętał ten moment – o mało nie porzucił wtedy śledztwa. Jednak miłość do własnej córki kazała mu je kontynuować, by nikt więcej nie musiał tak cierpieć jak ta żegnająca swoje jedenastoletnie dziecko kobieta.

Opis obrażeń obu ofiar był niemal identyczny – pasował też do ran dziewczynki odnalezionej na rynku. Wszystkie łączył ponadto kolor oczu, włosów i podobna sylwetka. Każda z nich mogłaby być siostrą drugiej, również wzrost i waga były zbliżone. Czarnowłose i zielonookie. Według koronera ofiary nie cierpiały. Zostały odurzone narkotykami, po czym pozbawione całej krwi. I to właśnie najbardziej dziwiło Feliksa. Morderca spuszczał ofiarom krew i nasączał nią pluszowe zabawki.

Po co zadawać sobie tyle trudu? Spuścić krew, by ją później wylać na miśka? To kompletnie nie miało sensu.

Maria jeszcze tego wieczoru dostała e-mail z wynikami sekcji zwłok. Mówiły to, o czym wcześniej czytał Feliks. Dziewczynka została odurzona i bez kropli krwi.

Przeprowadzone badania wykluczyły najgorszą wersję, która krążyła wśród miejskich policjantów. Dziecko nie zostało wykorzystane seksualnie, a poziom adrenaliny wskazywał, że prawie w ogóle nie odczuwało strachu. Przynajmniej tak wynikało z badań. Jednak bez specjalistycznych i długotrwałych testów nie można było jednoznacznie stwierdzić, jak długo trzymano je w stanie uśpienia. Domysły lekarza specjalisty wskazywały, że mogło to trwać nawet siedem dni, co prowadziło do przypuszczenia, że dziewczynka tak naprawdę nigdy nie zobaczyła swojego mordercy.



Po rozpoznaniu kilku związków chemicznych lekarz wręcz zwątpił w przyczynę zgonu. Dopisał uwagę, że istnieje możliwość, iż dziewczynka zapadła w śpiączkę, a następnie jej serce po prostu stanęło, ale to tylko jedna z hipotez. Bez wątplenia podano jej narkotyki i leki przeciw przypadłościom, na które nie chorowała. Próbkę tkanki z zaszytej przez mordercę rany na plecach wysłano do laboratorium, a czas oczekiwania na wyniki wynosił dwa tygodnie.

Gdy Maria czytała mail, Feliks przeszukiwał pudło z aktami. Chciał znaleźć wyniki badań chociażby jednej z ofiar Zabawkarza. I oto natknął się na teczkę, a w niej na trzy pliki dokumentów. Każdy odpowiadał jednej ofierze. Gliniarz przez moment pomyślał o czwartej, której policja dotąd nie znalazła... Lecz on wiedział, że czwarta ofiara istniała. I wiedział, kim była.

Otworzył teczkę. Spojrzał na wyniki badań pierwszej ofiary. Alicja Czarnyk. Opis łudząco podobny do tego z maila. Związki chemiczne i narkotyki różniły się od siebie, ale główny wniosek był podobny. Brak strachu, możliwy stan uśpienia przez całe siedem dni. Jednak w latach dziewięćdziesiątych wysnuto jasne stanowisko. „Dziewczynka umarła z powodu utraty krwi”.

Wiktoria Litt. Opis był niemalże kopią poprzedniego. Gdyby nie zmiana imienia i daty urodzenia, inspektor miałby przed sobą dwa takie same dokumenty.

„Kolejny niezbity dowód, że wrócił...”, pomyślał.

Maria przeglądała akta Alicji.

Trzecia ofiara. Feliks wbił wzrok w przypięte do kartki małe zdjęcie. Widniał na nim dziesięciolatek o czarnych włosach, zupełnie jak u dziewczynek. Fotografia była czarno-biała, lecz kolor oczu zaznaczono w opisie: zielony. Szymon Drabik – niewysoki chłopiec o niewielkiej wadze. Zdjęcie ukazywało delikatne rysy twarzy i szeroki uśmiech. Spojrzenie na oblicze dziecka przeniosło inspektora do miejsca, gdzie został znaleziony.



## Rozdział 8

1993

Ostatni tydzień dawał się wszystkim we znaki. Dwójka dzieci nie żyła, a śledztwo utknęło w martwym punkcie. Niezależnie od tego, ilu mieli podejrzanych, każdy trop okazywał się ślepym zaułkiem. Wygodne alibi, zeznania mieszkańców – i nagle wszyscy byli czyści. Wszyscy – z wyjątkiem jednej osoby. Pan Witek, choć nie mógł zostać bezpośrednio powiązany z ofiarami, to jednak każda z nich zamówiła zabawkę właśnie u niego. Tyle że nic tak naprawdę nie mogło bezsprzecznie świadczyć o jego udziale w zabójstwach. Przyjazna natura, powszechna sympatia – ten człowiek nie pasował do profilu mordercy.

Feliks był mocno spięty, Maria wręcz wkurwiona. Brak postępów jednoznacznie wskazywał, że komendant miał rację co do tej dwójki. Nigdy nie powinni byli dostać się do służby.

Lipan już na początku śledztwa zgodziła się z miejscową policją i wybrała ich teorię. Pan Witek musiał być ich mordercą. Struner niechętnie prowadził z nią sprawę w tym kierunku, tym bardziej że wylądowali przez to w martwym punkcie. Zamknięty na czterdzieści osiem godzin pan Witek nie mógł być mordercą, gdyż to wtedy na posterunku pojawili się rodzice dziesięcioletniego chłopca.

Główny podejrzany wyszedł na wolność i policja została bez śladów, poszlak. Przeczesywanie terenów wokół Pobiedzisk nic nie dało. Śledczy

szybko zrozumieli, że nie istnieje możliwość trzymania uśpionego dziecka w najbardziej oczywistych miejscach, nawet jeśli znajdowały się z dala od centrum. Gdy z tablicy zniknęło zdjęcie pana Witka, uznano, że mordercą jest ktoś „normalny”. Osoba będąca najmniej podejrzana, jedna z tłumu mieszkańców, ktoś, kto zna miasto, ale miasto nie zna jego. Bezimienny obywatel, posiadający etat i swój kąpiel.

Wyniki z laboratorium wykazały obecność substancji chemicznych, których nie dało się zdobyć w małym miasteczku. Szukanie dilerów w Poznaniu było niczym szukanie igły w stogu siana, zakładając, że ten wskazałby potem odpowiedniego obywatela.

Typowy polski Kowalski, nie do zapamiętania, nie do rozpoznania. Taki wizerunek mordercy pojawił się na tablicy. Jedyne, czym wyróżniał się spośród trzydziestu milionów Polaków, etatowców pracujących na wzrost PKB kraju, były morderstwa i dobór ofiar czy sposób odbierania im życia. Bezbolesny, przywracający spokój, odległy od istoty morderstw, które często popełniano z powodu ekscytacji i napływu wielu nieznanych wcześniej emocji.

W PRL-u Feliks miał przyjemność – choć wątpliwą – zatrzymania jednego z seryjnych zabójców. Był wtedy świeżo po przeniesieniu go do kryminalnych, ale łatwo pojął charakterystykę tego typu przestępców. Ludzi, którzy nie odbierali życia dla pieniędzy czy z powodu jakiegoś emocjonalnego uniesienia, lecz z czystej fascynacji. Śmierć, życie. To ci, którzy chcieli poznać granicę, być tymi, którzy ją zacierają. Każdy z nich miał przeszłość zdradzającą ich powołanie. Wielu nosiło w sobie zrodzonego w rodzinnym domu potwora, przebudzonego dopiero później, gdy w dorosłym życiu coś poszło nie tak. Nagła strata pracy, rozpad związku, cokolwiek. Coś, co przelało czarę goryczy, napełnianą już od dzieciństwa.

To właśnie koleje życia zdradzały morderców, ale ten, z którym mierzył się teraz Feliks, był inny. Zupełnie pozbawiony przeszłości, a co za tym szło – tożsamości. Szukali mężczyzny, który równie dobrze mógłby nie istnieć. Mógł prowadzić szkolny autobus, mógł być sprzedawcą butów czy nalewać

benzynę na stacji, mógł być nawet jednym z szukających siebie samego policjantów. Dla Strunera mógł być każdym.

Zaginęło kolejne dziecko, a metody policji nie uległy zmianie. Feliks miał wrażenie, jakby tracili czas w pętli wciąż takich samych działań – z mizernymi efektami. Rozmowy z rodzicami, resztą rodziny, kolegami z klasy, sąsiadami... Cały dzień, cały drugi dzień spędzony na bezsensownej pracy, z której nic nie wynikało. Chłopak nie sprawiał problemów wychowawczych, a średnią ocen w szkole utrzymywał na dobrym poziomie. Nie był wybitnym uczniem, ale daleko mu do najgorszych. To jeden z tych dzieciaków, które w dorosłości zasiliłyby klasę średnią, gdyby pozwolono mu żyć. Pewnie nie wynalazłby leku na raka, lecz zostałby ważnym trybikiem w jednej z firm. I tylko tego chcieli dla niego rodzice: by niczego w życiu mu nie zabrakło, a jednocześnie – żeby nie był zbyt bogaty, bo ci zawsze są obierani za cel potencjalnych przestępców.

Rozmowa z rodzicami pozwoliła Strunerowi wysnuć jeden wniosek. Gdyby nie to, że ich dziecko zostało porwane czy – jak upierał się komendant – uciekło z domu, mógłby podejrzewać kogoś właśnie takiego jak oni. Nudna para, nudne prace, nudne życie. Kompletnie niewidoczni dla społeczeństwa, standardowe małżeństwo z jedną zaprzyjaźnioną parą, równie normalną jak oni, równie niezauważalną. Podobnie jak ich syn...

Dopiero przy trzecim zaginięciu Feliks dojrzał podobieństwo między dziećmi – poza oczywistym wyglądem i wiekiem. Choć rodziny zaginionych się nie znały, miały wiele wspólnego, wszystkie wpisywały się w ten sam schemat. Czterooosobowa rodzina, dorośli pracujący na etacie, niewyróżniające się niczym szczególnym ani w szkole, ani nigdzie indziej dzieciaki. Bez wielu znajomych, mieli może jednego czy dwóch, to raczej typ outsiderów. Osobowości, których zniknięcia nikt nie zauważał.

I choć rozmowy nie posuwały śledztwa do przodu, były milicjant budował sobie w głowie postać mordercy. Każdy element pasował do drugiego, każda informacja o dzieciach była informacją o nim. O kimś, kogo nazwano Zabawkarzem.

Ale jak znaleźć człowieka kompletnie zlewającego się z tłumem?

W tym czasie główny podejrzany – przy którym cały czas upierała się Maria – był na wolności. Pan Witek wrócił do sklepu z zabawkami, gdzie nie pojawił się już nigdy żaden klient. Wieść o aresztowaniu rozbiegła się po Pobiedziskach, jak również po całej Wielkopolsce.

Komendant zadzwonił, by pochwalić Marię i Feliksa za dobrą pracę, choć zaginęło kolejne dziecko, a mordercy nadal nie odnaleziono.

– To musi być on, jestem tego pewna... – mówiła Maria, kiedy wbijali wzrok w tablicę ze zdjęciami ofiar, podczas gdy nowych tropów nie przybywało. – Nie możemy wykluczyć, że pomaga mu żona – dodawała za każdym razem, kiedy Feliks starał się obalić jej teorię.

Czwartego dnia od zaginięcia chłopca i – jak się później okazało – ostatniej ofiary Zabawkarza, Struner musiał przystać na punkt widzenia partnerki. Nie powiesił zdjęcia żadnego nowego podejrzanego, więc nie posiadał tropów. No i to Maria była głównodowodzącą. Decyzja zapadła.

Przerobili na nowo cały materiał od pierwszego zaginięcia do aktualnego dnia. Wniosek był jeden: pan Witek pasował do profilu mordercy. Na papierze. Feliks zgodził się, że można by z niego zrobić Zabawkarza, ale dowody nie były wystarczające. Poszlaki bowiem nie stanowią wartości przed sądem.

W pochwaloną przez komendanta Marię wstąpiła niebywała energia. Jej determinacja przerosła najśmielsze oczekiwania, robiła wszystko, by złapać mordercę. A raczej – by został nim wskazany przez nią człowiek. Feliks mimowolnie dał się wpędzić w rolę „kozła”. Nawet nie dostrzegł, kiedy zagrał z nią w tę grę; siedział do późna i tworzył kolejny dowód, taki, który jednoznacznie wskazywałby na Mariusza Witka.

Miejscowa policja przeczesywała kolejne tereny, aż została sprawdzona cała gmina. Po dziecku nie było śladu. Czas między pojawieniem się jednego ciała do znalezienia drugiego nieubłaganie dobiegał końca. Zostały zaledwie dwa dni.

Czterdzieści osiem godzin. A rozmowy z mieszkańcami nadal nic nie wnosiły – powtarzane historie, obawy. Odkąd wypłynęła wieść

o aresztowaniu pana Witka, wszyscy od razu uznali, że dorosły człowiek, który tworzy lalki dla dzieci – musi być stuknięty. Każdy stawiał na niego. Przez moment Feliks miał wrażenie, jakby całe miasto zmówiło się przeciwko jednemu człowiekowi.

Następny dzień przyniósł ostatni element układanki, ten, który zaważył na stanowisku Strunera. Maria w końcu go przekonała. Udało jej się zdobyć dane na temat rodziny żony lokalnego zabawkarza. Anna Trodal, bo tak się nazywała, należała do najzamożniejszej rodziny w miasteczku. Dzieje Pobiedzisk sięgały aż jedenastego wieku, krążyło o nich wiele legend i miejscowych historii. Również w tych najstarszych, prawie już zapomnianych, mówiono o szlacheckim rodzie Trodalów. Niektórzy z mieszkańców uważali ich za założycieli miasta.

Rodzina ta posiadała wiele hektarów ziem, na których sprzedaży dorobiła się majątku. Dobrze zarządzane bogactwo zrodziło wiele inwestycji, pozwoliło na zakup kamienic, zakładów w pobliskich miasteczkach, a nawet otworzenie winnicy. Ta, co prawda, upadła, ale to po prostu jedna z nielicznych nieudanych lokat. Większość z nich przynosiła spore pieniądze.

Jednak to nie historia rodziny Anny przekonała Feliksa, lecz śmierć jej rodziców, ludzi, którzy nie byli zadowoleni ze związku córki z byle zabawkarzem. Marii udało się zebrać zeznania przyjaciół rodziny. Opowiadali, jak pan Trodal kłął na zięcia, traktował go bardziej jak służbę w średniowieczu niż członka rodziny. Córce też się obrywało. Porywczy charakter Edmunda Trodala pozostawiał ślady nie tylko na psychice kobiety. Także po ślubie ojciec bił ją za błędne decyzje – błędne w jego oczach. Z zeznań wynikało, że na kilka tygodni przed śmiercią państwa Trodalów doszło do najgorszej kłótni, jaką widziały ściany ich domu. Domu, w którym nikt nie postawił nogi od ich śmierci – poza służbą.

Tego dnia Maria namówiła Feliksa do odwiedzenia domostwa trodalskiego rodu – opuszczonego miejsca, nad którym wisały ciemne chmury i opowiadane przez mieszkańców straszne legendy.

Biezdruchowo, duże jezioro w Pobiedziskach, znajdowało się z dala od centrum. Tuż obok wzniesiono stadion lokalnej drużyny. Choć główny inwestor pozostawał anonimowy, każdy w miasteczku wiedział, kto ufundował ten obiekt. Zwłaszcza że jego rodzinna posiadłość znajdowała się po drugiej stronie akwenu. Wyrównanie plaży, oczyszczenie wody, budowa pomostu czy budki ratownika – to też opłacił ród Trodałów. Jak się później okazało, w zamian gmina zgodziła się na wykup terenów leśnych przy jeziorze, dając rodzinie prywatny las. I mimo że plaża pozostała publiczna, las zamknięto dla mieszkańców miasteczka.

Posiadłość można było dostrzec z dalekiej odległości. Wyglądała niczym siedemnastowieczny pałacyk, a położenie na wzgórzu dodawało nutki tajemniczości rodzinie, która ją posiadała. Stary budynek często odnawiano, ale nigdy nie zmieniono jego stylu, malowano go w identyczny sposób jak wtedy, gdy został wzniesiony setki lat wcześniej. W godzinach porannych, kiedy gród spowijała mgła, a słońce nie pojawiło się jeszcze w pełni na niebie, domostwo miało w sobie coś złowrogiego. Ludzie przejeżdżający główną trasą do Gniezna odwracali od niego wzrok. Każdy czuł, że nie powinien nawet na niego zerkać.

Przez lata powstawało wiele legend na temat rodziny i posiadłości. Edmund i Felicja Trodałowie to małżeństwo, które doczekało się tylko jednego dziecka. A Anna odwróciła się od rodziny i poślubiła kogoś bez majątku, bez przyszłości. To ona miała przyczynić się do szaleństwa swojego ojca, którego wrzaski słychać było co wieczór. Rozpaczał, że nastąpił koniec jego rodu. Wypijany alkohol potęgował lamentsy zdesperowanego Edmunda. Hańba, wstyd i upadek to codziennie powtarzane słowa.

Najbliżsi sąsiedzi mówili też o krzykach pani domu. Twierdzili, że oszalały mężczyzna chciał zmusić żonę do kolejnego dziecka, takiego, którego nie będzie musiał się wstydzić. Nikt nie wiedział, co tak naprawdę działo się po ślubie córki dumnego rodu, ale ludzie mają skłonność do tworzenia własnych wersji wydarzeń, własnych legend. Jedni wspominali o licznych gwałtach na Felicji, która przeszła ponoć przez piekło

i ostatecznie doprowadziła do wypadku, aby zginąć i zabrać swojego oprawcę ze sobą. Inni opowiadali, że starego Edmunda dopadło wreszcie szaleństwo i że to on uderzył w drzewo, jadąc ponad sto kilometrów na godzinę. Żal po stracie córki, która napłuła w twarz tradycji, był zbyt wielki, dlatego Trodal zdecydował, że jego ród się zakończy. Pojawiały się oprócz tego wersje, jakoby to Anna miała być odpowiedzialna za śmierć rodziców. Wyrzucona z domu na bruk, choć otrzymała kamienicę, miała szukać zemsty za siebie i męża oraz zapobiec wydziedziczeniu, chociaż nie było żadnych wzmianek, że jej ojciec spotkał się z adwokatem i pozbawił ją prawa do majątku. W tej wersji mieszkańcy szukali potwierdzenia doniesień o tym, że testament państwa Trodalów zniknął z kancelarii. Nigdy nieodczytana ostatnia wola dawała pełnię praw do majątku Annie i jej mężowi.

Do chwili odnalezienia pierwszych zwłok dziewczynki nie istniała w miasteczku głośniejsza śmierć od wypadku Felicji i Edmunda. Tragiczne zdarzenia dzieliło zaledwie kilka miesięcy, lecz próżno było szukać między nimi związku. Mimo to Maria się uparła, że wypadek rodziców Anny to możliwy zapalnik do obudzenia się chorej natury jej męża. Zwłaszcza że pojawiła się jeszcze jedna legenda – tę Lipan zostawiła na sam koniec, gdy stanęli przy bramie posiadłości Trodalów.

– Mieszkańcy mówią, że czasem w naprawdę mroczną noc można usłyszeć krzyki starego Edmunda.

Nie wyglądała, jakby miała ochotę żartować.

Otworzyli mosiężną bramę.

– Co? Chyba żartujesz... – odparł z niedowierzaniem Feliks.

– Tak mówią, nic na to nie poradzę – rzuciła z nutką niepewności Maria.

– To małe miasteczko, lubimy z takich anegdot tworzyć nowe legendy. Nawiedzony dwór to całkiem niezła historia... No i przynajmniej trzymała wścibskich z dala od tego miejsca.

– No dobra, może jest coś w tym budynku...

Struner trochę żałował, że partnerka zaciągnęła go do posiadłości w środku nocy, ale nie mieli wyjścia. Nie udało im się zdobyć nakazu,



zwłaszcza że ostatnie zaginięcie oczyszczało pana Witka z zarzutów. Pozostało im tylko włamanie. Oboje szukali w nim nadziei na chociażby najmniejszy ślad, trop... cokolwiek. Posiadłość była jedynym miejscem niedostępnym podczas poszukiwań. Wśród policjantów pojawiła się teoria, że to właśnie tam Zabawkarz trzymał ofiary, z dala od miasteczka, z dala od litery prawa. Każdy z nich gotów był skazać pana Witka bez mrugnięcia okiem, bez dowodów.

Maria prowadziła Feliksa ścieżką przez las. Wysokie drzewa zasłaniały czyste niebo. Białe światła latarek padały w ciemność, a wokół słychać było jedynie odgłosy lasu. Mrok miał pewną moc: sprawiał, że najmniejszy podmuch wiatru wydawał się hałasem z piekła rodem, a odgłosy zwierzyny brzmiały niczym diabelskie ogary, czekające na swoje łupy. Wyobraźnia to potężna broń – dobrze pobudzona potrafiła wykreować nową rzeczywistość.

Historie opowiedziane przez Marię sprawiały, że las zdawał się nieprzyjazny, a nawet niebezpieczny dla wszystkich, którzy nie nosili nazwiska Trodal. Za życia pana domu posesję pilnowała zgraja owczarków niemieckich, wytresowanych tak, by słuchały tylko swojego pana. Choć zostały zabrane do schroniska, mieszkańcy mogliby przysiąc, że wśród nocnych okrzyków przedzierały się odgłosy warczących psów. Legenda o dworze Trodalałów rozrosła się tak bardzo, że dotarła do okolicznych wiosek. Powstały również teorie o klątwie ciężącej nad rodziną, która od zarania dziejów miała w drzewie genealogicznym wyłącznie jedynaków.

Do czasu przekazania kluczy Annie dworem opiekował się stary kamerdyner. Za dnia miał go doglądać i zadbać o porządek pomieszczeń, a także ogrodu i terenów wokół posiadłości. W nocy zaś domostwo stało zupełnie puste.

Funkcjonariusze znaleźli się wreszcie przed wielkimi drzwiami ponurego budynku. Widniał na nich herb rodzinny, który według miejskich historyków został stworzony przez ojca Edmunda. Mężczyzna pragnął większego prestiżu dla rodziny i zlecił zaprojektowanie znaku rodowego. Przedstawiał on rzymską piątkę, którą oplatały gałązki oliwne,

a w środku niej znalazł się miecz dwuręczny, pamiątka rodzinna, sięgająca czasów Jana III Sobieskiego. A przynajmniej tak wspominały kroniki rodu. Miecz miał dwa ostrza, jedno poprzeczne; z daleka wyglądał jak krzyż o czterech ramionach. Herb przybito na środku wrót, a pod nim dwie kołatki. Na jednej widniała data z siedemnastego wieku, a na drugiej – rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy.

Feliks otworzył drzwi. Maria wcisnęła się przed niego, by pierwsza wejść do domu legendarnej rodziny. Siedemnastowieczny wystrój od razu bił po oczach. Dużą salę wejściową zdobiły portrety rodzinne. Ostatni z nich przedstawiał młodą i śliczną dziewczynę – mogła mieć na nim dwadzieścia lat. Mimo że Feliks rozmawiał z Anną, dziedziczką rodu, tylko raz, z łatwością rozpoznał kobietę na obrazie.

Duże schody zapraszały na piętro, gdzie znajdowały się pomieszczenia sypialne, lecz to nie tam chciała iść Maria. Zaprowadziła partnera do salonu.

Nad wejściem wisały wypchane trofea, choć żaden z panów rodu nigdy nie brał udziału w polowaniach. Pomieszczenie było ogromne, mogłoby się w nim zmieścić całe mieszkanie Feliksa, a nie miał wtedy wcale małego gniazdko. Razem z żoną i córką mieszkał na sześćdziesięciu metrach kwadratowych, co w dziewięćdziesiątym trzecim było całkiem pokaznym lokum.

W salonie zrobiono bibliotekę, w dodatku piętrową. Na jednej ścianie ułożono dzieła zbierane przez rodzinę przez kilka wieków. Po przeciwległej stronie pokoju rozstawiono fotele, a przy nich małe stoliczki ze szklanymi, zdobionymi popielniczkami. Fotele skupiały się wokół dużego kominka. Jedna ściana to praktycznie same okna, z których rozciągał się widok na jezioro. W całym salonie porozstawiano zabytkowe meble oraz złote dodatki, wśród nich stary zegar z kukułką. Wszystko to sprawiało, że serce biło szybciej. Wyposażenie wzbudzało podziw, a świadomość, że jedno pomieszczenie warte było więcej od większości całych przeciętnych mieszkań, stawała się zwyczajnie przytłaczająca.

Maria skierowała Feliksa do kominka. Wskazała na dywanik.

– Jeśli chcesz znaleźć dowody, powinniśmy zacząć szukać – mruknął Struner, który nie bardzo wiedział, w co wbija wzrok.

Maria nie odpowiedziała od razu, ukucnęła, by zwinąć dywanik. Delikatny materiał odsłonił dębowe panele, a na jednym z nich zaschnięty ślad krwi. Ani kobieta, ani mężczyzna nie potrafili określić, kiedy się tam pojawił. Dla nich mogło to być zarówno tydzień temu, jak i kilka miesięcy.

– Dowodów nie znajdziemy... Nie rozumiesz? Morderca jest zbyt sprytny, nie zostawia żadnych śladów. Ale gdy odkryjemy motyw, dowody same się pojawiają.

Ton głosu partnerki zmieniał się w trakcie wypowiedzi. Na końcu wydał się wręcz miły, lekko przyciszony, ale przy tym złowieszczy niczym u planującego coś niecnego złoczyńcy.

– I jesteśmy tu, bo...? – chciał wiedzieć Feliks.

– Tu jest motyw. A konkretnie tutaj. – Maria wskazała na zaschniętą plamę krwi.

– Kolejna opowieść?

– Tym razem potwierdzona. – Wyciągnęła z torebki kopertę, którą podała mężczyźnie.

Struner otworzył ją w świetle swojej latarki. W środku znalazł dokument, a raczej ksero dokumentu. Raport z obdukcji z dnia trzynastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku.

– Tydzień przed ich wypadkiem – doprecyzowała Maria.

Był to raport opisujący wewnętrzne obrażenia kobiety o imieniu Anna, jednak bez żadnego nazwiska. Poszkodowana miała krwotok wewnętrzny, przebite płuco, przy tym liczne pęknięcia na żebrach. Stan został określony jako bardzo ciężki, zagrażający życiu. W raporcie Feliks znalazł coś jeszcze... Im dalej czytał, tym bardziej rozumiał tok myślenia Lipan. Poturbowana kobieta była w ciąży, według badań w czwartym tygodniu. Wskutek poniesionych obrażeń straciła dziecko. Rany wskazywały na ciężkie pobicie – tak brzmiał wniosek lekarza.

Maria podała partnerowi kolejną kopertę. Otworzył ją szybko.

Anna Witek – przywieziona do szpitala dnia trzynastego marca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Opis obrażeń był podobny do tego wcześniejszego, ale stan kobiety określono jako lekki i niezagrażający życiu. Wiele wniosków na temat stanu zdrowia pacjentek różniło się od siebie, lecz podpis był ten sam. Obrażenia uznano za efekt upadku ze schodów. W raporcie zabrakło wzmianki o ciąży i poronieniu.

Zanim Feliks zdążył coś powiedzieć, śledcza podała mu dwa inne dokumenty. Tym razem wypisy ze szpitala. Obie kobiety opuściły go tego samego dnia i o tej samej godzinie. Anna Witek i druga, bezimienna – w wypisie bowiem nie wpisano imienia.

Ktokolwiek chciał zatuszować poronienie Anny z rodu Trodalów, niezbyt się postarał.

– Widzę, że pracowicie spędziłaś dzień. No dobra, możemy mieć argument, że wypadek jej rodziców niekoniecznie musiał być wypadkiem, ale...

– Co to ma wspólnego z zabójstwem dwóch dziewczynek? – weszła mu w zdanie Maria. – Sam mówiłeś, że wystarczy jedno złe wydarzenie i człowiek może pęknąć. – Wypięła pierś, mówiąc pewnym głosem. Niczym adwokat, który właśnie zakończył swoją mowę i był pewien zwycięstwa.

– Tak, tak mówiłem. To prawda – odpowiedział cicho Struner.

Miała rację, a on stał się więźniem swoich słów. Spotykał wielu specjalistów, którzy potwierdziliby jej teorię. Śmierć nienarodzonego dziecka każdego mogłaby popchnąć do niewyobrażalnych czynów, a małomiasteczkowy zabawkarz wyglądał na kogoś, kto łatwo by się rozsypał, usłyszawszy takie wieści.

– I co? – zapytała po dłuższej chwili milczenia Maria.

Stali pośrodku pięknego salonu, gdzie wydarzyła się tragedia. Feliks nadal miał wątpliwości.

– Sam nie wiem...

– No przestań, stracił dziecko i chciał je zastąpić porwanymi dziewczynkami. To musi być on! – Lipan spojrzała ostro na Feliksa, a jej

ton wskazywał bardziej na rozkaz niż próbę przekonania.

– To mogą być solidne poszlaki do podejrzewania go, a nawet i jego żony, ale... w sądzie to nie jest dowód.

– Może. Więc musimy zrobić tak, żeby był...

Maria wyciągnęła z torebki coś jeszcze i położyła na dłoniach partnera.

– Czy to...?

Popatrzył na przedmiot i zobaczył jedną z zabawek pana Witka. Drewniany dziadek do orzechów, ozdobiony farbkami.

– Dowód, gdy odnajdziemy chłopca.

– Po to mnie tu przyprowadziłaś? – zapytał wzburzony Struner. – To nie miało być przekonanie mnie do twojej teorii, ale do stworzenia dowodów? Chcesz go zrobić?!!

– Nie zrobić, przecież wiem, że jest winny. I dlatego musisz mi pomóc. Udowodnij to... po swojemu, jak w tamtych czasach. – Kobieta mówiła łagodnie i cicho, trzepocząc przy tym rzęsami i kokietując partnera wzrokiem. – Oboje nie mamy szans na posterunku, dobrze o tym wiesz... Tylko sukces w tym mieście może uratować nasze odznaki.

– Ale to... to jest po prostu złe – stwierdził Feliks, zwracając się bardziej do siebie niż do rozmówczynie.

– Tak jak on. Nie możemy pozwolić mu chodzić po ulicy wyłącznie dlatego, że dowody nie są wystarczające. Trzy tygodnie i nic, zero nowych podejrzanych. Każdy, kogo mieliśmy na tamtej tablicy, jest czysty. Ale ciągle kręcimy się wokół niego... Nietrudno w to uwierzyć, zabawkarz jest Zabawkarzem.

Mówiła tak przekonująco, że Feliks przestał się odzywać. Wbił wzrok w zabawkę na swojej dłoni. Partnerka podeszła bliżej.

– Wychowałam się tu i wiem, że to miasteczko ma swoje demony, ale nie pozwolę, by zniszczył je ktoś naprawdę zły, kto nawet nie jest stąd. Pomóż mi go zamknąć. Pomóż mi uratować kolejne dzieci – szepnęła delikatnym głosem.

Eksmilicjant spojrział na nią i kiwnął głową. Zgodził się zagrać w jej grę. Oboje znali stawkę i oboje wiedzieli, kto zapłaci za ich sukces.

Noc prawie minęła, gdy Feliks kończył tłumaczyć Marii, co muszą zrobić, by Mariusz Witek, ochrzczony Zabawkarzem, został skazany. Kobieta wpatrywała się w niego z nieukrywanym podziwem. Sama już utworzyła plan, ale nie był nawet w połowie tak dobry, jak ten Feliksa.

– Zabawka wywoła lawinę, a my musimy pokierować ją w odpowiednią stronę – podsumował.

– Czyli zrobimy to? – upewniła się Maria.

Cisza, kiedy czekała na odpowiedź, zdawała się wiecznością, lecz musiała zadać to pytanie. Potrzebowała potwierdzenia.

– Tak, zrobimy. Mam tylko nadzieję, że się co do niego nie mylisz...

To z kolei było coś, co musiał powiedzieć Feliks, jakby miało wyczyścić jego ręce czy sumienie w razie pomyłki, choć sam w te słowa zbytnio nie wierzył. Został kupiony dużo wcześniej, potrzebował zwycięstwa. Nie wiedział jednak, że za wszelką cenę.

– Dziś mija siódmy dzień – oznajmiła Maria, gdy noc zaczęła ustępować.

Poranne słońce oświetliło zza szyby salon posesji rodziny Trodałów. W słonecznym świetle zdobienia i kosztowne zastawy wyglądały jeszcze piękniej, wydawały się jednocześnie kruche i twarde jak skała. Natomiast powieszony nad wejściem trofea były bardziej upiorne niż wtedy, kiedy otulał je cień nocy, przysyłając czerwone oczy zwierząt.

Na ścianie znalazło się pięć głów. Dwa majestatyczne łby jeleni, których poroża miały ze dwa metry, powieszono po bokach dwóch wilczych. Latarnie<sup>1</sup> były naprawdę wielkie w porównaniu do tych, które można spotkać w polskich lasach, choć to przecież ten sam gatunek – wilk szary. Nawet pozbawione życia wyglądały groźnie. Obie miały czarną sierść przy nosie i oczach. Feliks od razu uznał, że wilki te pełniły funkcję alfy w swoim stadzie.

Najbardziej przerażające było jednak trofeum pośrodku.

Łeb niedźwiedzia. Jego sierść była czarna jak smoła. Niewielkie brunatne elementy zdradzały gatunek. Na drewnianej podstawie znalazły się dodatkowo przednie łapy bestii. Wraz z nimi i otwartym pyskiem zwierz sprawiał wrażenie, jakby miał rzucić się do ataku. Kły ssaka wydawały się ostre niczym brzytwy, jak gdyby na zawsze miały takie pozostać. A oczy... Oczy niedźwiedzia wpatrywały się w każdego, kto znajdował się w pobliżu. W panującej w salonie ciszy wyobraźnia wręcz nakazywała usłyszeć ryk ogromnego zwierza. I oboje go słyszeli, jakby stał tuż przed nimi. Porażający ryk bestii ruszającej do ataku.

– Chyba powinniśmy już iść... Niedługo może pojawić się ten ich kamerdyner... czy jak go tam się zwie... – zauważyła Maria, wpatrzona w łeb niedźwiedzia.

Był niczym hipnotyzujący obraz, od którego nie sposób odwrócić wzroku.

– Tak, chodźmy. Dużo pracy przed nami – zgodził się Feliks.

Zanim zdążyli ruszyć do wyjścia, coś zakłóciło ciszę i wyimaginowany ryk bestii. Delikatne puknięcie. Dochodziło zza wielkiej ściany okien w salonie. Oboje niemal natychmiast spojrzeli za siebie, by poznać źródło hałasu. Nic istotnego jednak nie zobaczyli. Jedynie rozciągający się ogród, za nim rosące ku niebu brzozy i sosny, a między nimi krzewy. Z oddali las wydawał się spokojny, zupełnie inny niż w nocy.

– Co to było? – odezwała się po chwili Maria. – Zwierzyna?

– Nie wiem, ale teren jest przecież ogrodzony. Zamykaliśmy bramę? – rzekł Struner, jakby obudzony ze snu.

Nie pamiętał... W ogóle cała przebyta droga do grodu Trodałów wydawała się przesłonięta mgłą.

Podeszli wolno do jednego z okien, a ręce automatycznie powędrowały na rękojeści broni. Feliks otworzył okno i wychylił się przez nie, mierząc bronią przed siebie. Lecz jedyne, co dojrzał, to przydeptane łodygi roślin, pozbawione już liści. Nadchodząca zima była bezlitosna dla flory.

– Niczego tu nie ma... – powiedział cicho do partnerki.

– Może to wiatr...

Maria, choć na ogół nie bała się dziwnych odgłosów, czuła niepokój. „A co, gdyby mój plan został odkryty...? Co, jeśli nas tutaj przyłapali?”, dudniło jej w głowie. Jej kariera była właśnie zagrożona bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

– Może. – Feliks schował powoli broń. – Musimy stąd zniknąć, natychmiast.

W momencie, gdy skończył mówić, usłyszeli kolejny dźwięk. Tym razem brzmiał jak uderzający o ścianę budynku kamień. Po chwili dało się słyszeć następny. Zupełnie tak, jakby ktoś chciał ich stamtąd wykurzyć.

– To chyba nie kamerdyner... – stwierdziła Maria, ściskając w dłoni pistolet.

To jej pierwsza poważna sprawa od przystąpienia do służby. Dotychczas jedynym miejscem, gdzie naciskała spust, była strzelnica, i to też niezbyt często. Mimo świetnych wyników strzeleckich poczuła dreszcz. Ale nie pozytywnej emocji czy ekscytacji, raczej zupełnie czegoś innego. Dreszcz... przerażenia. W jej głowie pojawiło się kolejne pytanie: „A co, jeśli będę musiała użyć broni? Czy stać mnie na to, by zabić...?”.

Feliks był trochę mniej poruszony. Jego broń spokojnie czekała w kaburze.

– Słyszysz? – zapytał, skupiony na odgłosach. Po kolejnych dwóch uderzeniach nastąpiła cisza, lecz teraz inne dźwięki starały się przebić przez ściany posesji. – To chyba czyjś głos. Jakby dziecka?

– Dziecka? A co by tu robiło dziecko?

Wymienili między sobą pełne trwogi spojrzenia. I kamień znów uderzył, tym razem w drzwi wejściowe.

– To on? Ten chłopiec... To musi być on. Uciek! – krzyknął z radością Struner, po czym ruszył ku hałasowi.

Maria biegła tuż za nim.

„Pomocy, pomocy, pomocy” – to słowa, które słyszeli, gnając w las. Napędzały ich. Byleby zdążyć, byleby uratować chłopca... Przecież dziś



wypadał ten dzień. Siódmy dzień od porwania, dzień, w którym miały pojawić się kolejne zwłoki.

Feliks był wysportowany, biegł szybko, nie czuł zmęczenia. Maria usiłowała dotrzymać mu kroku.

– Dlaczego do nas nie biegnie? Dlaczego się oddala? – spytała, głośno dysząc.

– Pewnie przed nim ucieka. Musimy do niego dotrzeć pierwsi. Musimy go uratować! – zawołał Struner, wydobywając z siebie jeszcze więcej sił, jeszcze trochę przyspieszając.

– Tylko gdzie on jest? – Maria zatrzymała się pośrodku leśnej głuszy.

Feliks także przystanął. W oddali słyhać było jedynie szmer wiatru i delikatne fale jeziora, przy którym się znaleźli po morderczym biegu w głąb lasu. Słyszeli poranny świergot ptaków, ale głos chłopca zniknął, rozplynął się w powietrzu.

Policjanci rozglądali się wokół, próbując znaleźć chociażby cień chłopca albo jakąś smugę między drzewami. Jednak nie spostrzegli żadnych ruchów, las był spokojny jak nigdy.

– Kurwa... Zgubiliśmy go? – Feliks nie dowierzał temu, co się stało.

– Niemożliwe, musi gdzieś tu być!

– Pomocy! Zaraz mnie złapie... – dobiegło do ich uszu.

Bez namysłu ruszyli za głosem. Pędzili, nie zważając na pokrzywy, wystające korzenie i gałęzie. Gęsta roślinność była ich przeciwnikiem, lecz nie mogła zatrzymać zdeterminowanych funkcjonariuszy. Biegli, ile sił mieli w nogach, biegli, by uratować z rąk mordercy bodaj jedno dziecko.

I znów ogarnęła ich nagła cisza. Błąkali się niestrudzenie pośród drzew. Poranna rosa zostawiła ślady na ich ubraniach, a chłodny wiatr i noc spędzona w willi Trodalów bez ogrzewania sprawiły, że trzęśli się jak w febrze.

Wtem Feliks dosłyszał łamiące się nieopodal gałęzie. Ktoś był blisko i ich obserwował... Struner ruszył między drzewa, zanim Maria zdążyła zareagować. Po chwili usłyszała czyjeś jęki. Był to głęboki męski głos, ale

nie należał do jej partnera. Wyszła zza drzew i zobaczyła, jak Feliks wykręca rękę jakiemuś starcowi. Mężczyzna był siwy i raczej chuderlawy, przy tym wysoki i dobrze ubrany.

Lipan nie miała wątpliwości.

– Kamerdyner... A więc to ty z nami pogrywasz – warknęła, patrząc na niego surowo.

– Co tu robisz? – Feliks docisnął mocniej do ziemi ramię mężczyzny.

– Nic... Doglądam posesji... – odpowiedział z trudem kamerdyner, stękając z bólu. – Tak jak tego chcieli państwo Trodalowie.

– Posesji? Jesteśmy od niej dosyć daleko... – zakpiła Maria, ale gdy uniosła wzrok, zobaczyła dobrze już znane ściany domostwa.

Dziecięce krzyki zaprowadziły ich znów przed posepny budynek.

– Dobra, niech będzie, że pilnujesz. A gdzie podział się chłopiec? – Policjant nie puszczał mężczyzny, nie zważał też na ból, jaki mu sprawiał.

– Jaki chłopiec? O czym pan mówi? – zapytał zdziwiony starzec.

Leżał przyciśnięty do ziemi i ledwie kilka centymetrów dzieliło go od posmakowania mokrej gleby.

– Słyszeliśmy go wcześniej. To ty go goniłeś? – Feliks coraz mocniej wciskał kolano w kręgosłup staruszka.

– Nie, nie... Jaki chłopiec? O czym... – Mężczyzna zadławił się darnią.

– Nie tak mocno! – Maria podbiegła do partnera i szturchnęła go w ramię.

Ten, jakby wyrwany ze snu, połuźnił ucisk.

– To on... On się z nami bawi w jakąś chorą grę – powiedział, patrząc pustym wzrokiem na Lipan.

– Nie, nie ja. Ja tylko sprawdzałem teren wokół domu...

– Chyba mówi prawdę, Feliksie.

Maria, wyraźnie zawiedziona, położyła dłoń na barku Strunera. Ten popatrzył na nią jeszcze przez chwilę, aż w końcu wypuścił lokaja z uścisku.

– Nie jest chyba na tyle sprawny, by tak z nami... pogrywać. – Funkcjonariuszka wskazała na leżącą obok mężczyzny łaskę.

Feliks dopiero teraz zauważył, że jedna nogawka spodni kamerdynera była znacznie luźniejsza od drugiej. Zanim pozwolił mu wstać, przeszukał go dokładnie, a wtedy wyczuł, że w jednej nogawce noga była praktycznie pozbawiona tkanki mięśniowej. Skóra i kości.

– Czyli nic pan nie widział? – zapytał. Jego podejście do kaleki diametralnie się zmieniło.

– Jedynie ślady czyichś butów, dlatego zrobiłem obchód. Myślałem, że to jakaś młodzież się tu znowu pałęta. Ostatnio często przychodzą, legendy o tej rodzinie wyrwały się spod kontroli. – Mężczyzna wstał, opierając się na lasce. Zanim się wyprostował, otrzepał się z brudu. – Państwo musieli również paść ich ofiarą. Dzieciaki są bezwzględne w dzisiejszych czasach... Trudno takiemu staruszkowi jak ja zadbać o posiadłość – tłumaczył, kaszląc między słowami.

– Dlaczego więc pan to robi? – zaciekawiał się Feliks.

– Dużo zawdzięczam państwu Trodalom, nie mógłbym ich zostawić, nawet po ich tragicznej śmierci – odparł dumnie stary lokaj.

Teraz, gdy tak stał, podpierając się swoją łaską, wyglądał naprawdę dostojnie. Kamerdynier z najbardziej epickich powieści, dobrze wychowany, przyodziany w ubrania z najlepszej jakości materiału, jakby każdego dnia do grodu swoich przełożonych miał przyjmować królową Anglii.

– Rozumiem. Przykro mi, że tak pana potraktowałem.

Struner odczuwał zakłopotanie i – choć usiłował tego nie pokazać – było mu wstyd, że użył siły w stosunku do tego starego człowieka.

– Wykonywał pan swoją pracę, tak jak i ja wykonuję swoją. To nie jest coś, za co powinno się przeproszać – odrzekł mężczyzna. Raptem jakby się ocknął. – Ale gdzie moje maniery! Pozwólcie państwo, że się przedstawię. Tymoteusz Bazur, kamerdynier i wierny przyjaciel państwa Trodalów. – Ukłonił się nisko.

– Feliks Struner.

– Maria Lipan, miło mi.

– Przepraszam bardzo, ale czy panienka Anna jest z państwem? – zainteresował się staruszek, co zupełnie zaskoczyło policjantów. – Rozumiem, że zgodziła się na państwa wizytę...

Wpatrywał się w nich, czekając na odpowiedź. Był znacznie wyższy od Feliksa, mógł mieć nawet dwa metry, a jego spojrzenie – na skutek lekko przymrużonych oczu i surowych rysów twarzy – sprawiało, że każdy czuł się przy nim znacznie mniejszy.

– Tak, oczywiście. Nie wtargnęlibyśmy bez wiedzy właściciela... – pospieszyła z odpowiedzią Maria, ratując Feliksa, który nieoczekiwanie nie potrafił znaleźć słów.

– Świetnie. Czy zatem mogę państwu w czymś pomóc? – zapytał wciąż pozbawionym emocji głosem Bazur.

– Gdyby to nie był kłopot... moglibyśmy zadać panu kilka pytań? – Struner uśmiechnął się krzywo.

– Oczywiście, proszę pytać – rzekł mężczyzna, wskazując drogę do posiadłości.

– Jak długo pan pracował dla rodziny Trodałów?

– Nadal pracuję... – sprecyzował urażony lokaj.

– No tak, proszę wybaczyć. – Na obliczu policjanta pojawił się grymas zniecierpliwienia.

– Odkąd pamiętam. Jakieś sześćdziesiąt lat. Tak, będzie już sześćdziesiąt. Miałem dziesięć, kiedy ojciec pana Edmunda przygarnął mnie do siebie. – Głos starca zadrżał. Zdradził pierwsze oznaki emocji.

– A zatem pojawił się pan tutaj nawet przed Edmundem Trodalem?

– Tak, na kilka lat przed narodzinami pana domu.

– Czyli pewnie wie pan wszystko o tej rodzinie?

– Można tak powiedzieć, lecz nie sądzę, by mówiono mi o wszystkim. Jestem tylko kamerdynerem.

– Nie będzie miał pan nic przeciwko, żebyśmy zostali na zewnątrz? Chciałbym usłyszeć, jeśli te dzieciaki wrócą. – Feliks przystanął, gdy doszli do drzwi.

Wymienił spojrzenie z Marią, która kiwnęła głową. I choć to ona była głównym śledczym i przełożoną Feliksa, w chwilach, kiedy przejmował kontrolę, silniej odczuwała swój brak doświadczenia. Nie podobało jej się to. Stała z boku, zgadzając się na rolę publiczności podczas dwuosobowego przedstawienia mężczyzn.

– Oczywiście – odparł sztywno Tymoteusz.

– Co do nocy, kiedy państwo Trodalowie zginęli... Co pan pamięta z poprzedzającego ją dnia?

– Okropny wypadek. Wstrząsnął całą społecznością naszego miasteczka.

– Tak, to tragedia. Może pan opowiedzieć o wcześniejszym dniu? Co się wtedy wydarzyło? – dopytywał policjant.

– O co konkretnie pan pyta? Czy nie zjawili się państwo tutaj w związku z ostatnimi... incydentami?

Kamerdyner wykazał oznaki zadowolenia. Feliks widział wyraźnie, że mężczyzna unika odpowiedzi na jego pytanie, co już samo w sobie było odpowiedzią.

– To prawda, proszę się nie krępować i nazywać rzeczy po imieniu. Morderstwa, jesteśmy tu w związku z MORDERSTWAMI – zakomunikował szorstko. – I choć może się wydawać, że moje pytania nie mają sensu, to proszę uwierzyć, że każda informacja, a nawet strzęp informacji może okazać się pomocny.

– Mój partner ma rację. Na sercu leży nam wyłącznie dobro tego miasta i dzieci... – dodała Maria.

Kamerdyner popatrzył na nią bez przekonania. Ostatecznie zmienił zdanie.

– Tamten dzień nie różnił się od innych, niemalże każda minuta była zaplanowana. Tak jak zawsze zresztą – odpowiedział niepewnie.

– Niemalże?

– Tak, pan Edmund lubił mieć wszystko pod kontrolą. Każdego dnia robił dokładnie to samo, od śniadania, porannego biegu po lesie, zabawy z psami, spaceru z żoną po obowiązki związane z pracą, kolację, czytanie w salonie... Każdego dnia miał wyznaczoną godzinę dla siebie, na odpoczynek. Zamykał się w swoim gabinecie na piętrze i nikt nie mógł mu przeszkadzać.

– Mam wrażenie, że zaraz pan powie „ale”.

– Tak. Ale tamtego dnia tę godzinę dla siebie wypełnił mu ktoś inny.

– Dodatkowe spotkanie to chyba nic dziwnego, prawda? Pan Trodal musiał mieć wiele takich spotkań – wtrąciła Maria.

– Nie rozumie pani. Pracuję dla tej rodziny od sześćdziesięciu lat, dla pana Edmunda od prawie pięćdziesięciu i nigdy ani razu nie zrezygnował ze swojej godziny. Przez te wszystkie lata zawsze tego przestrzegał. Zawsze.

– Więc co się wtedy stało? Dlaczego zmienił swój zwyczaj? – spytał Feliks.

– Tego nie wiem.

– A kim była osoba, z którą się spotkał?

– Tego też nie wiem. Jak mówiłem, jestem tylko kamerdynerem, dbam o dom. Sprawy biznesowe nie wchodziły w zakres moich obowiązków. Obawiam się, że nawet bym ich nie zrozumiał.

– I nigdy pana nie ciekawiło, kim był tajemniczy człowiek? – Struner taksował Tymoteusza, jakby chciał zajrzeć w głąb jego myśli, lecz ten stał niewzruszony.

– Nie. Wiele dostałem od tej rodziny, nie mógłbym złamać ich zaufania przez skradanie się i szpiegowanie. Jak jakiś niewdzięcznik – odrzekł z pogardą, mierząc Feliksa niechętnym wzrokiem.

– Niewiarygodna lojalność. Czy wydarzyło się coś jeszcze niezwykłego tego dnia?

– Nie, nic, co by było odstępstwem od normy państwa Trodalów – zapewnił lokaj.

– W takim razie pozostaje już tylko jedna kwestia, o którą musimy zapytać.

Feliks wbijał spojrzenie w dostojnego mężczyznę, ale ten w ogóle na niego nie patrzył. Spoglądał przed siebie, gdzieś daleko w las. Policjant zerknął między drzewa. Niczego nie dostrzegł.

– Proszę zatem pytać, byle szybko. Obowiązki wzywają.

– Córka państwa Trodalów, Anna Witek...

– Co z panienką? – zdziwił się wysoki gentleman.

– Co może pan powiedzieć o niej, jej mężu i o dniu trzynastego marca?

Oczy kamerdynera otworzyły się nagle znacznie szerzej. Teraz dopiero widać było ciemną zieleń jego tęczówek.

– Trzynastego marca? Z tego, co pamiętam... panienka miała wypadek – wyszeptał.

– Wypadek? Może pan o nim opowiedzieć? – Śledczy zrobił krok do przodu jak cierpliwy łowczy, który nie chce spłoszyć ofiary, a jedynie ją osaczyć.

– Nie bardzo wiem, co więcej można powiedzieć... Panienka spadła ze schodów i zabrano ją do szpitala, a po kilku dniach została wypuszczona do domu, do męża... – W głosie starca można było wyczuć jakąś nienawiść, zwłaszcza gdy wspomniał o mężu Anny.

– Wypadek, tak? Kolejny wypadek? Bo to był wypadek, prawda? Zwykle ludzkie nieszczęście, które mogło spotkać każdego, tak? – dopytywał na jednym oddechu Struner. – Każdy, kto postawiłby wtedy stopę na tamtym stopniu, mógł spaść, prawda? Zwykły, ludzki, kompletnie losowy wypadek? – Spiorunował wzrokiem dystyngowanego kamerdynera, który ciągle unikał jego spojrzenia.

– Tak... tak, wypadek. Tak jak pan mówi, to tylko wypadek – wystękał niewyraźnie lokaj. – Na szczęście panienka wyszła z niego bez szwanku.

– Bez szwanku, powiada pan? Może ona tak... A dziecko? Też wyszło z tego cało?

Feliks poczuł się góram, wiedział, że kontroluje rozmowę i zaraz się dowie tego, czego chciał. Dzięki potwierdzeniu ciąży dostanie motyw, dostanie pana Witka, Zabawkarza.

– Dzie... dziecko? Nic nie wiem o... dziecku. – Głos starszego mężczyzny zdawał się nie słuchać właściciela. Łamał się i zdradzał niepewność.

– Nie brzmi pan na zbyt pewnego – zauważył gliniarz. – Chyba to panu pomoże sobie przypomnieć...

Wyciągnął raport z trzynastego marca, opis obdukcji kobiety o imieniu Anna. Wskazał palcem na fragment o poronieniu. Dokument wstrząsnął starcem, który spoglądał na policjanta i kartkę, jakby nie wiedział, co się dzieje.

– Ja nie rozumiem... Co to za dokument? – Jego oblicze zdradzało strach.

– Aha, pan dalej brnie w tę stronę, dobrze. To raport z obdukcji pani Anny, a tu wyraźnie jest napisane, że była w ciąży. Czy to o tym dziecku pan nic nie wie? – zaszydził triumfalnie Struner.

Mężczyzna czytał kartkę wciąż od nowa, widać było ruch jego oczu mówiący, że zapoznaje się z tym samym zdaniem jeszcze raz. Feliks przyglądał mu się uważnie, Maria również, jednak im dłużej to robili, tym bardziej ogarniało ich przekonanie, że Bazur rzeczywiście nic nie wiedział o dziecku. Jego twarz zdradzała wiele emocji, ale to szok grał tu pierwsze skrzypce.

– Pani Anno... – przemówił raptem cicho. – Czy to prawda?

Funkcjonariusze gapili się na niego zaskoczeni. Wydawało się, że kamerdyner całkowicie zapomniał o ich obecności.

– Czy wszystko w porządku? – odezwała się z troską Maria, by po chwili nieco stwardnieć: – Niech się pan weźmie w garść.

– Przestań, on tylko... – skarcił ją Feliks.

– Co się stało? Pani Anno... Co się wtedy stało? – Lokaj pytał dalej w przestrzeń, zupełnie ignorując policjantów. – Czy pan Edmund byłby do tego zdolny...? Czy naprawdę...



– Sądzi pan, że ten teatr zrobi na nas wrażenie? Myślę, że pan o wszystkim dobrze wiedział, a teraz odstawia szopkę – wybuchnął Struner, dając do zrozumienia, że jego irytacja wzrasta.

– Z całym szacunkiem, ale nie obchodzi mnie, co pan myśli – fuknął ze złością kamerdyner.

– Świetnie, to zaoszczędzi nam niepotrzebnych uprzejmości. – Policjant uśmiechnął się szyderczo.

– Uprzejmości? Ogłada to kwestia wychowania, panie Struner – wycedził kąśliwie Tymoteusz.

– Jak pan woli. A teraz proszę opowiedzieć, co się wydarzyło trzynastego marca. Proszę zacząć od pojawienia się pani Anny w posiadłości. Dobrze rozumiem, że nie mieszkała tam od ślubu?

– Nie, nie mieszkała, można powiedzieć, że odkąd zaczęła studia. A później ślub... – Starszy człowiek odetchnął głęboko i ciężko. – Pani Anka nie chciała tego wszystkiego, od zawsze to powtarzała.

– I nie podobało się to Edmundowi?

– PAN Edmund nie był zadowolony, to prawda, ale razem z panią Felicją liczyli, że z wiekiem zmieni zdanie i zrozumie, jak ważna jest tradycja i rodzina.

– Ślub z kimś takim jak Mariusz Witek też nie przypadł do gustu ojcu Anny?

– Dziwi się pan? To dumny ród. Szlachecki. Jeden z nielicznych, które mają tak długą historię. A pani Anka wprowadza kogoś... takiego do tego domu – prychnął z pogardą.

– I pan go chyba nie polubił...

– Jestem tylko pomocą dla tego domu, nie stać mnie na sympatie i antypatie.

Nie udało mu się ukryć kłamstwa pod maskującym tonem.

– A trzynasty marca? – nie dawał za wygraną Feliks.

– Pani Anka przyjechała na kolację... sama, co było zawsze dobrą decyzją, ponieważ pan Edmund nie chciał, by pojawiała się z nim w posiadłości.

- Powiedział jej to wprost? – dopytała Maria.
- Nie, pan dał to do zrozumienia podczas wesela, gdy wygłaszał toast.
- Więc przyjechała sama i...? – Feliks był już mocno poirytowany.

Wkurzał się, że ciągle odchodzili od interesującego go tematu. Ta część była kluczowa dla układanki, którą starał się złożyć.

– Tak, sama. Kolacja przebiegła w kompletnej ciszy, jak to zwykle bywało w posiadłości. Pan Edmund nie tolerował rozmów podczas jedzenia. Zawsze uważał, że to w salonie powinny odbywać się dyskusje. I tam też przeszli po kolacji. Pan, jak każdego wieczoru, poprosił o swoją dwudziestopięcioletnią whisky. Po rozpaleniu przeze mnie w kominku kazano mi zająć się psami.

– Kominek?

– To był wyjątkowo zimny marzec.

– I opuścił pan posiadłość? Poszedł pan zająć się psami, jak kazał Edmund? – naciskał gliniarz.

– Miałem to zrobić... zgodnie z poleceniem.

– Ale?

– Usłyszałem krzyki...

– Czyje to były krzyki?

– Musi pan zrozumieć, że byłem z tą rodziną od początku... Wykonywałem wszystkie polecenia bez mrugnięcia okiem, tak jak wtedy... Szedłem, by je wykonać – tłumaczył się Bazur. Feliks rozumiał, że niewykonanie dyspozycji było dla kamerdynera największą hańbą, a do tej niełatwo się przyznać. – Normalnie wyszedłbym z domu, jak mi kazano, ale byłem przy jej narodzinach... Widziałem, jak dorasta, uczy się i zmienia w kobietę. W piękną, niezależną kobietę, tak bardzo podobną do pani Felicji. Były identyczne niczym dwie krople wody. Już miałem wyciągniętą dłoń do klamki, gdy jej krzyk... Krzyk panienki Anny mnie zatrzymał. Nie potrafiłem wyjść, po prostu nie potrafiłem. – Na jego starych, pomarszczonych policzkach pojawiły się łzy. Krople zaczęły spadać na dokument ze szpitala.

– Spokojnie, niech pan oddycha. – Maria podeszła do roztrzęsionego mężczyzny. Położyła dłoń na jego ramieniu. – Spokojnie... Co się wtedy wydarzyło? Proszę nam powiedzieć.

– Przysięgam, nie wiedziałem o dziecku... Nie wiedziałem. Ja naprawdę nic... nie wiedziałem – wyjąkał, patrząc na kobietę. Miał zaszklone oczy. – To pan Edmund posłał ją do szpitala, to był on. Raport mówi prawdę, panienska Anna została pobita.

– Nie powstrzymał go pan? – zdumiał się Feliks.

– Proszę na mnie spojrzeć. – Mężczyzna wskazał na swoją nogę. – Pan Edmund był silnym mężczyzną, nikt nie był w stanie go powstrzymać. I w dodatku jego wzrok... Jego oczy...

– Oczy? – zaciekawiała się Maria.

– Kiedy wynosił panienkę Annę na rękach, by zawieźć ją do szpitala, minął mnie i posłał mi to spojrzenie. To piekielne, nienawistne spojrzenie... Oczy jak u samego diabła!

– I co było dalej? – rzucił Feliks.

– Nic, pan wrócił po godzinie. Zero słów, zero poleceń, po prostu poszedł spać. Następnego dnia życie w posiadłości wróciło do normy, jak gdyby trzynasty marca w ogóle nie istniał – wyjaśnił lokaj, oddychając głęboko. – Nikt nie wspomniał nawet o wizycie panienski Anny... Jednak od tamtego dnia to spojrzenie mnie prześladowuje. Każdej nocy widzę te czerwone tęczęwki, czasem też u innych ludzi... Jakby pan Edmund opętał wszystkich w mieście.

Maria poczuła wielki smutek i żal, współczuła temu starcowi.

– Czy pan Trodal często był taki... opętany?

– Tylko raz, dawno temu... Pamiętam jeden moment... – Tymoteusz popadł w zadumę.

– Nie odbiegasz czasem od tematu? – zwróciła się do partnera Lipan, przejęta przeżyciami starego człowieka.

– Może. Ale chciałbym poznać Edmunda. I jeszcze ten tajemniczy gość w dzień jego śmierci. To wszystko jest takie...

– Podejrzane i... nieistotne – wtrąciła Maria, rzucając gniewne spojrzenie Feliksowi.

– Już kończę. Kiedy ostatni raz widział pan Annę? Rozmawiał z nią pan od tego wypadku?

– Jedynie chwilę na pogrzebie państwa Trodalów. Ona tu nie zagląda... Przepraszam, panienska Anna tu nie zagląda.

– Cóż, trudno się jej dziwić. – Struner nie krył złośliwości.

Znienacka w lesie rozbrzmiał krzyk dziecka:

– Złap mnie! Potrafisz?

Feliks, Maria i kamerdyner natychmiast obejrżeli się w kierunku, z którego dochodził. Las wydawał się spokojny, a poruszający wcześniej gałęziami wiatr ustał. Na krótki moment zamarł, jakby wołanie chłopca zdziwiło nie tylko policjantów i starego lokaja. Dopiero po chwili Feliks zauważył coś bardzo dziwnego, coś, co zupełnie nie pasowało do leśnego krajobrazu. Między drzewami, na wąskiej ścieżce siedział pluszowy miś. Przyglądał się przesłuchaniu lokaja Trodalów.

Żrenice Marii rozszerzyły się z przerażenia, gdy zobaczyła na pluszaku drobne plamki krwi. Szkarłat był wyraźny, aż raził swoją świeżością.

– Złap mnie! Potrafisz? – znów rozbrzmiał zza drzew dziecięcy głos.

Feliks nie czekał dłużej, energicznie ruszył w jego stronę. Lipan wzięła od osłupiałego kamerdynera dokument ze szpitala i pognęła za partnerem.

A ten pędził tak szybko, jak pozwalały mu nogi. Krople potu spływały mu do oczu, więc wciąż je przecierał. I biegł. Potknął się, ale nie upadł – zaklął pod nosem i mknął dalej. Między drzewami majaczyła zielona kurtka albo tak mu się wydawało, nie miał już pewności, czy goni kogoś realnego. Mimo to nie zatrzymywał się ani na sekundę.

– Złap mnie! – przebił powietrze kolejny krzyk.

Feliks biegł ku niemu.

– Złap mnie!

Wiatr zaszumił lekko, próbując zagłuszyć chłopięce nawoływania, lecz nadal były słyszalne, więc Struner nie zgubił drogi. Niebo przysłoniły

ciemne chmury, przez moment się wydawało, jakby dzień miał ustąpić nocy, ale delikatne smugi światła uparcie przedzierały się przez gęste chmury. Niedługo potem na las wokół posiadłości spadły krople deszczu, zupełnie jakby niebo zapłakało.

– Pobawmy się! Gonisz!

Chłopięce pokrzykiwania stawały się coraz głośniejsze. Feliks biegł naprzód. Tworzące się na ścieżce błoto było niezmiernie uciążliwe, jednak gliniarz ani na moment nie przystanął. Podążał dalej.

– Złap, złap, złap, złap, złap, złap...

Struner był coraz bliżej. Jego nogi zaczęły odczuwać włożony w pogoń wysiłek, poczuł lekkie skurcze, lecz i to go nie zatrzymało.

Nagle stanął. Stanął i znieruchomiał, nie potrafił się ruszyć, choć próbował.

Maria dogoniła go dopiero po kilku minutach. Stała obok i ogarnęła ją taki sam paraliż. Dotarli na skraj jeziora i lasu, dotarli do źródła chłopięcych okrzyków.

Przy brzegu rósł stary, mocny grab. Jedno z najstarszych i największych pobiedziskich drzew, którego korzenie sięgały dna jeziora. Wielkie, grube gałęzie odbijały się w tafli wody. Na najgrubszym konarze, tuż nad brzegiem jeziora, stał mały magnetofon na kasety. Dochodziło z niego wołanie chłopca. Taśma zacięła się na jednym słowie, co mógł spowodować nagły deszcz. Pod urządzeniem, na tej samej gałęzi, przewieszane zostały dwie mocne liny, do których przywiązano łapy pluszowego misia – wielkiego, dorównującego wielkością dorosłemu mężczyźnie.

– Przybyliśmy za późno... – stęknął Feliks.

– Teraz mi wierzysz? Kto inny mógłby wejść na teren tej posesji i zostawić zwłoki...? – odparła Maria.

Pluszak był przesiąknięty krwią, jedynie jego głowa nie miała koloru szkarłatu. O spokojną powierzchnię jeziora uderzały krople deszczu, a pomiędzy nimi spadały czerwone. Czerwień mieszała się ze słodką wodą akwenu, zostawiając na niej plamy i smugi, które wyglądały niczym

delikatne pociągnięcia pędzlem przez jednego z mistrzów impresjonizmu. Obraz malowany życiem. Bajkowy, a przy tym przerażający. Feliks patrzył nieruchomo na tę scenę, zapominając niemalże o wielkiej maskotce na gałęzi. Kapiące krople krwi jawiły mu się jako metafora życia, jedne ustępowały miejsca kolejnym – niczym umierający starzec, odchodzący, aby zrobić miejsce noworodkowi. Tylko że w tym przypadku znikwały dzieci. Teraz zaginiony przed tygodniem chłopiec. Trzecia ofiara.

Las za plecami policjantów jakby zamarł, wiatr przestał kołysać koronami drzew, a głuchą ciszę przerywał jedynie delikatny deszcz, którego krople zaburzały spokój jeziora. Czerwony od krwi miś, którego mordka została przerobiona tak, by zamiast uśmiechu przedstawiała smutek, zdawał się ronić łzy.

Dwójka funkcjonariuszy wpatrywała się bez ruchu w pluszaka od niecałych pięciu minut, a chwila ta ciążyła im niczym wieczność. Kolejna porażka wymiaru sprawiedliwości, ich porażka, której się spodziewali. Ból okazał się niespodziewanie silny.

Ciemne chmury nad głowami policjantów zaczęły ustępować, promienie słońca padły na ich twarze. Wzdrygnęli się, jakby ktoś wybudził ich ze snu. Lecz to nie był sen. Zakrwawiony miś wisiał przed ich oczyma.

Feliks podszedł bliżej, aż do brzegu, jednak i tam maskotka była poza zasięgiem jego rąk.

– Musimy to zgłosić – oznajmiła Maria, podchodząc do partnera.

– Tak...

Ale żadne z nich znowu nie potrafiło się poruszyć.

– To on, prawda? Ten chłopiec.

– To musi być on...

Struner zrobił krok i wszedł do wody. Na moment zamarł, gdy usłyszał dźwięk pękających szwów przy pluszowych łapach misia. Zanim zdążył zareagować, jedna z łapek oderwała się od tułowia. Druga nie wytrzymała zbyt długo, szwy równie szybko puściły, a pluszak spadł do jeziora. Przy zderzeniu z taflą wody brzuch zabawki rozerwał się, a wtedy z jego

wnętrza wyleciało ciało dziesięcioletniego chłopca. Ale to nie zwłoki dziecka zwróciły uwagę policjanta.

Feliks patrzył na sąsiedni brzeg jeziora, gdzie zauważył jakąś postać. Nie był w stanie dojrzeć, czy był to mężczyzna, czy może kobieta. Mógł jednak stwierdzić, że była to osoba dorosła, dość wysoka, a przy tym o krępej budowie ciała. Jej twarz zasłaniał kaptur. Stojący na brzegu jeziora człowiek ubrany był w ciemnozieloną kurtkę – ta wydała się glinie dziwnie znajoma. Feliks przypomniał sobie zielone plamy, gdy biegł za głosem chłopca.

Spod cienia padającego na oblicze majaczącej w dali postaci można było dojrzeć jedynie dwa czerwone punkciki.

Maria podeszła bliżej, nie mogła uwierzyć w to, co widziała.

– Czy to...?

– Jego oczy płoną... Jak te, o których mówił kamerdyner. Jak u diabła... – skonstatował Feliks.

– Jak u... Edmunda? Wstał z za grobu i zaczął mordować dzieci? – bąknęła Maria, nie wierząc, że to mówi.

– Wsparcie! Wezwij wsparcie! Nie możemy pozwolić mu uciec! – krzyknął Struner.

Wtedy postać po drugiej stronie zniknęła.

Woda, w której stał Feliks, zrobiła się czerwona od krwi chłopca. Ciało dziecka unosiło się na niej tuż przed policjantem. Szymon Drabik, syn radnego, dziesięcioletni uczeń szkoły podstawowej. Znalezione nad jeziorem Biezdruchowo w Pobiedziskach o poranku.

Śledczy czekali na wsparcie. Wkrótce las wypełniły jednostki policji. Część funkcjonariuszy zabezpieczyła miejsce odnalezienia zwłok, podczas gdy reszta przeczesywała las wokół jeziora.

Feliks wyciągnął ciało chłopca na brzeg. Technicy po dotarciu na miejsce odkryli ściśniętą w jego dłoniach zabawkę. Struner wymienił krótkie spojrzenie z partnerką. Figurka przedstawiała małego drewnianego dziadka do orzechów. Nie znaleziono na niej żadnych śladów odcisków

palców. Na czapce zabawki widniał dobrze znany w Pobiedziskach znak – litera W, oznaczająca warsztat Mariusza Witka. Maria wydała rozkaz, by zatrzymać miejskiego zabawkarza. Podejrzanie znów padło na niego.

Rany chłopca były podobne do tych u wcześniej odnalezionych dziewczynek. Od razu przypisano zbrodnię temu samemu sprawcy. Rozcięte przedramiona ociekały jeszcze krwią. Tylko jedno różniło ostatnią ofiarę: nie była ucharakteryzowana na żadną postać z bajki, a na jej twarzy nie znaleziono spokoju, lecz ból i strach.

Na miejscu zbrodni szybko pojawił się prowadzący sprawę prokurator, był też obecny przy przesłuchaniu pana Witka i sprzeciwiał się wypuszczeniu go z aresztu. Sąd zezwolił na tak restrykcyjne środki. Piotr Cylak, ambitny młody prokurator, pogratulował Marii i Feliksowi odnalezienia ciała chłopca, po czym przystąpił do przesłuchania.

Struner był zdziwiony, jak koleżanka po fachu o wszystkim chętnie opowiadała, zręcznie omijając niewygodne dla nich szczegóły śledztwa. Mijanie się z faktami i zastępowanie ich nowymi było częścią jego planu, jednakże gotów był z niego zrezygnować, kiedy ujrzeli tajemniczą postać po drugiej stronie jeziora. Wiedział, że te oczy będą go prześladować, tak jak mówił kamerdyner.

Obserwował z boku całą rozmowę, prawie ani razu się nie odezwał, częściowo dlatego, że nie chciał, ale także dlatego, że prokurator miał zwyczaj rozmawiania tylko z dowodzącym śledztwem, więc w tym przypadku – z Marią. Im dłużej kobieta przekonywała, że dowody wskazują na pana Witka, tym bardziej Feliks miał wrażenie, że było zupełnie inaczej. Widział spore dziury w całym dochodzeniu – co gorsza, wszystko wskazywało na to, że właśnie skazują na więzienie niewinnego człowieka. Nie to było jednak dla niego najstraszniejsze, ale fakt, że w ogóle się tym nie przejmował. Miał w głowie wyłącznie dwoje czerwonych oczu i przyszłą karierę, gdyby rozwiążali tę sprawę.

– I jeszcze jedno... Po drugiej stronie, o, tam... – Maria wskazała na brzeg, gdzie zobaczyli „zjawę Edmunda”. – Tam go widziałam. To był on,



Mariusz Witek. Stał i uśmiechał się, jakby chciał, żebyśmy go nakryli. Już kazałam go aresztować... – dodała, co wyraźnie ucieszyło prokuratora.

Te słowa wybiły Feliksa z zamyślenia. „Tego nie było w planie...”, przemknęło mu przez głowę.

– Pan też to widział? – zwrócił się do niego Cylak.

– Tak... – odparł bez przekonania, rzucając Marii gniewne spojrzenie.

Był wściekły, że postawiła go pod ścianą pomimo gotowego planu. Czuł się osaczony przez nią i podekscytowanego oskarżyciela, patrzących, jakby oczekiwali jego współpracy.

– Jesteście gotowi to zeznać? – zapytał prokurator.

– Tak, wiem, co widziałam.

Maria stała pewnie, jakby już miała przekonywać sąd. Była nad wyraz uradowana, podobnie jak mężczyzna obok niej. Natomiast Feliks nic nie odpowiedział, kiwnął jedynie głową, czując niewyobrażalną presję tych dwojga.

– Wspaniale, będziemy w kontakcie. Powtórzę się: świetna robota... – pogratulował im Cylak i odszedł.

– No i co my narobiliśmy... To nie był przecież Witek. – Struner aż westchnął.

– Przestań, to był on. I to MY złapaliśmy najgorszego z morderców ostatnich lat. Ciesz się tym, nie marudź.

Ten nowy ton głosu, którego wcześniej Feliks nigdy u niej nie słyszał, został z nią od tamtego momentu na dłużej. Jakby zamiast jego partnerki pojawiła się nagle zupełnie inna osoba. Nawet jej twarz wydawała się jakby nie jej.

– A co z dziećmi?

– Jakimi dziećmi? – zapytała, zdradzając irytację.

– Tymi, które przez to, co właśnie zrobiliśmy, jeszcze ucierpią.

– Zamknij się! Nie rozumiesz? Nie mamy wyboru, jesteśmy na wylocie... To jest już trzecie ciało! Do czwartego byśmy nie doczekali, bo wyrzuciliby

nas na zbity pysk.

Jej słowa brzmiały bardzo przekonująco.

Feliks trzymał w ręku swoją odznakę, która tak mało, a zarazem tak wiele dla niego znaczyła. Ścisnął dłoń w pięść.

– Masz rację, złapaliśmy go – przytaknął, a Maria uśmiechnęła się szeroko.

Wygrała, co niezmiernie ją cieszyło.

– Jedziemy na komisariat, czeka nas przesłuchanie – zarządziła, nie kryjąc radości.

– A to nie ten garniak miał go przesłuchiwać?

– Tak, ale on sobie nie poradzi. Chcę, żeby Witek się przyznał. Musi się przyznać do winy – powiedziała z naciskiem, a w jej oczach pojawił się nowy błysk.

Przypominał Strunerowi obłąd dostrzeżony w czerwieni oczu tajemniczej postaci. I wówczas zrozumiał, co się dla partnerki liczyło najbardziej. Zwycięstwo. Przepeliło go poczucie, że podpisał cyrograf z diabłem, a diabłem była ona.

– Ale wiesz, że on tego nie zrobi, prawda?

– Nie, on raczej jeszcze nie wie, że to zrobi. – Lipan ruszyła w stronę auta.

Na posterunek wrócili przed zmrokiem. Przywitały ich stłumione oklaski i gratulacje. Pobiedziscy funkcjonariusze dziękowali za ich świetną pracę i zaangażowanie w małomiasteczkowy problem. Feliks ominął wszystkie wyciągnięte dłonie, ignorował tych, którzy do niego podchodzili. Maria – wręcz przeciwnie. Zbierała pochwały i przytakiwała, przyjmując każdy komplement. Była w swoim żywiole.

Zewsząd było słyhać: „Pomogliście nam ująć to zwierzę...” oraz inne określenia Zabawkarza: bestia, zwyrodnialec, morderca, pedofil, śmieć, skurwysyn...

Feliks wyłapywał tylko poszczególne słowa, którymi nazywano ujętego pana Witka. To w tamtym dniu zaczęły pojawiać się kolejne teorie co do

zbrodni. Już nie był to jedynie akt dzieciobójcy, dopisano do niego wykorzystanie małoletnich, choć wszystkie wyniki badań temu przeczyły. Nikt nie wiedział, kto rozpoczął te plotki, i nikt też ich nie próbował dementować. Struner również... Podejrzenia o pedofilię mogły stać się zapalnikiem dla jednej z emocji, która przeciągnęłaby sędziego na stronę prokuratury.

Kiedy Maria i Feliks zbierali laury za zatrzymanie Mariusza Witka, on siedział w radiowozie i transportowano go do komendy w Poznaniu. Taka była wola prokuratora, który spodziewał się trzymiesięcznego aresztu dla oskarżonego. Miał wystarczający materiał, by dostać to, czego chciał.

I dostał. Pan Witek skończył w areszcie, a proces został wyznaczony na grudzień tego samego roku. Taka decyzja zadowalała także prokuraturę. obrońca z urzędu – żółtodziób – nawet nie protestował, wyraźnie nie miał zamiaru walczyć o wolność klienta. Plotka o pedofilii zrobiła swoje, wszyscy stanęli przeciwko pozwanemu. Ot, cała patologia systemu sprawiedliwości ogółu, rządzącego się emocjami.

---

[1](#) Latarnia – w łowiectwie łeb wilka



## Rozdział 9

# Sprawa zamknięta

Feliks obudził się wstrząśnięty. Początkowo nie poznał miejsca, w którym się znajdował. Doznał szoku. Właśnie miał przedziwny sen, co gorsza, był niewyobrażalnie realny. Gdzieś po drodze stał się wybudzonym wspomnieniem sprzed lat.

Przez odsłonięte okna wdzierało się delikatne światło księżyca i okolicznych latarni. Oczy mężczyzny szybko przyzwyczyły się do mroku – pokój wreszcie wyglądał znajomo. Inspektor siedział na kanapie w salonie Marii. Cały czas znajdowali się w jej mieszkaniu, przynajmniej on. Rozejrzał się, ale po kobiecie nie było ani śladu.

„Musiała pójść do sypialni”, pomyślał i przeciągnął się jak po długiej nocy spokojnego wypoczynku. Był obolały i spięty, ale to dość normalne po zaśnięciu na siedząco. Wokół siebie ujrzał porzrzucone kartki. Szybko rozpoznał w nich policyjne akta ze sprawy Zabawkarza.

– To by wyjaśniało ten sen... – mruknął cicho, podnosząc dokument z sekcji zwłok ostatniej ofiary z dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Dziesięciolatka, o którego odnalezieniu śnił.

Ziewnął głośno. Nie wiedział dlaczego, ale złożył kartkę i wsadził do kieszeni kurtki, jakby była jego prywatną własnością. Może to przez wspomnienie o czerwonych oczach mordercy i ich pierwszym – a zarazem ostatnim – spotkaniu, a może przez poczucie winy, tak czy owak – coś

kazało mu ją schować. Resztę posprzątał i ułożył w kartonie na tyle chronologicznie, na ile mógł.

Zegar w kuchni wskazywał trzecią. Noc za oknem wydawała się wyjątkowo spokojna. Feliksowi wcale się to nie podobało. W tej mieścinie zawsze miał dziwne wrażenie, że siły natury zżyły się z Pobiedziskami i w jakiś niewyjaśniony sposób ze sobą współpracują, jakby wszystko było od siebie zależne. Mężczyzna przypomniał sobie stare powiedzenie, że najspokojniej jest tuż przed burzą, tuż przed największą tragedią. A taka cisza nosiła w sobie coś przerażającego – nawet dla sześćdziesięcioletniego sceptyka. Tak jak dwadzieścia pięć lat temu, tak i teraz Feliks zaczął wątpić w to, w co dotychczas wierzył, a raczej przystawać na to, w co dotąd nie wierzył.

Spoglądał na senną ulicę, gdzie blade światło latarni padało na bruk. To właśnie w takich chwilach – kiedy zdawało się, jakby cały świat robił głęboki wdech i na moment się zatrzymywał – trudno było uwierzyć w zbrodnie dokonywane przez ludzi, takich jak choćby Zabawkarz.

– Nie, to nie mógł być człowiek... To zwykle ścierwo – powiedział do siebie, odwracając się od nocnej panoramy.

Wstawił wodę na kawę, mimo że było dopiero parę minut po trzeciej i powinien nadal spać – wszak miał sprawę, która odganiała jego koszmary. Dziś jednak coś poszło nie tak. Czuł, że już nie zaśnie. Potrzebował kawy i dokumentów z kartonu, bez nich nie mógł zaznać spokoju. Jego umysł krzyczał, błagał o pomoc, nie pozwalał mu odpocząć, nie pozwalał zapomnieć, chciał mu coś powiedzieć... Tylko Feliks nie wiedział co. Może akta mu podpowiedzą, może te dwadzieścia pięć lat łączy coś więcej, coś poza nim i mordercą.

Z kubkiem kawy wrócił na kanapę. Położył na stole akta dwóch dziewczynek, chłopca i zaginionej z rynku – rok dziewięćdziesiąty trzeci. Z dwa tysiące osiemnastego miał trzy dziewczynki – jedno ciało i dwie zaginione. Pod aktami przykleił karteczki z imionami. Do „kompletu” brakowało jedynie chłopca. Ale czy mógł mieć pewność, że pojawi się następny? Czy może płęć dzieci była losowa i chodziło o coś innego?

I kolejne pytanie: dlaczego morderca czekał dwadzieścia pięć lat, by znów się pojawić?

Akta ofiar ułożył po prawej stronie stołu, po czym wyciągnął z kartonu te dotyczące wszystkich podejrzanych, świadków czy ludzi w jakikolwiek sposób powiązanych z ofiarami lub zbrodniami. Ci, których nazwiska się powtórzą, będą jego pierwszymi podejrzanyymi. Nikt nie zostanie wykluczony. Nikt.

Pierwszy był obecny komendant policji, Dawid Okrut – dawniej szeregowy policjant, jeden z dwóch wysłanych przez Marię, by zatrzymali pana Witka. Łatwo manipulowany przez ówczesną burmistrz i tuszujący oczywiste powiązanie morderstwa z zaginięciem innej dziewczynki. Status: podejrzany.

Drugi – Robert Drzemiec, dyrektor szkoły w Pobiedziskach, teraz i dawniej nauczyciel fizyki. Miał kontakt z dziećmi wtedy i dziś, mógł wzbudzać ich zaufanie, nie uciekałyby na jego widok. Status: podejrzany. W dodatku wydał się Feliksowi bardzo arogancki i dziwny, a zbliżający się koniec żywota na skutek raka mógł popchnąć go do kolejnych zbrodni. No i Struner zwyczajnie go nie lubił.

Brygida Rossa, pani wicedyrektor. Inspektor nie pamiętał, by ktoś taki istniał przed laty, lecz jej nieprzyjemny charakter i przedmiotowe potraktowanie zaginionej sprawiły, że musiał się jej przyjrzeć. Daleko mu było do feministy, tak jak i do szowinisty; choć ciągle był przekonany, że morderca to mężczyzna, nie mógł nie wziąć pod uwagę faktu, że zło i morderstwo tak naprawdę nie ma płci. Status: nieokreślony.

I tak pojawiały się kolejne kartki i kolejne akta, a blat zappełniał się nazwiskami potencjalnych morderców. Na stole wylądowały też akta osób już nieżyjących bądź skazanych, chociaż do tych ostatnich zaliczał się w zasadzie tylko Mariusz Witek.

Marek Maciejczyk, nawet całkiem pomocny aspirant, wydawał się uczciwym policjantem, mimo że jako człowiek miał swoje tajemnice związane z życiem osobistym. Romans z żoną zmarłego kolegi, zwłaszcza sekretny, nie był dobrą wizytówką. Dobrze znany funkcjonariusz

w miasteczku, wzbudzający powszechne zaufanie i szacunek. Mógłby być pierwszym wyborem każdego z zagrożonych dzieci, by pobiec do niego po pomoc. Status... Tu Feliks się zatrzymał. Nie wiedział, co wpisać na kartce, tymczasem więc zostawił puste miejsce.

Na stole znalazły się również najbardziej barwne osobistości z miasteczka. Ci, którzy mieli wystarczająco dużo władzy, by móc ukryć swoje zbrodnie, i tacy, którzy cieszyli się nieposzlakowaną opinią. Nikt bowiem nie był bez skazy, przynajmniej dla inspektora. Na pewno każdy miał pochowane szkielety w swojej szafie.

Pani burmistrz, Dagmara Powdar, pełniła w dziewięćdziesiątym trzecim roku funkcję rzecznika ówczesnego włodarza miasteczka. Struner nie spotkał jej ani wtedy, ani teraz, nic o niej nie wiedział, lecz jej ochocze próby zamiecenia sprawy pod dywan zapewniły jej miejsce ze statusem: podejrzana.

Proboszcz Alojzy wylądował na stole ze statusem podejrzanego wyłącznie dlatego, że w tamtym okresie odebrał święcenia kapłańskie i przyjechał do Pobiedzisk. Ale tak poza tym od dwudziestu pięciu lat mieszkał w miasteczku, miał nieposzlakowaną opinię, wzbudzał zaufanie, więc tylko głupiec mógłby go podejrzewać.

I właśnie dlatego Feliks podejrzewał ich wszystkich. Wskutek drogi eliminacji – jak ktoś kiedyś nazwał takie działanie. Inspektor nie pamiętał kto. Wyeliminuj po kolei tropy, co do których braku uzasadnienia jesteś pewien, a te, które zostaną, będą tymi właściwymi, nieważne, jak bardzo wydają się nieprawdopodobne.

„To był chyba jakiś pisarz”.

Następna kartka – ostatnia. Pani psycholog, kobieta, którą od razu zaczęła podejrzewać Maria. Była jedyną osobą mającą bezpośrednie relacje z dziewczynkami, lecz nic nie łączyło jej z tamtym rokiem. Pola Litt-Górzak, ambitna, inteligentna i pełna empatii.

Wtem Struner wściekle wychrypiał:

– Jak mogłem to przeoczyć?!! – Ze złości na samego siebie omal nie wykrzyczał tych słów.

Trzymał przed sobą kartkę i wpatrywał się w nią uparcie, a jego oczy raz po raz zwracały się ku teczce jednej z ofiar. Zanim chwycił akta, ciszę przerwał trzask... Był tak przygluszony, że prawie niemożliwy do usłyszenia, jednak czujne uszy starego gliny wychwyciły go bez problemu. Stały się w ciszy wrażliwe na najdelikatniejsze nawet odgłosy. Stłumiony dźwięk dochodził z za drzwi. Feliks szybko się zorientował, o co chodzi. Podbiegł do okna, obrzucił spojrzeniem ciemną ulicę przed blokiem i pośród mroku dojrzał zakapturzoną postać.

Początkowo myślał, że ma zwidy. Ubrany na czarno człowiek w ogóle się nie ruszał, stał na drodze jak zaklęty. Struner dopiero po kilku sekundach uwierzył w jego istnienie, a wtedy wybiegł z mieszkania. Na schodach się zorientował, że w rękę trzyma jeszcze kartkę, na której scharakteryzował postać psycholog Poli Litt-Górzak. Ścisnął dłoń i wsunął do kieszeni pognieciony papier. Z łatwością pokonał dwa piętra, a gdy znalazł się przed drzwiami, zwolnił. Postać stała odwrócona do niego plecami, wciąż nieruchoma. Feliks postanowił ją obserwować.

Zlewający się z ciemnością nocy czarny płaszcz mógł należeć zarówno do kobiety, jak i do mężczyzny. Zarzucony na głowę kaptur ukrywał inne wskazówki, a rozmiar sportowego obuwia trudno było określić w mroku. Struner poklepał się po biodrach. Miał ją! Nie ściągnął kabury z bronią. Zasnął we wszystkim – na szczęście, bo wybiegł z mieszkania, nie zwracając uwagi, czy ma na sobie ubranie.

Postać poruszyła się lekko. Feliks nie mógł dojrzeć, co robi, ale wydawało mu się, że coś odczytuje albo ogląda. Po chwili tajemniczy człowiek znów się wyprostował i ruszył przed siebie. Inspektor odczekał chwilę, po czym za nim podążył.

Tylko przez moment się zastanowił, czy zatrzasnął za sobą drzwi mieszkania. Nie pomyślał, by zajrzeć do sypialni Marii, ale przecież była funkcjonariuszem ABW, umiała o sobie zadbać nawet we śnie.

Od zakapturzonej postaci emanował spokój, a jej chód był powolny. Feliks musiał się mocno postarać, żeby zachować bezpieczną odległość i nie dać się zdemaskować. Nie należał do mistrzów skradania się, przez co



musiał jeszcze bardziej uważać na każdy swój krok. Najmniejszy hałas mógłby spłoszyć nieznanego czy nieznaną. Osoba ta była od niego nieco niższa, ale szczupła i chyba w dobrej kondycji, co sugerowało, że ewentualny pościg nie należałby do łatwych. Wszak Feliks nie miał już dwudziestu lat.

Szli nieznanymi policjantowi ulicami. Odkrywał nowe rejony miasta, te z dala od światła latarni i licznie zaparkowanych aut, które można spotkać prawie na każdym osiedlu w Pobiedziskach. Teraz ulice były puste.

Inspektor nie miał pojęcia, gdzie prowadzi go człowiek w płaszczu, tak samo jak nie wiedział, kogo śledzi. Im dłużej patrzył na plecy swojego celu, tym częściej zmieniał zdanie, kim mógł być. Po kilku minutach znaleźli się na dworcu. „Czyżby chciał opuścić miasto?“, zapytał w myślach Feliks, a jego ciekawość rosła z każdą chwilą. Tak bardzo pochłoneły go rozważania o postaci przed nim, że przestał kontrolować, którędy szli. A zbliżali się właśnie do znajomego miejsca i dopiero tam śledczy ocknął się z zadumy.

Biezdruchowo wyglądało teraz jak morze ciemności, na którym nawet odbicie księżyca w pełni zdawało się zanikać pod naporem mroku.

„Gdyby ktoś chciał kręcić horror, to byłoby odpowiednie miejsce”, pomyślał Struner, nie spuszczać wzroku z enigmatycznej postaci, chociaż dobrze wiedział, gdzie się kierowała. Wkrótce zniknęła między drzewami. Feliks zrobił to samo. Nie pamiętał drogi do posiadłości, więc tym bardziej wzmógł wysiłki, by nie zgubić śledzonej osoby – błądzenie w tych lasach o tej porze sklasyfikował jako... mało rozsądne.

Drzewa nie odczuły minionych lat tak mocno jak on. Każdy kamień, chwast i krzak – wszystko wyglądało tak samo, jak wyśnił to przed godziną.

Dotarli do bramy. Pierwsza różnica.

I raptem już nic nie było podobne.

Brama przed posesją – całkowicie zniszczona. Jedno skrzydło było wręcz wciśnięte w glebę, natomiast drugie trzymało się na ostatnim zawiasie. Złoto, które wcześniej biło po oczach, teraz było ledwie wspomnieniem,

a dwa kamienne filary zamieniły się w kupkę gruzu. Otaczające cały teren metalowe elementy zniknęły, a przynajmniej te w zasięgu wzroku Feliksa.

Trawa, której zieleń mogła się równać we śnie z łąkami żywcem wyjętymi z epickich baśni, straciła kolor. Mimo listopadowej pory nie było czuć nadchodzącej zimy. Ogrody i szeregi pięknych kwiatów doglądanych przez starego kamerdynera zmieniły się w pasy czarnej jak smoła ziemi. Pomimo ciemności nocy inspektor dobrze wszystko widział. Światło gwiazd i księżyca odkryło pozostałości po bogactwach rodziny Trodałów. Zapomniany przez ludzi i Boga gród.

Wreszcie oczom Strunera ukazała się posesja – dawniej uznawana za mały pałacyk, dziś zmieniona w zwykłą rudere, choć nie straciła dawnego szkieletu i charakteru. Nadal był to imponujący okaz architektury, a powierzchnią mógłby przyćmić niejedną współczesną willę. Zdarta farba odkrywała czerwień cegieł, pokrytych czarnymi napisami. Feliksa zdziwiło, że nie znalazł żadnego graffiti, a jedynie krótkie bazgroły chuliganów.

„Ale z drugiej strony...”

Jeszcze raz spojrzął na budowlę, która nocą nie sprawiała wrażenia, jakby mógł tam ktoś kiedykolwiek mieszkać. W jego sercu pojawił się cień strachu, co tłumaczyłoby krótkość napisów. Młodzież szybko uciekała z tego miejsca. Nikt nie chciał ryzykować i zostać tu dłużej, niż wymaga zwykły podpis na ścianie. Co za tajemnicę skrywała ta posiadłość, jakie nowe legendy pojawiły się w małym miasteczku, że uciekały stąd nawet zbuntowane małolaty? I dlaczego gmina nie zaopiekowała się zabytkiem? Pomnik historii, pozostawiony bez właściciela po śmierci Anny, zgodnie z prawem powinna przejąć gmina. Jednak pozwolono mu niszczyć...

Tym większą ciekawość wzbudzała zagadkowa postać, która ani na moment nie przystanęła. Weszła pewnie przez wyważone drzwi, na których niegdyś widniał herb rodu. Dziś pozostały zaledwie połamane deski. Feliks trzymał się w cieniu drzew, obserwował wejście i czekał. Nie minęło pięć minut, a tajemniczy człowiek powrócił. Stał przed wejściem. Kaptur ciągle przysłaniał mu twarz, lecz oto nagle zsunął go z głowy...

– Może pan wyjść z ukrycia, panie Struner! – krzyknął ktoś o znajomym głosie.

Inspektor posłuchał i wychylił się zza drzew. Położył dłoń na rękojeści policyjnej beretty. Wolną ręką przetarł oczy, bo wciąż nie mógł uwierzyć w to, kto przed nim stał. Człowiek ów wrócił do budynku, wyraźnie zapraszając Feliksa, by do niego dołączył.

Struner uważnie przeszedł nad roztrzaskanymi drzwiami. Jego oczom ukazały się schody. Część stopni była połamana, a poręcz w całości zniknęła. Na ścianie wisiały obrazy, były niczym ścieżka prowadząca do góry. Część z nich leżała zniszczona na stopniach, pozostawiwszy na zakurzonej ścianie jaśniejszy prostokąt. Te, które nadal wisiały, portrety rodziny Trodalów, w większości zostały pocięte ostrym narzędziem.

„Jakie kruche musi być ludzkie życie, skoro nawet wspomnienia po nim znikają...”, pomyślał Feliks, mając w głowie obraz tego, jak wyglądał dom w czasach jego świetności.

– Co pani tu robi? – zapytał pewnym głosem, gdy kobieta zatrzymała się w salonie. Nie krył jednak zaskoczenia.

– Myślę, że pan wie... No i zapewne teraz mnie pan podejrzewa?

Pola Litt-Górzak. To ona stała przed inspektorem. Była dziwnie spokojna, zważywszy na okoliczności ich spotkania. Na tle wyniszczonych przez czas wnętrz domostwa wyglądała co najmniej podejrzanie. Feliks przypatrywał się jej uważnie, po czym ruszył w stronę kobiety. Stała nieruchomo, jedynie jej oczy za nim wodziły.

– A powinienem?

– To i tak nie ma znaczenia. Tacy jak my nie mają znaczenia – odparła pustym głosem.

– Może... Ale i tak musi mi pani odpowiedzieć na kilka pytań. Mogą mieć znaczenie dla zaginionych dzieci.

Policjant znajdował się jakieś dwa kroki od pani psycholog. Widząc ją teraz wyraźnie, zdjął dłoń ze swojej broni. Doceniła to uśmiechem.

– Proszę pytać, lecz niech się pan spieszy, nie mamy wiele czasu.

Jej uśmiech miał w sobie coś upiornego. Wzdłuż kręgosłupa Strunera przemknęły dreszcze.

– Dwadzieścia pięć lat temu pani siostra była...

– Jedną z ofiar. Tak.

– Wiktoria Litt.

– Zgadza się, moja młodsza siostra, zamordowana przez kogoś, kogo nazwano Zabawkarzem.

Kobieta mówiła spokojnie, wręcz mechanicznie, nie zdradzając żadnych uczuć.

– Mówi pani o zamkniętym przestępcy Mariuszu Witku?

– Nie – odparła bez zastanowienia. – On nie był mordercą, dopóki go z niego nie zrobiono.

– Twierdzi pani, że złapano nie tego człowieka?

Feliks to wiedział, ale musiał udąć, że jest inaczej, zwłaszcza przy siostrze ofiary.

– On nie zabił mojej siostry, tak jak nie zabił tamtego chłopca czy dziewczynki. I tak jak nie zabił Łucji na rynku ani nie zabije Magdy czy Agnieszki. Mordercy nie złapano i... nigdy go nie złapiecie. – Głos Poli ciągle był spokojny.

– Wie pani, że ta wiedza nie jest ogólnodostępna?

Inspektor trzymał dłoń blisko kabury. Bezpieczeństwo – tego uczyli w akademii, a broń mu je zapewniała.

– Wiem.

– Więc skąd pani ma te wszystkie informacje?

Pola tylko na niego patrzyła.

– Pytała pani, czy ją podejrzewam... Właśnie zaczynam. Siostra ofiary sprzed lat, psycholog zaginionych. Z łatwością mogłaby pani manipulować dziećmi, tak by je później porwać. To jasne i oczywiste, wystarczające, żeby panią aresztować. Proszę dać mi powód, bym tego nie zrobił.

– Ma pan rację, to takie oczywiste. To musiałam być ja, tak jak wtedy musiał to być pan Witek – sarknęła Pola. Poczowała satysfakcję, widząc grymas na twarzy rozmówcy. – Ale tak, ma pan rację, muszę się wytłumaczyć, żeby zrozumiał pan, co tu się tak naprawdę dzieje.

– Co tu się tak naprawdę dzieje? Co ma pani na myśli?

Struner utrzymywał od szkolnej psycholog bezpieczną odległość. Choć kobieta była wysoka, to raczej drobnej postawy, więc nie powinna być zagrożeniem dla rosłego mężczyzny, jednak Feliks miał pewne obawy. Nie zrywała kontaktu wzrokowego, co potęgowało jego niepokój.

– Jedno musi pan o mnie wiedzieć: mam dobrą pamięć. Dwadzieścia pięć lat temu moją rodzinę spotkała tragedia, spadł na nas gniew Boży, ciemność... A w środku niej pojawiła się para policjantów, która miała odnaleźć diabła. Myśli pan, że zapomniałabym ich twarze, imiona czy nazwiska? To niemożliwe. Proszę pomyśleć, jak byłam zaskoczona, gdy państwo pojawili się w szkole. – Pola zrobiła pauzę, jakby oczekiwała odpowiedzi, lecz szybko zaczęła mówić dalej. – Zaginiona dziewczynka, dziwne plotki na temat pluszowego misia na rynku, a później państwo... pytający o moich podopiecznych, ale nie o tę zaginioną. Pluszowy miś... Od razu wiedziałam, o co chodzi, kto wrócił do miasta. Pani Maria Lipan. Byłam dzisiaj w jej mieszkaniu...

– Włamała się pani? – zdziwił się Feliks.

– Tak, a kiedy pan spał, zapoznałam się z aktami. – Wyciągnęła z kieszeni plastikową buteleczkę. Inspektor nie dojrzał nazwy preparatu, ale dobrze wiedział, że kobieta trzyma w ręku tabletki nasenne. – Pani Maria zapewne jeszcze śpi... Pańska pobudka była dla mnie zaskoczeniem. Nawet nie zamknęłam drzwi mieszkania – ciągnęła, a Struner przypomniał sobie, że wybiegając za tajemniczą postacią, zwrócił uwagę na uchylone drzwi. To wyjaśniało też, dlaczego usłyszał coś na klatce schodowej.

– Włamanie nie sprawia, że będzie pani wyglądać na niewinną... – zauważył. – Ale co robimy tutaj?

– Sama nie wiem. To pan ciągle wspominał przez sen o tym miejscu, a akta potwierdzały...

– Co potwierdzały? – zaciekawił się Feliks.

– Moje domysły, moje badania, moją prawdę – wycedziła psycholog, po raz pierwszy zrywając kontakt wzrokowy.

Rozejrzała się po salonie. Wyglądał zupełnie inaczej niż ten, który policjant pamiętał. Dla wnętrza posiadłości czas był znacznie mniej łaskawy. Ściany pozbawiono tapety, którą jeszcze nie tak dawno każdy by się zachwyił. Dopełniające klasyczny wystrój drewniane elementy były poobdzierane i popękane, a imponująca biblioteczka pana domu zniknęła. Po księgach został tylko kurz, a drogocenny mebel prawdopodobnie sprzedano. Nad wejściem, gdzie kiedyś wisiało pięć głów zwierzyny leśnej, dziś nie było ani jednej. Piękne meble, które można było same w sobie uznać za dzieła sztuki, leżały roztrzaskane na zniszczonej podłodze i pokrytym kurzem dywanie. Rozbite szyby mieszały się z pozostałościami po bezcennej porcelanie. Stojąca pośrodku kanapa wyglądała, jakby ktoś próbował ją spalić, a później się rozmyślił, gdyż jedynie jej część była zwęglona.

– Jaka to prawda? – indagował zaniepokojony stanem kobiety Feliks.

Nie odwracał od niej wzroku. Zachowywała się nad wyraz dziwnie, obracała się wokół własnej osi.

– Ten dom to jest prawda. Tu, właśnie tu jest prawda.

Zatrzymała się.

– Przepraszam, ale o czym pani bredzi?

– Nie rozumie pan? Wszystko... wszystko, co się kiedykolwiek wydarzyło w tym mieście, ma związek z tą rodziną. – W jej oczach pojawił się blask, co wywołało kolejną falę niepokoju u Feliksa.

– Proszę jaśniej...

– Nie było tego wiele, ale znalazłam... – Psycholog zaczęła szukać czegoś w kieszeniach płaszcza.

Inspektor bacznie obserwował każdy jej ruch, a jego dłoń automatycznie chwyciła za broń.

– Mam! – wykrzyknęła.

Podowała mu kawałek papieru. Był to skrawek gazety, której już od dawna nie wydawano na terenie gminy.

– Zamknęli ją tuż po tym numerze, po tym artykule – tłumaczyła kobieta.

Jej ręka się nie trzęsła. Pola była spokojna i opanowana, zupełnie przeciwieństwo Feliksa.

– Nieślubne dziecko Trodala? – przeczytał tytuł.

– Tak, szukałam tej kobiety, kochanki, ale zniknęła. Rozpłynęła się w powietrzu... Zniknęły wszelkie dowody na to, że kiedykolwiek istniała!

Pola zdawała się podekscytowana swoim odkryciem, które może i zrobiło wrażenie na inspektorze, lecz nadal nie potrafił pojąć, dlaczego to miało być takie ważne.

– Tylko jaki to ma związek z Zabawkarzem? Z pani siostrą? To jedynie dowód na zdradę małżeńską, o ile można to nazwać dowodem.

Gliniarz poczuł się pewniej i jego ton nabrał chłodu, którym na ogół raczył swoich rozmówców.

– Proszę spojrzeć na datę.

– Tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty piąty.

– Jej dziecko miało w dziewięćdziesiątym trzecim trzydzieści osiem lat.

– I chce pani powiedzieć, że co? Ten dzieciak jest Zabawkarzem? Nawet jeśli istniał, to posiadanie nieuczciwego ojca nie oznacza, że syn będzie zabójcą – stwierdził Feliks.

– Nie... Ale to syn Edmunda Trodala, to musi być on. I tak, myślę, że jest jednym z nich.

– Jednym z nich? – wciąż nie rozumiał Struner.

– Jest więcej niż jeden morderca. Niech pan spojrzy jeszcze raz na wyniki sekcji zwłok chłopca.

Pola zaczęła kaszleć.

– Dobrze się pani czuje?

Inspektor zawahał się, czy do niej podejść, nadal jej nie ufał.

– Tak – odparła, głęboko oddychając.

Skoro nie potrzebowała czy nie chciała pomocy, przesłuchanie mogło trwać.

– Co pani miała na myśli, twierdząc, że jest więcej niż jeden morderca?

– Wszystko ma pan w aktach. W kartonie pełnym prawd. Jeśli tylko zechciałby pan odnaleźć te znaki. – Uśmiechnęła się i znów zaczęła kasłać. Upadła na kolana.

– Co pani jest?! – przeraził się Feliks.

– Przed pańskim przyjazdem... – Kobieta zignorowała pytanie. – Mam dziurę w pamięci, cały dzień... – Kasłała coraz mocniej. – Nie pamiętam całego dnia. Niczego. Obudziłam się w gabinecie.

– Niech pani nic już nie mówi, wzywam pomoc.

Struner zapomniał o ostrożności i podbiegł do szkolnej psycholog, która położyła się właśnie na plecach. Uśmiechała się, wyciągając z kieszeni jakąś buteleczkę.

– Co to jest? Co pani wzięła?!

– Już za późno... Kiedy się pojawiliście, wiedziałam... Historia się powtarza. Ale teraz ja zostałabym panem Witkiem – mówiła cicho. – Moja siostra, moje dzieci... Będą chcieli to wszystko na mnie zrzucić. Jestem pewna. Niech pan nie pozwoli, by znów... ucierpieli niewinni. To druga szansa, proszę zrobić to, co należy. Dla mojej siostry i reszty dzieciaków...

Zamknęła oczy, a jej kaszel ustał.

Tak jak oddech.

– Proszę się odezwać! Pani Polu! – krzyczał Feliks, lecz kobieta milczała.

– Kurwa... – Opadł bezradnie na ziemię. – Dlaczego?!

Minęło trochę czasu, zanim zadzwonił po pomoc. Siedział w ciszy przy ciele pani psycholog, próbując poukładać wszystko, o czym mówiła. Nic



z tego nie miało sensu, tak jak jej samobójstwo. Trzymał ją w ramionach, jakby była jego własną córką, uronił nawet łzę, jakby mu na niej zależało.

„Dlaczego to zrobiła? Czy to było poczucie winy? Czy w końcu ją dopadło? Nie. To nie ona jest winna. Więc... kto?”.



– Śledziłem ją aż do tego miejsca. Nie wiem, co tu robiła, ale gdy długo nie wychodziła, postanowiłem wejść. I tak ją zastałem. Leżała już martwa.

– To ma sens – uznała Maria, kiedy Feliks opowiadał jej i policjantom, co się stało.

– Co? – zapytał zdziwiony partner.

– Sam pomyśl, wszystko się zgadza. Moja teoria. – Funkcjonariuszka była wyraźnie z siebie zadowolona. – I to nie wszystko... Marek? – zawołała policjanta.

– Na prośbę pani Marii sprawdziliśmy Polę Litt-Górzak. – Mężczyzna wyciągnął z kieszeni telefon. – Jej mąż zginął w wypadku pięć lat temu, a wtedy kobieta wróciła do Pobiedzisk. Przez ostatnie trzy lata kilkakrotnie odwiedziła w zakładzie karnym Mariusza Witka. Ale to nie wszystko. Ostatnia wizyta odbyła się miesiąc przed odkryciem pluszowego misia.

Aspirant pokazał zdjęcia wpisów w karcie odwiedzin. Faktycznie widniało tam nazwisko i imię szkolnej pani psycholog.

– To jeszcze nie dowód... – stwierdził cicho Struner. – To za mało, żeby kogoś oskarżyć – dodał, gdy zobaczył wbite w niego spojrzenia policjantów.

– Nie. Jeśli ma taką historię, nie można tego negować, bo jest powiązana z pierwszymi morderstwami, znaczy... była. Straciła siostrę, a rodziny mają wgląd do akt, do szczegółów związanych z obrażeniami i do tego, w jaki sposób morderca zabija. Mogła się wszystkiego nauczyć, a śmierć męża, powrót do miasta, które przywróciło tak wiele złych wspomnień...

To mogło wyzwolić w niej nieznane wcześniej uczucia. Zabawkarz nią pokierował i mamy powtórkę z rozrywki – tłumaczyła powoli Maria.

– To ta twoja teoria o uczennicy, tak? – bąknął Feliks.

– Tak, wszystko się zgadza. No i ofiary. Jako psycholog zdobyła przecież ich zaufanie – odpowiedziała Lipan z charakterystyczną dla siebie arogancją.

– Tylko dlaczego się zabiła? Nie była nawet podejrzana – zastanowił się Marek.

– Była. Moją. – Maria wyprostowała się dumnie.

– A dzieci? Dwie zaginione dziewczynki? – zapytał ostro inspektor.

– Co? – zdziwiła się zbita z tropu partnerka.

– Magda i Agnieszka, dziewczynki, które nazwałaś ofiarami, mimo że jeszcze ich nie odnaleziono... – zauważył złośliwie.

Lipan popatrzyła na niego z wyraźnym wyrzutem.

– Ciekawe, co znajdziemy w jej mieszkaniu. – Wzruszyła ramionami.

– Wysłaliśmy już tam radiowóz – wtrącił aspirant Maciejczyk.

– Jedziemy! – Feliks zwrócił się do Marii. – Chcę być przy przeszukaniu.

Kobieta niechętnie się zgodziła, a kiedy znaleźli się w aucie, mruknęła:

– Jedno mnie zastanawia.

– No?

– Jak to się stało, że ją śledziłeś?

– Mówiłem, że z okna zobaczyłem dziwnie zachowującą się postać.

– Przestań, wiem, że nie powiedziałeś mi wszystkiego. Znam cię. I w dodatku to, jak ją broniłeś. Inni tego nie zauważyli, ale ja tak. – Śledcza spojrzała przenikliwie na Strunera.

– Ha. Może... Okej, wygląda na to, że łatwo mnie rozczytać – zażartował, lecz Maria nawet się nie uśmiechnęła. – No dobra, powiem ci, co się wydarzyło.



– Co?! Uśpiła nas? Była w moim mieszkaniu?! – wrzeszczała Maria. – I ty mi mówisz, że to nie ona zabijała? Jak żyję, nie spotkałam bardziej nierozgarniętego faceta!

– Nie widziałaś jej. Mówię ci, że to nie ona. I to samobójstwo nie ma sensu.

– To proste, zabiła się, żeby nie spędzić reszty życia w celi. Jak możesz być taki głupi?! – Funkcjonariuszka była zszokowana. – I to TY?! Przecież nie ufasz ludziom. A jej tak?

– Nie. To byłoby zbyt proste... Zbyt oczywiste.

– Nie możemy zaprzeczać faktom, jesteśmy policjantami, najważniejsze są dowody. – Lipan brzmiała łudzaco podobnie do siebie sprzed dwudziestu pięciu lat.

– Jedno nadal nie pasuje: Mariusz Witek. On nie był mordercą i my to wiemy. Przecież to my go z niego zrobiliśmy – rzucił z satysfakcją Feliks. Czuł, że wygrał tę potyczkę.

– Chyba że złapaliśmy odpowiedniego człowieka. Może to był jednak on.

– Co? Chyba sama w to nie wierzysz – zdumiał się Struner, a w jego głosie pojawiła się złość.

– Dlaczego? Co z tego, że ramy czasowe się nie zgadzały i musieliśmy fałszować niektóre dokumenty? Co z tego, że podrzuciliśmy zabawkę na miejsce zbrodni? Co z tego, jeżeli mógł tę Górzak już wtedy do tego przygotowywać? Co, jeśli już wtedy mu pomagała? Jesteś psem, więc tego też nie powinieneś wykluczyć!

Improwizowana teoria Marii zakończyła dyskusję. Feliks, choć wiedział, że taka wersja jest niemożliwa i kompletnie nieprawdziwa, nie mógł jej odmówić odrobiny sensu. I to go wkurzało. Gdyby nie jego rozmowa z Polą, mógłby być skłonny nawet się zmusić, by przyznać rację swojej

partnerce. Pomimo cyklicznych spotkań z panem Witkiem czy powiązaniami sprzed lat w jego oczach pani psycholog była niewinna.

Dojechali do bloku, w którym Pola wykupiła mieszkanie. Przy krawężniku stał policyjny sprinter, a policjanci dawno weszli do budynku.

– Sprawdźmy, kto miał rację – powiedział Struner, wychodząc z auta.

Mieszkanie pani psycholog znajdowało się na pierwszym piętrze w postawionym niedawno budynku. Nowoczesna architektura, duże mieszkania i imponująca cena. Blok miał trzy kondygnacje.

– Mówiłam, że to ona... – zaszcebiotała Maria, kiedy tylko przekroczyli próg mieszkania.

Feliks nie odpowiedział, nie miał argumentów, by cokolwiek z siebie wykrzesać. Psycholog miała tu mieszkać prawie od sześciu miesięcy, lecz lokum nie było skończone. Wielu lokatorów kupowało mieszkania „pod klucz”, ale znaleźli się i tacy, którym odpowiadał stan surowy, bo zamierzali wykończyć je po swojemu. Pola należała do tych drugich. Jednak ściany w jej mieszkaniu nie zostały pomalowane, a zimny kolor po szpachlowaniu wypełniały niezdarne szkice. Na każdej ścianie w salonie i sypialni znajdował się rysunek drzewa i powieszono na nim pluszowego misia. Każdy pluszak podpisany był innym imieniem.

Były to imiona, które Feliks znał zbyt dobrze. Mógłby je wymienić nawet obudzony ze snu w środku nocy. Stały się jego częścią.

Na betonowej, chropowatej podłodze nie zaczęto nawet kłaść paneli, za to ozdobiły ją niewyraźne czerwone plamy. Inspektor przyklęknął przy jednej z nich. Nie miał wątpliwości – krew.

– Co to takiego? – zapytał jeden z młodszych policjantów.

– To jej krew... zapewne. – Feliks wstał, ignorując wzrok mundurowego.

– Albo ofiar – wtrąciła Maria.

Salon był duży, a brak jakichkolwiek mebli sprawiał, że wydawał się jeszcze większy. Jedynie w kuchni ustawiony został cały aneks. Dwóch funkcjonariuszy spisywało zawartość szafek, w których znaleziono liczne

lekarstwa i środki chemiczne – wśród nich sporą liczbę opakowań ze specyfikami nasennymi i butelkę chloroformu.

– Jestem pewna, że ślady po tych środkach wykryto w ofierze. – Maria była przekonana o swojej racji.

Feliks nie skomentował jej słów. Spojrzał na zasunięte, podobnie jak w salonie, zasłony.

– Sąsiedzi mówili, że nigdy ich nie rozsuwała – poinformował jeden z policjantów.

Im dłużej przebywali w mieszkaniu, tym Lipan była bardziej zadowolona. Każde pomieszczenie odkrywało kolejne dowody potwierdzające jej teorię. W mniejszym pokoju znaleźli dmuchany materac przy ścianie, a obok poustawiane pudła z odzieżą. W jednym z nich były dziecięce sukienki i pantofle, podobne do tych noszonych przez popularne postaci z bajek. Maria pękała z dumny, gdy przechodzili do głównej sypialni.

Tam znaleźli rozprute pluszowe misie. Były różne, a każdy pozbawiony przynajmniej jednej części ciała. Pokój wypełniało mnóstwo waty, a na samym jego środku ustawiono małą maszynę do szycia i parę dużych nożyczek.

– Technicy zaraz przyjadą, już ich wezwaliśmy – oznajmił pilnujący wejścia do sypialni policjant.



– I co, teraz mi wierzysz? Mamy ją.

Maria wydała już wyrok, zupełnie jak przed laty.

Stali przed blokiem. Feliks nie odpowiadał, patrzył tylko, jak kolejni policjanci wchodzą do budynku. Partnerka miała rację, ostatnie kilka godzin dało im wystarczającą porcję dowodów, by uznać Polę Litt-Górzak

za winną. Mężczyzna mimo to czuł, że coś jest nie tak. Wszystko działo się zbyt szybko, a dowody pojawiały się same, zupełnie jakby on i Maria byli niepotrzebni, jakby czas, nie oni, był detektywem w tej sprawie.

– Jestem przekonana, że znajdziemy tam DNA dziewczynek. – Lipan była pewna swego.

Inspektor nie zdążył jej odpowiedzieć, ponieważ zaczął dzwonić telefon Marii. Odeszła na bok.

– Taaaa, nawet się nie zdziwię, jeśli znajdziemy! – wymamrotał nerwowo Struner. – No i gdzie są moje ćmiki? Kurwa, akurat, jak chcę zapalić... – Klepał się po kieszeniach kurtki.

W jednej wyczuł coś, czego nie powinno tam być. Wyciągnął jej zawartość. Znalazł mały kluczyk od jakiejś skrytki, którego nie rozpoznał. Pogrzebał w kieszeni jeszcze raz i wyjął karteczkę, a raczej skrawek gazety, którą wcześniej pokazała mu Pola. Obejrzał go dokładnie i spostrzegł coś, czego wcześniej nie zauważył. Mały napis na tylnej stronie.

„Nikommu nie możesz ufać”.

Kilkakrotnie przeczytał zdanie, jakby nie ufał swoim oczom.

„Syn Edmunda jest jednym z nich...”, „Jest więcej niż jeden morderca...” – słowa te wypełniały umysł policjanta. Absurdalne oskarżenia całego społeczeństwa przez psycholog, brzmiące jak bełkot, nagle przestały być pozbawione sensu.

Sekcja zwłok chłopca – usłyszał w głowie Polę, ale jej głos brzmiał tak jak głos, który niejednokrotnie mu towarzyszył. I przypomniał sobie... Tę jedną kartkę schował do kurtki – zrobił to wcześniej automatycznie, w ogóle nie myśląc o tym, co robi. Wewnętrzna kieszeń. Włożył w nią dłoń. Nie mylił się. Zerknął, gdzie jest Maria. Rozmawiała z kimś – nie patrzyła na niego. Wyciągnął kartkę. Spojrzał na nią, a światło latarni odkryło coś, co wcześniej przeoczył.

Kortyzol, adrenalina, poziom obu substancji był diametralnie podniesiony.

– Kortyzol, kortyzol... – powtarzał cicho Feliks. – Jak on działa...?

Hormon stresu – odezwał się głos.

Inspektor otworzył szeroko oczy, miał rację. Czytając dalej, dowiedział się, że u chłopca nie było śladów narkotyków czy substancji nasennych. Jasno określona przyczyna zgonu, rany cięte na przedramionach i utrata krwi. Te wnioski różniły się skrajnie od tych dotyczących dwóch poprzednich ofiar w dziewięćdziesiątym trzecim – jak i przy Łucji.

– Kurwa, ona miała rację, jest więcej niż jeden morderca... – powiedział do siebie śledczy.

Szybko schował kartkę do kieszeni razem z wycinkiem gazety i kluczykiem. Tuż obok niego zaparkował policyjny radiowóz i wysiadł z niego nie kto inny jak komendant. Człowiek, o którym zdążył zapomnieć. Spojrzenia mężczyzn się spotkały, obaj starali się nie mrugać, jakby od tego miało zależeć życie któregoś z nich. Nawet nie próbowali ukryć niechęci do siebie.

– Wiesz coś w związku z ostatnimi wiadomościami? – zagadnął szorstko Okrut.

– No... codziennie lecą o tej samej godzinie. – Feliks wzruszył ramionami.

– Bardzo śmieszne. Zaginiona dziewczynka w Pobiedziskach. Mówi ci to coś? – Komendant zmienił ton, stał się agresywny.

– Tak, tobie też powinno.

– Pewnie. Chociaż mówiłem, żeby nic nie wypłynęło do mediów. – Dawid zrobił się ze złości cały czerwony na twarzy. – Zresztą nieważne, wygląda na to, że sprawa zakończona.

– Nie, do tego długa droga – odrzekł krótko Struner.

– Jak to? Morderca złapany, tak jakby... Dowody też są solidne, jeszcze tylko znajdziemy DNA ofiar i koniec.

Kolejny wyrok wydany.

– DNA ofiar? Myślałem, że dziewczynki zaginęły, a sprawy nie są ze sobą powiązane, hm? Czy nie za szybko je zabijasz? – wycodził nieuprzejmie

Feliks, co wyraźnie ubodło komendanta. Jego oczy nabrały zupełnie nowej barwy, a na czole pojawiła się żyła, która wyglądała, jakby miała pęknąć.

– Co?! Co ty powiedziałeś? – oburzył się, lecz po chwili wyluzował. Kilka szybkich oddechów wystarczyło. – Należą się wam gratulacje, świetna robota. A teraz wracaj do Poznania. Oficjalnie dziewczynki są zaginione, ale obaj wiemy, że w mieszkaniu znajdziemy coś, co połączy je z morderstwem na rynku. Zresztą sam nie chciałeś, żebyśmy ich szukali. – Odwrócił się od Strunera.

– Nie! Nie przestawajcie ich szukać. One wciąż żyją! – zawołał inspektor w plecy Okruta.

Ten łypnął na niego przez ramię.

– Nie przestaniemy, nie możemy, prawda? Jesteśmy policją i chronimy to miasto. Ale pamiętaj, nie wszystkich da się uratować – przypomniał cicho, lecz z jakimś dziwnym spokojem, po czym udał się do mieszkania Poli.

Nikomu nie ufaj – odezwał się głos w głowie Feliksa. Postawa komendanta, choć częściowo mógł ją tłumaczyć niechęcią do jego osoby, wraz z ostatnimi słowami pozostała dla inspektora nie do zaakceptowania. Jak mogły paść z ust kogoś odpowiedzialnego za bezpieczeństwo, za prawo i porządek, za życie mieszkańców? Życie dziewczynek...

– O co chodziło? – Obok Strunera pojawiła się Maria.

– O nic. Ten facet to fiut. Po prostu fiut.

– Nie żartuj. – Lipan uśmiechnęła się z rozbawieniem. – Co, wracamy do mnie?

– Nie, zawieź mnie do Poznania. Nic tu po nas.

– Czyli co? Sprawa zamknięta? Zgadzasz się ze mną, że to ona zabijała? – zapytała Maria z nadzieją.

– Nie wiem. Skończyłem z tym miastem. Jeśli im to pasuje, to mnie tym bardziej.

Feliks wskoczył do auta. Przez moment sam w to wierzył – zaledwie przez sekundę – że to koniec. Gdy tylko usiadł w samochodzie, znowu



naszły go wątpliwości, wiedział, że to wszystko nie było takie proste. Nasiąknął tym miejscem, zbrodniami, nie potrafił tego tak zostawić. Jednak Maria powinna myśleć, że jest inaczej. Inspektor posłuchał rady Poli – nie ufał już nikomu. Wydawało mu się, że wyłącznie jemu zależy na odnalezieniu żywych dziewczynek, cała reszta określała je mianem ofiar. Jego partnerka też to raz zrobiła; może niechęć, a może świadomie, ale to jedynie utwierdziło go w przekonaniu, że w ogóle się nie zmieniła.

Marię zamurowało, nie spodziewała się takich słów. Lecz Struner zabrzmiał tak stanowczo, że z werwą weszła do auta i z uśmiechem je odpaliła.

Razem z wyglądającym zza chmur słońcem ruszyli spod bloku. Po drodze wstąpili po pudło z aktami, które Feliks musiał zanieść do archiwum w komendzie.

Na ulicach miasteczka mijali twarze zaspanych ludzi – dzień dopiero wstał, tak samo jak miasto. W sobotnie poranki małe miasteczka budziły się później, niewiele osób można było spotkać o tej godzinie, a większość stanowiły starsze osoby, idące do sklepu czy kościoła. Maria jechała powoli, jakby ostatni raz chciała rozejrzeć się po ulicach, budynkach i miejscach, gdzie dorastała. Oblicza ludzi kryły pod maską zmęczenia coś jeszcze, coś, co dojrzał tylko inspektor albo myślał, że dojrzał. Strach. Widoczne przerażenie.

„Nic dziwnego”, pomyślał. Przecież wieść o zaginionych dziewczynkach musiała się rozejść, sam się do tego przyczynił, informując znajomego dziennikarza.

Tego dnia z Pobiedzisk wyjechały dwie osoby: Maria, która zapisywała już na koncie dochodzeń kolejne zwycięstwo, i Feliks, który czuł się jak najgorszy przegrany. Byli dwoma obliczami tej samej monety, połączeni smutnym losem dzieci, lecz stojący po przeciwnej stronie.

– Wiem, że się martwisz o te dziewczynki. Odnajdą je... – zapewniała Maria partnera, lecz on nie zareagował.

Całą drogę milczał, spoglądał za szybę. Drzewa znikwały i pojawiały się, znikwały i pojawiały... Minęli tabliczkę z napisem „Bugaj”. I nagle na jednej

z gałęzi Struner zobaczył wiszące ciało dziecka. Szybko się obrócił, by nie stracić go z oczu, ale ciało zniknęło. Wcale go tam nie było. W głowie jednak zostało mu jedno słowo. Bugaj. To tam miała być widziana ostatni raz córka Róży, kobiety z kamienicy na rynku. To tam miał ostatni raz pojawić się Zabawkarz, to miała być jego ostatnia ofiara.

Feliks zamknął oczy, a wtedy zobaczył namalowane na ścianach rysunki w mieszkaniu Poli. Na żadnym szkicu nie pojawiło się imię Anieli, a to ona miała być ostatnią ofiarą. Gdyby pani psycholog była mordercą, z pewnością wiedziałaby o dziewczynce. Ale nie zapisała jej imienia na ścianie...

„Przed pańskim przyjazdem... Mam dziurę w pamięci, cały dzień... Nie pamiętam całego dnia. Niczego. Obudziłam się w gabinecie” – to usłyszał, zanim wydała z siebie ostatni dech.

Czy to możliwe, że ktoś ją wrobił? Inspektor przez całą drogę zadawał sobie to pytanie. Za każdym razem, kiedy próbował dojść do jakiegoś wniosku, kończyło się tak samo... Dowody były oczywiste. Takie, jakie sam by podłożył, gdyby chciał, żeby to ona była winna. A to znaczyło jedno: Pola Litt-Górzak, psycholog szkolny, wdowa, siostra zamordowanej Wiktorii, została wrobiona i jednocześnie popchnięta do samobójstwa.

Morderca miał na swoich dłoniach krew nie tylko dzieci sprzed lat, ale i Łucji, a teraz jeszcze Poli. Feliks zacisnął mocno pięści. Roznosiła go wściekłość, lecz nie mógł tego pokazać. Maria nie była już dla niego partnerką. Nie zależało jej na prawdzie i złapaniu mordercy. Nie, morderców. Chociaż może zabijała jedna osoba, w co wątpił, ale...

Psycholog miała rację, ktoś musi za nim stać, za Zabawkarzem. I to ktoś potężny.

Nie możesz nikomu ufać.



## Rozdział 10

### Podejrzany?

– Niech pan siada, panie Struner – odezwał się nieznajomy mężczyzna.

– Tak, jest pan u siebie, proszę. – Drugi z intruzów wskazał na kanapę, którą pokrywały rzucone niedbale ubrania z poprzedniego dnia.

– Dobra, skończmy z tym pieprzeniem. Czego chcecie? – zapytał Feliks swoim zwykłym tonem, kładąc karton z aktami na ziemi.

– Chcemy panu pomóc – wyjaśnił pierwszy z nieproszonych gości.

Był wysokim i barczystym mężczyzną. Od razu widać, że to typ, z którym lepiej nie zadzierać. Feliks ocenił go na czterdzieści lat, choć krótko ścięte i postawione na żel włosy odmładzały nieco jego wygląd.

– Mamy za sobą naprawdę długą drogę. Bylibyśmy wdzięczni za współpracę, wszystkim nam to wyjdzie na dobre – dodał drugi przybysz.

Ten był niższy, dużo niższy, od Feliksa także. Nie przekraczał metra siedemdziesięciu, nie był też mocno umięśniony, inaczej niż jego kolega, lecz od pierwszego spojrzenia było wiadomo, że to on przewodził. Emanował pewnością siebie i chodził po pokoju, jakby jego imię znajdowało się na akcie własności. Starannie zaczesane czarne włosy i okulary z ciemną, modną oprawką nadawały mu profesjonalnego wyglądu, ale już sam sposób bycia mówił, że mężczyzna jest fachowcem. Jego piwne oczy ani razu nie spuściły wzroku z gospodarza.

– Dobra, pokażcie mi swoje odznaki i porozmawiamy. – Struner skrzyżował ręce na piersi.

Mężczyźni nie zawahali się ani chwili.

– Już wie pan, kim jesteśmy? – upewnił się niższy.

– Nigdy nie rozumiałem waszej nazwy, ale... kurwa, sukcesów wam nie odmówię. Rozumiem, że o przedstawienie się nie ma sensu prosić.

Niezapowiedziani goście tylko się uśmiechnęli.

– Czego może chcieć ode mnie Archiwum X? – Inspektor nie tracił stoickiego spokoju, chociaż nerwy walczyły z jego pozą.

– Myślę, że pan wie – odparł mężczyzna, rzucając na kanapę kopertę.

Feliks od razu ją rozpoznał. W końcu od kilku tygodni leżała u niego na stosie książek. Nieco przestraszył go fakt, że położył na niej pluszowego misia, którego zostawił u niego Zabawkarz. W jego umyśle to on miał strzec tajemnicy koperty.

– Nie otworzy jej pan?

– Wiem, co tam jest. – Struner wzruszył ramionami, choć równocześnie się zdziwił, bo kompletnie zapomniał o wezwaniu.

– Czyli pan wie, że otwarto pana sprawę? Prokurator generalny chciał jej ponownego zbadania. – Mężczyzna zrobił krótką pauzę, ale jego oczy jasno dawały do zrozumienia, że nie czeka na odpowiedź. – To było jasne, że będziemy musieli pochylić się nad tym dochodzeniem. Jeśli nie złapano mordercy, kto inny mógłby poprowadzić śledztwo sprzed lat?

– Ma to sens, ale czym zawdzięczam sobie tę wizytę? Mam swoje wezwanie na przesłuchanie. Obawiam się, że straciliście czas i benzynę...

– To mogłaby być prawda, ale sprowadziło nas tu kilka ostatnich wydarzeń. Proszę uwierzyć, wolelibyśmy poczekać do przesłuchania w prokuraturze – wtrącił się wysoki mężczyzna, który niemal zniknął z pola zainteresowania Feliksa, bo dłaczegóż śledczy miałby interesować się widzem.

– Jakie wydarzenia? – spytał, mimo że domyślał się odpowiedzi.

Wyciek do mediów okazał się mieczem obosiecznym i zrzucił mu na głowę specjalną jednostkę. Ludzi, których lepiej nie dopuszczać do swojej przeszłości, bo zawsze coś znajdą. Zawsze.

– Kilka pozornie niepowiązanych śmierci, które można by nawet uznać za wypadki, gdyby nie... – Niższy funkcjonariusz przechadzał się po małym pokoju.

„Kilka niepowiązanych śmierci?”, Feliks był zdziwiony. Dla osób znających sprawę Zabawkarza powiązania były oczywiste, a to, co mówił nieznajomy, mogło wydawać się absurdem. „O czym on bredzi?”. Wzrok, jakim obrzucił okularnika, był wymowny, sporo zdradzał, a najbardziej irytację. „Niepowiązanych śmierci”. Zacisnął pięść. Nie zamierzał wybuchać, ale...

– Gdyby nie co? – warknął.

– Gdyby nie to wezwanie, gdyby nie zaginiona dziewczynka w Pobiedziskach i gdyby nie to...

Funkcjonariusz wyciągnął ksero spisu wizyt w zakładzie karnym. Spis odwiedzających Mariusza Witka. Feliks podszedł bliżej. Był przekonany, że pojawi się tam imię i nazwisko Poli Litt-Górzak, jednak jego oczy tego wpisu nie znalazły. Zatrzymał się na innym. Podpis był autentyczny lub idealnie podrobiony. Ostatnim gościem więźnia był on sam, Feliks Struner. Wizyta miała miejsce tydzień przed otrzymaniem przez niego sprawy i tuż przed powrotem mordercy.

– Co? Co to za chory żart? – syknął inspektor, dając przemówić swojej złości. – Przez dwadzieścia pięć lat nawet nie pomyślałem o tym, żeby z nim porozmawiać!

– To nie wszystko... – oznajmił niższy gość i wyciągnął kolejną kartkę z kurtki.

Feliks zaczął mieć dość tego wyciągania „dowodów” z kapelusza, jakby nieznajomy był magikiem z cylindrem i królikami.

Na kanapie pojawił się raport. Wypełniony przez lekarza medycyny sądowej. Feliks niechętnie wziął go do ręki i przeczytał. Imię i nazwisko:

Mariusz Witek, skazany za morderstwo trójki dzieci. Stan zdrowia: nie żyje.

Wzrok Strunera zawiesił się na ostatnich słowach. Przez moment nie mógł się zmusić, by czytać dalej.

– Co się stało? – wydukał zszokowany.

– W dniu, w którym wrócił pan do Pobiedzisk, choć nie tylko pan... – zaczął spokojnie przybyły.

Inspektor czekał, aż pojawi się słowo „Zabawkarz”.

– W tym samym dniu – kontynuował niższy mężczyzna – ten oto skazany powiesił się w swojej celi. Pomimo reanimacji, szybkiej reakcji strażników, przyjazdu pogotowia i tak dalej, nic nie dało się zrobić. Jego serce stanęło. Ale nie to jest najdziwniejsze.

– A co jest? – bąknął Feliks.

– Ofiary pobiedziskiego mordercy zawsze miały w sobie spore ilości narkotyków czy jakichś preparatów medycznych. Te same substancje, sprawdziliśmy, miał w organizmie nie kto inny, jak człowiek ogłoszony Zabawkarzem. Dziwne, prawda? – zapytał przenikliwie mężczyzna.

– Tak, dziwne...

– Wie pan, co jeszcze jest dziwne? Że odwiedziny sprzed tygodnia miały miejsce podczas awarii monitoringu, a więc nie możemy potwierdzić ani zaprzeczyć, czy był to pan, czy też nie. – Funkcjonariusz zmierzył rozmówcę wzrokiem.

– I czego ode mnie oczekujecie? Co? Mam się do czegoś przyznać? Chyba stać was na więcej... koledzy.

– To jeszcze nie koniec – ciągnął okularnik. Wyjął kolejne dwie kartki. – Proszę, to spis odwiedzin w hospicjum we Wrocławiu. Wie pan, kto tam leżał? Tymoteusz Bazur. Rozumiem, że pan go zna. To były lokaj w rodzinie Anny Trodał, żony skazanego. Proszę spojrzeć, kto odwiedził go w czasie, gdy pan rzekomo rozmawiał z panem Witkiem.

Feliks wykonał polecenie – sprawdził spis nazwisk. Nietrudno było odnaleźć odpowiednie, gdyż pojawiły się jedynie dwa wpisy, oba tej samej

osoby. Pola Litt-Górzak odwiedziła kamerdynera dzień po dniu.

– Chyba domyśla się pan, co przedstawia druga karta?

Pytanie było niepotrzebne. Inspektor wiedział, co tam znajdzie. Kolejny zgon, kolejne substancje chemiczne, kolejny sznur powiązań z morderstwami dzieci sprzed lat.

Miał rację, niemal stuletni Tymoteusz zmarł na skutek zatrzymania akcji serca. I w tym przypadku znowu znaleziono te same substancje, co u pana Witka.

– Wolontariusze w hospicjum mówili, że przez ostatni tydzień zachowywał się wyjątkowo dziwnie. Wizyta tej kobiety musiała nim wstrząsnąć. Niech mi pan powie... Zna pan tę Polę Litt-Górzak?

Ponowny cios. Feliks poczuł uderzenie, nie fizyczne, ale gdzieś w swojej psychice. Znał ją, co więcej... widział, jak umiera.

– Wiem, kim jest, ale to nie ona go odwiedziła... Tak myślę.

Starał się trzymać nerwy na wodzy i zachować kamienny wyraz twarzy.

– Jeśli nie ona, to kto? I skąd ta pewność? – odezwał się wyższy funkcjonariusz.

– Nie mam pewności, to przeczucie.

– Kim jest zatem tajemnicza Pola Litt-Górzak, której pan tak ufa? – Niższy z mężczyzn wciąż chodził w kółko. Dźwięk jego kroków wypełniał pokój, wybijając irytujący rytm. Typ w okularach denerwował Feliksa i robił to specjalnie.

– Trupem – odparł głośno inspektor, obserwując reakcję mężczyzn.

Zadanie wykonane, obaj byli zdziwieni i zmieszani.

– Czy chce pan powiedzieć, że nie żyje następna osoba? – Niższy gość przystanął.

– Tak. I sędzę, że nie ostatnia.

– Niech pan mówi jaśniej! – zażądał krakowski funkcjonariusz.

– Pola Litt jest siostrą jednej z ofiar z dziewięćdziesiątego trzeciego – wyjaśnił Feliks. – Ale to już wiecie – dodał, gdy zobaczył miny policjantów.

– A teraz zrobiono z niej następcę mordercy.

– Zrobiono z niej?

– Dowody jasno na nią wskazują.

– Ale pan im nie wierzy?

– Mam swoje powody.

– Podzieli się pan nimi?

– Nie, nie ufam nieznanym – poinformował Struner z uśmiechem. – Tak uczyła mnie siostra.

– A nie matka? I czy pan przypadkiem nie jest jedynakiem? – zdziwił się wysoki policjant.

– Sprawdzaliście mnie? To powinien pan wiedzieć, że mówię o siostrze zakonnej. Wychowałem się w bidulu – odparował Feliks z nutką satysfakcji w głosie.

– Nieważne – uciął wątek niższy gliniarz. – Proszę powiedzieć, co się stało z panią psycholog. Tak, wiemy, kim jest... Yyy, była.

– Samobójstwo. Dziś dowiecie się o tym z mediów. Prawdopodobnie. Chociaż kto wie... Te, jak dotychczas, tylko milczą – rzucił ironicznie śledczy.

– Czy pan coś sugeruje?

– Nic, absolutnie nic. Jedna sprawa ciągnie się za mną od ponad dwóch dekad. Wtedy zamiatano wszystko jak najszybciej pod dywan i gazety milczały, radia milczały... Dziś widzę to samo, a wy stoicie tu i wypytujecie mnie o nieistotne fakty? Pola nie żyje, koniec, jest nieważna. Witek nie żyje, on też nie był ważny. Nie wiem, kto jest, ale tego właśnie się dowiem! Dowiem się, kto zabijał wtedy i kto zabija teraz! – wybuchnął Feliks. Sam się zdziwił, że emocje aż tak wzięły nad nim górę. – Jestem podejrzany? – zapytał po kilku głębokich wdechach, mierząc wzrokiem przybyłych, którzy udawali zdziwienie. I to wyjątkowo nieumiejętnie. – Przestańcie, wiem, dlaczego tu naprawdę jesteście. Zostałem podejrzany.

– Ekhm... – odchrząknął mężczyzna w okularach. – Podejrzany nie, ale jest coś, co musimy wyjaśnić. Wczoraj był pan w sądzie, żeby przejrzeć



akta sprzed dwudziestu pięciu lat, prawda? Jaki sędzia podpisał panu pozwolenie? Piotr Cylak, tak?

– Piotr... Cylak? – zdziwił się Feliks.

– Tak, to były prokurator. Wie pan, kogo wsadził?

Niższy mężczyzna był zręcznym rozmówcą – poza złością wzbudził też u starego gliny podziw.

– Witka.

– Tak! To dziwne, czyż nie? Nie tylko pan łączy zbrodnie sprzed lat z wydarzeniami ostatnich dni, ale to pan jest w ich centrum – zaznaczył funkcjonariusz z Krakowa.

– Chcecie mnie o coś oskarżyć? – Struner coraz bardziej się niecierpliwił.

– Nie. Chcę udowodnić, że dwadzieścia pięć lat temu policjant nie dopełnił swoich obowiązków, spreparował dowody i wsadził niewinnego człowieka, a dziś jego grzechy odpowiadają za kolejną tragedię.

Okularnik obserwował reakcję Feliksa. Ten zaś oddychał spokojnie, nie dał się sprowokować.

– Zrobicie, co będziecie musieli, a ja zrobię to, co ja muszę zrobić.

– Jeszcze jedno, zanim wyjdziemy. – Niższy wyciągnął z kieszeni fotografię i wręczył ją Feliksowi. – Czy słowo Cernunnos coś panu mówi?

– Nic, nigdy wcześniej go nie słyszałem.

– Ciekawe... Choć w sumie to nie. Tak myślałem, dziękuję. Miś trzyma naszą wizytówkę, proszę zadzwonić, jeśli będzie chciał pan coś jeszcze powiedzieć. Będziemy w pobliżu.

– Domyślam się.

Feliks odsunął się, a agenci z Archiwum X opuścili mieszkanie.

Zamknął za nimi drzwi na klucz.

Spojrzał na trzymane w dłoni zdjęcie. Zobaczył na nim betonową ścianę. Szybko rozpoznał więzienną celę. Na ścianie widniał napis. Mimo że fotografia była czarno-biała, inspektor z łatwością mógł powiedzieć, że nie

został namalowany ani farbą, ani kredą. Jedyne słowo, które tam widniało, napisano krwią. Cernunnos. Odwrócił fotografię i znalazł notatkę.

„Zdarł skórę z palców, by to napisać”.

– Kurwa – powiedział cicho do siebie i usiadł na kanapie. – I co teraz zrobisz? No co?! Czas ci się kończy, Feliksie, stary durniu!

Miś – usłyszał znajomy głos. – Miś.

Wstał, jakby liczyło się tylko jedno. Jego oczy były szeroko otwarte, lecz tętno stabilne. Wszedł do swojej małej sypialni i spojrzął na pluszaka.

– Zbyt długo to trwa...

Chwycił ze złością maskotkę. Rozpruł ją jednym energicznym ruchem.

Z wnętrza wysypały się ludzkie włosy, ale tego akurat się spodziewał. Wszystkie były podobnego koloru, czarne lub mocno ciemne. Na podłogę spadł jeszcze dość duży drewniany scyzoryk i zwinięta kartka.

Struner złapał nożyk, czego szybko pożałował. Schowane ostrze było czerwone. Jako doświadczony glina z łatwością rozpoznał zaschniętą krew. Oto po dwudziestu pięciu latach znalazł narzędzie zbrodni. Rozejrzał się po podłodze, na której leżały ludzkie włosy, i szybko odrzucił scyzoryk. Wszystko wskazywało na niego, a przynajmniej dla gości z Archiwum X były to jasne dowody. Chwycił zwiniętą kartkę. Rozwinął ją. Był na niej – wyglądający na dziecięcy – rysunek, złudnie podobny do tego, który odkrył wcześniej. Ten jednak przedstawiał jedynie dwie osoby: mężczyznę i kobietę. A nad nimi widniał napis. „Razem na zawsze”. Dostrzegł rozmycia. Jakby od wody lub... łez.

Podniósł się, podszedł do biurka i położył rysunek obok tamtego poprzedniego. Mogły być narysowane przez różne dzieciaki, lecz Feliks nie brał tego pod uwagę, nie przy tych sprawach. Rysunki musiała wykonać ta sama osoba, nie było wątpliwości. Zabawkarz. Ale dlaczego pojawiły się na nich łzy?

Inspektor zadawał sobie szeptem pytania, patrząc cały czas na kartki. Bez znaczenia było to, że po raz pierwszy miał przed sobą DNA mordercy. Możliwe, że miał też jego odciski, choć na scyzoryku znajdowały się teraz

i Strunera, ale ostrze... Tego nie dotknął. Krew należała do ofiar – to było oczywiste – albo chociaż do ostatniej.

– Aniela...

Śledczy poczuł smutek. Jedno imię raniło go bardziej niż reszty ofiar. Jedna zapomniana dziewczynka, jedna skaza na honorze policjanta.

Pobiegł do laptopa, otworzył go. Szybko zalogował się do policyjnej bazy. Ostatni raz widziana w Bugaju. Tylko przez kogo? Rodzina zgłosiła zaginięcie, ale... Wgląd jedynie dla policjantów. Ostatni raz nie była widziana przez członków rodziny, lecz... przez Mariolę Giersz. Dane kobiety: mieszka w Bugaju – a przynajmniej mieszkała.

I tak musiał wrócić do Pobiedzisk. Po drodze odwiedzi starszą kobietę, by z nią porozmawiać.

Nie miał pojęcia, czego się dowie po sprawdzeniu wnętrza misia przez specjalistów. Sam nie mógł zgłosić dowodów, ponieważ istniało prawdopodobieństwo, że będą go obciążać. Uznał, że mógł je zostawić wyłącznie jednej osobie. Opisał każdy przedmiot, zostawił małe karteczki ze wskazówkami. „Scyzoryk, moje odciski, dotykałem, krew – sprawdź DNA”. „Rysunki, moje odciski, łyzy – sprawdź DNA”. „Włosy – sprawdź DNA”.

Pudło z aktami przełożył na kanapę. Zostawił notkę: „Przejmij śledztwo lub odnieś do archiwum”. Przykleił ją na wierzchu i zajrzał do kartonu. Może jeszcze coś mu się przyda. Może znajdzie jakiś dokument...

Między teczkami znalazł laptopa. Był mu znajomy.

– Laptop Łucji, ale jak... – zastanawiał się. – Pola. Musiała go tu włożyć – dodał z uśmiechem.

Wyciągnął komputer i przykleił do niego karteczkę. „Sprawdź IP tego, z kim pisała maile. To sprawca”.

Zabrał ze sobą zdjęcie od krakowskich funkcjonariuszy, kluczyk do skrytki, skrawek z gazety i wyszedł. Wszystko inne, co było powiązane ze sprawą, miał wryte w pamięć.



– No, no, kto to do mnie dzwoni? – usłyszał w słuchawce znienawidzony głos. Feliks był już w aucie, w drodze do Bugaju i Pobiedzisk.

– Słuchaj, mam prośbę...

– A to dobre, gwiazda jednostki ma prośbę! – krzyknął do słuchawki Janusz, jego odwieczny rywal w policji. – Kolejna sprawa rozwiązana, i to w kilka dni!

– Gówno rozwiązałem! – odparł wściekle Struner. – Nie chcę się kłócić, naprawdę potrzebuję twojej pomocy.

– Feliks? To Feliks? Daj mi go – dosłyszał inspektor. – Feliks, to ty? Świetna robota! Kolejny sukces! Musisz przyjechać na posterunek. Chcę ci pogratulować.

– Czołem, komendancie. Taaa, wpadnę. Może pan...

– I co? Jednak nie przydała się pomoc? Co? – przerwał śledczemu przełożony.

– Pomoc? Ma pan na myśli Marię? Była pomocna...

– Marię? Jaką Marię? Co ty pierdolisz? Nie, znam sprawę sprzed dwudziestu pięciu lat, a po wstępnym opisie wiedziałem, że od razu będziesz chciał je połączyć, dlatego poprosiłem o asystę dwóch funkcjonariuszy z Archiwum... – Zrobił krótką pauzę. – Ej, dobra, przyjedź, to oblejemy sukces.

– Co? To nie pan przysłał...

– Co jest? Odebranie mu telefonu graniczy z cudem – pienieł się Janusz. – Ej, jesteś tam? Jesteś? Ej, Feliks?!

– Tak, tak – odparł nieprzytomnie inspektor. – Słuchaj, ta sprawa nie jest skończona. Jest, kurwa, w chuj nieskończona.

„Ja jestem skończony”.

- Co masz na myśli? – zdziwił się Padul.
- Nie mogę tego wytłumaczyć, ale musisz coś dla mnie zrobić. Proszę.
- Prosisz? Kurwa, to musi być serio...
- Jedź do mnie do mieszkania, ale nikomu o tym nie mów – poprosił Feliks.
- Jeżeli chcesz, żebym łamał przysięgę... – zaprotestował Janusz.
- Nie, chcę jedynie, żebyś się tam pojawił pierwszy. I zrób to, co zrobiłby każdy policjant. Tylko o tyle proszę – powiedział spokojnie Struner.
- Tylko tyle?
- Tak. Nic więcej. Tylko tyle i aż tyle.
- Tyle mogę zrobić – stwierdził Janusz i się rozłączył.
- Dzięki – rzucił jeszcze Feliks i niemal natychmiast wpadł w zadumę.

Ci z Archiwum widzą w nim winnego. A w kwestii Marii to już w ogóle nic nie wiedział. Mówiła mu, że to komendant prosił ją o pomoc, ale... pojawiła się sama, bez wezwania. Dlaczego? I skąd wiedziała? Wypierał najgorsze myśli, jednak nie mógł zaprzeczyć faktom – to ona popychała go w dziewięćdziesiątym trzecim ku uznaniu za winnego Witka, tak samo ona zauważyła, że Pola Litt miała kontakt z każdym porwanym dzieckiem. I była rodowitą pobiedziszczanką – co nie było zbrodnią, ale w obecnej sytuacji nie mógł tego bagatelizować.

„Jest jednym z nich...” – rozbrzmiały w jego głowie słowa pani psycholog. Kogo chroniła jego partnerka? Czy to możliwe, że nie znał kobiety, z którą służył przez pół swojej kariery? Kim była Maria Lipan?

Maria... Maria... Maria – usłyszał znajomy głos.

Zrobiło mu się gorąco, a powietrze stało się ciężkie. Przed oczyma zamigotały mu małe plamki. Dojrzał zjazd po lewej stronie. Nikt nie jechał z naprzeciwka – skręcił więc z impetem w polną drogę i niemal wylądował w rowie. Poczuł, jak podwozie uderza o nierówności terenu. Zatrzymał się i wyskoczył z auta. Chwiejnym krokiem odszedł parę kroków, padł na kolana, a rękami przyłgnął do ziemi.

„Oddychaj” – powtarzał w myślach.

Powoli plamki zaczęły znikać, a Feliks poczuł, jak jego płuca wypełnia powietrze, powoli, ale skutecznie. Rozejrzył się i zobaczył tabliczkę z napisem „Bugaj”. Uśmiechnął się mimo delikatnego bólu w klatce piersiowej.

Po kilku minutach znalazł dom, w którym mieszkała Mariola Giersz. Obok stał blaszany sklepik. Niedaleko też rozciągała się ścieżka prowadząca nad okoliczne wody. Mężczyzna zajrzał przez okno sklepu. Półki były puste, a drzwi zaryglowane. Kobieta musiała go zamknąć. Podszedł do furtki. Była otwarta. Wszedł na posesję, nacisnął dzwonek. Nikt nie otwierał. Zadzwoił znowu, cisza. Zapukał, cisza. Jeszcze raz... Nasłuchiwał, czy ktoś idzie. I wreszcie pojawił się dźwięk. Huk. Coś upadło.

– Halo! Policja! Jest tam ktoś? – krzyczał do drzwi inspektor.

– Tam mieszka starsza pani... – usłyszał za plecami męski głos.

Obrócił się. Zobaczył młodą kobietę w starannie dopasowanym dresie i butach do biegania. Niewątpliwie był zdziwiony widokiem Feliksa.

– Coś się roztrzaskało, słyszałem... – odparł szorstko Struner, po czym energicznym ruchem wbił się barkiem w drzwi i wleciał do środka. – Poczekaj tu! – rozkazał nieznajomemu, który stał zszokowany.

Zostawił go za sobą. Podążał ciemnym korytarzem w stronę prawie niesłyszalnych odgłosów. Jakby ktoś się krztusił – tak sądził. Trzymał w dłoni broń i szedł z wymierzoną przed siebie lufą. Nie mógł pozwolić sobie na zaskoczenie. Jeśli on znalazł tę kobietę, to morderca także... I Maria pewnie też. Stąpał powoli. Sprawdzał pomieszczenia – ostatni był salon. Wszedł do niego, choć każdy nerw jego ciała kazał mu trzymać się z dala. Ludzki odruch, kiedy czeka cię spotkanie ze zbrodnią. Policyjny odruch, jeśli idziesz pomimo tego.

– Kurwa... – Schował broń do kabury i podbiegł do leżącej kobiety. – Eeeeej, chodź tu! – krzyknął do biegacza.

– M... m... m... – starała się wykrztusić coś z siebie staruszka.

– Niech pani nic nie mówi, proszę nic nie mówić. Pomoc zaraz tu będzie. Chodź tutaj! – ryknął jeszcze raz Feliks, a po chwili zjawił się mężczyzna.

– Co się... O matko!

– Spokojnie. Co widziałaś?!

– Pana.

– Wcześniej...

– Tylko pana – zapewnił biegacz.

– Zadzwoń po pomoc, ona nie może umrzeć! Karetka, już! Dzwon, kurwa!

Inspektor podniósł się, by wziąć poduszkę. Podłożył ją pod głowę kobiety. Zrobił to tak delikatnie, jakby była rocznym dzieckiem albo figurką z najkruchszej porcelany.

– M... m... – szeptała starowinka, wciąż się krztusząc. – M...

W końcu ucichła, jedynie jej usta poruszały się bezradnie.

– Niech pani nic nie mówi. Wiem, wiem... Będzie dobrze – wymruczał Feliks, a następnie odwrócił się do mężczyzny w dresie. – Czekał tu do przyjazdu karetki, rozumiesz?!

– A pan co? Zostawi ją pan? – zdziwił się facet w dresie.

– Zostań tu.

– Nie może pan tak...

Chwył Strunera za rękę. Ten przycisnął go do ściany. Broń automatycznie pojawiła się w jego dłoni. Wymierzył w biegacza.

– Słuchaj mnie uważnie. Zostaniesz z tą kobietą i będziesz ją reanimował, jeśli zajdzie taka potrzeba. Tak?

Mężczyzna kiwnął głową.

– Dobrze. Nie daj jej umrzeć – nakazał inspektor.

– Kutas! – wrzasnął biegacz za wychodzącym Feliksem.

Struner przyznał mu rację. Zachował się jak chuj, wychodząc z domu rannej kobiety i zostawiając ją w potrzebie, ale nie mógł zostać. Sprawdzał ją wcześniej w bazie policyjnej, a jego działania zostawiały ślady. Jeżeli

zgłoszą teraz jej stan krytyczny, znów wszystko wskaże na niego. Zostałby aresztowany. Wiedział o tym aż za dobrze, dlatego wrócił do auta. Szybko je odpalił i ruszył do Pobiedzisk. Przecież wyłącznie on mógł rozwiązać tę sprawę i zadbać o sprawiedliwość dla Marioli Giersz. I nie tylko dla niej, lecz dla każdej ofiary Zabawkarza. Jedyne on, nikt inny. Ostatni sprawiedliwy – Feliks Struner.

Gdyby musiał, znalazłby sposób, by dowieść swojej niewinności, ale zaginione dzieci nie miały tyle czasu. Zostało jeszcze jedno, tak jak w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Czwarte dziecko, zaginione – nigdy nieodnalezione.

– „M”? – powiedział do siebie Feliks. – Czy to o ciebie chodziło, Mario? Naprawdę?

Nie potrafił uwierzyć, że jego partnerka i funkcjonariuszka ABW mogłaby być zamieszana w coś tak mrocznego.

Całe miasto trwało w milczeniu, a kolejne osoby traciły życie – co się, do cholery, działo?

Co?!





## Rozdział 11

# Trodalowie

Bez śladów, bez widocznych powiązań, bez tropów – Feliks wracał do miasteczka, które zaszło mu za skórę. Pobiedziska – to miejsce wwiерciło się w jego psychikę jak nic nigdy wcześniej. Stało się jego nieodzowną częścią. Miał na głowie jedną ofiarę, dwie zaginione dziewczynki i trzy rozbite rodziny – śmiertelna wyliczanka – a w kieszeni jedynie wycinek z gazety, kluczyk od skrytki i fotografię z niezrozumiałym dla niego napisem.

Kiedy minął tabliczkę z nazwą miasteczka, przeszył go delikatny dreszcz. Inspektor był tutaj niechciany, persona non grata. Co jednak paradoksalnie oznaczało, że był miastu potrzebny.

Nie jechał główną drogą, trzymał się mniej uczęszczanej trasy, z dala od monitoringu i podejrzliwych oczu mieszkańców. Od spojrzeń ludzi, którzy żyli w strachu, ludzi, którzy milczeli i nie sprzeciwili się ostatnim wydarzeniom, ludzi współwinnych. Gdyby to tylko od niego zależało, zburzyłby w cholerę Pobiedziska, zamienił je w pył i ulatniające się wspomnienia. Gdyby tylko...

Teraz musiał znaleźć Marię, musiał z nią porozmawiać, przesłuchać. Wydobyć z niej to, co ukrywała przez te wszystkie lata. Przed nim – przed swoim partnerem. Nieraz się zapomniał i pomyślał o nich jak o parze przyjaciół.

W zakamarkach umysłu znikąd pojawiło się pytanie: Czy mogła być Zabawkarzem?

„Nie, to nie mogło być prawdą. Nie ona”.

I wtedy Feliks sobie przypomniał, że tak naprawdę w ogóle nie znał tej kobiety. Nigdy nie poznał jej rodziny, żadnego z facetów, z którymi się umawiała, nic, żadnej więzi poza policyjną współpracą. O dzieciństwie też nie mówiła – czasem kilka słów o bracie, ale żadnych szczegółów.

Jeśli to ona miałaby zabijać, wciąż pozostawało bez odpowiedzi kilka pytań. Dlaczego? I kim był drugi morderca? Kim był mężczyzna podający się w zakładzie karnym za Feliksa?

Maria natomiast podawała się pewnie za Polę Litt.

Zatrzymał się kilka ulic od poczty. Nie mógł pozwolić, by jego samochód zobaczono w centralnym punkcie miasta.

Kolejny napad duszności był niespodziewany, tuż po zgaszeniu silnika, ale świeże powietrze pomogło mu się z nim uporać bez ataku paniki. Szedł spokojnie, nie zwracając na siebie uwagi, jakby był jednym z mieszkańców. W soboty pocztę zamykano o dwunastej – miał jeszcze pół godziny.

Wszedł do budynku, ukłonił się pani w okienku i podążył do szeregu skrytek. Kluczyk miał numer ostatniej, największej. Otworzył ją.

W środku znalazł skórzaną książkę – bez tytułu na okładce. Obok leżała teczka, niezbyt gruba, a z tyłu siedział miś. Stary, zniszczony pluszowy miś. Wyglądał na dość wiekowego, a może po prostu czas nie był dla niego łaskawy. Zapewne lata temu miał bardzo puszyste futerko o jasnobrązowej sierści, lecz ostatecznie stał się brudnym, szorstkim pluszakiem z przewiązaną przez szyję kokardką. Struner upewnił się, że nic więcej nie było. A jednak...

Prawie go nie zauważył. Leżał przy samej ścianie, w cieniu. Żeliwny stary klucz.

- Chce pan przedłużyć wynajęcie tej skrytki? – zapytała ekspedientka.
- Proszę? – Feliks był rozkojarzony.
- Sprawdziłam, niedługo kończy się umowa...

– Nie, nie, dziękuję. Ta skrytka nie będzie już więcej potrzebna.

Zdziwiony i lekko zbity z tropu inspektor wyszedł ze wszystkimi rzeczami z poczty. Dopóki nie zniknął z pola widzenia kobiety, czuł na sobie jej podejrzliwe spojrzenie.

Ostatnio zapomniał o zapachu krwi, który mu nieustannie towarzyszył, a raczej – przestał go zauważać. Ale teraz, nawet na świeżym powietrzu, woń ta wydała mu się niemal namacalna.

W aucie znalazł całą paczkę papierosów, co było miłym zaskoczeniem. Odpalił jednego, by zapach tytoniu pomógł mu się skupić na nowym znalezisku. Otworzył księgę. Wertował strony. Nic nie rozumiał, bo nie znał języka, w którym książka została napisana. Wydawało mu się, że to niemiecki, ale nie ten, którego uczył się niegdyś w szkole. „Starogermański” – tak go nazwał na własny użytek. Każda kolejna strona zdawała się bardziej bezsensowna od poprzedniej, widniały na nich liczne rysunki i znaki, ale nie znalazł takich, które by rozpoznał. Kartki wykonano z dziwnego „papieru”, były grube i mocne, zupełnie nie jak te ze współczesnych wydań. Feliks zastanawiał się, ile książka może mieć lat – pisana zapomnianym językiem na czymś, co przypominało zwierzęcą skórę. Tylko czy na pewno zwierzęcą?

Odłożył księgę na bok.

Teraz teczka. Znajdowały się w niej dwa dokumenty. Jednym z nich był akt własności ziemi w Pobiedziskach, sygnowany podpisem notariuszy i Edmunda Trodała. Beneficjentem tego dokumentu okazała się Maria Lipan.

– Ziemia? Tyle jest dla ciebie warte życie tych dzieci? Jak mogłaś?

Kobieta przejęła na własność całą posiadłość rodu. To wyjaśniało zaniedbany stan budynku i brak reakcji gminy na niszczący zabytek.

Struner spojrział na datę. Dokument podpisano kilka miesięcy przed pojawieniem się pierwszego ciała w dziewięćdziesiątym trzecim roku.

– Skąd mogła wiedzieć, że to my dostaniemy tę sprawę?

Nie potrafił znaleźć odpowiedzi. Mógł mu jej udzielić jedynie ówczesny komendant, który od kilkunastu lat był na emeryturze. Wykryty u niego przed laty Alzheimer nie wróżył owocnej współpracy. Pozostał jeszcze miejski komendant z Pobiedzisk. Może on coś wiedział, przecież to z tego miasta wysłano prośbę o pomoc do stolicy Wielkopolski.

Laptop Łucji był już prawdopodobnie sprawdzany przez policję z Poznania, więc Feliks sięgnął po swój. Miał trochę czasu. Wpisał imię, wpisał nazwisko, kliknął „szukaj”. Wertował trzecią stronę w wyszukiwarce i okazało się, że istniało o wiele więcej ludzi o nazwisku dawnego komendanta. Znalazł też wpis o jego śmierci, która nastąpiła miesiąc po procesie Mariusza Witka. Zatrzymanie akcji serca u czterdziestoletniego mężczyzny mogłoby wydawać się dziwne już samo w sobie, w dodatku komendant był wyjątkowo wysportowany, odnosił wiele sukcesów w zawodach sportowych między komendami, a mimo to jego serce zatrzymało się w kwiecie wieku.

Pozostał dawny przełożony Feliksa. Komendant Sieczko. Struner nie wykasował z telefonu jego numeru – jak każdy, kto z nim służył. Mieli pomagać szefowi, mieli go wspierać w ostatnich chwilach jego życia, lecz – jak to bywa w przypadku pustych obietnic – zostawili go samemu sobie. Numer jednak pozostał. Feliks nacisnął zieloną słuchawkę. Po paru sygnałach odezwała się pielęgniarka – najwidoczniej mężczyzna trafił do hospicjum. W końcu w aparacie rozbrzmiał drżący głos starszego pana.

Inspektorowi zajęło kilka minut, zanim zdołał przywrócić mężczyźnie pamięć o sobie, a gdy się to udało, nastał czas uprzejmości. Wreszcie zapytał o sprawę Zabawkarza. Miał szczęście, bo pomimo choroby był komendant jej nie zapomniał. Od razu odpowiedział na pytania dawnego podwładnego.

– Maria? Tak, twoja nowa partnerka prosiła o ten przydział. Tak, tak, i prosiła wcześniej o służbę z tobą. Miałem farta, bo z tobą nikt nie chciał wtedy pracować. – Sieczko cicho westchnął, po czym zapomniał, z kim rozmawia.

Feliks wykorzystał moment i rzucił do telefonu: „Pomyłka!”, a następnie się rozłączył.

Rozmowa ta przyniosła mu nowe pytania.

Maria chciała pracować właśnie z nim. Nie znając go wcześniej, prosiła o przydzielenie jej do niego – dziwne. To ona sprowadziła go do tego miasta. Dlaczego? Co takiego miał, czego ona mogła chcieć...?

„Kozioł”. Jego przezwisko z PRL-u ciągnęło się za nim jak zmora. Błędy i kariera – czyżby jedynie tym był dla niej? Potrzebowała go, by wykorzystać jego zdolności do tworzenia faktów i dowodów? Od samego początku wyłącznie tego chciała – żeby pomógł jej zrzucić winę na kogoś innego.

Uderzyło w niego ciepłe, duszące powietrze. Znów i znów, bez końca – to miasto odbierało mu dech w piersi. Nie... To ta kobieta nie pozwalała mu oddychać. Szybko chwycił paczkę ćmików i pozwolił, by opła wypełnił kojący dym. Trująca nikotyna pomogła mu się uspokoić. Feliks znowu widział jasno, plamki zniknęły, pozostawiając złość i nienawiść.

Odpalił samochód. Teraz istniał tylko jeden kierunek – mieszkanie Marii Lipan. Liczył, że ją tam spotka, że nie wróciła do swojego drugiego mieszkania gdzieś na drugim krańcu Polski – nie miał pojęcia gdzie. Kolejny raz się okazało, że nic o niej nie wiedział.

Po kilku minutach znalazł się przed jej blokiem. Wpisal w domofonie kod, choć widział go zaledwie raz, i to w nocy. Nawet nie wiedział, że udało mu się go zapamiętać. Przestał myśleć, zaczął działać – wszedł do środka. Przemierzył piętro i wyjął broń. Złość to zły doradca, zdawał sobie z tego sprawę, ale w tej chwili go to nie obchodziło. Stopień po stopniu zbliżał się do mieszkania kobiety, która oprócz niego łączyła wszystko w spójną całość. Szedł po odpowiedzi, szedł po miejsce kaźni dwóch dziewczynek, które jeszcze mógł uratować, które jeszcze mogły żyć.

– Dziwne... – powiedział do siebie, widząc otwarte drzwi mieszkania, zupełnie jak wówczas, gdy wybiegł za Polą.

Wszedł do środka z wymierzoną przed siebie bronią. Przywitał go widok znajomego salonu, kanapa, biały modernistyczny stolik i kubek z zimną

kawą. Ten sam, z którego pił w nocy. Może to paranoja, ale stał w tym samym miejscu, jakby Maria w ogóle go nie ruszała. Mężczyzna skrzył w krótki korytarz – prowadził do jej sypialni i łazienki. Pierwsza była łazienka. Pusta, dawno nieużywana. Suche ręczniki, brak kosmetyków na półce, jakby czekała na nowego właściciela, który miał się dopiero w niej urządzić.

Sypialnia była zamknięta na klucz.

– Maria? – Struner zapukał.

Odpowiedziała mu cisza.

– Maria! Otwieraj, tu Feliks! – krzyknął i nie czekając na odpowiedź, naparł na drzwi.

Prawie upadł, kiedy wyleciały z futryny. Mężczyzna wpadł do środka.

– Kurwa... Maria... Co ty...? – sapnął głośno, lecz nie było nikogo, kto mógłby zareagować.

Miał przed sobą jedynie duże dwuosobowe łóżko. Pościel była pognieciona, a w każdym jego rogu stały kroplówki. Łącznie cztery. Pod Feliksem ugięły się nogi, gdy zobaczył, że były napełnione płynem, a zakończone igłami rurki nosiły ślady krwi. To oznaczało jedno: zginęło kolejne dziecko – skompletowała całą czwórkę. Tylko kim była nowa ofiara?

Feliks wpatrywał się w puste łóżko, aż nareszcie ocknął się z otępienia. Chwycił telefon, wybrał numer i zadzwonił.

Odezwał się mechaniczny głos: „Abonent jest niedostępny”. Maria wyłączyła komórkę – mógł się tego spodziewać. Musiała wiedzieć, że był na jej tropie. Ale skąd? Czy obserwowała każdy jego ruch? Przecież zagrał przed nią, że porzucił sprawę, i wrócił do Poznania, a mimo to ona wiedziała. Była nieuchwytna i o krok przed nim. Nie, o więcej kroków. Zacierała ślady – teraz, kiedy Pola została uznana za mordercę. Robiła to wyjątkowo dobrze, byłby pod wrażeniem, gdyby nie rosnąca w jego piersi nienawiść.

– Gdzie jesteś? – rzucił w przestrzeń Struner.

Miał tak wiele pytań, które wymagały odpowiedzi.

Dlaczego czworo dzieci? Czy porzucanie co siedem dni ciał coś znaczy? Dlaczego pluszowy miś? Dlaczego te miejsca, dlaczego ten miesiąc, dlaczego czekała dwadzieścia pięć lat...? I o co chodziło z tym podobieństwem w wyglądzie dzieciaków?

Inspektor zbiegł na parter z głową pełną pytań. Nie chciał zostać w miejscu, które ociekało zbrodnią. Co jeszcze mógł zrobić? Poznań niedługo wyda za nim nakaz aresztowania i nie winił za to kolegi po fachu. To, co pozostawił w mieszkaniu, wymagało sprawdzenia, ale rzucało też cień na jego osobę oraz na to, kim był.

Kogo mógłby sprowadzić, by tu przyjechał i zabezpieczył mieszkanie Marii? Tak, istniał ktoś taki.

Młody i ambitny policjant, taki, którego największym grzechem był romans z matką jednej z ofiar. Aspirant Marek Maciejczyk. Wyłącznie on w Pobiedziskach wydawał się w miarę czysty. Kręgosłup moralny mężczyzny – to napawało optymizmem starego glinę, nawet jeśli widać było parę skaz.

Już miał telefon w ręce, żeby znaleźć numer, gdy ten zaczął dzwonić. Na ekranie nie pojawił się ani Marek, ani Maria, ani Janusz, lecz... Małgorzata, jego córka. Ostatnia osoba, której by się spodziewał. Przez moment nie wiedział, co zrobić. Bał się... Wreszcie wcisnął „odbierz”.

– Tato? – rozbrzmiał w słuchawce głos Małgorzaty. Była roztrzęsiona.

– Gosiu? Co się stało? – zapytał z troską Feliks.

Nie pamiętał, kiedy ostatni raz nazwała go tatą. To jedno słowo uderzyło w niego bardziej niż zdrada Marii. Gdy człowiek przywyknie do dziejącego się na świecie zła, docenia ludzkie odruchy.

– Ona nie żyje... A jego nie ma! – krzyknęła z płaczem Małgosia.

– Co? Kto nie żyje? Co się stało?

Inspektor przeraził się nie na żarty. Chodziło przecież o rodzinę. Jego dłonie zaczęły się trząść.

– Mama... Mama nie żyje. Potrzebuję cię... – Łkanie córki zagłuszało praktycznie każde słowo, lecz Feliks słyszał ją wyraźnie.

– Justyna? Ona...? – Głos mu się łamał na samą myśl o tym, co mogło się stać.

– Tak! I nie ma go... Nie ma Alana! Szukałam wszędzie... Nie mogę go znaleźć... Nie wiem, co mam robić!

Kobieta nie potrafiła się uspokoić, a Feliks miał wrażenie, że sam się zaraz rozsypie.

– Poczekaj, powiedz mi, co się stało. – Usiłował zachować rozwagę i opanowanie, ale jego myśli wirowały w szaleńczym tempie.

I nagle... zrozumiał. Chłopak był podopiecznym Poli, miał czarne włosy i zielone oczy.

– Zawiozłam go do matki, tak jak powiedziałaś... Posłuchałam cię – mówiła zrozpaczona Gosia.

– Wiem. To była dobra decyzja... – stwierdził bez przekonania Struner. Jak, kurwa, dobra? Przecież i tak nie uniknął porwania, pomyślał równocześnie w duchu z poczuciem winy.

– Przyjechałam, żeby go odwiedzić, do mamy. I... ona... ona... ona... nie żyje! Leży tu sama... bez swojego uśmiechu... – Małgorzata już nie płakała, ale jej głos ciągle drżał.

– Czekaj... Jesteś tam? Jesteś u niej w domu? Sama?

– Tak. Nie umiem jej tak po prostu zostawić. Co mam robić?!

W jej głosie rozbrzmiewała bezradność. Feliks usłyszał, jak córka opadła na ziemię.

– Posłuchaj mnie. Nie martw się Alanem. Odnajdę go i obiecuję, że wróci do ciebie cały i zdrowy, przysięgam – zapewniał ze spokojem, choć szalało w nim mnóstwo emocji.

– Proszę cię, zrób wszystko... co będzie konieczne, tylko niech on do mnie wróci – zaszlochała Gosia.

– Obiecuję.

– Mam zadzwonić na komendę?



– Nie! Znaczący... nie tutaj. Zgłoś to, ale do Poznania. Nie mogę powiedzieć dlaczego, ale tak zrób. I nie wierz w to, co tam usłyszysz. Nie pytaj o nic, po prostu zrób, co mówię, proszę. To ważne, bardzo ważne.

– Ojczy... dlaczego moje dziecko? – zapytała w końcu Małgorzata.

Pytanie, którego Feliks bał się jak ognia.

– Nie wiem... – skłamał.

Po chwili do niego dotarło, że przecież Maria wiedziała, gdzie jego córka miała wywieźć Alana.

– Maria... – powiedział cicho, nie zdając sobie sprawy, że wypowiada jej imię na głos.

– Co? – Małgorzata pociągnęła nosem.

– Nic, zrób, jak prosiłem. Odnajdę go.

Rozłączył się. Słowa nie były już potrzebne, przyszedł czas na czyny.

Trzymał w dłoni telefon, a jego palce nieświadomie zacisnęły się na urządzeniu. Dopiero gdy usłyszał pęknięcie szybki, rozluźnił nieco uchwyt. Wybrał numer aspiranta.

– Halo, pan Struner?

– Tak. Słuchaj, musisz mi pomóc – wydyszał Feliks, gdyż biegł schodami ile sił w nogach.

– Pomóc? Nie wiem, czy będę w stanie... – odparł dziwnym tonem Marek.

– Co? Nie, słuchaj, to nie Pola Litt jest mordercą...

– Wiem – bąknął ciągle zdziwiony policjant.

– Wiem, kto nim jest... – Słowa inspektora przerywał głośny oddech.

– Gdzie pan jest?

– Nieważne. To Maria Lipan jest mordercą, a jeśli nie ona, to na pewno go kryje.

– Kto? – zdumiał się Maciejczyk.

– Maria.

Feliks wsiadł do auta. Rzuciła mu się w oczy otwarta teczka, a w niej...

Drugi dokument. Ostatnia wskazówka od Poli Litt-Górzak. Cokolwiek próbowała zbadać przez ostatnie lata, to był efekt jej pracy. Plany budynku, projekt posiadłości rodziny Trodalów. Feliks przypomniał sobie, jak kiedyś oglądał to wszystko z Marią. Nie znaleźli tam nic ciekawego, jedynie potwierdzenie wielkiego bogactwa rodziny. Dokument, choć był niemalże identyczny, posiadał coś jeszcze. Dopisek: „znalezione w posiadłości”. Charakter pisma mógł wskazywać na kobietę, więc Struner założył, że to notka Poli. Na dole kartki znalazł się niewyraźny bazgroł, jakby psycholog chciała coś dodać, ale ostatecznie wyszedł z tego nierówny szlaczek. Trochę czasu zajęło inspektorowi odczytanie planów. Coś, co najpierw uznał za parter, wcale nim nie był. Piwnica czy podziemia – cokolwiek zobaczył, nie było tego w planach, które przeglądał dawniej z partnerką.

– Maria... – szepnął. „To ona przyniosła rozkład posiadłości w dziewięćdziesiątym trzecim”, przemknęło mu przez myśl.

– Halo?! Jest pan tam? – krzyczał do słuchawki Marek Maciejczyk.

– Tak... Chyba wiem, gdzie mogą być dzieci – odpowiedział zamyślony Feliks.

– My też wiemy...

– Co? – Śledczy prawie się zakrztusił.

– Nie powinienem z panem rozmawiać... – stęknął zmieszany policjant.

– Nie! Musisz, słuchaj, musisz! Potrzebuję twojej pomocy! Mój wnuk... – Struner zawahał się. – Mój wnuk wczoraj zaginął.

Nastąpiła krótka chwila ciszy.

– Znaleźliśmy dziś dwie zaginione dziewczynki. Agnieszkę Lisowską i Magdę Sajno. Wszyscy znamy tu miejsca zbrodni z dziewięćdziesiątego trzeciego roku... Znaleźliśmy je przy tych samych drzewach co poprzednie ofiary.

– Nie żyją...?

– Tak, ale jest różnica. Brakuje pluszowych misiów... Dziewczynki są przywieszane bezpośrednio do gałęzi drzew. Mój partner jest na drugim

miejscu zbrodni, przysłał mi zdjęcia – wyjawiał Marek, jakby się tłumaczył ze swojej wiedzy.

– Co jeszcze się różni? – Feliks odpalił auto.

– Krew... Skoro nie ma pluszowego misia, spływa z rąk po całym ciele. Nienaturalnie szybko... – mówił drżącym głosem aspirant. – Obie są przebrane za jakieś księżniczki, nie znam tych postaci. Ale są w sukniach i koronach.

– Wzywaliście kogoś? – dopytał inspektor.

– Tak, pomoc z Poznania już jedzie. Nie powinienem tego mówić. W ogóle nie powinienem z panem rozmawiać, bo...

Struner pomyślał, że Maciejczyk ma rację. Maciejczyk rozmową z nim wiele ryzykował.

– Jestem podejrzanym? – dokończył Feliks. – Wiem. Wcześniej Pola, teraz ja. Wrabiają nas...

– To nie wszystko – dodał aspirant. – Wczoraj zgłosił się na komendę dyrektor naszej szkoły. Oskarża pana o pobicie.

– Co?! On kłamie. Pobicie? To jakaś paranoja, nawet go nie dotknąłem! To Ma... – Inspektor uciął w połowie słowa, zrozumiałwszy sytuację. Wszystko, co robiła Maria, kierowało palce oskarżycieli w jego stronę.

– Widziałem dyrektora. Wyglądał na dość mocno poturbowanego. Jedno oko było wręcz niewidoczne na skutek opuchlizny.

– Posłuchaj mnie, nie możesz nikomu ufać, zwłaszcza tym, którzy mają powiązania z dziewięćdziesiątym trzecim. Wszyscy mogą być zamieszani, dlatego dzwonię właśnie do ciebie. Nie było cię tutaj w latach dziewięćdziesiątych, nie jesteś zatruty przez to miasto, tych ludzi i tamte wydarzenia – tłumaczył Struner.

– Co mogę zrobić? – spytał Maciejczyk.

Feliks słyszał to w głosie młodego funkcjonariusza – przekonał go.

– Dopilnuj, żeby dwóch policjantów z Krakowa, którzy pojawiają się z innymi, poszło do dawnej posiadłości rodziny Trodałów.

– Co? Dlaczego tam? – zdziwił się Marek.

– To nad jeziorem Biezdruchowo pojawiła się w dziewięćdziesiątym trzecim roku czwarta ofiara i jeśli wszystko, co mam, jest prawdziwe, to na terenie posiadłości znajdują się podziemia, korytarze... Nie było ich na oficjalnych planach budynku. W domu nie ma do nich żadnego wejścia, ale podziemia istnieją i myślę, że to tam przetrzymywane były dzieci, a teraz tam jest też... – Strunerowi załamał się głos. – Tam właśnie jest mój wnuk.

– Jest pan pewien?

– Nie... Ale tylko ten ślad mi pozostał. Ludzie giną, a ja nic nie mogę zrobić. Wszystko dzieje się szybciej niż dwadzieścia pięć lat temu. Znacznie szybciej. – Feliks zamyślił się na moment. – Jeśli jest cień szansy, że te podziemia istnieją, to muszę je sprawdzić.

– Niech pan poczeka... Przecież wtedy były trzy ofiary i trzy pluszowe misie. Dlaczego wspominał pan o czterech? I dlaczego teraz pierwsza ofiara pojawiła się na rynku?

Maciejczyk zadawał celne pytania.

– W dziewięćdziesiątym trzecim roku była jeszcze jedna dziewczynka. Przegapiłem ją, bo została porwana już po złapaniu Mariusza Witka... I ktoś świetnie zatuszował jej zniknięcie. Gdyby nie stara kobieta na rynku, w ogóle bym się o niej nie dowiedział.

Śledczy starał się powściągać emocje, lecz po tych słowach go trafiło. Przecież na rynku przesłuchiwał kobietę razem z Marią. Jeśli to ona zabijała, wiedziała, co się stało z Anielą Rygiel, a jej matka była kolejnym tropem do zatuszowania.

– Słuchaj, Marek, jedź na rynek! Sprawdź mieszkanie Róży Rygiel. Mam złe przeczucia.

– Róży Rygiel...?

– To matka zaginionej, ostatniej ofiary z dziewięćdziesiątego trzeciego. Myślę, że może być w niebezpieczeństwie. Wszyscy powiązani z tamtymi wydarzeniami po kolei giną...

– Co się stało z jej córką?

Po brzmieniu głosu Maciejczyka można było wywnioskować, że zaczął biec. Sekundę później Feliks usłyszał trzask zamykanych drzwi.

– Została zamordowana przez Zabawkarza. I nie... to nie był Witek. Myślę, że znaleźlibyśmy jej kości zakopane przy wierzbie płaczącej na rynku. Myślę też, że te drzewa coś znaczą... Muszą – dodał inspektor w zamyśleniu.

– Jadę do niej. A później dołączę do pana, rozwiążemy tę sprawę – zapewnił aspirant.

– Zadzwoń, jak do niej dojedziesz. Przypuszczam, że gdzieś na posesji jest wejście do podziemi. Ja poszukam w środku domu.

Feliks przerwał połączenie. Po paru minutach cisza w jego aucie zaczęła mu przeszkadzać. Samotność w takich chwilach była brzemieniem, które niełatwo dźwigać. Potrzebował kogoś obok siebie, ale był sam, zawsze sam. Ciężki oddech znów przywołał ciemne plamki przed oczyma. Ciepło, które klóciło się z porą roku, było nie do wytrzymania. Uchylił okno, lecz zimne powietrze z dworu wydawało się gorącym letnim wiatrem.

Wszystko, co dzieje się w tym mieście, jest związane z tą rodziną – rozbrzmiał w jego głowie znajomy głos. Słowa wypowiedziane przez Polę Litt przed jej śmiercią mogły okazać się prawdziwe. Czuł, że w podziemiach posiadłości znajdują się odpowiedzi na wszelkie pytania. A oprócz tego – że odpowiedzi te mogą mu się nie spodobać.

Maria usuwała ślady, ale robiła to coraz bardziej niechlujnie. Samobójstwo Poli musiało być dla niej niespodzianką, jej kozioł ofiarny wyszedł przed szereg, zanim zdążyła popełnić wszystkie zbrodnie. Feliks układał w całość historię tajemniczych morderstw. Odkrył już swoje zadanie, rolę, jaką miał spełniać. Był zapasowym kozłem. Gdyby coś poszło nie tak, jego powiązania z Zabawkarzem, list od prokuratury, pluszowy miś trzymany w jego mieszkaniu przez dwadzieścia pięć lat wskazywałyby na niego. A kto dzięki temu byłby wolny od podejrzeń? Maria oraz ci, których chroniła, bo na pewno stali za nią inni, bardziej wpływowi ludzie. Bardziej chorzy od niej.

Może to nie ona mordowała dzieci, ale to ona była współodpowiedzialna za ich los. Struner nie potrafił jej wybaczyć. Zdecydował: jeżeli będzie musiał, pociągnie za spust. Zabije ją z zimną krwią. Tacy ludzie jak ona nie powinni stąpać po tej ziemi.

– To ludzie są źli... Nie ma diabła – mruknął do siebie.

Przez całą drogę do lasu, gdzie znajdowały się ziemie Trodalów, jego wzrok uciekał ku ciemnej skórzanej księdze. To ona pozostawała niewyjaśnionym elementem.

I takim miała pozostać. Kto normalny zna język starogermański? Co prawda, Wielkopolska należała do zaboru pruskiego, a książka wyglądała, jakby pochodziła z tamtych czasów. Czy nawet starszych... Nieważne, nie była istotna.

Feliks dojechał na skraj lasu, gdzie rozciągały się tereny rodziny Trodalów. Rodziny, której koniec nastąpił przed dwudziestoma pięcioma laty.

Podążał dobrze mu już znaną ścieżką. Szedł nią dopiero trzeci raz, a wydawało mu się, jakby to właśnie ona była jego życiową drogą. Jakby to tutaj znajdowało się jego przeznaczenie. Uczucie to pogłębiało jego niepokój. Nie odczuwał lęku, lecz odnosił wrażenie, że z każdym krokiem trudniej będzie mu wrócić do życia sprzed serii morderstw. Jednak musiał iść dalej, gdyż to od niego zależało, czy syn jego córki będzie mógł przeżyć własne życie, czy odbierze mu je Zabawkarz.

Znalazłszy się przy bramie, minął ją, nie zwracając uwagi na wbite w ziemię metalowe elementy. Im bliżej był ruiny posiadłości, tym mocniej czuł, jak jego krtań się zaciska. Powietrze, nawet to leśne, wydawało się nie do wytrzymania. Uderzył w niego ogrom ciepła, a na całym ciele pojawiły się krople potu. Delikatny wiatr powodował nieprzyjemne drgawki. Było mu gorąco i zimno zarazem, nie mógł oddychać. Czarne plamki były niczym celownik, zasłoniły wszystko, co było wokół, zostawiając widoczność jedynie na posiadłość. Feliks tym razem się nie skradał, nikogo nie śledził, więc wszedł bez pardonu do domu. Zamierzał powstrzymać mordercę, który zapewne się go spodziewał. Jeśli to Maria, wiedziała,

musiała wiedzieć, że partner był blisko. Zdawał sobie sprawę, że spodziewano się go tego dnia.

Nie zajrzał do salonu, ruszył od razu na piętro. Mijając po drodze zniszczone obrazy, miał wrażenie, że cała rodzina Trodalów obserwowała jego kroki. Stopnie – jak to w starym i zniszczonym domu – skrzypiały w swój unikalny sposób, jakby grały melodię życia. Dźwięki te wydawały się Feliksowi znajome, choć nigdy nie wchodził na piętro tego domu. Korytarz rozgałęział się w dwie strony. Na podłodze leżał zakurzony dywan, a ściany obdarto z tapety. Większość pokoi była pusta, a drzwi do nich zabite deskami. Inspektor sprawdzał je wszystkie. Odnalazł dwa pokoje, których drzwi były otwarte na oścież, jakby zapraszały go do środka, jakby czekały na oczekiwanego gościa, który odkryje ich tajemnice. Mężczyzna bez wahania wszedł do pierwszego z nich.

Był mały, ale tylko w porównaniu do reszty pomieszczeń w posiadłości. Zimny, odpychający – ciemne ściany i jedno małe okienko powodowały, że zawsze panował tu mrok. Na samym środku stały dwie kołyski. Zostały wykonane z drewna, z pewnością na zamówienie. Feliks podszedł do nich. Dotknął dłonią brzegu. Złuszczająca się farba przylgnęła mu do palców. Koyski były puste, nie licząc małych poduszek. Na obu zagłówkach widniał ten sam napis: „Bliźniaki”.

To nie mógł być pokój Anny. Była jedynaczką, a przynajmniej tak mówiły rodzinne akta.

Struner wyciągnął skrawek gazety, który dała mu Pola. „Nieślubne dziecko Trodalów” – tak głosił nagłówek. Czy to prawda? Czy Edmund Trodal faktycznie miał jeszcze jakichś potomków? Dlaczego śledczy nie słyszał o tym dwadzieścia pięć lat wcześniej? Ta informacja mogła wszystko zmienić. Albo nic...

Feliks wyszedł z pokoju, trzymając w ręku wycinek z gazety. Ostatnie pomieszczenie znajdowało się na końcu korytarza, a jasne światło wręcz zapraszało, by wstąpić do środka. Serce inspektora biło coraz szybciej, gdy zbliżał się do otwartych drzwi. Przekraczając próg, zacisnął palce na swojej broni.

Jasne barwy ścian dawały poczucie cieplej atmosfery. Chyba jedynie tutaj stały ładne i zadbane meble. Pokój był niczym kopia salonu z parteru, lecz znacznie pomniejszona i pozbawiona trofeów. Mała biblioteczka, kominek, zdobiony stolik i fotel. Na stoliku książka. Kiedy Feliks wziął ją do ręki, okazało się, że to pamiętnik. Pierwsza strona zdradziła autora zapisków: Edmund Trodal.

Inspektora nie interesowały młodzińcze lata, wertował więc kartki, aż znalazł rok pięćdziesiąty piąty oraz krótki wpis:

„Niedługo zostanę ojcem. Nikt o tym nie może wiedzieć. Moja żona mi wybaczyła, ale nie wiem, co stanie się z dzieckiem. Arystokrata i służąca? Dziewka, która mnie uwiodła, by zdobyć bogactwa tej rodziny. Nie, nie zdobędzie. Gdy tylko urodzi...”

Była też druga notka:

„Bliźniaki. Dziewka urodziła mi bliźniaki, chłopca i dziewczynkę. Moja żona nawet się cieszy, ja też... Może z nami zostaną, ona tego chce. Tymoteusz poprzysiągł milczenie, a poród w domu nie zostawia śladów, tak jak by to było w przypadku morderstwa”.

I jeszcze jeden zapisek:

„Minęły trzy miesiące, dzieci przestały być karmione piersią. Teraz mogę się jej pozbyć... Możemy. Moja kochana Felicja chce mi w tym pomóc. Robimy to dla naszych dzieci”.

Kilka pustych kartek. Brak informacji o knowaniach Edmunda.

W roku sześćdziesiątym trzecim pojawiły się następne wpisy.

„Felicja jest w ciąży, nareszcie! Staraliśmy się o dziecko od czasu pojawienia się bliźniaków. Coś się zmieniło. Odkąd wiemy o nowym potomku, przestała traktować bliźniaki jak swoje dzieci. Jest sucha i oziębła. A może to po prostu przez ciążę?”.

A w sześćdziesiątym czwartym...

„Pojawiła się! Jest moja córeczka. Jaka ona piękna. Tak bardzo podobna do mamy, kocham ją najbardziej na świecie. Anna, piękna i drobna, mój skarb”.



„Felicja jest dobrą matką, ale tylko dla Anny. Bliźniaki są coraz częściej zamykane w pokoju, pozostawiane same sobie. To moja wina. Gdybym nie przespał się z tamtą dziewczką, dziś byśmy byli piękną i szczęśliwą rodziną”.

„Ojciec przekazał mi kiedyś pewną tradycję. Naszą rodzinną tradycję. Moja żona też o niej wie. Zgodziła się na jej respektowanie. Coraz częściej napomyka, żeby to bliźniaki były... Ale czy wystarczy mi sił, aby wypełnić przeznaczenie? Od tego zależy mają losy tej rodziny, tego miasta”.

Rok sześćdziesiąty ósmy przyniósł nowe zapiski.

„Zbliża się październik... Moja misja. Nie wiem, co robić.

Anna jest już śliczną dziewczynką, a bliźniaki... coraz starsze i niesforne. Moja żona ich nienawidzi, wspominała o tym... Powiedziała im to nawet prosto w oczy. Ból na ich twarzach, gdy usłyszały, że matka ich nie kocha... Straszne... Tyle że to nie jest ich matka.

Muszą przetrwać... Ale czy im się uda? Felicja ciągle na mnie naciska, chce, by to właśnie one były...”.

Feliks przewrócił kolejną stronę pamiętnika, lecz w tej samej chwili rozdzwonił się telefon. Spojrzał na ekran. Aspirant Maciejczyk.

Odebrał.

– I co? Byłeś u niej? Na rynku? – rzucił od razu Struner, jakby został obudzony z transu, w którym się znalazł, czytając wspomnienia Edmunda.

– Tak, właśnie wyszedłem z mieszkania. Musiałem zadzwonić po wsparcie...

– Co się stało? – zapytał inspektor, mimo że znał odpowiedź.

– Pani Róża Rygiel... nie żyje.

– Opowiadaj.

Stary glina schował dziennik Trodala do kieszeni kurtki, po czym wyszedł z pokoju. Kolejna śmierć. Czas i morderca zbierali swoje żniwo, a on czytał pamiętnik... Ogarnęła go niepoohamowana złość.

– Pojechałem do niej, jak pan kazał. Już na klatce poczułem dość mocny odór... Nie mamy tu zbyt wielu spraw kryminalnych, ale wiedziałem, co to za zapach. Pobiegłem do mieszkania. Była tam. Leżała na podłodze

w pokoju swojej córki... – W głosie Maciejczyka dawało się usłyszeć, jak bardzo wstrząsnęło nim to, co zobaczył. – Zastałem masakrę. Chyba nie było organu, który nie zostałby przebity nożem. Miała porozcinane wszystkie żyły, a wokół niej... tylko krew. – Przez telefon przedzierały się ciężkie szmery przyspieszonego oddechu młodego policjanta.

– Spóźniliśmy się... – stwierdził Feliks, skrywając targające nim emocje.

Umiejętnie panował nad gotującym się w nim gniewem, bo chciał go zachować na spotkanie z Marią. Miała poznać jego mroczne oblicze.

– Jakies dwa dni. Krew była zaschnięta, a odór zbyt mocny jak na świeże ciało... Ktoś ją zamordował około dwóch dób temu. Och, ten straszny smród!

– Dwa dni? Może jeszcze wcześniej? – zastanawiał się inspektor. – Kurwa, ja z nią rozmawiałem pierwszego dnia...

– No właśnie, dlatego też dzwonię. Porozmawiałem z jej sąsiadem. Twierdził, że widział wyłącznie pana, i to właśnie kilka dni temu, a ogólnie to nikt jej nie odwiedzał. Samotna z niej była staruszka.

– Oczywiście wszystko wskazuje na mnie – podsumował Feliks.

– Tak, niestety... Jest pan na miejscu?

– Jestem, ale nie znalazłem wejścia do piwnicy. Jak gdyby te podziemia nie były częścią posiadłości. Dziwne. Plany jasno wskazują, że coś gdzieś tu jest.

– A może... – zaczął aspirant. – A może stary bunkier...

– O czym ty mówisz? – Inspektor aż drgnął.

– Na wschód od majątku, kilometr, jak myślę, jest stary bunkier, taki sprzed wielkiej wojny. Nikt nie wie, kto go zbudował, ale znajduje się niedaleko posiadłości i podobno rozciąga się pod ziemią.

– Stary bunkier? To w chuj ważne! Dlaczego dopiero teraz o tym słyszę? – zdenerwował się stary gliniarz.

– Jest zamknięty na jakiś łańcuch czy coś... Nikt nie ma tam wstępu. Zabytek chyba... Ale może prowadzi pod posesję, jak na tych planach?

Feliks nie słyszał już słów Marka, bo zdążył się rozłączyć.

Zamknięty bunkier? To musi być to.

Wyciągnął z kieszeni klucz, który znalazł w skrytce pocztowej. Był stary, delikatnie zardzewiały.

– Na pewno. Musi tam pasować... – mruknął pod nosem Struner, po czym wybiegł z posesji.

Kierował się na wschód, jak zalecał aspirant Maciejczyk.

Znów czuł, jak jego oddech robił się ciężki, i znów nie wiedział dlaczego. Im bliżej był sedna tej sprawy, im bardziej się w nią angażował, tym częściej jego oczy przysłaniały ciemne plamki. Dyszał mocno i głośno... Gdyby ktoś go śledził, skradał się za nim, jego oddech zdradziłby go w sekundę. Zawładnęło nim męczące zdenerwowanie. Był gotów, aby zastrzelić ekspartnerkę, ale mimo to czuł niechęć przed naciśnięciem spustu.

– Bliźniaki... Bliźniaki... Co za, kurwa, bliźniaki?!

Maria otrzymała ziemię od Edmunda Trodała. A co, jeśli majątek to nie zapłata za morderstwa? Albo za ich tuszowanie? Co, jeśli Maria była córką... Przecież wspominała mu jedynie o swoim bracie. A jeżeli to właśnie oni są dziećmi z nieprawego łoża?

Sposób, w jaki zamordowano chłopca, wskazywał, że istnieje więcej niż jeden morderca. Pola mówiła przed śmiercią to samo...

Wreszcie dotarł na miejsce. Po kilku minutach błąkania się w lesie zauważył kamienne wejście. Podeszedł do niego ostrożnie. Choć plamki przed oczami przeszkadzały mu dojrzeć, co jest wokół, na jednym z kamieni spostrzegł znak rodziny Trodałów.

Nie miał wątpliwości, to musiało być szukane przez niego wejście. Na ziemi leżał żeliwny łańcuch, a stalowe kraty zostały uchylone. Ktoś był w środku... Feliks wiedział kto. Musiał uważać. Nawet jeśli Maria znajdowała się na końcu tunelu, to gdzieś w pobliżu musiał być jej brat. Zanim zrobił pierwszy krok w głąb pobiedziskich podziemi, jego oczom ukazała się jakaś postać. Przez moment myślał, że była prawdziwa, lecz zniknęła tak szybko, że stracił tę pewność. Zjawą była ubrana na czarno,

w długie szaty. Nie widział ani jej oczu, ani twarzy. I tak po prostu zniknęła. Podobnie jak Feliks, który zszedł schodami w ciemny korytarz. Mogło mu się wydawać, że coś widział. Nie, musiało mu się wydawać. Bez wątpienia miał zwidy. Lecz zanim znalazł się na dole, usłyszał dziwny głos... Początkowo sądził, że to tylko głos w jego głowie, ale ten był inny. Brzmiał bardziej realnie.

– Zawiodłeś... Zawiodłeś nas wszystkich.

Te same słowa rozbrzmiewały jeszcze przez kilka sekund, a następnie wszystko ucichło.

Feliks znalazł się w ciemnym korytarzu podziemi.

Na ekranie telefonu pojawił się komunikat: brak zasięgu. Struner włączył latarkę, która odsłoniła kamienne ściany. Głuchą ciszę przerywały spadające na betonową posadzkę krople oraz kroki inspektora. Każdy budził echo, które wracało do niego jak bumerang. Wciąż spoglądał za siebie, czy nikt nie czai się za jego plecami. Echo igrało z jego wyobraźnią, a ciężkie powietrze sprawiało, że plamki rozmnażały się w zastraszającym tempie. Feliks trzymał przed sobą wycelowaną broń, szedł gotowy do oddania strzału.

Raptem przystanął. Zaczynały go opuszczać siły, oparł się więc o kamienny mur, lecz niechcący upuścił przy tym telefon, który rozpadł się na części. Korytarzem zawładnęła ciemność. Pomimo uderzeń gorąca i ciężkiego powietrza, które miało problem, by przedostać się do płuc, poczuł chłód ściany, co dodało mu otuchy. Ruszył do przodu, kurczowo trzymając się wystających kamieni.

Mrok, niezbadany i ciągnący się w nieskończoność mrok. Nigdy nie wzbudzał w nim lęku, nawet w dzieciństwie nie bał się ciemności. Wręcz przeciwnie, zawsze go ciekawiła, intrygowała. W domu dziecka zawsze był pierwszym, który odważnie sprawdzał, czy pod łóżkiem albo w szafie nie czai się potwór. Wspomnienie to pojawiło się nagle – w upiornym korytarzu, zdającym się nie mieć końca. Wspomnienie, kiedy jako trzynastoletni chłopiec pomagał zasypiać innym. Pomagał im uporać się z potworami z szafy. Robił to od zawsze – pomagał innym. Tak jak teraz

szedł, by pomóc wnukowi, swojej córce. To dla niej został policjantem i dla niej odkupi swoje winy sprzed lat. Zamknie prawdziwego mordercę, a później przyzna się do wrobienia Mariusza Witka. Nareszcie stanie się człowiekiem, którego podziwiała i który był jej bohaterem. Znajdzie w sobie odwagę z dzieciństwa, aby córka znów mogła nazwać go ojcem i się tego nie wstydzić. Aby znów być dla niej ojcem.

Myśli o tym pomogły mu oddychać i odpędziły ciemne plamki. Poczul spokój i pewność siebie, stawiał coraz większe kroki, które stawały się też szybsze, jakby nie mógł się doczekać ostatniego spotkania z odpowiedzialną za wszystkie pobiedziskie tragedie kobietą. Im dalej szedł, tym mniej miał obaw, aż dojrzał na końcu korytarza małe światełko. Delikatne żółtawe światełko.

Pozwoliło mu na odsunięcie się od ściany. Gdy to zrobił, uderzył w coś znieścacka – w nic wielkiego, odleciało od niego, potoczyło się trochę dalej i odbiło od kamiennej ściany. Feliks, idąc do światła, spojrzął pod mur i wyteżył wzrok. Kość. Wyglądała na ludzką...

Nie była jedyna, w trakcie drogi pojawiała się ich więcej. Żółtawe światło coraz mocniej oświetlało tunel i w pewnym momencie bez wysiłku dojrzał na ziemi parę kości obok siebie. Rozpoznał kręgosłup, kilka żeber, kości z ręki i nóg. Było ich wiele, możliwe, że należały do więcej niż jednej osoby. Przystanął. Obok leżały ubrania. Wyglądały na takie, które dawno temu wyszły z mody. Feliks zaczął w nich myszkować. Znalazł nóż, bliźniaczo podobny do tego, który wypadł z pluszowego misia w jego mieszkaniu.

To nie wszystko... Z jednej kieszeni damskiego zakietu wyciągnął skórzany portfel, bardzo zniszczony. Otworzył go. Był prawie pusty, bez pieniędzy, pozostał w nim zaledwie dowód osobisty na nazwisko... Marii Lipan. Zdjęcie było czarno-białe, a dokument nie przypominał tych wydawanych teraz w urzędach. Inspektor spojrzął na datę ważności – minęła przed dwudziestoma laty. Jeszcze jedno musiał zobaczyć, jeszcze jedna data go interesowała. Urodziny kobiety. Zarzekała się, że jest młodsza, lecz dokument zdradził jej kłamstwo sprzed lat. Maria Lipan – urodzona w pięćdziesiątym ósmym roku. „A więc fałszywy dowód, hmm?”

pomyślał Struner, pamiętając, że bliźnięta Edmunda Trodała urodziły się w pięćdziesiątym piątym.

A czyje były te kości? Ich wielkość wskazywała na osobę dorosłą. Mogła to być kochanka Edmunda. Te szczątki również kryły w sobie tajemnicę. W dodatku pośród nich znajdowały się mniejsze, znacznie mniejsze kości. Dziecięce.

Tylko jedna osoba mogła zerwać wszystkie kurtyny śmiertelnego teatru i pokazać prawdę, której szukał. Ta osoba czekała na niego całkiem niedaleko, tam, gdzie błyskało światło. Tam, gdzie spodziewał się znaleźć swojego wnuka. Kobieta, której dokument sprzed lat trzymał właśnie w dłoni. Tam czekał koniec.

Im bliżej był światła, im więcej kroków stawiał, tym bardziej odnosił wrażenie, że już odwiedzał to miejsce, że kiedyś tu był i... że nigdy stąd nie wyszedł, że zostawił tutaj jakąś część siebie, dawno temu... Czuł niepokój i dreszcze. Chociaż jego oddech zaczął się wyrównywać, ciepło nie dawało za wygraną, uderzając w niego coraz mocniej – mimo zimna i wilgoci panujących w podziemiach. Znowu przed oczami pojawiły mu się ciemne plamki i zaczęły wypełniać pole widzenia. Jakby ktoś chciał zamalować straszną rzeczywistość, która go czekała. Jeszcze jeden krok, jeszcze jeden...

W końcu ujrzał pomieszczenie oświetlone licznymi żarówkami, zwisającymi luźno z sufitu na kabelkach. Światło odbijało się od gładkich ścian, do których przytwierdzono lustra. Całe pomieszczenie wypełniono lustrami. Mężczyzna dojrzał w nich przerażoną twarz. Nigdy wcześniej nie widział siebie w takim stanie.

Lustra odwróciły jego uwagę od tego, co było ważne. Otrząsnął się z szoku i wówczas na starannie wyłożonej płytkami podłodze spostrzegł chłopca. Leżał na kocu i małej poduszce – spał. Feliks pochylił się nad nim, przyłożył ucho do jego ust. Dziecko oddychało. Miało silny i stabilny oddech, co uradowało śledczego. Wypuścił nieświadomie wstrzymywane podczas oględzin chłopca powietrze. Rozejrzał się wokół – nie było kroplówki, ale znalazł jedną strzykawkę. Była pusta.

– Co ona ci podała? – szepnął, sprawdzając puls dziecka.

Odchylił mu powieki, nie dostrzegł w oczach niepokojących zmian.

– Chyba raczej... co ty mu podałeś – usłyszał za plecami cichy głos.

– Nie, nie wrobisz mnie w to... Nie w to – odparł pustym, pozbawionym emocji głosem.

– Och, mój drogi Feliksie, kiedy ty to wreszcie zrozumiesz?

– Nie chcę cię zrozumieć.

Inspektor podniósł się wolno.

– Ale jesteś już tak blisko... Tak blisko prawdy.

– Czyjej prawdy?

Gliniarz zobaczył w odbiciu Marię. Trzymała pistolet wymierzony w jego plecy.

– Nie odwracaj się! – rozkazała twardym tonem, lecz na jej twarzy cały czas gościł uśmiech. – Nie teraz, nie, dopóki ze mną nie porozmawiasz – dodała delikatnym, wręcz melodyjnym głosem.

– Porozmawiajmy zatem, Mario Lipan. Czy może powinienem powiedzieć: Mario Trodal?

– Ooo... może wiesz więcej, niż się spodziewałam. Dobrze, bardzo dobrze. Co jeszcze? Co jeszcze masz dla mnie? O czym myślisz? – pytała, wyraźnie podekscytowana.

– Zabiłaś te dzieci? – Struner zignorował jej zachowanie, co ją ewidentnie zasmuciło. – Trzy dziewczynki teraz? I czwórkę dzieciaków wtedy? Aniela Rygiel, zaginiona w dziewięćdziesiątym trzecim roku, to też ty? – indagował ostro.

Kobieta milczała. Wpatrywała się w niego, obserwując nawet najmniejsze drgnienie Feliksa. Czuł, jak kontroluje każdy jego ruch.

– Tak i... nie – odparła zagadkowo. Uśmiech na jej twarzy budził w inspektorze gniew. – Tak dobrze ci idzie... Dalej, powiedz, przecież to wiesz.

– Twój brat? Razem mordujecie?

Oczy Marii rozbłysły. Uraczyła swojego więźnia kolejnym uśmiechem – odrażającym i miłym zarazem, przerażającym i pełnym ciepła.

– Tak. Tak.

– Gdzie on jest?! – krzyknął Feliks.

– Jest tutaj...





## Rozdział 12

# Bliźniaki

Aspirant Maciejczyk przyjechał na rynek, tak jak polecił mu starszy stopniem kolega po fachu. Drzwi do kamienicy były otwarte – wszedł bez wahania. Już po pierwszym kroku poczuł straszliwą woń, zapach, który znał, ale nigdy nie czuł go aż tak intensywnie. Policyjne szkolenie wypracowało w nim pewne automatyczne zachowania – jak choćby sięgnięcie po broń, gdy do jego nozdrzy docierał unoszący się wokół odór zwłok.

Był pewien: taki smród wydzielają jedynie zwłoki. Czuł go tylko raz w swojej krótkiej jeszcze wtedy karierze, kilka lat temu, kiedy w pobiedziskim lasku odnaleziono samobójcę. Według lekarza medycyny sądowej wisiał prawie dwa dni, a jego ciało zaczęło rozsiewać nad wyraz nieprzyjemną woń. Fetor, który nawet na świeżym powietrzu sprawiał, że wczorajsze śniadanie podchodziło do gardła, a co dopiero w zamkniętej kamienicy, gdzie nie mogły zadziałać zbawienne podmuchy wiatru.

Marek kroczył schodami na piętro. Potwornie skrzypiały, z każdym krokiem hałas stopni stawał się głośniejszy. Zmysły aspiranta były mocno wyczulone, a odór sprawiał, że wszystko czuł i słyszał w zwielokrotnionym natężeniu.

Stanął przy drzwiach od mieszkania, z którego wydobywał się przykry zapach. Zapukał, ale nie spodziewał się odpowiedzi, choć bardzo chciałby

ją usłyszeć.

– Policja! Otwierać – krzyknął.

Po raz kolejny cisza go nie zaskoczyła. Odrażająca woń zdradzała to, co już wiedział. Co czeka go za zamkniętymi drzwiami.

Wbił się w zniszczone drewniane drzwi mieszkania, by po chwili razem z nimi znaleźć się w środku. Bardzo go zaskoczyło, w jak dużym stopniu nie pozwalały na przedostanie się fetoru na zewnątrz. Aż cofnął się o krok, gdyż smród był prawie nie do wytrzymania. Zapach zwłok pomieszany ze starością i wilgocią.

Aspirant szedł korytarzem powoli, nie spieszył się. Był dobrym, ostrożnym policjantem, takim, który nie pozwalał, aby ktoś go zaskoczył tylko dlatego, że bezmyślnie ruszył do przeszukiwania miejsca zbrodni. Stał więc spokojnie, tak jak go uczono, broń trzymał blisko, by nikt mu jej nie wyrwał, ale też w taki sposób, by szybko mógł zareagować i oddać strzał. Książkowy funkcjonariusz.

Pierwsze pomieszczenie – czysto. Salon był pusty. Naprzeciw znajdowały się zamknięte drzwi – i Maciejczyk już wiedział. To zza nich wydobywał się ten ohydny zapach. Zobaczył wypływającą spod drzwi cienką czerwoną strużkę. Chwycił za klamkę – ustąpiły. Marek miał mocne nerwy, niełatwo go było przestraszyć, a jego żołądek wiele już wytrzymał. Lecz nie tym razem, nie wtedy, gdy jego oczom ukazały się zwłoki starszej kobiety.

Róża Rygiel.

Przylgnął do ściany korytarza, zanim zebrał się w sobie, by wejść do pokoju. Miał dziwne przeczucie. Nie chciał być sam na sam z tymi zwłokami, bał się tej pozbawionej życia kobiety. Mimo to wszedł, bo tak robi policjant. Wysłał wiadomość do partnera, który i tak miał pełne ręce roboty, a tu pojawiły się w małym miasteczku kolejne zwłoki.

Róża leżała na środku pokoju. Pozbawiono ją ubrań. Padła ofiarą wyjątkowo brutalnego mordercy. Ale także bardzo precyzyjnego. Zakrywając dłonią nos i usta, aspirant przyjrzał się ofierze. Ran było dużo, blisko siebie. Żadnego pchnięcia nożem nie wycelowano chyba w to samo

miejsce. Morderca chciał, by kobieta czuła jak najwięcej bólu. Młody policjant nawet nie próbował zliczyć wszystkich ran – było ich zbyt wiele. Od stóp przez uda, brzuch, piersi i twarz. Nie znalazł ani jednej części ciała, która nie zostałaby pocięta. Największe obrażenia widniały przy nadgarstkach. Morderca chciał mieć pewność, że ofiara się wykrwawi, straci życie i zamknie usta na wieki.

– O Boże... – Maciejczyk westchnął ciężko.

Spojrzał wreszcie na twarz kobiety, nie mógł tego dłużej unikać. Gdyby nie przekazane przez Feliksa informacje, nie potrafiłby powiedzieć, kim była zamordowana. Zmasakrowano i niemal całkowicie pozbawiono twarz skóry. Pośród krwi i mięsa, które zwisało z kości policzkowych, Marek dojrzał coś jeszcze. Mały kawałek metalu w ustach. Wyciągnął z kurtki długopis, by delikatnie odchylić żuchwę kobiety. Bał się, że zaraz odpadnie – trzymała się na ostatnich ścięgnach. W jej usta wbito mały nożyk. Przebijał język ofiary, docierając aż do drewnianej podłogi. Narzędzie zbrodni.

Młody funkcjonariusz miał ochotę wybiec z mieszkania i nigdy tam nie wracać. Pragnął zapomnieć o wszystkich tragediach, które rozegrały się przez ostatnie dni. Porwania dzieci, morderstwa, a teraz to, masakra nie zbrodnia, masakra... I to wszystko w spokojnym małym miasteczku w Wielkopolsce. W miejscu, gdzie nic takiego nie powinno się wydarzyć.

Wstał, choć jego nogi się uginały, jakby były z waty. Nie zerknął już nawet na kobietę. Nie był kryminalnym – i teraz widział wyraźnie różnicę między nim a Feliksem. Opuścił mieszkanie. Nic więcej dla tej kobiety nie mógł uczynić.

Postanowił porozmawiać jeszcze z najbliższym sąsiadem. Zapukał do drzwi, które szybko się otworzyły.

W progu stanął młody mężczyzna, wyglądał, jakby dopiero wstał z łóżka. Gdy poczuł docierający z klatki schodowej zapach, cofnął się o kilka kroków i wykrzywił w niesmaku usta.

– Co to, do cholery? – zapytał, zaciskając palcami nozdrza.

– Nieważne. Musisz mi pomóc – odparł Marek.

Nie przedstawiał się, bo stojąca przed nim osoba dobrze go znała, jak większość ludzi w mieście. Sam aspirant też kojarzył mężczyznę, nie do końca, ale trochę na pewno.

– Tobie zawsze... Co jest? – Sąsiad Róży mówił przez nos, starając się nie oddychać.

– Widziałeś może kogoś dziwnego? Kogoś nieznanego? Tutaj, na klatce?

– Wiesz, yyy, dzisiaj to przespałem pół dnia... Ale wczoraj... Albo może to było przedwczoraj?

– No? Kogo widziałeś?

– Nie pamiętam, jaki to był dzień, ale ktoś tutaj przyszedł... Do mnie też pukał, ale nie otworzyłem. Chuj wie, kto się teraz kręci po mieście, nie? – Sąsiad zaśmiał się cicho. – W każdym razie był to starszy facet, trochę przygruby jak dla mnie. Zielone oczy, siwe włosy, choć trochę też czarne... Mówił, że pies... ekhm, policjant. Tak, policjant po cywilnemu.

– Przedstawił się?

– Nie, chyba nie. A przynajmniej ja nie pamiętam.

– Dobra, wracaj do środka. Zaraz zrobi się tu tłoczno – nakazał aspirant, odwracając się od mężczyzny.

Począł przy lokum Róży, aż zjawił się jego partner. Nie mógł tak zostawić mieszkania, w którym doszło do zbrodni, z wyważonymi drzwiami. Każdy ślad był na wagę złota, a ciekawość ludzka nie zna granic, nie w takim miejscu. Poinstruował partnera, co ma robić, a ten bronił się z całych sił, by nie zostawać samemu w tym paskudnym odorze. Wyższy stopień wygrał i aspirant Maciejczyk opuścił spiesznie kamienicę. Spędził w niej niecałą godzinę, a czuł, jakby trwało to wieki. Chyba nigdy wcześniej świeże powietrze nie dawało mu takiej radości. Po kilku wdechach, które pozwoliły mu odzyskać jasność umysłu, chwycił za telefon.

Po krótkiej rozmowie, w trakcie której starał się wyjaśnić Feliksowi sytuację, zdenerwowany gliniarz wybuchnął:

– Stary bunkier? To w chuj ważne! Dlaczego dopiero teraz o tym słyszę?

– Jest zamknięty na jakiś łańcuch czy coś... Nikt nie ma tam wstępu. Zabytek chyba... Ale może prowadzi pod posesję, jak na tych planach?

Pik. Pik. Pik. Cisza. Struner się rozłączył.

Aspirant patrzył przez chwilę na ekran komórki. Nie wiedział dlaczego, ale powoli przestawał ufać inspektorowi. Policjant, którego wszyscy mieli podziwiać za sprawę sprzed lat, bohater, a teraz... to już nie ten sam człowiek. Wydawało mu się, jakby dochodzenie odcisnęło zbyt duże piętno na starym funkcjonariuszu. Tak czy owak – wiedział, gdzie znajdzie starego glinę. I wiedział, gdzie sam musi się udać.

– Aspirant Maciejczyk? – usłyszał głos za plecami.

– A kto pyta?

Młody mężczyzna obrócił się i zobaczył kobietę, a z nią dwóch ubranych po cywilnemu policjantów. Z łatwością wyczuł w jednym z nich funkcjonariusza – był wyprostowany, rosły i spięty. Drugi zaś niski, nosił okulary i starannie ułożoną fryzurę. Gdyby nie towarzystwo wielkoluda, za nic nie wzięłby go za gliniarza, raczej za jakiegoś intelektualistę, profesora.

Kobiety nie znał, choć wydawała mu się znajoma.

– A kto pyta? – powtórzył szorstko.

Pierwszy przemówił niższy z mężczyzn, ignorując pytanie Marka.

– Czy rozmawiał pan dziś z Feliksem Strunerem?

– Nie czuję potrzeby odpowiadania na to pytanie – odparł niepewnie Maciejczyk.

Mimo niskiego wzrostu mężczyzna był bardzo onieśmielający, nawet wobec tak impulsywnego mężczyzny jak Marek.

– Proszę... niech nam pan pomoże – odezwała się kobieta.

Aspirant spojrzał na nią, a wtedy przeszło go dziwne uczucie. Jej cierpienie było tak przekonujące, że zmiękł.

– Odpowiem na wasze pytania, ale najpierw... – zaczął, a mężczyźni wyciągnęli swoje odznaki.

– Jesteśmy z Archiwum X.

- Z Krakowa? – zdziwił się Marek, ciągle wbijając wzrok w odznaki.  
Nie dowierzał, że takie policyjne szuchy trafiły do Pobiedzisk.
- Tak, badamy sprawę Zabawkarza. Jest wiele niejasnych kwestii, które według prokuratury tylko my możemy rozwikłać.
- Jakie to niejasności? – zainteresował się Maciejczyk.  
„A są jakieś?” – pomyślał równocześnie.
- Feliks Struner nie jest bohaterem, za jakiego wszyscy go uważają –  
oznajmił okularnik. – A to jest... – Wskazał na kobietę.
- Małgorzata Szytma, jestem jego córką.
- A pani syn?
- Zaginął. A moja matka nie żyje. – Na obliczu przybyłej rysował się ból,  
ogromny i przerażający.
- Niech się pani nie martwi, pani ojciec go odnajdzie – pocieszył ją  
spiesznie aspirant.
- No właśnie, à propos ojca pani Szytmy... Zapewne zauważył już pan  
jakieś komplikacje, jeśli chodzi o inspektora, o przejrzystość jego działań. –  
Niski mężczyzna używał akademickiego tonu, jakby pouczał młodego  
policjanta, co nie spodobało się Markowi.
- Pan Struner twierdzi, że jest wrabiany. Zupełnie jak pani psycholog –  
zauważył trzeźwo.
- Tak, to by tak mogło wyglądać, ale zapytam pana o jedno: kto miałby  
wrobić panią psycholog? I kto miałby wrabiać pana Strunera? –  
Funkcjonariusz w okularach przyglądał się ze spokojem Maciejczykowi.
- Nie wiem... Inspektor wspominał o jakiejś kobiecie... – odparł  
zmieszany.
- Aaa tak, Maria Lipan... Mówił o niej też swojemu komendantowi. Ale  
niech mi pan powie: czy zna pan tę kobietę?
- Mężczyzna zdawał się odczuwać wielką satysfakcję, jakby czuł, że wygrał  
tę słowną potyczkę.

– Nie znam... Nigdy o niej nie słyszałem. To dziwne, bo mówił o niej, jakbym miał ją znać...

– O, właśnie! A więc czy rozmawiał pan dzisiaj z inspektorem Strunerem? – zapytał ponownie krakowski agent.

– Proszę powiedzieć... – odezwała się Małgorzata. – Tu chodzi o moje dziecko i... ojca, o moją rodzinę!

– Tak, rozmawiałem i wiem, gdzie jest.

– Wreszcie do czegoś doszliśmy. Jedźmy zatem. Po drodze dowie się pan wszystkiego. Jestem ciekaw, co wówczas pan powie na temat Feliksa Strunera.



– Twój brat jest tutaj? Gdzie? Powiedz! – krzyczał Feliks, ale Maria pozostawała niewzruszona jego wybuchem.

– Krzycz, ile chcesz, ale i tak dowiesz się wszystkiego, kiedy ja będę chciała... – sarknęła. Była całkiem spokojna, a jej twarz tak rozpromieniona, jakby z utęsknieniem czekała na tę chwilę. – Oczywiście wyjawię ci wszystko, nie martw się, lecz najpierw musisz poznać całą historię.

– Całą historię? Jaką, kurwa, historię? – Na twarzy inspektora pojawił się grymas frustracji, a w jego oczach widać było ciekawość.

– Edmund Trodal, Anna, Felicja, śmierć dzieci. Dlaczego teraz, dlaczego wtedy, dlaczego te miejsca... Wszystko. Chcesz znać prawdę? Straszliwą prawdę tego rodzaju? – pytała Maria, wyraźnie rozkoszując się swoją pozycją.

Odkąd Struner ją znał, zawsze lubiła dominować, patrzeć na innych z góry.

– Chcę... Ale to mój wnuk, wypuść go – poprosił śledczy, co jeszcze bardziej ją ucieszyło.

– Och, przecież to nie ja go tutaj trzymam... Nie ja.

– A kto? Twój brat? – drażył Feliks, starając się trzymać nerwy na wodzy.

– I tak, i nie. Coś pomiędzy, jeśli mam być szczerą.

– Przestań! Skończ te gierki! Tu chodzi o życie, ludzkie życie! Wiesz w ogóle, ile ono znaczy? Czy może nigdy tego nie wiedziałaś?! – wyrzucił z siebie gliniarz.

Spokój kobiety działał na niego jak zapalnik. Ta wyraźnie była z tego zadowolona.

– Tak, takiego cię pamiętam... Ale uspokój się, na nikim te krzyki nie robią wrażenia, a chyba nie chcesz, żeby Alan się obudził, co? Tak słodko wygląda, kiedy śpi. Jest taki podobny do matki, zresztą do ciebie też.

– Powiedz, co masz do powiedzenia, i skończmy z tym raz na zawsze – burknął Feliks, spoglądając na leżącego chłopca.

– Żeby zrozumieć, co się teraz dzieje, jak i to, co się wydarzyło, musisz poznać historię księgi. Znalazłeś ją, prawda? Skórzaną księgę, zapisaną językiem Celtów? Duża, stara, niezrozumiała dla ciebie. Masz ją?

– Tak...

„A więc to język Celtów, a nie starogermański” – przemknęło przez myśl inspektorowi.

– Masz też to zdjęcie od policjantów z Archiwum X? – zapytała Maria, czym mocno go zaskoczyła. Kiwnął głową. – Pamiętasz, co było tam napisane? Na ścianie celi Witka.

– Cerun... Nie pamiętam.

„Skąd wie o Archiwum? Oni z nią pracują? Co jest, kurwa, grane?!”

– Cernunnos – podpowiedziała funkcjonariuszka. – To mitologiczny bóg dobrodziejstwa i podziemi, którego czczono w tym domu, w tym mieście.

– Mitologiczny bóg? Chyba ze mnie żartujesz? To wszystko dla jakiegoś wymyślnego bożka?! Nie próbuj wmawiać mi jakiejś chorej sekty!

– Możesz nie wierzyć. Ja sama też nie wierzyłam, Edmund również... Ale podczas drugiej wojny światowej, w tysiąc dziewięćset czterdziestym



trzecim roku, dziadek Edmunda znalazł tę księgę. Polska wycierpiała wtedy już zbyt wiele, wszyscy szukali czegoś, co pomoże im przetrwać horror wojny... Więc stary Trodal znalazł sposób. Poświęcił dwóch synów i dwie córki, złożył w ofierze przy najstarszych drzewach, jak było napisane w księdze. Rytuał pomógł przetrwać temu miastu, tej rodzinie...

– Chcesz powiedzieć, że wszystko zaczęło się w czterdziestym trzecim? Naprawdę mam w to uwierzyć?

Feliks uważał to za brednie, ale jednocześnie gdzieś w głębi siebie czuł, że Maria nie kłamie.

– Wierz, w co chcesz, ale uwierzysz... Stary Trodal miał jeszcze jednego syna, ojca Edmunda. Ten przekazał synowi księgę i wiedzę na temat rytuału. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku Edmund wykonał swoje zadanie, tak jak nakazał mu ojciec i dziadek. Od tamtych dni jesteśmy pod opieką boga Celtów – wyjaśniła Maria. W jej oczach błyszczał obłęd. Była przekonana o prawdziwości swoich słów.

– To brzmi jak wymówka, która ma uzasadniać te okropne morderstwa!  
– wrzasnął inspektor.

– Wymówka? Nie. To dziedzictwo tej rodziny, moje dziedzictwo.

– Dlaczego dzieci? – Struner znowu podniósł głos.

– To proste, dzieci to zapłata. Najczystsze istoty, niesplamione mrokiem tego życia. To waluta, która zadowala Cernunnosa. Coś za coś, krwawa zapłata.

– Dlatego były pozbawione znamion na ciele – mruknął do siebie Feliks.

– Tak, miały być idealnymi monetami – odrzekła Maria, zadowolona z jego dedukcji.

– Ale to... przecież chore, to niemożliwe! Jak mogłaś zabijać w imię jakiegoś bożka?! To popieprzone!

– Masz jego pamiętnik, prawda? Zostawiłam go dla ciebie, sprawdź, co pisze. Nie chcesz wierzyć mnie, to uwierz jemu. Uwierz temu, który to kontynuował, temu, który wyniósł wszystko na nowy poziom. Temu, kto mnie nauczył.

Inspektor nie odpowiedział. Patrzył na kobietę w odbiciu lustra. Zastanawiał się, co mógłby zrobić, by odwrócić sytuację na swoją korzyść, lecz pomieszczenie wypełnione jedynie lustrami na ścianach nie dawało mu żadnych szans. Wycelowana w jego plecy broń pozbawiała go jakichkolwiek możliwości. Widział odbicie twarzy Marii, uradowanej jego wewnętrzną walką. Opuścił, nie miał wyboru, musiał robić, co kazała.

Wyciągnął pamiętnik Edmunda Trodała. Przewertował kartki do roku sześćdziesiątego ósmego, jak chciała Lipan.

„Dziś mija dwadzieścia pięć lat od ostatniego rytuału. To straszny obowiązek, ale muszę go wykonać, jak kazał dziadek. Październik, miesiąc boga podziemi... Miesiąc zapłaty za nasz dostatek. Felicja wybrała ofiary... Przynajmniej dwie. Bliźniaki. Chce poświęcić nasze bliźniaki... Dla nas, dla Anny. Nie wiem, czy potrafię to zrobić...”

I następny zapis:

„Straszny ten dzień... To się nie mogło dobrze skończyć. Zobaczyłem ją... Felicja stała nad bliźniakami z nożem w ręce i szalem w spojrzeniu. Nie zatrzymałem jej w porę, nie udało mi się. Ugodziła go tuż przy sercu... Nawet nie wiem, czy krzyknął. Ile krwi. Ile krwi... Boże, ile krwi! Wytrąciłem jej nóż z ręki, ale już po fakcie... Tymoteuszu! Mój drogi przyjacielu, dziękuję Ci. Zabrałeś go do szpitala... Zabrałeś też jego siostrę. Nie mogła dłużej tu zostać, a ja nie miałem wystarczająco dużo siły... Widziałem to w oczach Felicji. Naprawdę to zrobiła. Nie przypuszczałem, że jest do tego zdolna”.

Maria wpatrywała się w Feliksa, kiedy czytał na głos.

„Chłopiec przeżył, dziewczynką [zamazane słowa przez łzy] lokaj. A ja... ja musiałem dopełnić dzieła, to mój rodzinny obowiązek. Biedne dzieci... Czwórka to naprawdę dużo... Można powiedzieć, że wszystko się skończyło. Ale ta krew, ta krew na moich rękach... Szoruję je coraz mocniej, ale ona nie chce zejść... Dobrze, że chłopak przeżył. Nic nie pamięta, nawet imienia, mnie. Ani tego, co zrobiła Felicja. Nic. Dzięki Bogu zacznie od nowa. Z dala od naszego rodzinnego piekła... Z dala od tej przeklętej tradycji. Z dala od Cernunnosa”.

Maria domagała się wzrokiem, by Struner kontynuował.

„Co ja bym zrobił bez Tymoteusza? Pomógł nam wszystkim. Dziewczynka nigdy nie była tutaj bezpieczna, powinienem to wiedzieć! Głupiec ze mnie. Felicja zawsze widziała w niej tylko dziewczkę, z którą ją zdradziłem. Przez te zielone oczy, nasze oczy – oczy naszego rodu. Są częścią dziedzictwa krwi. Oczy bliźniaków były wybrykiem – jak moja zdrada – a równocześnie wizytówką rodziny. Świadomość tego doprowadziła ją do szaleństwa. To ją popchnęło ku krawędzi. Gdyby tylko nie miały moich oczu... Ale miały i stały się symbolem mojej zdrady, dowodem na to, skąd dzieci pochodzą... Dowodem na zbezczeszczenie rodu, na hańbę moją i Felicji. Zhańbiłem ją. Nigdy mi tego nie wybaczyła. Ani tej dziewczynce... Chłopiec przepadł. Zginął tamtej nocy, zginął dla tej rodziny... Niech żyje swoim życiem. Niech nikt go nie odnajdzie. Taka jest moja wola. Jego tożsamość pozostanie moją tajemnicą. A jego siostra nigdy się nie dowie, kim się stał... Nie może tu wrócić. Boże, nie pozwól, by tu wrócił”.

We wpisie znajdowało się wiele rozmazanych liter, a przy nich zaschnięte plamki.

– Popłakał się – wyjaśniła Maria.

– Nie on jeden, prawda?

– Co masz na myśli?

– Te rysunki w pluszowych misiach. To twoje łzy, czyż nie?

– Prawda zdziwiłaby cię bardziej od moich łez. Zresztą chyba wiesz, że ja nie płacę, nie wtedy, kiedy robię to, co jest słuszne.

– I co? Co te wpisy mają mi wytłumaczyć? Dlaczego każesz mi je czytać?

– zmienił temat Feliks.

– Nie rozumiesz? To tam się wszystko zaczęło. Szukałeś powodów i trzymasz je właśnie w ręce. To twoja prawda o tych zbrodniach. To jest ich wyższy cel, a nie zwyczajne, pozbawione sensu morderstwa – tłumaczyła z pasją Maria. – Nie widzisz tego? Nie jestem tym, za kogo mnie uważasz. Jestem zbawicielką tego miasta, tak jak zbawicielem był

mój ojciec, a wcześniej jego dziadek. To my ochranialiśmy to miasto... To my jesteśmy tymi dobrymi. Zawsze nimi byliśmy, pamiętaj o tym.

– Nie ma czegoś takiego jak dobre morderstwo. Morderca to morderca. Z powodem czy bez jest takim samym ścierwem, bez różnicy. To samo piekło czeka każdego z was!

– Och, tak myślisz? – Kobieta uśmiechnęła się szeroko. – Nie zastanawiało cię nigdy, dlaczego pluszowy miś?

– To jasne. Żeby zrobić Mariusza Witka. Taki oczywisty trop – odparł Struner, nie wykazując zainteresowania, co wyraźnie zdenerwowało rozmówczynię.

– Nie! Dlatego były postaci z bajek! – krzyknęła. – Pluszowy miś to ulubiona zabawka... mojego brata, mojego ukochanego braciszka! Ten, który znalazłeś w skrytce, należał do niego. Tylko tyle mi po nim pozostało... Przez długie lata miałam tylko tego misia. – Jej głos był pełen żalu.

Feliks nie miał wątpliwości, że kobieta odstawia tu teatrzyk. To musiała być gra. W dodatku... skrytka?

– Pamiętka? Mówiłaś, że jest tutaj. Przestań kłamać!

– Jest. Skoro ja jestem, to i on jest. Co jeszcze znalazłeś w skrytce?

– Skrytce? W skrytce Poli Litt? – Inspektor zdumiał się, że kobieta o niej wie. Był przekonany, że nikt go nie śledził.

– Co? To nie jej skrytka! Ona nigdy nie znalazła się tak blisko nas... I naszej historii – odparła gniewnie Maria.

– To ona mi dała kluczyk. Było tam wszystko, co znalazła, więc możesz skończyć swoją grę!

– To nie ona ci go dała... – prychnęła policjantka.

– A kto? Ty? – Struner nie krył sarkazmu.

– Nie, to nie byłam ja, ale do tego dojdziemy. Nie próbuj niczego przyspieszać, bo zbyt dobrze się bawię. A ty dowiesz się w swoim czasie.

– Ale czego ty chcesz ode mnie? Jakim kłamstwem chcesz mnie nakarmić?

– Żadnym kłamstwem. Chcę, byś nareszcie dojrzał prawdę, zaakceptował ją. Tego jedynie zawsze chciałam – oświadczyła cicho Lipan.

– No to mów i daj mi się aresztować. Wyłącznie taki scenariusz przewiduję. Ty i ja, oboje odpowiemy za te zbrodnie!

– Skoro tego chcesz, to mnie aresztuj. Ale dopiero wtedy, gdy poznasz całą prawdę, gdy sam ją zobaczysz.

Kobieta posłała byłemu partnerowi uśmiech, z którego wyłaniała się pewność siebie i mroczna dusza. Inspektor czekał na kolejne słowa Marii, lecz ona zamierzała delektować się chwilą. Gra, którą z nim prowadziła, wyraźnie dawała jej satysfakcję.

– Dlaczego ty, dlaczego nie Anna? – zapytał, a ona niezwykle się ucieszyła.

– Moja droga siostra była słaba, zbyt słaba. Myślisz, że Edmunda interesowało to, za kogo wyjdzie za męża? Nie! Wkurwił się, gdy chciała zerwać tradycję, gdy odmówiła rytuału... Oczywiście ojciec nie wiedział, że jest w ciąży. Utrata tego dziecka była niefortunna, ale też bardzo pomocna... Prawda? Pamiętasz, dlaczego zgodziłeś się na Witka, tak? Pamiętasz?

Mężczyzna nie odpowiadał, więc Maria ciągnęła z ukontentowaniem:

– Ostatecznie nawet ona się do czegoś przydała. Gdyby ojciec wiedział, byłby z niej dumny. Chociaż ten jeden raz.

– Jak to? – zdziwił się Feliks.

– Nawet Anna odegrała rolę, która pozwoliła zrobić Witka. Oczywiście poczucie winy ją zniszczyło. Odebrała sobie życie w starym sklepie męża. To ona kradła figurki, które zaginione dzieci miały odebrać od zabawkarza, to ich brak pozwalał mi manipulować naszym śledztwem tak, by skierować podejrzenie na Witka. To ona mi pomogła i dostarczyła dziadka do orzechów tamtej nocy. Taka słaba, a jednak... Potem chciała wszystko odkręcić, ale już było za późno. Rodzina została ochroniona, a przynajmniej jej pamięć i tradycja.

Maria westchnęła i spojrzała na Strunera z wyrzutem.

Inspektor przypomniał sobie zapiski w aktach, mówiące o zabawkach porzucanych wokół wiszącej Anny Witek z domu Trodalów. Nikt ich nigdy nie powiązał z zamówieniami zaginionych dzieci; przecież zatrzymany był w areszcie, a sprawa w sądzie. Teraz Feliks to widział – nawet po śmierci Anna chciała dać znak, że jej mąż był niewinny. Znak, który nigdy nie został zauważony. Znak, który umarł razem z nią. Zapomniany dowód i zapomniana kobieta.



– O mój Boże... – jęknął aspirant Maciejczyk.

Siedział na tylnej kanapie wraz z córką Feliksa, oboje byli równie zaskoczeni. Wysoki policjant prowadził samochód zgodnie z instrukcjami, jechali do posiadłości rodziny Trodalów. Niższy z funkcjonariuszy przedstawiał im dokumenty, których treść wprawiała ich w osłupienie.

– Jak to możliwe? – odezwała się kobieta. – Skąd to wszystko macie?

– To nasza miesięczna praca. Pani ojciec otrzymał wezwanie do prokuratury właśnie w związku ze sprawą z dziewięćdziesiątego trzeciego roku. Dostał je na dzień przed zniknięciem pierwszej dziewczynki; tak wynika z materiałów, które zebrał pani ojciec. Wszystkie dowody zostawił w swoim mieszkaniu. Razem z jego kolegą z komendy sprawdziliśmy każdy z nich. Dzięki temu mamy już dopiętą całą historię. Znamy prawdę, wiemy, co wydarzyło się przed laty oraz co wydarzyło się w ostatnich dniach, choć ciągle jedno pozostaje tajemnicą... – odpowiedział spokojnie funkcjonariusz w okularach.

– Tajemnicą? – bąknął cicho aspirant.

– Jest jedno wydarzenie, co do którego możemy się jedynie domyślać. I tylko pani ojciec zna jego przebieg. – Niższy mężczyzna spojrzał na Małgorzatę. – Ale najpierw muszę o coś zapytać. Maria Lipan... Znała ją pani?

– Była partnerką mojego ojca, ale nigdy jej nie poznałam. Co to ma do rzeczy? Ta kobieta... To ona? Ona porwała mi dziecko?!

– A pamięta pani, jak długo ze sobą pracowali? Z opowiadań ojca... – dopytywał spokojnie funkcjonariusz, nie zwracając uwagi na wybuch Małgorzaty.

– Ojciec niewiele mówił o pracy, nie po... – Urwała kobieta i głośno odetchnęła. – Hm... kilka lat? Chyba dosyć długo, bo jej imię często pojawiała się w naszym domu... Ale jak to może nam pomóc w odnalezieniu mojego syna? To, co było kiedyś? Jakie to ma znaczenie?

– Ma, i to duże. Niestety nie o wszystkim możemy mówić. Niech się pani nie martwi, kiedy znajdziemy pani ojca, znajdziemy też pani syna. Proszę mi wierzyć.

– Dlaczego nic nam nie mówicie? – wtrącił się aspirant. – Traktujecie go jak podejrzanego, a jedyne, co nam pokazaliście, to akta sprzed lat!

– Wszystkiego się dowiecie, gdy Struner zostanie zatrzymany – zapewnił niższy funkcjonariusz.

– A więc jest podejrzanym? Mój ojciec jest podejrzanym? Jak to możliwe? Jak to się stało?

– Nie, pani ojciec nie jest podejrzanym. On jest winny. Jego wina jest już przesądzona.



– Powiedzmy, że wierzę w te rytuały, bożka i wyższy cel... Wypuścisz więc nas teraz? – zapytał Feliks.

– Ależ ty nigdy nie byłeś więźniem, nigdy! – Maria uśmiechnęła się szyderczo.

– Kogo chronisz?

Kobieta zdziwiła się tym pytaniem.

– Daj spokój – warknął inspektor – to jasne, że kogoś kryjesz. Ktoś musi stać za tobą i pociągać za sznurki.

– Za sznurki?! Nie jestem marionetką! – Lipan zaczerpnęła głęboko powietrza. – Nasze stowarzyszenie jest... dyskretne. Oni chronią nas, my chronimy ich, tak było zawsze i zawsze tak będzie.

– Czyli jest jeszcze ktoś? Mów, kto to jest! Wszystkich was zamknę!

– Groźby? Naprawdę? A co ty teraz możesz zrobić? Zresztą to nie jest teraz ważne, teraz liczysz się tylko ty. Ale masz rację, czas nas goni. Musisz sobie przypomnieć.

– Przypomnieć co? Czego ty ode mnie chcesz?! – W Feliksie wzbierał gniew.

– To, co przypomniałeś sobie wtedy. W dziewięćdziesiątym trzecim roku. To, co musisz pamiętać już zawsze! Chcesz poznać prawdę? To poznaj! Jest w tobie.

– Nie mam pojęcia, o czym ty bredzisz!

– Ależ masz, masz! Przypomnij sobie tę noc i co się naprawdę wydarzyło... Tę noc z twojego snu.

Maria przyglądała się reakcji dawnego kolegi. Był przerażony.

– Skąd o nim wiesz? To przez te akta...

– Tak! To przez te akta masz przesłonięte prawdziwe wydarzenia! To przez to, co sobie wmówiłeś, zapomniałeś o tym, co ważne! – Krzyk funkcjonariuszki wręcz porażał.

– O czym ty...

Po ciele Strunera rozeszła się fala gorąca. Czarne plamki powróciły, a powietrze nie chciało przedrzeć się do płuc przez zaschnięte gardło.

– Tak. Dobrze, teraz wreszcie sobie przypomnij!

– Ale co... co się dzieje...

Feliks upadł na kolana. Poczul ból w klatce piersiowej, przesywający, pulsujący w całym jego ciele. Ogarniające go ciepło zadawało kolejny



ogromny ból. Chwycił się za głowę – ciemne plamki całkowicie przesłoniły mu oczy. Krzyknął przeraźliwie.

Maria obserwowała go z wyraźnym zadowoleniem.



– To jego wóz? – zapytał niższy funkcjonariusz z Archiwum X.

– Nie wiem, pierwszy raz go widzę. Wcześniej jeździł nowym sedanem, czarnym, a nie takim... rzęchem.

– Tak, to jego – potwierdziła córka Feliksa.

– Sprawdziliśmy tego sedana – zwrócił się do aspiranta okularnik. – Został porzucony przed siedzibą sądu w Poznaniu, a wcześniej wypożyczył go Struner. Ciekawe, prawda?

Marek nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć, choć sam poczynania inspektora uznał za dziwne.

– Otwarty! – krzyknął wielkolud z policji.

– Sprawdźmy, co w nim trzyma. – Niższy kolega podszedł do bagażnika, by go otworzyć.

Wszyscy podążyli za nim.

– Co to, kurwa...? – Marek niemal wrzasnął.

W bagażniku leżał rozpruty mały miś, ten znaleziony przez Feliksa w alejce, ten, którego zawartość Maria miała wysłać do zbadania. Było tego więcej. Na przykład kartonowe pudło, a w nim mnóstwo różnych sukienek, szpilek i nakryć głowy; wszystko w dziecięcym rozmiarze. Część z nich była zakrwawiona. Znajdowało się tam jeszcze jedno pudło – z tabletkami i fiolkami, strzykawkami i torebkami z białym proszkiem, a pośród nich stała duża butla chloroformu. Były też teczki z aktami pani psycholog Poli Litt-Górzak, zaginionych dziewczynek, Mariusza Witka i kamerdynera Tymoteusza, jak również Róży Rygiel, ówczesnego komendanta

Pobiedzisk, a nawet Marioli Giersz, kobiety, która mieszkała w Bugaju – czyli dokumenty osób, które zginęły w ostatnich dniach. Wśród nich także wnuka i córki Feliksa.

Pod teczkami znajdował się ostatni plik papierów. Wziął je aspirant Maciejczyk. Jego dłoń trzęsła się lekko, gdy otwierał teczkę.

– Kurwa mać... – skomentował głośno.

– O matko – szepnęła Małgorzata, kiedy zajrzała w dokumenty.



– Już? Pamiętasz już?! – krzyczała Lipan. – Przypomnij sobie, co wtedy znalazłeś w tym domu! I pamiętaj!

Feliks ścisnął głowę, zwijając się z bólu na zimnej posadzce. I raptem zaczął widzieć dziwne sceny; obrazy, których nie znał. Przypomniał sobie... Zobaczył to, co Maria chciała mu pokazać – tamtą noc.



Już od kilku dni podejrzewał, że Maria była kimś innym niż tylko jego partnerką. Miał przeczucie, że ta kobieta robi coś więcej poza prowadzeniem śledztwa. Przestał jej ufać. Komendant siedział im na karku, Poznań domagał się zbrodniarza, a oni nie mieli mu kogo dać. Mijał ostatni dzień. Dzień, po którym miało nastąpić kolejne odkrycie ciała, tym razem zaginionego chłopca.

Maria pozwalała mu nocować u siebie w mieszkaniu, gdy nie zdążył na pociąg, by wrócić do żony i dziecka. Tym razem spóźnił się specjalnie, ale tej nocy nie spał. Leżał na kanapie, czekając na ruch swojej partnerki. Za grosz jej wówczas nie ufał. Złapał ją na fałszowaniu dokumentacji

z zatrzymania pana Witka, tak by wsadzenie go do aresztu nie dawało mu alibi, kiedy zaginął chłopiec. Zbyt mocno chciała uczynić go podejrzanym, a to sprawiało, że inspektor zaczął jej się baczniej przyglądać. Może wpadł w paranoję, ale... tak naprawdę nie znał tej kobiety.

Wyszła w nocy z mieszkania, a Feliks powędrował za nią. Nie miał wyboru, musiał sprawdzić, co robi. W tamtych czasach nocne spacery były mocno podejrzone, by mógł je zignorować. Poszedł za nią, chowając się w cieniach drzew i budynków. Nie widziała go, tak przynajmniej myślał. Doprowadziła śledczego do posiadłości państwa Trodałów. Zatrzymała się przed drzwiami, nie wiedział dlaczego. Po chwili spojrzała w jego stronę i kiwnęła, by przestał się ukrywać i poszedł razem z nią. Tak więc zrobił, lecz obserwował każdy jej gest i ruch, nie dawał partnerce szansy, by go zaskoczyła. Poprowadziła go na piętro. Na ścianach wzdłuż schodów wisiały piękne portrety. Na samym końcu był obraz prapradziada rodu. Feliks zauważył, że wizerunki są do siebie bardzo podobne, szczególnie nadzwyczajnie zielony kolor oczu u każdego potomka rodu Trodałów.

Maria w milczeniu zaprowadziła go do jednego z mniejszych pomieszczeń. Struner również nie potrafił wypowiedzieć nawet jednego słowa i nie miał pojęcia dlaczego. Czuł, jakby to, co teraz robią, musiało odbyć się w ciszy. Choć i ona zdawała się jego uszom przytłaczającą muzyką. Muzyką zwiastującą coś strasznego.

Lipian otworzyła drzwi do małego, prawie pustego pokoju z dwoma kołyskami pośrodku. Kazała mu je obejrzeć, więc tak uczynił. Dojrzał napis na zagłówkach: „bliźniaki”. Kołyski były pięknie wykonane, jednak czas zrobił swoje. W jednej z nich leżała zabawka – mały pluszowy miś. Maria podała mu maskotkę, a on, zmieszany, wziął ją do ręki. Była szorstka, ale jemu wydała się miękka i ciepła. W dodatku zapach coś mu przypominał, tylko nie wiedział co. Partnerka uśmiechnęła się i wyprowadziła go z pokoju, nie mówiąc wciąż ani słowa. Mężczyzna poszedł za nią.

Chwyciła go za rękę. Nie pamiętał, kiedy schował broń do kabury. W drugiej dłoni trzymał misia. Pozwolił się prowadzić kobiecie, której w tej

chwili bezgranicznie ufał. Nie potrafił wytłumaczyć dlaczego, ale czuł, że musi z nią iść.

Weszli do gabinetu Edmunda Trodała. We wspaniałym pokoju stał obok zdobionego fotela mały drewniany stolik. Leżał na nim pamiętnik. Już na pierwszej stronie było coś napisane. „Oby nikt nigdy go nie przeczytał”. Skreślone przez właściciela dziennika słowa nie zachęcały do zapoznawania się z treścią, lecz zdecydowanie zaintrygowały mężczyznę. Od razu, przy swojej partnerce, rozpoczął czytanie.



– Dobrze, jesteś tak blisko! – zawołała Maria, a słowa rozpierzchły się po podziemiach posiadłości rodziny Trodałów. – Teraz zobacz, jak to było naprawdę...

Struner krzyknął. Czarne plamki ponownie ukazały mu to, co chciała, by zobaczył. Znów znajdował się w gabinecie Edmunda, ale kobieta, która na niego patrzyła, wyglądała inaczej. To już nie była jego partnerka, ale osoba podobna do każdego z portretów na ścianie. Uzmysłowił sobie, że to za tą kobietą cały czas wtedy podążał, nie śledził wcale Marii. Szedł za dziedziczką rodu Trodałów... A więc Maria nie była jednym z bliźniaków.

Kobieta wyglądała znajomo. Dziwnie znajomo. Kazała przeczytać wpis... Ostatni wpis z sześćdziesiątego ósmego roku. A on wykonał polecenie.

„Chłopiec przeżył. Musi stąd odejść, musi żyć z dala od nas i tego przeklętego rodu. [Część zdania rozmazana przez łzy] nie żyje. Stracił już siostrę, a ja córkę – to wystarczy... Moja córeczka nie żyje. Felicja ją dopadła i zamordowała na jego oczach... Na jego oczach... Została mu tylko blizna na piersi. To jedyne, co łączy go z tym domem i siostrą. Ta cholerna blizna”.

Feliks zamknął pamiętnik. Był przerażony. Jego oczy napełniły się łzami, nie wiedział dlaczego. Z książki wyleciał dokument. Karta potwierdzająca

przyjęcie dziecka pod opiekę domu dziecka. Podniósł ją i zaczął czytać, a imię i nazwisko, które się na niej pojawiło, zaparło mu dech w piersi.

– Co to jest, do cholery? Co to za chora wizja?! – krzyknął. Czuł pod sobą chłód posadzki.

– To wspomnienie...

– Co ty chcesz mi wmówić? CO? Czym mnie nafaszerowałaś, że widzę to wszystko?! – wrzeszczał zrozpaczony gliniarz, nie panując nad sobą. – To chore! To chora wizja!

– To proste, spójrz jeszcze raz na dziennik. Tym razem zobacz to, co znajduje się tam naprawdę, a nie to, co chcesz, żeby było. Przestań walczyć!

Inspektor wertował kartki, aż dotarł do notki z sześćdziesiątego ósmego roku. Zaczął czytać. Zapis był taki sam jak ten z wizji przed kilkoma sekundami.

– Ale jak to możliwe?! Czytałem go niedawno. I co? Jak mógł się zmienić?! – zapytał z trwogą.

– To proste, twój mózg sprawia, że widzisz to, co jest wygodne dla twojej wersji wydarzeń, ale musisz zajrzeć głębiej. Do prawdy. – Na obliczu Marii malował się triumfalny uśmiech. – Masz ją, prawda? Bliznę na piersi.

Struner rozdarł T-shirt, który miał na sobie. Była tam od zawsze. Nieduża. Ale miejsce, w którym się znajdowała, pasowało. Blizna od noża, tuż przy sercu.

Popatrzył na kobietę. To nie była Maria. Jej twarz się zmieniła, była taka jak podczas wizji.



– Co to jest? – zapytał aspirant. – Czy to prawdziwe...

– Tak. A to są sfalszowane dokumenty. Proszę. – Funkcjonariusz w okularach wziął z przedniego siedzenia teczkę z aktem notarialnym i podał Markowi. – Tu mamy przepisanie dworu na Marię Lipan. Ale proszę spojrzeć... Te dokumenty nie są prawdziwe. Te są...

– Tu jest napisane...

– Że mój ojciec jest właścicielem tego wszystkiego – dokończyła Małgorzata.

– Tak, a ten dokument mówi, że należy do niego także mieszkanie w bloku, które dawniej było własnością niejakiego Tymoteusza Bazura.

– Kim jest ta Maria Lipan...? – chciał się wreszcie dowiedzieć aspirant. – Ciągłe o niej mówicie, inspektor o niej mówił... Ale kim ona jest?

– To policjantka, która pracowała z Feliksem nad tą sprawą w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku.

– No tak, ale co ona ma z tym wspólnego? Gdzie ona jest?

– Nie wiemy... Od dwudziestu pięciu lat nikt jej nie widział.



– To niemożliwe – powiedział zadyszany Feliks. – To muszą być jakieś narkotyki... To się nie dzieje naprawdę – szeptał do siebie.

– A jednak. Przeszukaj swoją kurtkę.

Mężczyzna zaczął sprawdzać kieszenie, wyrzucił całą ich zawartość na podłogę.

– Feliks Struner, przyjęty do domu dziecka w wieku trzynastu lat... Jeden z podpisów należy do... Tymoteusza... – czytał powoli. – Cierpi na zanik pamięci, problemy z rozpoznawaniem rzeczywistości... Możliwe... – Zająknął się.

– Jesteś synem Edmunda – oświadczyła Maria podniosłym tonem. – Jesteś Feliksem Trodałem. Jesteś moim braciszkiem.

– To niemożliwe. To nie może być prawda... – sapnął inspektor, wpatrując się w dokument.

– Ale jest, dobrze o tym wiesz. W głębi siebie to czujesz. I miłość do mnie.

– A kim ty jesteś? Co? Marią Lipan? Trodal? Kim, kurwa?!

– Twoją siostrą. Nie mam imienia... Nigdy nie miałam. – Kobieta nie kryła smutku.

– A Maria Lipan? Widziałem twój dowód.

– Czy aby na pewno? Tamta noc się wtedy nie skończyła... Przypomnij sobie, kto tak naprawdę chciał zrobić pana Witka, kto był prawdziwym „kozłem”.

– Nie... nie... Nie chcę! Przestań! To nieprawda! Nie rób mi tego!

Feliksa znowu oblało ciepło – jakby na rozkaz kobiety – a plamki przesłoniły wszystko dookoła. Znow był trzydziestokilkuletnim gliną. Stał przed wejściem do podziemi posesji...

Zanurzył się w ciemnym korytarzu, ale tym razem bez latarki – siedł w ciemności. Dobrze znał ten tunel. Bez problemów znalazł się na jego krańcu. Znalazł go, zaginionego chłopca – ogromnie przerażonego. Siedział skulony w kącie pomieszczenia pełnego luster. Jęknął, gdy zobaczył wchodzącego mężczyznę. Feliks miał w dłoni mały nóż, jego rękojeść wykonano z drewna. W drugiej niósł złotą misę. Trzymał ją mocno, a jego wzrok pozbawiony był jakichkolwiek emocji. Podeszedł do chłopca. Ten chciał się cofnąć, lecz nie miał gdzie. Mężczyzna postawił przed nim misę, chwycił jego rękę i wyciągnął nad naczyniem. Jednym zręcznym ruchem przeciął przedramię dziecka. Krew zaczęła spływać do misy. Usta Strunera wyszeptały: „Nie mamy czasu na sen”.

I nagle zasłonił się chłopcem, gdyż w pomieszczeniu stanęła jego partnerka. Maria Lipan mierzyła do niego z broni. Wykrzykiwała różne epitety pod adresem gliniarza, lecz to on trzymał nóż przy gardle dziecka.

Kobieta nie mogła nic zrobić. Położyła broń na ziemi, jak kazał... I wtedy Feliks rzucił nożem w jej stronę. Trafił ją w krtań, a ona padła na ziemię.

Policjant nakazał chłopcu trzymać rękę nad misą, tak aby nie zmarnowała się żadna kropla jego krwi. Natomiast krew Marii Lipan płynęła po zimnym betonie, otaczając jej ciało, z którego ulatywało życie.

– Co to, do cholery? – ryczał, zwijając się na posadzce, Feliks. – Co to ma być?!

– Zabiłeś ją. Zabiłeś swoją partnerkę, bo odkryła naszą tajemnicę... – wyszeptała towarzyszka.



– Zaginęła dwadzieścia pięć lat temu – rzekł niższy funkcjonariusz. – Nikt o niej więcej nie słyszał, nikt nawet o niej nie wspomniał. Aż do czasu, kiedy Struner pojawił się przed kilkoma dniami na rynku.

– Jak to „zaginęła”? – spytała zszokowana Małgorzata. – Jak można tak po prostu zniknąć?

– Psia robota ma swoją cenę. Czasami płacimy tę najwyższą – odparł roślejszy policjant.

– Ale co wy chcecie tak naprawdę powiedzieć?

– Że morderca ją zabił, gdy został nakryty – wyjaśnił drugi mężczyzna. – My ich ścigamy, ale to oni czasem nas dopadają.

– A mordercą jest...?

– Inspektor – rzucił krótko okularnik. – Nie mamy czasu, prowadź do tych podziemi – zwrócił się do Marka.

Aspirant kiwnął głową, po czym ruszył w stronę lasu, a za nim podążył niższy agent z Archiwum X.

– Zostań z nią. Nie może się do niego zbliżyć. To mogłoby nas wszystkich narazić – wydał rozkaz, odchodząc i nie dając tym samym



szansy na protest.

Małgorzata jęknęła, gdy dwójka funkcjonariuszy wbiegła do lasu. Bała się o dziecko, o swojego Alana, ale też o ojca.



## Rozdział 13

# Morderca

– Jaka to tajemnica? – wydyszał Feliks. Po czole spływał mu pot.

– To my jesteśmy mordercą. Ja i ty – odparła ucieszona Lipan.

Mężczyzna obserwował ją w lustrzanym odbiciu. Historyjka Marii wydawała się spójna – brzmiała jak wyssana z palca bajka, ale nie miała żadnych dziur. Z rozpaczą myślał, że mogła być prawdziwa.

– Ale ten pamiętnik... Jak możesz tu być?! Ten wpis, to niemożliwe!

– Wiele jest rzeczy, których nie pojmujesz. Jeszcze trochę... Poczekał jeszcze chwilę. Dopiero kiedy zaakceptujesz to, kim jesteś... Wtedy będziesz gotów.

– Nigdy! Nie mogę być... Ja jestem policjantem – szepnął inspektor zmęczonym głosem.

– A co zrobiłeś później?

Kobieta nie kryła satysfakcji, każde słowo sprawiało jej radość.

Struner zamknął oczy, chcąc uciec przed czarnymi plamkami, co jednak nie podziałało.

Chłopiec był coraz słabszy. Jego krew zapełniała powoli złotą misę – kap, kap, kap – kropla po kropli. Pomimo zmęczenia chciał zrobić jeszcze jeden, ostatni zryw, ale Feliks mu nie pozwolił. Podciął mu za to drugie

przedramię. „Widzę, że jesteś wojownikiem” – powiedział cicho. Dziecko trzęsło się w jego ramionach, robiło się coraz słabsze, aż... z ostatnią kroplą krwi zaprzestał walki. Inspektor przyłożył dłoń do jego ust i nosa. Nie chodziło mu o to, żeby się upewnić, czy chłopiec oddycha. Chciał pozbawić go życia w intymny sposób. Poczuł, jak dusza chłopczyka opuszcza ciało, delektował się tą chwilą. Dopiero wtedy wstał i wziął go na ręce.

Wielki pluszowy miś już czekał – leżał na brzegu jeziora z otwartymi ramionami. Struner zarzucił ciało chłopca na bark, w wolną rękę wziął pełną misę i podążył ciemnym tunelem. Na samym końcu czekało srebrne światło księżyca, chłodne, świeże powietrze i drzewa pobiedziskiego lasu. Ruszył między dumne brzozy i głuchą ciszę, którą raz po raz przerywały leśne stworzenia. Szedł wolno, bez pośpiechu. Aż wreszcie dotarł do celu.

Zostało jeszcze jedno do zrobienia.

Przy starym drzewie spoczywał strój dziadka do orzechów. Feliks przebrał chłopca. Było nadal ciemno, las nad jeziorem opanowała nocna aura, zagarnęła całą gminę i miasto. Mężczyzna czuł spokój, nie spieszył się. Wylał krew z misy w środek misia, ale nie całość, jedynie część. Resztą podlał stare korzenie drzewa, a następnie wsadził chłopca w pluszaka, którego powiesił potem za łapy na najgrubszej gałęzi. Rytuał zakończony.

Wówczas inspektor wrócił do ciemnego korytarza, gdzie leżała we krwi śmiertelnie ranna Maria Lipan – jego partnerka z policji. Bez słowa pochylił się nad nią, posłał jej uśmiech i wyciągnął scyzoryk. Próbowana coś powiedzieć, ale na próżno. Chwilę później zemdląła. Struner zaczął spokojnie wbijać w nią ostrze – raz za razem, w każde możliwe miejsce. Nie potrafił przestać, dźgał i dźgał, aż noc zamieniła się w dzień.



Otworzył oczy i spojrzał na swoje ręce. Był przerażony, nie mógł uwierzyć w to, co właśnie zobaczył. Zamiast czarnych plamek widział teraz

czerwone – plamy krwi na swoich dłoniach.

Przypomnił sobie.

Rozmowa z kamerdynerem. Przecież prowadził ją sam. Stary Tymoteusz zachowywał się dziwnie, unikał jego spojrzeń i załkał cicho, gdy Struner mówił o krzyku dziecka. Widział, jak sam pobiegł w stronę nagranych na taśmie głosu. Lecz to nie była taśma – wcale nie było tam magnetofonu; krzyk słyszał w swoim umyśle.

Rozmowa z prokuratorem. Scena ta pojawiła się przed jego oczami i jasno pokazała, że Feliks z nim rozmawiał i to on sam zgodził się na przesłuchanie. Zaświadczył, że Mariusz Witek jest Zabawkarzem.

Mężczyzna cofnął się jeszcze głębiej w przeszłość. Postać po drugiej stronie jeziora, ta w czarnych płaszczu... Teraz ją widział wyraźnie. Jej twarz... To ta sama kobieta, która właśnie trzymała go na muszce.

Śledczy znów krzyknął – wizje, których doświadczał, wywoływały w nim straszliwy ból. Pękała mu głowa, rozsadzało czaszkę.

Bębny. Słyszał bębny, uderzenia, bum, bum, bum, skroń pulsowała w ich rytmie.

– Musisz zrozumieć! Musisz pamiętać! – darła się bezimienna kobieta.

– Co... Co się dzieje? Gdzie ja jestem? – rozbrzmiał znienacka w podziemnym pomieszczeniu chłopięcy głos.

Feliks przestał krzyczeć i wić się po ziemi. Spojrzał na dziecko, które było ewidentnie w ogromnym szoku.

– Spokojnie, nic ci nie będzie, obiecuję... – rzekł łagodnie Struner, lecz jego wbite w chłopca oczy sprawiły, że dzieciak przepelzł w kąt i trząśł się ze strachu.

– Nie obiecuj zbyt dużo... – wtrąciła kobieta.

– Zamknij się! Ja to jedno, ale zostaw dziecko! – warknął policjant.

Przerażony chłopiec bacznie go obserwował. Dygotał z zimna i strachu.

– Kim pan jest?? – zapytał cicho.

– Jestem twoim dziadkiem i nie pozwolę zrobić ci krzywdy. Wrócisz do mamy, do domu, przysięgam.

– A ja twoją babcią cioteczną...

– Nie jesteś! Nie jesteś moją siostrą, nie możesz być! Ja nie mam rodziny! – wrzeszczał Feliks, a jego słowa zmieniały się stopniowo w niepewny bełkot.

– Masz rodzinę, ja nią jestem, nie rozumiesz? Na zawsze razem! Rysunek. To my na nim jesteśmy... To ty go narysowałeś. Masz talent, pewnie po naszej kochanej mamusi...

– Nie, to nie mogłem być ja...

– Anieli Rygiel – rzuciła krótko kobieta.

Funkcjonariusz zamilkł. Jego szloch ucichł, a trzęsące się ręce skamieniały.

Tym razem nie widział całości, jedynie migawki. Kilka pomieszanych ze sobą scen.

Podszedł do bawiącej się przy plaży dziewczynki. Pokazał jej odznakę, a kiedy zainteresowała się nową twarzą i przedmiotem, podeszła do niego. Wówczas ją złapał. Wrócił do Pobiedzisk, do grodu Trodałów – do swojego domu. Zamordował dziecko jeszcze tego samego wieczoru. Całą krew spuścił do miski, jak w przypadku chłopca, a ciało poćwiartował. Nie płakał nad dziewczynką, nie czuł żalu, wykonywał po prostu rytuał. Czuł nieodparte poczucie obowiązku – tak musiało być. Mariusz Witek już siedział w areszcie, gdzie czekał na proces.

Struner zrobił dół w ziemi wokół wierzby płaczącej na rynku i zakopał zwłoki Anieli. Krwią natomiast podlał majestatyczne drzewo. Zakopał ją głęboko, by nikt jej nie znalazł – nigdy. Aż zostanie zapomniana. Jak wszystko, co pogrzebane pod ziemią. Wkrótce wokół wierzby położono kostkę brukową. Ciało dziewczynki zniknęło na wieki.

Feliks znajdował się w salonie, płakał. Krzyczał i wołał swoją siostrę, lecz ta nie przychodziła. Chwytał kartkę i narysował dwoje ludzi. Jego łzy kapały

na papier. A gdy uniósł wzrok i ją zobaczył, przez moment poczuł ciepło i radość. Schował kartkę do pluszowego misia. Tym samym złożył przysięgę, że zachowa maskotkę na wieki – żeby siostra zawsze z nim była. Ona i on, na wieki, zawsze razem. Słowa, które naznaczyły całą jego przyszłość.

Stał przed swoim mieszkaniem i położył przed drzwiami misia. I nagle...

Nagle spojrzął na niego, a pluszak wydał mu się odrażający. Policjant poczuł strach, który przerodził się w paranoiczne przerażenie. „Wiadomość od mordercy” – słowa te wiły się po jego umyśle. Złapał zabawkę. Chciał ją rozpruć, lecz coś, co bardzo głęboko w nim tkwiło, nie pozwoliło mu tego zrobić. Wszedł z miśkiem do mieszkania, a wspomnienia wydarzeń z Pobiedzisk zakopał w swoim umyśle najgłębiej, jak potrafił. Wzniósł wokół nich mur, barierę ochronną, której nic nie zdołało naruszyć.

Sprawa zamknięta. Zabawkarz zniknął.



– To wyłącznie podpisy i dokumenty... Ale skąd pewność, że to naprawdę inspektor? – zapytał Maciejczyk, prowadząc funkcjonariusza leśną ścieżką.

– Anieli Rygiel jest oficjalnie zaginiona, ale nieoficjalnie sądzimy, że była ostatnią ofiarą w dziewięćdziesiątym trzecim roku. Na policyjnym serwerze zostawia się ślady, każdy nasz ruch jest widoczny, a Feliks sprawdzał tę dziewczynkę, i to więcej niż jeden raz.

– Ale mógł przecież szukać dalszych powiązań, tropów... – rzucił nieśmiało aspirant.

– Tak, tyle że kobieta, która ostatnia widziała dziewczynkę, zginęła tego samego dnia. Jest jeden świadek, wybrał się wtedy na jogging. Zeznał, że widział tego samego mężczyznę najpierw wybiegającego z jej domu, a po chwili wracającego. Pokazaliśmy zdjęcie Strunera, rozpoznał go.

– Mógł się pomylić – stwierdził Marek, chociaż sam nie dawał temu wiary.

– To prawda, ludzkie oczy potrafią nas zwodzić, ale badania genetyczne nie. Czekamy na wyniki dowodów, które inspektor zostawił w swoim mieszkaniu.

– Tylko dlaczego miałby je zostawiać, jeśli wskazują na niego? – Młody policjant wciąż miał wątpliwości. – Inspektor Struner wydawał się bardzo zdeterminowany, by znaleźć sprawcę.

– Tak, wydawał się. Mamy pewną teorię, ale o niej później. Prowadź. Jesteśmy blisko? Idziemy już trochę...

– Tak, niedaleko. Minęliśmy niedawno posesję rodziny, zejście do bunkrów jest już blisko – zapewnił Maciejczyk.

„To miejsce jest przeklęte” – pomyślał.



– Nie rozumiem... Skoro Maria nie żyje, to kto ze mną pracował nad tą sprawą? – Feliks wciąż nie był w stanie pojąć, co się dzieje.

Kobieta spoglądała na niego z góry.

– Nie wiesz? Naprawdę nie wiesz? – Powstrzymywała się od wybuchnięcia śmiechem. – A kogo podejrzewałeś, kto według ciebie zabijał? Maria, prawda? Ja, tak? A kto tak naprawdę zabił?

– Co chcesz przez to powiedzieć? Ja nie zabiłem! To Maria... To musiała być ona, przecież pracowaliśmy jeszcze później... Ja nie jestem mordercą!

– Jesteś pewien?

Głos kobiety przeszył każdy nerw w ciele inspektora. Spojrzał na chłopca, który wpatrywał się w niego z potwornym lękiem.

– Spokojnie, nic ci się nie stanie – szepnął do wnuka. – Nie dopuszczę do tego. Ochronię cię.

– To ciebie powinien się obawiać – poinformowała spokojnie kobieta. – Chcesz wiedzieć, kto z tobą pracował? Kto był z tobą każdego dnia i przy każdym śledztwie?

– Tak. Powiedz mi wreszcie.

– Wystarczy spojrzeć wstecz, bez kurtyn, bez iluzji... – powiedziała cicho, lecz jej głos wypełnił pomieszczenie, jakby krzyknęła. – Cofnij się do przesłuchania dyrektora, do alejki... Do mieszkania Róży Rygiel czy spotkania z panią psycholog w ruinach domu. Prześledź swoje kroki, całe twoje śledztwo, cały czas spędzony w tym mieście.

– Nie, nie chcę... – Struner potrząsał głową jakby w obłędzie, a jego głos łamał się przy każdej sylabie.

– Nie masz wyboru. Zapomniałeś chyba, kto tu rządzi.

Po tych słowach mężczyzna poczuł kłujący ból w płacie czołowym. Promieniował na całą głowę, a uderzenie ciepła potęgowało uczucie bezradności i agonii. Znowu pojawiły się plamki, całkowicie wypełniły jego oczy.

Zapadła ciemność.



– To tu? – zapytał funkcjonariusz Archiwum X.

– Tak, zaraz za tym wzniesieniem.

Aspirant szedł pierwszy. Stanęli przed kamiennymi schodami, które prowadziły do ciemnego korytarza. Stalowe kraty poruszały się pod naporem wiatru.

– Otwarte? – Okularnik schylił się do leżących na ziemi łańcuchów.

W mosiężnej kłódce tkwił duży, zardzewiały klucz.

– Musi tam być... – odparł Maciejczyk, wyciągając latarkę z kieszeni policyjnego munduru.



– Jest, na pewno. Pamiętaj, że Struner jest niebezpieczny – ostrzegł krakowski agent, wzięwszy do ręki broń.

– Wiem, ale mam nadzieję, że się mylicie.

– Nie liczyłbym na to. Nie liczyłbym na nic, nie w tym wypadku.

Szli powoli, ostrożnie. Każdym nerwem odczuwali ciemność i chłód korytarza. Wiedzieli, że to miejsce ma wiele tajemnic, których nikt nie ośmielił się odkryć – poza Feliksem. Żółtawe światło latarki ukazało betonową posadzkę i nierówne, wyłożone kamieniami ściany. Po niektórych spływały krople wody i znalazłszy się na szczycie wybrzuszeń, spadały z płaskiem na ziemię, tworząc echo, które rozbrzmiewało w głowach policjantów jeszcze długo potem.

Wilgotne i chłodne powietrze dawały się we znaki. Przy każdym oddechu okulary funkcjonariusza zachodziły parą. Emocje trzymał na wodzy, choć czuł pewien niepokój. Jego oczy śledziły światło z latarki aspiranta Maciejczyka.

– Stój, zobacz...! – wydał z siebie stłumiony okrzyk.

Podszedł ostrożnie do kamiennej ściany. Na ziemi leżał telefon ze zbitą szybką, a niedaleko niego bateria. Policjant był przygotowany na zabezpieczanie śladów w dowolnej sytuacji – wyciągnął więc plastikową torebkę, do której włożył znalezisko.

– Inspektora? – zapytał aspirant.

– Tak myślę. Chodźmy dalej. Mówiłeś, że było zgłoszenie na Strunera? Pobicie?

– Tak, ale mówił, że nawet nie dotknął dyrektora szkoły. Ten natomiast ma inne zdanie. Widziałem go, był nieźle poturbowany. Chory na raka stary dziadek, szanowany w mieście, a ktoś go tak urządził.

– Zbrodnia nie zna litości.



– Skup się. Zobacz to, zobacz prawdę – powtarzała kobieta.

Feliks, jak na rozkaz, zobaczył to, o czym chciała mu przypomnieć.

Stał w klasie. Tym razem był sam i nie miał obok partnerki z ABW – Maria Lipan zniknęła. Rozmawiał z dyrektorem szkoły, który niechętnie odpowiadał, a nawet zbywał go gestami pełnymi nonszalancji i pogardy. Inspektor odczuwał rosnącą złość, nie mógł jej opanować. Chciał odpowiedzi, ale ich nie dostawał. I w końcu gniew wskazał drogę, którą podążył. Przez moment widział siedzącą na biurku kobietę, a następnie pochylającą się nad dyrektorem. Lecz zniknęła... Jej miejsce zastąpił on. Tyle że Feliks się nie pochylał: trzymał dyrektora za jego drogą marynarkę i dociskał dłonie tak, by ten czuł jego siłę. Drzemiec nie odpowiadał. Struner wykorzystał pięści – pytanie i cios, pytanie, cios... Po knykcjach śledczego spływała krew, kiedy dyrektor zdecydował się mówić. Odpowiedział na wszystkie pytania, bełkocząc i krztusząc się krwią.

Po przesłuchaniu Feliks spokojnie umył dłoń. Jak gdyby nigdy nic. Grzecznie podziękował, ukłonił się nawet i wyszedł.

– Cofnij się jeszcze... – zachęcała go kobieta.

Była podekscytowana. Podobało jej się widowisko, spektakl jednego aktora.

Był na rynku – w pierwszą noc, gdy morderca wrócił do miasteczka. Zobaczył jadącego czarnego sedana, ale tym razem nie wyszła z niego kobieta w czarnym płaszczu z drogą parasolką w ręku, a auto nie wyglądało na nową klasę premium, tylko na standardowy nieoznakowany radiowóz. Przyjechali zwykli funkcjonariusze, którzy pomogli zabezpieczyć dowody i miejsce zbrodni. Nikt znaczący.

Stał sam z aspirantem. Rozmawiali. Maciejczyk spoglądał na niego dziwnie, jakby nie wiedział, co się dzieje. Feliks zrozumiał dlaczego – młody policjant zobaczył, jak Struner mówi do siebie, ignorując czasem obecność Marka, który uznał zapewne, że taki stary i doświadczony glina

jak Feliks ma swoje dziwne rytuały czy przyzwyczajenia, pozwalające mu lepiej myśleć. Albo że piętno przesłużonych lat mocno odbiło się na inspektorze.



– Co ty mi robisz?! Co mi podałaś?! To... to niemożliwe! – Struner wił się na zimnej posadzce i próbował dłońmi zagłuszyć dźwięki bębnów, lecz na próżno, stawały się coraz głośniejsze.

Część czarnych plamek zniknęła, dzięki czemu mógł zobaczyć swojego wnuka. Nie słyszał chłopca, ale go widział. Usta dziecka układały się w jakieś słowa, których inspektor nie mógł odczytać. Jedyne, co dostrzegł, to strach, wypełniający oczy Alana. Strach i dezorientację... Mężczyzna wyciągnął do niego dłoń, lecz to przstraszyło go jeszcze bardziej. Chłopiec próbował się cofnąć, ale siedział już w kącie pomieszczenia, nie miał żadnej drogi ucieczki. Feliks chciał go pocieszyć, jednakże wysuszone gardło spowodowało, że nie mógł wydobyć z siebie ani jednego słowa. Jego ciało przepelnione było obezwładniającym ciepłem, a ból promieniował z głowy na wszystkie partie mięśni. Struner czuł, że traci panowanie nad własnymi kończynami.

– To ty sobie to robisz. Poddaj się wreszcie, przestań walczyć! Ta walka nie ma sensu.

Posłuchał jej.

Pokój w salonie domu rodziny Trodalów był zniszczony, w połowie spalony. Ciemność, znów ciemność. Opanowała posiadłość i niebo.

Stała przed nim psycholog, pani Pola Litt-Górzak. Wyglądała na przestraszoną, mówiła coś o śledztwie i o swoich odkryciach. Trzęsła się i jękała. Opowiadała o dzieciach Edmunda, krzyczała i płakała. Wspominała też swoją siostrę, ofiarę mordercy. Feliks jej nie rozumiał,

czytał jedynie z jej ust pojedyncze słowa. Wskazywała na niego, on coś odpowiadał, nie wiedział co... ale poruszał wargami. Wyciągnęła buteleczkę pełną tabletek i rzuciła mu pod nogi. Mężczyzna nie rozpoznał widniejącej na etykiecie nazwy, lecz wiedział, co to było – tabletki nasenne. Wcześniej Pola wrzuciła je do wody w czajniku, nafaszerowała go nimi. Poczuł napływający gniew i wszechogarniające ciepło. Pochylił się po pudełko, oglądał je uważnie, a ona mówiła, co znalazła w aktach, mówiła coś o nim i jego przeszłości. Morderca – usłyszał w głowie.

Nie wytrzymał. Rzucił się na nią, gdy pokazała mu kluczyk. Mały kluczyk od skrytki pocztowej – jego skrytki. Nie uderzył jej, nie chciał zostawiać śladów. Kobieta walczyła, ale była słaba, zbyt słaba w porównaniu do rosnącego mężczyzny z policyjnym doświadczeniem. Jej oddech szybko zwolnił, kiedy jego dłoń przysłoniła jej usta i nos. Próbowwała walczyć, ale siły opuszczały ją w zawrotnym tempie.

Wtedy to poczuła – miała w ustach kilka tabletek. Feliks zmusił ją do ich połknięcia. Zemdląca.

Struner nie wypuszczał jej z objęć, nie, dopóki biło jej serce. Dopiero gdy przestało pompować krew i bić w piersi, odpuścił.

Wstał. Schował kluczyk do kieszeni.

Poczuł spokój.



– Słyszałeś coś? – Funkcjonariusz Archiwum X rozejrzał się wokół.

– Nie jestem pewny... – odparł aspirant.

Oświetlał latarką ciemny korytarz, ujawniając to, czego Feliks nie zauważył. Na wystających ze ścian kamieniach i na betonowej posadzce widniały ślady krwi. Wśród nich były stare i zaschnięte, ale też świeższe, takie, które – z powodu panującej w tunelu wilgoci – jeszcze nie zaschły.

– Musimy uważać, musimy być czujni. Nie wiadomo, co mu odbije.

– Ale to wszystko... – szepnął Maciejczyk.

Jego ręce drżały – nie wiedział, czy z zimna, czy może z nerwów, lecz to, co widział na ścianach, sprawiało, że nie potrafił uspokoić oddechu.

– A teraz? Słyszałeś? Musiałeś to słyszeć – sapnął okularnik.

– Tak...



– Nie, zostaw! Zostaw mnie, odejdz! – krzyczał Feliks, a jego wzrok uciekał od spojrzeń kobiety w lustrze.

– To niemożliwe. Na zawsze razem, tak jak chciałeś. Z tej obietnicy, nie, z tej przysięgi nie da się uwolnić.

– Spokojnie, Alan, wyjdziemy z tego, obiecuję... – Struner zwrócił się do chłopca, nie chcąc patrzeć na szaloną towarzyszkę.

– Dlaczego pan... – zaczął wnuk policjanta.

Jego usta poruszały się dalej, ale inspektor nie słyszał słów.

– Zobacz, jak wyglądały wszystkie twoje działania, jak przebiegały rozmowy z Marią... – szeptała kobieta.

Feliks dziko zawył. Znów ogarnął go mrok.

Ekspedientka mierzyła go wzrokiem. Tylko jego, bo nikogo więcej w sklepie nie było. Rozmawiał z nią, obracając się co jakiś czas za siebie, czym wzbudzał nieufność sprzedawczyni. Zaczęła bać się tego niespokojnego mężczyzny – chciała się go jak najszybciej pozbyć. Podała mu dane, o które prosił, przecież był policjantem. Bardzo dziwnym policjantem...

Rozmawiał z Różą Rygiel w jej mieszkaniu na rynku. Marii nie było obok niego – nie było nikogo poza nim samym i starszą kobietą. Wyłącznie oni,

we dwoje. Staruszka opowiadała mu o mężczyźnie, który przemierzał ulice w czarnym płaszczu z twarzą przysłoniętą przez kaptur. I o oczach. Widziała jego oczy, twierdziła, że jak u samego diabła. Feliks zerknął przez okno i wtedy w szybie zobaczył swoje odbicie. Oczy, o których mówiła kobieta, należały do niego.

Wymacał w kurtce mały scyzoryk. Włożył powoli rękę do kieszeni – poczuł jego chłód. Przewracał nim w dłoni, słuchając w tym czasie Róży. Obserwował też, co się dzieje na rynku. W końcu staruszka poprosiła go, żeby wyszedł.

Ostatnie spojrzenie na swoje odbicie, nagłe uderzenie ciepła.

Ruszył...

Ostatnie, co pamięta, to dwa czerwone punkty, oczy, klejnoty z najgłębszych otchłani piekieł.

Ruszył...

Ciemność.

Wokół panowała ciemność. A on wbijał ostrze w twarz kobiety. Zadawał jej rany, jedna obok drugiej, tak by usunąć smutek z jej oblicza. Róża jeszcze się ruszała, jeszcze przez jej ciało przebiegło drzenie, gdy mężczyzna zostawił ją nagą, całą poranioną od mnóstwa cięć. Nie była w stanie się ruszyć, leżała w kałuży krwi. Funkcjonariusz nawet na nią nie spojrzał. Wyszedł spokojnie z pokoju, jak gdyby nic się nie stało. Wstąpił do łazienki, umył ręce i opłukał twarz. Potem przejrzał szafki w mieszkaniu. Znalazł klucz i zamknął drzwi po opuszczeniu miejsca zbrodni.

I nagle...

Biegł. Biegł po schodach na dół, nie miał czym oddychać, aż wreszcie wydostał się na zewnątrz. Świeże powietrze pozwoliło mu opanować oddech i oczyścić umysł.



– To nie mogłem być ja! Musiałaś mi coś podać. Musiałaś! – wrzeszczał Feliks.

Raptem się zorientował, że nie leżał już na betonie, lecz jedną ręką przytrzymał wnuka, a w drugiej miał nóż z drewnianą rękojeścią, identyczny jak ten, który wypadł z pluszowego misia w jego mieszkaniu. Uścisk inspektora był mocny – zbyt mocny, by chłopiec mógł się wyrwać, chociaż rozpaczliwie próbował.

– Tak, zrób to! Bądź tym, kim zawsze byłeś, bądź nim... braciszku. Bądź Zabawkarzem! Zawsze czułeś z nim jakąś więź, prawda? Prawda?! Bo jesteś nim, czujesz więź ze sobą. Zaakceptuj ją!

Kobieta pokrzykiwała podniesionym głosem, pełnym podniecenia. Jej twarz majaczyła w odbiciu niewyraźnie, ale oczy mówiły wszystko. Były przepelnione pasją i obłędem. Linia dzieląca szaleństwo od normalności została zatarta. Rozmówczyni inspektora zatraciła się w swoim morderczym świecie i... pragnęła, by Feliks dzielił go razem z nią.

– Nie... Nie mogę. Nie jeste...

Zamilkł. Jakby spojrzenie kobiety wyłączyło mu głos.

– Wizje, czasem je miewasz, prawda? – zapytała z ciekawością. – Te, w których widzisz, jak morderca dokonuje swoich zbrodni.

Struner patrzył na jej odbicie z przerażeniem. Nikomu o tym nie mówił, ale ona skądś wiedziała... Skąd?

– Przypomnij sobie, kiedy je miewałeś, przy jakich sprawach – podpowiadała.

Miała rację. Feliks próbował znaleźć w pamięci śledztwa, w których trakcie mógł spojrzeć w umysł mordercy, ale ich nie znalazł – poza dwoma. Tego z dziewięćdziesiątego trzeciego roku i tego teraz.

– To... musi być przez te...

– Narkotyki, które ci podałam? – Kobieta zaśmiała się pobłaźliwie. – A może to po prostu twoje wspomnienia, co? Skąd miałbyś wiedzieć, że w tej alejce był miś, a w parku włosy dziewczynki zaplątały się o śrubę w ławce? Zobaczyłeś to, bo już wcześniej to widziałeś... Bo ty to robiłeś!

Policjantowi stanął przed oczami obraz alejki.

Szedł sam. Wystraszył dwójkę małych na wagarach. Chłopcu kazał spierdalać, a z dziewczynką odbył rozmowę. Tłumaczył jej, że źle robi, ale ona go nie słuchała. Prosiła jedynie o dyskrecję, żeby jej rodzice się o niczym nie dowiedzieli. Obiecał, że nic im nie powie, lecz w zamian musiała coś dla niego zrobić. Odprowadził Agnieszkę przed dom i kazał jej czekać na niego wieczorem, jeśli nie chce kłopotów. Nie chciała. Mówił, że ma tylko kilka pytań, że chce dowiedzieć się czegoś o jej zaginionej koleżance. Był z policji i zdobył jej zaufanie.

Dziewczynka czekała na niego, zabrała telefon, jak kazał, i nikomu o niczym nie powiedziała. Posłuchała go, a on bardzo się ucieszył. Poprosił jedenastolatkę, by wsiadła do samochodu. Zgodziła się, choć niechętnie. Mężczyzna zapytał o miejsca spotkań nastolatków. Pokierowała go, ale on skręcił wcześniej i udał się w stronę posiadłości rodziny Trodałów. Dziewczynka nie wiedziała, o co chodziło, a inspektor niczego nie wyjaśniał. Kroczył w milczeniu. Zaczęła krzyczeć, lecz on nie reagował. A kiedy się zatrzymał...

Do żyły Agnieszki wpływał płyn ze strzykawki i odbierał jej siły. Zemdląca, by nigdy się nie obudzić. Słodki, wieczny sen.

To dar od niego.

Trzymał ją na rękach i niósł ciemnym korytarzem, chłodnym i wilgotnym. Znał go bardzo dobrze, więc przebył całą drogę bez światła z telefonu. Położył dziewczynkę w pomieszczeniu pełnym luster, na końcu korytarza. Na betonowej posadzce spoczywało jeszcze jedno dziecko – zaginiona Magda Sajno. Ułożył jedenastolatki obok siebie, jak dwie najlepsze przyjaciółki. Patrzył spokojnie na ich niewinne oblicza. Wyglądały, jakby śnił im się najpiękniejszy sen. Następnie, pochyliwszy się,



wyciągnął coś z kieszeni. Wstrzyknął jednej z dziewczynek dawkę ze strzykawki i napełnił kolejną, by zaaplikować płyn drugiemu dziecku. I tak kilka razy. Dotąd, aż pozbył się kilku fiolek z preparatem nasennym.

„Słodkich snów”.



– Jesteśmy już blisko. Spójrz – powiedział aspirant ściszone głosem.

– Światło? – zdziwił się funkcjonariusz.

U wylotu korytarza majaczyło delikatne żółtawe światełko. Zniknęło i znów się pojawiło.

– Ktoś tam jest! – szepnął Maciejczyk.

– Struner... – Policjant z Krakowa przyspieszył, a wtedy jego noga o coś zahaczyła. – Co jest, kurwa? – zdenerwował się.

Spojrzał pod nogi i zobaczył kości, ludzkie szczątki, a tuż obok portfel. Schylił się.

– Co to...? – jęknął Marek.

Funkcjonariusz z Archiwum X przeczytał na głos imię i nazwisko ze starego dowodu:

– Maria Lipan... A więc to tu spotkał ją koniec. Co za smutny los.

– To o tej Marii on mówił...? – zaczął aspirant, ale przerwał mu złowrogi krzyk.

W wypełnionym mrokiem wąskim korytarzu wydał się wręcz odrażający, lecz przy tym pełen bólu i strachu. Kiedy wrzask się powtórzył, obaj dostali gęsiej skórki. Wymienili się szybkimi spojrzeniami, by zaraz pobiec w stronę bladego światła na końcu tunelu. Aspirant był pierwszy przy pomieszczeniu. Wówczas poczuł na przedramieniu mocny uścisk dłoni. To krakowski agent go zatrzymał. Przyłożył palec do ust, by Marek nic nie mówił.

Przesunął się przed Maciejczyka, ukucnął i lekko się wychylił, tak aby nie zostać zauważonym przez podejrzanego.

Usłyszeli męski głos, a między słowami – płacz.

– Co to jest? To nie mogą być moje wspomnienia... Nie mogą...

Wtedy rozbrzmiał inny głos, wyważony, wyzuty z emocji.

– Ale są.

– To ty mi je powsadzałaś do głowy! Nie wiem jak, ale ci się udało!

– Powiedz mi tylko jedno, jeszcze tylko jedno, a ja wyznam ci prawdę. Jak znalazł się tutaj ten chłopiec?

– Chłopiec?

Aspirant rozpoznał ten głos, należał do Feliksa.

– Z kim on rozmawia? – zapytał cicho.

Mężczyzna w okularach milczał. Spojrzał jedynie na towarzysza. Jego wzrok wyrażał jedno: funkcjonariusz z Archiwum X był głęboko zszokowany.

A rozmowa wciąż trwała.

– Tak... Skąd się wziął chłopiec, gdzie jest jego babcia? Twoja żona? Powiedz mi.

Struner spojrział na przerażone dziecko, które próbowało wyrwać się z jego uścisku. Było zbyt słabe, a mężczyzna ścisnął nadzbyt mocno; mimo że nie chciał, robił wnukowi krzywdę. Oddech chłopca stawał się coraz bardziej niewyczuwalny. Inspektor z przerażeniem stwierdził, że nie był w stanie wypuścić Alana z uścisku... Mały wyciągnął dłoń po pistolet Feliksa. Broń leżała tuż przed nim, ale i tak nie potrafił jej dosięgnąć.

Stary gliniarz widział, jak jego wnuk walczył o życie oraz że nie udało mu się pochwycić beretty.

I niespodziewanie...

Zimne pomieszczenie zniknęło, tak jak chłopiec w jego ramionach.

Śledczy stał przed drzwiami piętrowego domu.

Oglądał z zachwytem piękne dębowe drzwi, aż wreszcie nacisnął złoty dzwonek. W środku rozbrzmiał delikatny, melodyjny dźwięk, ale słysząc było go również na dworze. Nie musiał długo czekać, drzwi otworzyły się chwilę później. Stała przed nim dojrzała kobieta. Na widok jej oszałamiającego piękna serce zabiło mu szybciej. Rozpoznał ją, to jego żona – ta, którą dawno temu obdarzył uczuciem. Justyna Szytma, jego jedyna prawdziwa miłość i matka pierworodnej córki.

Była zdziwiona jego wizytą, ale nie tak bardzo jak on jej zimnym przyjęciem. Zachowywała się chłodno już od progu, zbywała go lakonicznymi odpowiedziami, nie chciała nawet na niego spojrzeć. Różniła się od kobiety, którą pamiętał. To nie w niej się zakochał, to nie jej oddał serce.

Poczuł rozlewający się po całym ciele gniew. Przyjechał, by pomóc, sprawdzić, czy jej wnuk był bezpieczny, a ona traktowała go tak, jakby nigdy nic ich nie łączyło – jakby był niepotrzebnym śmieciem przeznaczonym do utylizacji. Mówiła, że Alan całymi dniami gra w PlayStation, ma słuchawki na uszach i nie chce wyjść ze świata gier do rzeczywistości. Poprowadziła byłego męża do pokoju chłopca, na piętro. Kiedy stanęli przed schodami, Feliks chwycił z szafki metalową ozdobę i uderzył Justynę w potylicę. Wystarczył jeden cios – kobieta padła na podłogę i przestała oddychać. Jej wzrok zrobił się pusty, pozbawiony życia, zupełnie jak ten, którym obdarowała go w drzwiach. Struner ukląkł przy niej i zamknął bylej żonie powieki. Zaniósł ją na rękach do sypialni, gdzie położył na łóżku i przysłonił kołdrą. Następnie opuścił pokój. Krwawe ślady na schodach i dywanie zdradzały, co uczynił, ale on się tym nie przejmował.

Wszedł do dawnego pokoju swojej córki. Teraz przebywał tutaj jego wnuk. Miało to trwać tylko kilka dni, póki w Pobiedziskach znów nie będzie bezpiecznie...

Alan był obrócony plecami do drzwi. Jak mówiła Justyna, grał ze słuchawkami na uszach. Tkwił w nierealnym świecie.

Mocny chwyt, chusteczka nasączona chloroformem – i chłopiec zapadł w głęboki sen, bez walki i strachu. Feliks wyniósł go z domu. Tego, o którym kiedyś marzył, że w nim zamieszka i dostanie od rodziny drugą szansę.



– Co to ma znaczyć? Dlaczego ja to wszystko widzę? – szlochał inspektor, a jego płacz odbijał się echem po całym korytarzu.

– Niech mnie pan... zosta-wi...

Chłopiec tracił oddech, przestał już walczyć z silniejszym mężczyzną.

– To takie proste! Jesteś mordercą, więc bądź nim do końca! – krzyknęła kobieta, której spojrzenie w lustrze cały czas atakowało Feliksa.

– Nie chcę...

– Zabij go! To twoja święta misja, powinność!

– Nie... Nie mogę... Nie mogę... – powtarzał szaleńczo Struner.

– Zabij go! Zakończ to wszystko jednym ruchem ostrza! Tak jak zabijałeś dzieciaki przed nim! Znasz to, lubisz to, umiesz!

Wtedy wkroczył funkcjonariusz Archiwum X.

– Stój! Nie ruszaj się! – zawołał.

– Inspektorze! Proszę rzucić nóż! – Zza ściany wyłonił się aspirant Maciejczyk.

– To nie ja! – Feliks obrócił się z chłopcem w ramionach.

Spostrzegł, że byli sami... Trzech mężczyzn i chłopiec. Kobieta zniknęła. Obaj mężczyźni wydali się śledczemu znajomi. Przetarł oczy. Celowali w niego z broni. Ale dlaczego w niego? Tego nie wiedział. Dziecko, półprzytomne, leżało na jego przedramieniu, a on przykładał mu nóż do gardła.

– A więc to jednak pan... – szepnął aspirant.

– Wypuść chłopaka, jeszcze nie jest za późno – odezwał się funkcjonariusz w okularach.

– Za późno...? – Feliks był oszołomiony. – Gdzie ona jest?

– Nikogo tu nie ma, przestań z nami pogrywać. – Policjant z Archiwum X zrobił mały krok w stronę Strunera, ale szybko zamarł, gdy dłoń inspektora zacisnęła się mocniej na rękojeści noża.

Stary gliniarz wpatrywał się w nich pustym wzrokiem. Przybyli funkcjonariusze trwali w bezruchu, nie wiedząc, co począć. Nastąpiło kilka sekund ciszy, atmosfera zrobiła się nie do wytrzymania.

Feliks spuścił wzrok, jakby znów wpadł w jakiś trans. Młodszy policjanci wymienili spojrzenia.

– Słyszysz mnie?! Inspektorze, rzuć ten nóż! – krzyknął aspirant Maciejczyk.

Struner spojrział na niego nieprzytomnie, z twarzą pozbawioną emocji. Zerknął na drugiego agenta z Krakowa, a później zaczął rozglądać się po całym pomieszczeniu.

Zobaczył ją w lustrze, stała obok niego.

– Co się stało? – spytała. – Potrzebujesz mnie?

– To nie ja...

– Ależ tak, oni to wiedzą, ja to wiem... – szeptała. – Zaakceptuj to.

– Ale kim ty jesteś?! Kim ja jestem...? – Feliksa ogarnęło poczucie bezsilności.

– Jesteś mną, a ja jestem tobą... Razem na zawsze. Jesteśmy Zabawkarzem, jesteśmy mordercą.

– Ale jak to możliwe? Jesteśmy jedną osobą...?

Postać kobiety w lustrze nie stała już obok niego – jej twarz przesłoniła oblicze inspektora, który zobaczył w odbiciu, że to ona trzymała chłopca, dociskając nóż do jego szyi. Jednak gdy spuścił wzrok, on sam nadal więził go w uścisku.

– Przestań z nami pogrywać – powiedział funkcjonariusz Archiwum X. – Rzuć nóż, a wszyscy bezpiecznie wrócimy do domu.

– Nie – odparł Struner ciekawym, nienależącym do niego głosem, by za chwilę mówić normalnie. I tak na zmianę. – Zostaw go, nie on, nie on... To mój wnuk. Siostrze, nie rób tego, nie jemu. – Spoglądał to na lustro, to na mierzących do niego policjantów. – Przestań! Już wiesz, kim jesteśmy... Zrób to, dopełnij nasze przeznaczenie... Nie, nie, tylko nie on... Braciszku, chcesz być ze mną? Chcę... Zrób to...

– Co mu jest? – zapytał cicho aspirant.

– Nie jestem pewien... – mruknął okularnik – Zostaw chłopca! Feliksie Strunerze!

– Feliksie... Strunerze? – zaszemrał inspektor. – Pomóż mi. Nie słuchaj go! Jesteśmy rodem Trodalów... Nie zapominaj o tym! – krzyknął piskliwie. – Trodalów? – powtórzył z przerażeniem, cofając się o krok razem z chłopcem. Wtedy poczuł coś pod swoim butem... – Tak, jesteśmy bliźniakami... Jesteś moim bratem, nie pozwól, by nas rozdzielili! Kochasz mnie, prawda? Mój pluszowy misiu... Bądźmy razem już na zawsze, jak przysięgałeś.

– Musimy go obezwładnić... – szepnął krakowski funkcjonariusz do aspiranta.

– Wiem. Ale jak? Nie mam czystego strzału...

– Tato?!

Za plecami policjantów pojawiła się córka Feliksa.

– Tak, kocham cię... siostrze – Stary gliniarz mówił do swojego odbicia w lustrze, nie zwracając uwagi na córkę.

– TATO! Co ty robisz?! – wrzasnęła, ruszywszy w stronę ojca, ale Maciejczyk w porę ją zatrzymał.

– Co pani tu ro...

Funkcjonariusz w okularach nie zdążył dokończyć zdania, bo w pomieszczeniu rozległ się huk. Wystrzał z broni niósł się w zamkniętej przestrzeni po całym korytarzu. Cisza, która nastąpiła po wystrzale,

wydawała się wiecznością. Policjanci zastygli, a córka Feliksa doznała szoku. Jej wzrok przesłoniła kłująca jasność, a w uszach zabrzęczały dzwonki.

Ciszę zakłócił upadek łuski, która trzykrotnie uderzyła o beton posadzki.

Spojrzenie aspiranta automatycznie powędrowało ku spoczywającemu na ziemi nieprzytomnemu chłopcu. Obok niego stał inspektor, trzymając w ręku służbową broń. Nóż leżał nieopodal, jakby mężczyzna wyrzucił go, zanim sięgnął po pistolet. Wykorzystał zamieszanie...

Struner tkwił w jakimś otępieniu. Wokół niego pojawiła się czerwona plama, krew przesiąkła przez ubranie. Kałuża rosła, krew nie przestawała płynąć...

– Co, do kurwy...? – przerwał ciszę Marek.

Małgorzata odzyskała zmysły i momentalnie znalazła się przy swoim dziecku.

– Zakończył to... – stwierdził pracownik Archiwum X.

Do pomieszczenia wpadł jego partner, zdyszany i zły, ale szybko doszedł do siebie, gdy zorientował się w sytuacji.



– Czy mój ojciec... przeżyje? – dopytywała Małgorzata, gdy sanitariusze pogotowia włożyli nosze z Feliksem do karetki.

– Nie wiemy... – odparł aspirant. – Postrzelił się w pierś, możliwe, że ominął serce. Trudno powiedzieć – dodał zmieszany, ponieważ nie wiedział, jakiej odpowiedzi oczekuje kobieta.

– Co z nim nie tak? Dlaczego mój ojciec stał się taki...?

– Dowiemy się, jeśli z tego wyjdzie – rzekł niższy policjant. – Zbadają go psychiatrzy, a teraz pozostają nam wyłącznie domysły. Będziecie musieli

złożyć zeznania, ale nie ma pośpiechu. Ta sprawa czekała dwadzieścia pięć lat, może więc poczekać, aż poczujecie się gotowi do rozmowy o niej.

Małgorzata westchnęła i oddaliła się od funkcjonariuszy, by wsiąść z synem do karetki.

– Nadal trudno mi uwierzyć, że to inspektor zabijał... – wymamrotał Maciejczyk.

– Pierwsze, czego się dowiedziałem w tej jednostce, to tego, że... wszyscy jesteście zabójcami, tak zostaliśmy skonstruowani, więc nie dziw się, że niektórzy poszli za tym prymitywnym instynktem. Wszyscy o tym myślimy przynajmniej raz w życiu, czy to przez zdradę małżonka, czy może kolega zabrał nam cukierka. Każdy z nas chciał zabić, a niektórzy to po prostu robią – odparł refleksyjnie funkcjonariusz z Krakowa.

– Mhm, może masz rację...

– Będziemy w kontakcie, jeśli zajdzie potrzeba. Jest jeszcze wiele roboty. Pewnie potrzebna będzie twoja pomoc.

– Moja pomoc? – zdziwił się aspirant.

– Pozostaje kwestia władz gminy, ktoś, kto wszystko tuszował. Feliks był sprytny i do pewnego momentu nieuchwytny, ale sam nigdy by tego nie dokonał. Musimy oczyścić wasze miasto. Sam widziałeś, że potrzebuje pomocy. Masz. – Agent w okularach podał Markowi wizytówkę. – Dzwon, jeśli coś cię zaniepokoi – rzucił, zanim odszedł.

Aspirant Maciejczyk spojrział na wizytówkę. Widniał na niej tylko numer, bez imienia, bez nazwiska, jedynie dziewięć cyfr. Uśmiechnął się krzywo i schował ją do kieszeni.





## Rozdział 14

# Cena do zapłaty

Feliks leżał na stole operacyjnym. Nie czuł bólu. Kula utkwiała tuż przy sercu, w miejscu, gdzie przed laty został ugodzony nożem przez Felicję Trodal. Mężczyzna nie żegnał się z życiem, jego oddech był silny i stabilny, ale świadomość utkwiała w przeszłości. Przypomniawszy sobie coś, co dawno temu zakopał w czeluściach umysłu. Coś, co było początkiem jego historii.

Miał trzynaście lat, lecz nie trafił jeszcze do domu dziecka. Znajdował się w wielkim pałacu, pełnym obrazów i drogich mebli, skórzanych książek i szklanych żyrandoli. Siedział na drewnianych panelach, a obok niego przycupnęła dziewczynka. Była w tym samym wieku i wyglądała jak jego odbicie. Miała zielone oczy, a jej czarne włosy opadały na kościste ramiona. Uśmiechem dodawała mu otuchy, a on go odwzajemniał. Byli szczęśliwi, w tej krótkiej chwili czuli, że wszystko na całym świecie jest na swoim miejscu, bo oni są ze sobą. Dziewczynka powiedziała bezgłośnie: „na zawsze razem”, chłopiec odpowiedział tym samym. Byli rodzeństwem, trzymali się mocno za ręce. Nierozłączni. Kochali się miłością czystą i niewinną.

Siedzieli w małym pokoju, gdzie jedynymi meblami były dwie kołyski. Znienacka wróciło do Feliksa uczucie, które zaprowadziło ich do tego pomieszczenia. Strach. Uciekali przed kimś, a tylko ten pokój okazał się

otwarty. Tak naprawdę od zawsze nie mieli prawa wstępu do innych pomieszczeń, jedynie tutaj mogli przebywać. Zamknąć się, odizolować od rodziny, która ich odrzucała – tu czuli się bezpiecznie.

Nagle poruszyła się klamka. Dzieci przytuliły się mocno, próbując nie wydawać z siebie żadnych dźwięków. W końcu chłopiec poradził siostrze szeptem, aby zamknęła oczy, a wtedy wszystko zniknie. Dziewczynka posłuchała brata.

Do pokoju weszła kobieta, wysoka i piękna, ale w jej oczach szalał obłęd. Było w nich coś, czego chłopiec bał się wręcz panicznie. Spokojnie minęła kołyski, opluwając jedną z nich. Podeszła do trzymających się w objęciach bliźniąt. Nakazała, by się puścili i nie sprawiali jej więcej kłopotów. Nie posłuchali, więc zaczęła krzyczeć i machać rękoma, w których trzymała nóż. Chłopiec wstał i zasłonił siostrę, chciał nawet rzucić się na kobietę, lecz wówczas ostrze przeszło jego pierś. Upadł na podłogę. Krew przesiąkała przez zniszczoną starą koszulkę i wkrótce zaczęła płynąć po drewnie wartkim strumykiem. Dziecko nie straciło przytomności, widziało, co kobieta zrobiła później...

– Ty zawsze byłaś najgorsza, podobna do niej... Do tej ohydnej kurwy! – wrzasnęła, po czym zraniła rękę, którą dziewczynka usiłowała się zasłonić. – Spójrz na mnie! Mała dziwka!

Dziewczynka jednak za radą brata nie unosiła powiek, mimo że kobieta cięła jej twarz i kłuła po całym ciele. Nie wiedziała, kto był jej oprawcą, nie ujrzała nad sobą oblicza swojej morderczyni – macochy. Umarła z zamkniętymi oczyma, jak prosił brat.

„Zamknij oczy, a wtedy wszystko zniknie”.

Zniknęło.



Struner spał w szpitalnym łóżku. Minał tydzień, odkąd postrzelił się w pierś. Lekarze odnieśli sukces: mężczyzna przeżył operację.

– Nie wiemy, kiedy się wybudzi. To zależy wyłącznie od niego – odpowiadali na wciąż te same pytania funkcjonariuszy z Archiwum X.

Feliks widział we śnie siebie i siostrę, wszystkie ich działania przez ostatnie, i nie tylko, lata. Widział ją za każdym razem, gdy odbierał życie niewinnym dzieciom czy rzucał nożem w krtań swojej partnerki. Widział ją, kiedy mordował Różę Rygiel. Była z nim zawsze, tak jak sobie obiecywali. Była z nim przy każdej sprawie. Znowu słyszał swój wewnętrzny głos – głos pluszowego misia, mówiącego często, co inspektor ma robić. Teraz ten głos należał do niej. Ostatecznie nazwał siostrę imieniem zmarłej partnerki. Bo oni przecież nie mieli imion, byli po prostu bliźniakami Trodal. Feliks otrzymał je, kiedy oddano go do domu dziecka, ale siostra pozostała bezimienna. Urodził się pierwszy, ledwie kilka minut przed nią, i czuł się odpowiedzialny za siostrzyczkę, więc jako starszy brat nadał jej imię i nazwisko. Maria Lipan.

Przypomnił sobie, gdy pierwszy raz usłyszał głos siostry. Pierwszy raz, gdy się pojawiła. Był wtedy w swoim mieszkaniu, razem z żoną i córką. Siedział przy śniadaniu i czytał gazetę. W pewnym momencie przeniósł wzrok na nekrologi. Ujrzał wśród nich wzmiankę o śmierci małżeństwa. Edmund i Felicja Trodalowie. Wówczas po raz pierwszy usłyszał głos, który odtąd towarzyszył mu już zawsze.



Stał w salonie posiadłości swojej rodziny. Dom był piękny i majestatyczny, tak jak go pamiętał z czasów dzieciństwa – tego, które odkrył we śnie. Chwytał stojący przy kominku pogrzebacz i zaczął nim we wszystko uderzać. Walił w kanapę, meble, trofea na ścianie, szyby w oknach, a gdy zniszczył wystarczająco dużo rzeczy i jego ręce przestały

go słuchać, odrzucił metalowy przyrząd. Zebrał zniszczone drewno i położył na kanapie, trofea także, księgi, wszystko, co tylko mógł przenieść. Spojrzał na to z pogardą i rzucił w sam środek odpaloną zapalną. Ogień powoli rósł...

Po krótkiej chwili usłyszał głos, który kazał mu ugasić płomienie. Zrobił to.

Zobaczył ich pośród przeredzającego się dymu.

Edmund i Felicja.

Patrzył na ich twarze. Były całe we krwi. A między małżonkami – ona, jego siostra. Trzymała w ręku pluszowego misia, jego misia. Uśmiechała się, poruszała ustami, wyznając mu bezgłośnie miłość.

A potem z pluszakiem w dłoni stał przed zejściem do ciemnego korytarza. Nie był sam. Wokół niego stało pięć osób, wszyscy mieli czarne szaty i kaptury, a w rękach te same pluszowe misie. Feliks spojrzął na swojego. Szary, szorstki misiek kazał mu wejść schodami do podziemi.

Ona mu kazała...



Inspektor otworzył oczy.

Jego szpitalne łóżko otaczali policjanci. Był podłączony do aparatury, która miała mu pomóc wyjść ze śpiączki.

Zerknął na swoje ręce, były odrętwiałe i ciężko mu było nimi ruszać. Wbił wzrok w prawą dłoń, tę, w której wcześniej trzymał nóż przy gardle wnuka.

Była we krwi...

Aparatura pokazywała podwyższone tętno, więc w sali pojawiło się kilku lekarzy. Feliks zaczął rzucać się po łóżku. Krzyczał i wierzgał kończynami. Aż czterech rosyłych mężczyzn musiało go przytrzymać.

– Zabijcie mnie! Zabijcie! Kurwa!!!! Zabijcie mnie! – wył rozpaczliwie, a jego głos docierał do najdalszych sal na piętrze szpitala.

Dopiero spora dawka środków uspokajających poradziła sobie z atakiem starego gliniarza.

Przez następne dwa tygodnie mężczyzna był wielokrotnie przesłuchiwany, lecz rzadko cokolwiek mówił. Sytuacja się zmieniła, gdy pozwolono mu przeczytać pamiętnik Edmunda. Feliks przypomniał sobie o wszystkim i nie zamierzał już niczego ukrywać.

– To ja, a to moja siostra. Nie mieliśmy imion – wyjaśnił, kiedy lekarz pokazał mu znalezione w jego kurtce zdjęcie z małym chłopcem i dziewczynką.

Opowiedział, co się stało w sześćdziesiątym ósmym roku w posiadłości rodziny Trodalów. Wyjawiał też, że to Tymoteusz – lokaj rodziny – oddał go do domu dziecka i że pamięć o tych wydarzeniach wróciła dopiero niedawno. Wspominał o przeczytaniu w dziewięćdziesiątym trzecim gazety i późniejszym pojawieniu się głosu jego siostry. Lekarze skrupulatnie notowali wszystko, o czym mówił, a funkcjonariusze przysłuchiwali się ich rozmowom, robiąc swoje zapiski. Zeznania Strunera – jego wspomnienia – powoli zaczęły wypełniać luki w śledztwie Archiwum X.

Badania genetyczne potwierdziły jego słowa. W podziemiach znaleziono szczątki dwóch osób, jedne z nich należały do zaginionej policjantki – Marii Lipan, drugie natomiast – do dziecka, które niewątpliwie było spokrewnione z Feliksem. Dziecięce włosy i włosy jego partnerki sprzed lat znajdowały się w pluszowym misiu, którego inspektor trzymał w mieszkaniu. A włosy, którymi wypchany był pluszak z alejki, należały do trzech osób: Małgorzaty, Alana i Feliksa – przedstawicieli trzech pokoleń spadkobierców rodu Trodalów.

Ciała dziewczynek zostały zidentyfikowane, a historia połączeń w telefonie i ślady na laptopie Strunera były niezbitym dowodem, że mężczyzna miał kontakt z każdą z ofiar Zabawkarza. Znaleziono także

szczątki Anieli Rygiel, które śledczy zakopał przy wierzbie płaczącej na pobiedziskim rynku. Pochowano ją obok matki – tego samego dnia.

Specjaliści z dziedziny grafologii potwierdzili autentyczność podpisu Feliksa na karcie wizyt osadzonego Mariusza Witka. Jeden z podpisów Poli Litt-Górzak na dziewięćdziesiąt procent został złożony również przez inspektora. W jego mieszkaniu znaleziono peruki i damskie ubrania. Praca wielu specjalistów pozwoliła dopiąć śledztwo i odtworzyć prawie całą historię pobiedziskich dramatów.

Nie znaleziono natomiast dowodów na istnienie sekty pogańskiego bożka, o której pisał w pamiętniku Edmund Trodal i której sens wyjaśnił Struner. Funkcjonariusze mieli pewność, że ktoś ochraniał i tuszował działania chorego policjanta. Opieszałość władz gminy wskazywała na brak kompetencji, ale to wystarczyło, by zacząć podejrzewać kogoś z ratusza.

Wybory parlamentarne wygrał młody i ambitny kandydat, a pani burmistrz odeszła w niesławie, ponieważ jej kadencję, mimo że pełną sukcesów, przykrył cień zbrodni Zabawkarza. Komendant główny policji zwolnił ze służby komendanta miejskiego w Pobiedziskach, a prokurator generalny nakazał śledztwo w sprawie zaniechania obowiązków. Media rzuciły się także na dyrektora szkoły, który powinien dbać o bezpieczeństwo swoich uczniów i pracowników.

Oczyszczono z zarzutów Polę Litt-Górzak, której sekcja zwłok wykazała, że została uduszona, a samobójstwo było jedynie wymysłem Feliksa. Piotr Cylak, sędzia sądu okręgowego, który wyraził zgodę na dostęp do akt sprawy Zabawkarza, został odwołany z funkcji i zawieszony w obowiązkach przez świeżo powołaną izbę dyscyplinarną w Sądzie Najwyższym.

Krakowskie Archiwum X z pomocą aspiranta Marka Maciejczyka zebrało dużo materiałów, lecz nie były one wystarczające, by któregokolwiek z uprzywilejowanych mieszkańców postawić w stan oskarżenia. Struner nic nie wiedział o sekcie, był po prostu mordercą wykonującym polecenia pojawiającego się w jego szalonym umyśle głosu

zamordowanej siostry. Media pisały o obrzędach i rytuałach, ale bez potwierdzonych źródeł nie podawały nazwisk, a bez tego nikt nie mógł ponieść konsekwencji. Komendant odszedł na emeryturę, pani burmistrz mimo wszystko została radną, a nowym dyrektorem szkoły obwołano Brygidę Rossę – protegowaną poprzednika. Chory na raka Robert Drzemiec zmarł we śnie wkrótce po postawieniu zarzutów Feliksowi.

Proces oczyszczenia instytucji miejskich nie przebiegł po myśli funkcjonariuszy.

Pobiedziska wróciły do normalnego życia, choć pamięć o wydarzeniach z dziewięćdziesiątego trzeciego roku została przywrócona. Gdzieś w powietrzu można było wyczuć niepokój, ale nikt głośno o nim nie mówił. Do miasteczka zawitała codzienność, przysyłając kielkującą w sercach obywateli strach.

Mariusz Witek po dwudziestu pięciu latach doczekał się oczyszczenia z zarzutów i wszelkich podejrzeń, ale łatki mordercy dzieci niełatwo jest się pozbyć. Zmarły zabawkarz ciągle przewijał się w opowiadanych historiach jako oryginalny morderca, a jego żona – Anna – jako oblubienica zabójcy pomagająca w zwabianiu niewinnych dzieci na ziemię Trodalów. Anegdoty te nigdy nie zniknęły z ust mieszkańców Pobiedzisk oraz ich kolejnych pokoleń.

Małgorzata Szytma, jako córka Feliksa i wnuczka Edmunda, miała przejąć prawa do posiadłości i terenów należących do rodziny, ale nie zgodziła się na badania genetyczne, zrzekając się tym samym praw i roszczeń do majątku. Odcięła siebie i swojego syna od przeklętego rodu, jego historii i pogańskiego boga, którego czcili jej przodkowie. Chciała spędzić życie jako córka swojej matki, córka inspektora Strunera, a nie mordercy, którym okazał się Feliks Trodal.



– To w końcu co mu jest? – zapytał funkcjonariusz Archiwum X.

– Spędziliśmy z nim prawie trzy tygodnie. Nie jest to łatwy przypadek, ale zaprawdę fascynujący... – odparł lekarz prowadzący.

– A więc? – niecierpliwił się policjant.

– Żeby zrozumieć Feliksa, musimy jego życie przedzielić trzema kreskami. Na pierwszą część składa się próba morderstwa, gdy niejaka Felicja chciała odebrać życie jemu i jego siostrze, która umarła na jego oczach. W przypadku bliźniaków rodzeństwo jest wyjątkowo sobie bliskie, więc takie zdarzenie miało olbrzymi wpływ na młody umysł Feliksa. Myślę, że to w tej chwili doszło do rozszczepienia osobowości. W trudnych momentach dodawali sobie otuchy słowami: „Na zawsze razem”, a zatem, kiedy siostra umarła, chłopiec, chcąc wypełnić obietnicę, pozwolił jej żyć w swoim umyśle. Tylko w taki sposób potrafił sobie poradzić z poczuciem winy.

– I to wtedy narodził się morderca? – dociekał funkcjonariusz.

– I tak, i nie. Doszło do rozdwojenia osobowości, ale zdarzenie było tak traumatyczne, że chłopiec wyparł je z pamięci i ostatecznie bliźnięta zostały zamknięte w jego podświadomości – wyjaśniał psychiatra, spoglądając w kartę pacjenta. – Drugim ważnym wydarzeniem, wydarzeniem, które zburzyło mur w jego pamięci, było natknięcie się na nekrolog w gazecie. Felicja i Edmund, morderczyni siostry i ojciec... Wiadomość o ich śmierci pozwoliła bliźniakom powrócić. Nie było już ich oprawców, więc wraz z siostrą mógł bezpiecznie przejąć kontrolę nad życiem Feliksa.

– Ale dlaczego zabijał?

– To nie jest łatwe do zrozumienia... Myślę, że to pamiętnik odgrywa tutaj istotną rolę. Zapiski Edmunda o rytuałach, sekcie i ofiarach dla bożka, tradycja rodu... Feliks znalazł ten pamiętnik, a wówczas bliźniaki poczuły się odpowiedzialne za swoją rodzinę. Poza tym sądziły, że gdy wypełnią wolę swojego ojca, Felicja nigdy po nich nie przyjdzie i zostaną pokochani. Nikt nie rodzi się mordercą, zawsze jest jakiś głębszy powód. –



Doktor się zamyślił. – Przypuszczam, że Feliksowi, no i jego siostrze, wystarczył ten.

– A co z sektą? Powiedział coś o niej? Mówił, czy istnieje? Cokolwiek? – indagował z nadzieją krakowski agent.

– Nie, przykro mi. Tego tematu w ogóle nie chciał poruszać, jakby samo wspomnienie o sekcje zadawało mu ogromny ból. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek istniała... – odparł powoli lekarz, zauważając, że jego odpowiedź nie była tą, którą policjant chciał usłyszeć.

– A dzieci? Przejrzałem ten pamiętnik, nie było w nim wzmianki, że wszystkie muszą być podobne, a jednak były. Powiedział coś o nich, o dzieciach?

– Proszę spojrzeć. – Lekarz podał rozmówcy fotografię bliźniaków. – Proszę zwrócić uwagę, jak wyglądają. Czarne włosy, zielone oczy, bliźniacze podobieństwo.

– Zupełnie jak jego ofiary.

– Tak, obietnica dana siostrze była obecna nawet w jego zbrodniach. I wreszcie trzeci aspekt całej jego „misji”... Zapewne ciekawi pana, dlaczego wrócił, hm? List z prokuratury, wezwanie na świadka do ponownie otwartej sprawy Mariusza Witka. Kolejne wydarzenie, które wywołało bliźniaków z jego umysłu. Proszę sprawdzić daty, powinny się zgadzać. Wezwanie, później odwiedziny w więzieniu, hospicjum, a w końcu powrót mordercy do Pobiedzisk – wypunktowywał psychiatra.

– Tak, sprawdzaliśmy to, zgadza się – potwierdził policjant. – Jeszcze jedno próbuję zrozumieć.

– Co takiego? – Lekarz był wyraźnie zaciekawiony.

– Maria Lipan, jego partnerka w dziewięćdziesiątym trzecim... Dlaczego myślał, że z nim pracuje?

– To było nie lada wyzwanie – przyznał doktor. Zamyślił się, wertując kartki z notatkami. – Wie pan, co Feliks powiedział, gdy zobaczył to zdjęcie? – Znow pokazał fotografię dwójki dzieci. – Że nie mają imion. Myślę, że to przez poczucie winy.

– Poczucie winy?

– Tak, on miał nowe życie: jako funkcjonariusz Feliks Struner. Jego siostra pozostawała bezimienna, bezpodmiotowa, jakby nigdy nie istniała, a mieli być razem na zawsze. Śmierć Marii była przypadkowa, ale gdzieś w głębi jego umysłu czy serca pożądana przez niego. Podarował jej tożsamość swojej siostrze i znów mogli być razem, jako partnerzy w policji. W dodatku... Proszę przyjrzeć się zdjęciu Marii. – Wyciągnął zdjęcie kobiety. – Ciemne włosy, zielone oczy. Tak mogłaby wyglądać jego siostra, gdyby dane było jej dorosnąć. To przypadkowe podobieństwo stworzyło mu możliwość. Głos siostry zmienił się w postać Marii. Od tamtego momentu widział ją niemal zawsze.

– I przez cały ten czas ścigał samego siebie? Jak to możliwe? – nie mógł się nadziwić okularnik.

– Feliks-policjant nie był świadomy istnienia bliźniąt, był zwykłym funkcjonariuszem starającym się rozwiązać sprawę. To z nim najczęściej rozmawiam. Ale miałem okazję poznać też Marię. – W głosie lekarza dało się usłyszeć lęk.

– Tak, ja też. Niezbyt przyjemne doświadczenie.

– To chyba pan rozumie, że pojawienie się wtedy córki Feliksa było najlepszym, co mogło się wydarzyć? Ona pomogła ojcu przejąć kontrolę, dzięki niej uratowaliście tego chłopca.

– Zdaję sobie z tego sprawę. I jeszcze jedno pytanie, doktorze. Skoro to on mordował, to dlaczego zostawiał samemu sobie ślady? Skrytka na poczcie, którą sam wynajął, rysunki, pluszowe misie...?

– Tego nie wiemy. Ani ja, ani Feliks. Są dwie możliwości: albo Feliks-policjant starał się podświadomie zostawiać ślady, by pomóc samemu sobie, albo... to Maria kazała je zostawiać, żeby Feliks powoli odkrywał prawdę i się z nią oswajał, aż w końcu stałby się w pełni świadomym Zabawkarzem, bliźniakami. – Lekarz wypuścił głośno powietrze. – Ale to tylko moje teorie. Tak naprawdę nic z nim nie jest pewne. Nigdy nie spotkałem się z takim przypadkiem, nikt się nie spotkał.

– Czyli schizofrenia? – podsumował funkcjonariusz Archiwum X.

– Raczej rozdwojenie jaźni. Feliks ma w sobie trzy różne osoby. Policjanta, mordercę i utraconą siostrę, która kierowała jego czynami.

– I ten pluszowy miś... – dorzucił policjant.

– A tak, byłbym zapomniał. Jak to twierdził Freud: „W urojeniach psychopatycznych kawałek drewna może reprezentować utracone lub upragnione obiekty miłości”. Dla Feliksa był to pluszowy miś, zabawka, którą tuliła siostra, gdy została zamordowana. Wiem, jak to brzmi, ale on jest swojego rodzaju ofiarą, a nie wyłącznie mordercą. Proszę pamiętać o tym, co zrobiła macocha. Niełatwo poradzić sobie ze śmiercią bliskich, a co dopiero zobaczyć, jak ktoś taką bliską osobę morduje. To misja niemożliwa.

– Znam wiele rodzin, które by się z tym nie zgodziły, doktorze.

– Zapewne – odparł krótko psychiatra.

– Da się go wyleczyć?

– Nie wiem. Są dni, kiedy myślę, że to możliwe. Feliks pamięta, co zrobili on i jego siostra, mimo że kontrolę ma policjant. Ale są też dni, kiedy wszystko się sypie. Wtedy rozmawia z nią... albo nią jest.

– Co z nim będzie?

– Wiem, o co pan pyta... Przykro mi, nie był poczytalny, gdy zabijał. Zgodnie z naszym prawem nie może odpowiadać za te morderstwa, musi zostać poddany terapii i leczeniu. Jako lekarz prowadzący to samo powiem sędziemu.

– Ustawa o bestiach... – skomentował szorstko funkcjonariusz z Krakowa.

– Tak, tak o niej mówią media. Feliks zostanie przeniesiony do Krajowego Ośrodka Zapobiegania Zachowaniom Dysocjalnym w Gostyninie. Zostanie jedną z waszych bestii.

– Z całym szacunkiem, doktorze, ale on powinien wylądować na krześle elektrycznym.



Małgorzata śniła ten sam sen już którąś noc z rzędu. Im bliżej było do tego dnia, tym częściej pojawiał się burzący spokój dźwięk. Dźwięk upadającej na betonową posadzkę łuski. Echo przywoływało obraz płynącej krwi, która wylewała się spod ciała jej ojca. Szkarłatna kałuża, która rosła i rosła...

Gosia ledwo powstrzymała się od krzyku.

Otworzyła oczy. Jej syn spał w pokoju obok. Wciąż nie uporał się z przeżyciami związanymi z porwaniem i świadomością uniknięcia losu dzieci, które przed nim dopadł Zabawkarz. Małgorzata musiała być silna – dla niego. A tego dnia musiała być silna dla jeszcze jednej osoby... Dziś, po kilku miesiącach od osadzenia go w zamkniętym zakładzie w Gostyninie miała odwiedzić po raz pierwszy ojca.

Gdy była w drodze, wielokrotnie myślała o zawróceniu. Nie wiedziała, kogo spotka ani jakiego człowieka zastanie w ośrodku. Bała się tego. Z każdą upływającą sekundą, z każdym pokonanym kilometrem jej strach przybierał na sile. Miała stanąć twarzą w twarz z mordercą, twarzą w twarz z ojcem i bohaterem z dzieciństwa – na jej nieszczęście ta twarz należała do tej samej osoby. Była córką mordercy. Przypięto jej łatkę, która pozostanie z nią na zawsze. Dlatego zdecydowała się odwiedzić ojca. Musiała zakończyć ten rozdział, rozpocząć proces leczenia. Wiedziała, że bez tego spotkania nic się nie zmieni.

Po prawie trzygodzinnej jeździe wysiadła z zaparkowanego przed ośrodkiem auta. Po prawie trzygodzinnej walce z samą sobą, z myślami o każdej ofierze ojca. Mówią, że potwory w szafie nie istnieją, tyle że ona właśnie szła na spotkanie z jednym z nich. Z potworem, który zamieszkiwał ciało jej tatusia... Zabawkarzem z Pobiedzisk.



– Proszę pamiętać, że nie mamy pewności, z kim pani będzie rozmawiać – uprzedził lekarz prowadzący.

– Czyli to może być mój ojciec...

– Tak. Albo Maria Trodał, albo morderca, choć w zasadzie Maria i morderca stali się jedną osobą... – tłumaczył psychiatra tak spokojnie, że to aż denerwowało Małgorzatę.

Już w dzieciństwie nie lubiła lekarzy, nawet swojego pediatry, a co dopiero, kiedy w grę wchodził chłodny psychiatra w zamkniętym zakładzie dla bestii. Jej ojciec policjant, jej bohater, został jedną z najniebezpieczniejszych bestii w kraju. Jak to się stało? Jak to było możliwe? Ciągle nie dowierzała, że to on okazał się mordercą. Przecież był jej ojcem! Pragnęła wierzyć w jego niewinność, ale nie potrafiła. Media trąbiły o tym zawzięcie: mordercze rodzeństwo, przeklęte nieślubne dzieci arystokracji.

A teraz ona i jej syn byli ostatnimi potomkami tego rodu.

– Co mu jest? Co mu się stało? – zapytała ochryple. Zaszło jej w ustach. Nerwy igrały z jej ciałem.

– Z zebranych przez nas informacji wynika, że Feliks myśli, że jest opętany. Pogański obrzęd, który wtedy przerwał, miał się do tego przyczynić. Jego wybuch po operacji... Chciał, żeby policjanci go zabili, bo jedynie tak mógł przerwać ten krąg. Wierzy, że tylko ktoś z jego rodziny może zostać opętany przez bożka... Cernunnosa.

Lekarz nie wykazywał zdenerwowania, powoli przeglądał karty pacjenta. Spędził z nim już kilka miesięcy, poznał część jego problemów – część tajemnic.

– Czyli co? Opętanie czy rozdwojenie jaźni? – pytała z uporem Małgorzata.

– Proszę pani, ja jestem lekarzem, psychiatrą... – rzucił doktor wymijająco.

– Więc jako lekarz niech pan powie, co to jest. Co jest mojemu ojcu?

– Nie jestem pewien. Jako lekarz powinienem powiedzieć: rozdwojenie jaźni. Ale te ostatnie miesiące...

Psychiatra chrząknął i umilkł. Nie przedstawił ostatecznej diagnozy.

Strażnik zaprowadził ją do jakiegoś zamkniętego pomieszczenia. Za weneckim lustrem stał lekarz, aby przysłuchiwać się rozmowie, a wewnątrz czekało dwóch rosyjskich mężczyzn. Pośrodku pokoju siedział na metalowym krześle, przywiązany do niego, Feliks Struner – jej ojciec. Patrzył na nią pustym wzrokiem, jakby w ogóle jej nie poznawał. Lekarz uprzedzał – jest na mocnych lekach, może w ogóle nie mieć pojęcia, kim jest Małgorzata.

Po chwili były inspektor się wyprostował. Tyle, ile mógł. I nagle jego twarz pojaśniała – teraz to był on, jej ojciec. Usiadła naprzeciw niego.

– Cześć, tato – powiedziała nieśmiało.

– Gosia? Co ty tu robisz? – zapytał delikatnym głosem, jakby mówił do małego dziecka.

– Martwiłam się o ciebie...

– Niepotrzebnie. Mam się dobrze. – Uśmiechnął się szczerze.

To był ten uśmiech. W dzieciństwie często go widywała.

– Nieprawda, potrzebujesz pomocy. A ja chcę ci pomóc, dlatego tu jestem.

– Och, moja Gosiu. To ja powinienem dbać o ciebie, a nie ty o mnie. To rola ojca, by opiekować się córką.

– Może, ale ty się mną już zajmowałaś... Teraz ja chcę być przy tobie, tak jak ty byłeś przy mnie. Pamiętasz? – Posłała ojcu ciepły uśmiech.

– Pamiętam. Tylko że mi nie można pomóc. To dla mnie koniec.

– Nieprawda. Wiesz, co tam zrobiłeś? Pamiętasz? Uratowałeś go! – zawołała Małgorzata głośno, ze szczerą wdzięcznością.

– A przed kim go musiałem ratować? Nie zapominaj, kto mu zagrażał...

– Lekarze mówią, że będzie lepiej. Wyleczą cię, a ja będę cię odwiedzać... To też może pomóc – mówiła z nadzieją Gosia.

– Moje kochanie... Czy to źle, że ciebie kochałem najbardziej? Mam dwoje dzieci i trzecie w drodze, ale ciebie Kocham najmocniej. To czyni ze mnie złego ojca? – Feliks miał łzy w oczach.

– Nie... Nie dla mnie.

Struner uśmiechnął się słabo. Małgorzata nie była w stanie uwierzyć, że ten człowiek miał w sobie cokolwiek złego i że wszystko, o czym piszą w gazetach – o czym mówił policjant z Archiwum X – mogło być prawdą. Nie potrafiła im uwierzyć, po prostu nie potrafiła. W tym momencie odnosiła wrażenie, że jej ojciec został zamknięty tutaj niesłusznie. Taką żywiła nadzieję...

Zerknęła na zegar, mieli dla siebie pół godziny. Kilka chwil w ciszy zadziałało kojąco. Po nich nastąpiły wspomnienia z dzieciństwa. Wypełnili ten czas ciepłymi uczuciami, o których już zapomniała. Dawno zerwane więzi na nowo się splatały – pomimo wydarzeń sprzed kilku miesięcy.

Małgorzata wiedziała, że ojciec nigdy nie skrzywdziłby jej dziecka. Udowodnił to, wypuszczając z dłoni nóż i celując bronią we własną pierś. Nie zranił wnuka, choć Maria mu rozkazała. Nie zranił go, choć wymagał tego obrzęd pogańskiego boga. Nie zranił, choć rodzina Trodalów – jego rodzina – tego oczekiwała. Pozostał policjantem – Feliksem Strunerem. Strzelił sobie w pierś, by ratować wnuka, i od tamtej pory leczył się pod okiem specjalistów.

Maria pokazywała się coraz rzadziej, aż wreszcie zniknęła – od kilku dni nie dawała o sobie znać. Jakby tamtej nocy zranił siostrę i ród Trodalów, a potem, podczas jego leczenia, pomału się wykrwawiali. I w końcu zmarli, odeszli, dzięki czemu wiszący nad małym miasteczkiem w Wielkopolsce mrok zniknął na zawsze.

Jednak to tylko myślenie życzeniowe pragnącej pozytywnego rozwiązania córki. Bo Maria wciąż żyła, a mrok nigdy nie opuścił Pobiedzisk.

Gosia śmiała się i wspominała przeszłość. Ojciec rozmawiał z nią, pytał o jej matkę i pogrzeb jego ukochanej, o synka, o wszystko. Zupełnie jakby mieli być kiedyś jeszcze normalną rodziną, a on nie chciał stracić ani jednego dnia z ich życia. Opowiedział córce o swojej pierwszej sprawie, ona rozgadała się na temat pracy i studiów. Napomknęła też, że zaakceptowała jego zaproszenie do znajomych na Facebooku. Ucieszył się. Mógł obejrzeć wszystkie zdjęcia, których dotychczas nie widział. Małgorzata pokazywała mu po kolei każdą fotografię, informując, kiedy była robiona, w jakich okolicznościach oraz co się z nią wiązało.

– Dziękuję. Naprawdę ci dziękuję, że tu dzisiaj jesteś – szepnął Feliks, gdy skończyli oglądać zdjęcia.

– Cieszę się, że mogliśmy porozmawiać. Na razie powiedzieli, że mogę przyjeżdżać jedynie raz w miesiącu. Wytrzymasz tyle czasu sam?

– Tak, ale... – Struner zawahał się, po czym niespodziewanie burknął szorstko, jak wtedy, kiedy bawiła się misiem, a on ją za to skarcił: – Nie przyjeżdżaj tu więcej.

– Co? Dlaczego? Nie, nie, muszę tu być – zapewniała córka.

– Nie. Nie możesz, nigdy więcej. Ani ty, ani twój syn nie możecie się do mnie zbliżyć – oznajmił Feliks ostrym tonem. – Jestem przeklęty, jestem zarazą. Trzymajcie się ode mnie z daleka.

– Dlaczego to robisz? – jęknęła Małgosia.

– Co? – Ojciec zmierzył ją takim wzrokiem, że aż się wzdrygnęła.

– Odpychasz mnie. Po raz kolejny... Nie rozumiesz? To przez to... tu jesteś. Bo nigdy nie umiałeś rozmawiać, poprosić o pomoc...

– Nieważne, nie przychodź tu... Nie jestem dobry, dla nikogo.

– Jak możesz decydować za mnie? Uratowałeś go przecież!

– Nie wszyscy mogą powiedzieć to samo... i zobaczyć swoje dziecko... żywe – odparł Struner, a w jego głosie pobrzmiwał ogromny żal.

– Chcesz mnie odepchnąć, bo uratowałeś mi dziecko? Bo twój wnuk nadal żyje?! Co to za pokręcona logika?! – wybuchła ze złością Gosia.



– To nie logika. Nie rozumiesz? To ja jestem tym złym, to moja przeszłość nas dopadła i o mały włos on nie zginął. Jak możesz tu siedzieć i na mnie patrzeć? To ja trzymałem nóż przy jego gardle... Jak możesz mi to wybaczyć?! – krzyknął były śledczy, a z jego oczu płynęły łzy. – To dla waszego dobra! Kocham was i dlatego nie mogę pozwolić, byście stali się częścią tego...

– To lepiej nikogo już nie kochaj! – wrzasnęła Małgosia z goryczą, zagłuszając ostatnie słowa ojca. Strażnicy rzucali bezradne spojrzenia, nie wiedząc, co zrobić. – I przestać mówić o moim dziecku „on”! Wypowiedz jego imię! No dalej, zaakceptuj to, że żyje!

– Niepotrzebnie mnie uratowali... Trzeba było pozwolić mi zdechnąć! – Feliks szarpnął rękoma, lecz pasy wytrzymały ataki znacznie silniejszych pacjentów.

– Jak możesz tak mówić?

Kobieta prawie się rozplakała, dostrzegłszy, jak bardzo jej ojciec chciał śmierci.

– Mogę... – zaczął, ale szybko ucichł.

Wyraz jego twarzy zmienił się diametralnie. Smutek i żal zostały zastąpione uśmiechem, oczy zabłysnęły złowieszczym blaskiem. Gosia cofnęła się, opadając na krzesło.

– To ty... – powiedziała ze strachem.

– Hej... Porozmawiaj z ciocią. – Struner wyszczerzył radośnie zęby. – Powiedz mojemu drogiemu Alanowi, że rodzina jest najważniejsza. Kocham was. Kiedy odwiedzi mnie ten szkrab? Mamy niedokończony interes...

– Chcę stąd wyjść... – Małgorzata zwróciła się do strażnika.

Ten kiwnął głową. Sam nie czuł się tu komfortowo i bezpiecznie, mimo że był dwumetrowym kolosem.

– Spokojnie, Gosiu. Jeszcze się zobaczymy, cała nasza trójka. I będziemy już zawsze szczęśliwi. Musi być czwarta ofiara – oświadczył Feliks cienkim głosem. Uśmiechnął się, a z jego ust wypłynęła nagle krew.

– Co się dzieje?! – krzyknęła Małgorzata.

W głośnikach zabrzmiał głos lekarza.

– Wyprowadzić ją.

– Ale co się stało?! – Zdezorientowana Gosia patrzyła na ojca z przerażeniem.

– Pacjent... odgryzł sobie język i go połknął.

Strażnik z trudem wyprowadził z pomieszczenia szlochającą i szarpiącą się córkę Feliksa. Do pokoju wbiegło dwóch sanitariuszy, żeby pomóc drugiemu strażnikowi w odpięciu chorego od krzesła.

Stary policjant upadł na ziemię. Z jego ust ciurkiem płynęła krew, a on nie wydał z siebie żadnego dźwięku. Cały dygotał. Dwóch rosyłych pielęgniarzy nie potrafiło go utrzymać.

Niespodziewanie Struner znieruchomiał. Próbowano go reanimować, lecz serce nie odpowiadało na starania medyków.

Akt zgonu podpisał lekarz prowadzący.

Psychiatra, Michał Bratnik.

Urodzony w 1968 roku, w Pobiedziskach.

**Koniec**